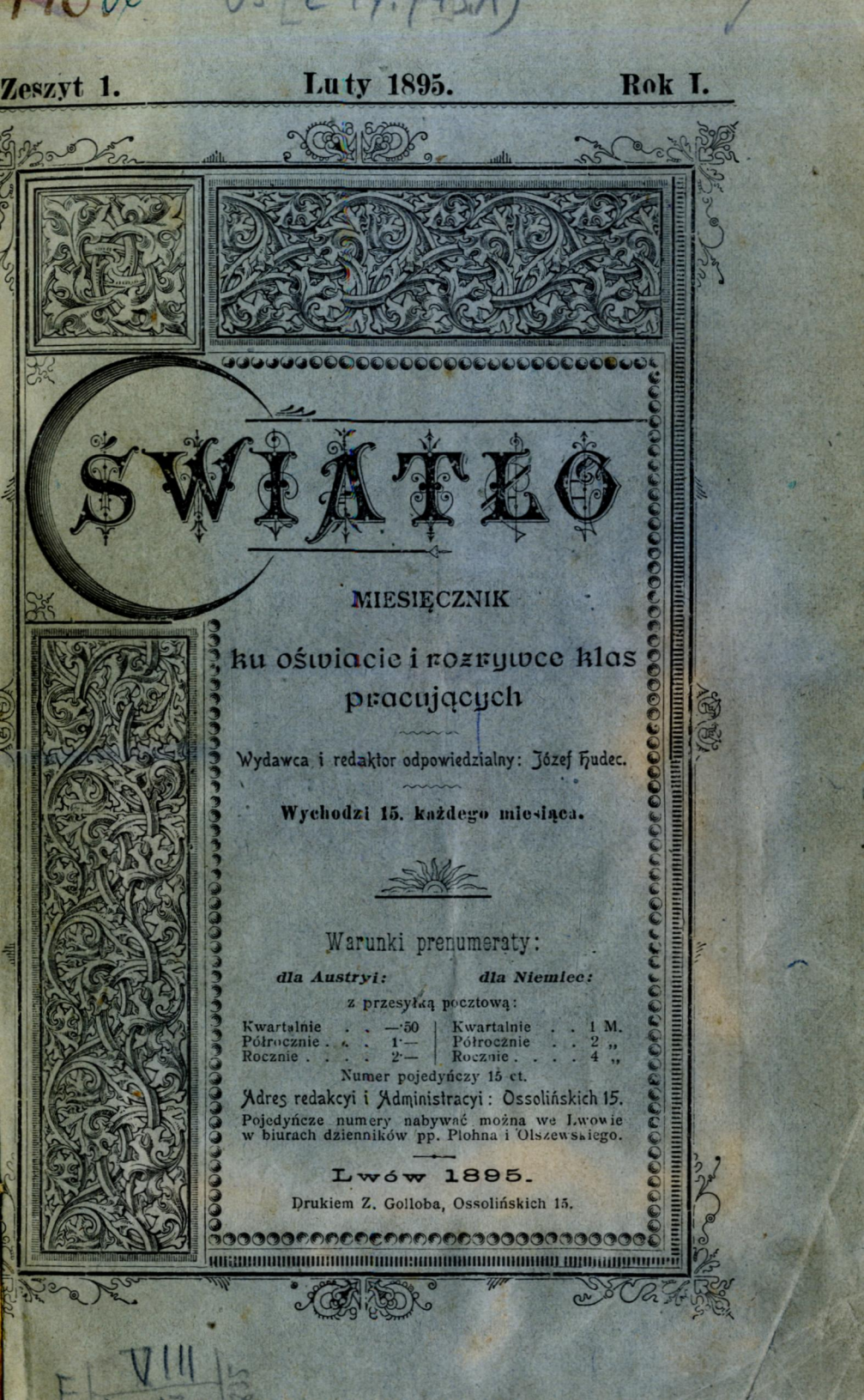


Suriatto

1-10

1895

V8



ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.



Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	— 50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie	2—	Rocznie	4 „

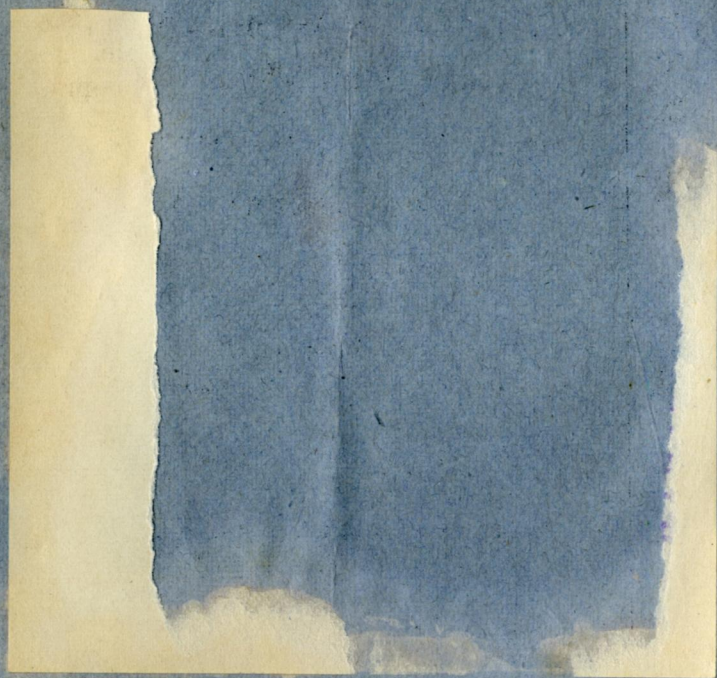
Numer pojedynczy 15 ct.

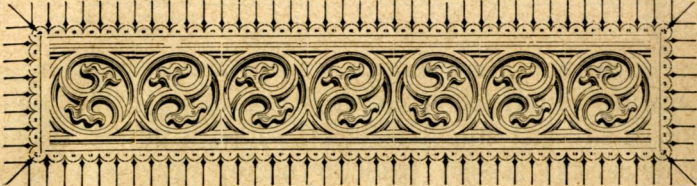
Adres redakcyi i Administracyi: Ossolińskich 15.

Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Plohma i Olszewskaiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golloba, Ossolińskich 15.



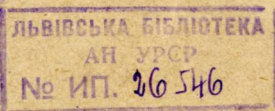


Od wydawnictwa.



Przystępując do wydawnictwa miesięcznika *popularno-naukowego* pt. „**Światło**“ — czynimy zadość wielokrotnie wyrażanemu życzeniu stworzenia pisma, stojącego po za codzienną walką polityczną, a mającego na celu w pierwszej linii uświadomienie klasowe najszerzych mas ludowych i podniesienie ich poziomu umysłowego. Stoimy na gruncie partii socjalno-demokratycznej i w szeregach tej partii szukamy czytelników, wyrażając przekonanie, że komitety partyjne w usiłowaniach naszych nas poprą.

Jeżeli się zważy, że polska literatura socjalistyczna bardzo jest dotąd ubogą, a sprowadzanie i czytanie książek socjalistycznych w obcych językach, ze względu na wydatek i nieznaomość tych języków nader jest utrudnione i bardzo nielicznym tylko Towarzyszom przystępne; jeśli się zważy, że wychodzące w kraju pisma partyjne, z natury rzeczy zajmować się muszą sprawami bieżącymi i walką polityczną, mało mogąc poświęcić miejsca artykułom naukowym; jeśli wreszcie zważy się, że i same komitety partyjne, zajęte agitacją, zwoływaniem zgromadzeń i w ogóle prowadzeniem polityki partyjnej, również nie wiele mogą czynić w kierunku zaznajamiania Towarzyszy partyjnych z zasadami naukowego socjalizmu — dojdziemy do przekonania, że nietylko czynimy zadość wyrażanemu życzeniu, ale wydawnictwem swoim wypełniamy lukę, która wobec ciągłego wzrostu



szeregów socjalistycznych, wypełnioną być musi. Z chwilą, kiedy ruch socjalistyczny staje się masowym, kiedy już nie dziesiątki, setki, a nawet tysiące, ale dziesiątki tysięcy proletaryuszów przyłącza się do socjalizmu w kraju naszym, z chwilą tą konieczną jest rzeczą ruch ten pogłębić i najszerszym kołom dać możliwość zaznajomienia się nie tylko z hasłami socjalizmu, ale także z jego naukową podstawą. A jeśli przyjmiemy, że rozrost partii naszej zależnym jest od stopnia świadomości jej zasad i celów, to okaże się nam gwałtowna potrzeba wytworzenia zupełnie świadomych sprawy agitatorów, szczególnie na prowincyi — a to osiągnąć można wyłącznie prawie za pomocą takiego, jak nasze, pisma.

Nie przesadzając, jakim skutkiem uwieńczone będą nasze usiłowania i o ile zdołamy czynić zadość naszemu zadaniu, zamieszczać będziemy popularnie opracowane artykuły z dziedziny nauk społecznych i przyrodniczych, a także utwory literatury nadobnej — powieści, nowele i poezye socjalistyczne — aby połączyć przyjemne z pożytecznem.

Do współpracy zaprosiliśmy wszystkich wybitniejszych polskich pisarzy socjalistycznych w kraju i zagranicą — i zewsząd otrzymaliśmy słowa zachęty i przyrzeczenie pomocy.

Prócz prac oryginalnych zamieszczać też będziemy tłumaczenia wybitniejszych pisarzy zagranicznych i zaznajamiać czytelników naszych z nowymi prądami w dziedzinie nauki i literatury wszechświatowej.

Z pełną tedy otuchą wypuszczamy pierwszy ten numer w świat, przepełnieni chęcią niesienia pracy swojej dla dobra naszej wielkiej sprawy — a najwyższą nagrodą dla nas będzie przeświadczenie, że praca i usiłowania nasze nie idą na marne.

Komitet redakcyjny.



O upadku drobnego przemysłu.

Jeżeli przyjrzymy się dzisiejszemu życiu społecznemu, nie będzie mógł ująć naszej uwadze fakt, który z każdym prawie dniem się powtarza, który należy już do zjawisk codziennych, do cech charakterystycznych dla kapitalistycznej produkcyi, a który mimo to, nie traci nic ze swej grozy, nie przestaje być strasznym dla osób bezpośrednio nim dotkniętych, albo nieznanających jego przyczyn i skutków.

Mamy tu na myśli upadek przemysłu drobnego, upadek wprawdzie nie nagły i niezupełny, ale zastąpiony przez jeszcze boleśniesz, długotrwałe konanie.

Codziennie możemy widzieć te wynędzniałe twarze przedstawicieli drobnego przemysłu, drobnych majstrów, borykających się napróżno z koniecznością, której nie rozumieją i nie starają się zrozumieć, szukających pomocy u wszystkich i wierzących każdemu, kto im tę pomoc w dobrej lub złej wierze przyrzeka. Widzimy ich, jak się starają jeszcze utrzymać na wierzchu przez nieludzki wyzysk czeladników i uczniów, jak jeszcze przez jakiś czas usiłują płynąć przeciw prądowi, który ich zalewa i unosi, aż nareszcie bezsilni, zmordowani, spadają do rzędu proletaryatu, aby tutaj, albo ramię do ramienia stanąć z całym proletaryatem w szeregach do walki z ustrojem kapitalistycznym, albo też, aby spaść jeszcze niżej i zejść do tej czerni bez nazwy i sposobu zarobkowania, bez dążeń i ideałów, która jest najstraszniejszym następstwem dzisiejszego ustroju społecznego. Taki obraz przedstawia się nam codziennie; aby go jednak zrozumieć musimy poznać jego przyczyny i skutki.

Upadek drobnego przemysłu jest koniecznem i bezpośredni następstwem kapitalistycznej formy produkcyi. Świetne czasy dla rzemiosła istniały w wiekach średnich, gdy jeszcze dzisiejszej anarchii w produkcyi nie było, gdy rzemiosło było ściśle zorganizowane i miało zapewniony zbyt

dla swych towarów jakoteż dość wysoką za nie zapłatę. Ilość samodzielnych majstrów była ograniczoną i zastosowaną do potrzeb danej miejscowości, wyrabiano tylko na zamówienie, nie szukano obcych rynków, gdyż znajdowano dostateczny zbyt u siebie. Majster wraz z czeladnikami wyrabiał cały wytwór, podział pracy był prawie nieznanym. To idealne — w porównaniu z dzisiejszem — położenie drobnego przemysłu musiało się zmienić z chwilą, gdy wskutek wzrastającego zapotrzebowania, poczęły powstawać rękodzielnie (manufaktury), które wytwarzały towary w wielkiej ilości i w których zasada podziału pracy znajdowała jak najszerze zastosowanie. W rękodzielnich tych nie wytwarzał jeden i ten sam robotnik całego towaru, on załatwiał tylko jakąś małą czynność w tym procesie produkcji, a powtarzając ją ciągle, dochodził do takiej wprawy, że kosztowała go ona daleko mniej pracy i czasu, niż rzemieślnika, który pracował nad całym wytworem. Tak np. w rękodzielnich angielskich w połowie zeszłego stulecia przy fabrykacji szpilek używano 72—92 robotników, z których każdy stale jakąś czynność wykonywał, jeden wyciągał drut, drugi odcinał go, trzeci zaostrzał itd. tak, że każda szpilka zanim była gotową przechodziła przez ręce 72—92 robotników. Był to pierwszy krok do masowej produkcji towarów. Towary wytwarzane w takich rękodzielnich były daleko tańsze, niż wyprodukowane w warstacie drobnego majstra, gdyż długość czasu pracy, potrzebnego do ich wytworzenia była daleko mniejsza, aniżeli u tego ostatniego. Nic więc dziwnego, że te dawne szczęśliwe czasy minęły już dla drobnego przemysłu i to minęły bezpowrotnie. Właściciele rękodzieln wypierali go na każdym kroku, sprzedając taniej towary, które ich samych mniej kosztowały i zadowalniając się przy masowym zbycie mniejszym zyskiem na poszczególnych towarach.

Stosunki te pogorszyły się jeszcze dla drobnego przemysłu z chwilą, gdy w miejsce rękodzieln, których jedyna wyższość nad warstatem drobnego rzemieślnika polegała na rozległym zastowaniu podziału pracy, wstąpiły fabryki, wprowadzające coraz nowsze zdobycze techniki w postaci coraz bardziej złożonych, coraz nowszych i coraz bardziej udoskonalanych maszyn. Przy podziale pracy w manufakturach rozkładano czynności złożone na łatwiejsze i prostsze, które wykonywali poszczególni robotnicy. To umożliwiło powstanie maszyn. Maszyna nie jest niczem innem jak taką manufakturą, ale prowadzoną w sposób mechaniczny nie za po-

mocą rąk ludzkich, tylko sztucznego mechanizmu, złożonego z poszczególnych części, które zgodnie ze sobą załatwiają proste czynności, na jakie został cały proces produkcji rozłożony, a załatwiają je z daleko większą dokładnością i ścisłością, aniżeli w manufakturach lub przemyśle drobnym. Przez zastosowanie takich maszyn robotnik został teraz z samodzielnego producenta tylko dozorcą maszyny, która, pędzona siłą pary lub — w najnowszych czasach — elektryczności, produkuje daleko szybciej i daleko taniej i wreszcie daleko lepiej, aniżeli żywi robotnicy. Już z tego powodu ma właściciel fabryki zapewnione zwycięstwo w walce konkurencyjnej z rzemiosłem lub coraz bardziej znikającymi rękodzielniami.

Ale oprócz tego są jeszcze inne okoliczności, które czynią jego zwycięstwo tem większem, a ich klęskę tem straszniejszą. Przedewszystkiem wielki przemysłowiec przez swoich agentów łatwiej może się dowiedzieć, jakie są potrzeby rynku, łatwiej może się do chwilowych żądań np. mody przystosować, łatwiej może nagłe zapotrzebowanie jakiegoś towaru wyzyskać. O tem wszystkim drobny majster nie ma pojęcia. On obraca się jeszcze w tem błędnem kole średniowiecznych wyobrażeń o produkcji i tylko coraz wzmagające się trudności walki przekonują go, że stosunki się zmieniły, że zaszło coś, czego on nie rozumie, ale co bardzo dotkliwie odbija się na całej jego stopie życiowej.

Wielki przemysłowiec, operując znacznym kapitałem, zakupuje materiał surowy w znacznych ilościach, a temsamem daleko taniej niż drobny majster, on może sobie łatwiej zapewnić zbyt swoich towarów, już to zakładając własny magazyn, już też zawierając układy z wielkimi zakładami handlowymi, które przecież z tysiącem drobnych producentów układać się nie będą. Następnie on może łatwiej i taniej otrzymać kredyt niż rzemieślnik, który dostaje go tylko z trudnością za lichwiarskim procentem. Wreszcie może on przy masowej sprzedaży zadowolnić się mniejszym zyskiem na poszczególnych towarach, aniżeli drobny przemysłowiec.

Te wszystkie okoliczności z nieubłaganą koniecznością doprowadzają do tego, że wielka produkcja coraz bardziej zdobywa panowanie, podczas gdy drobny przemysł z każdym dniem traci rację bytu i zewsząd wypierany, szuka ostatecznego schronienia w tych nielicznych gałęziach produkcji, które już z natury swej nie mogą się zajmować masowem wytwarzaniem towarów jak np. w przemyśle arty-

stycznym. Te jednak gałęzie produkcji są tak nieliczne, a w gospodarstwie społecznem odgrywają rolę tak nieznaną, że wcale nie przeczą temu, iż przemysł drobny należy do przestarzałych form produkcji, które wobec nowych potrzeb ostać się nie mogą.

Proces ten wywłaszczania i wypierania drobnego przemysłu przez wielki jest, jakśmy wykazali, w produkcji kapitalistycznej koniecznością, której nikt nie usunie, jak długo wymieniona forma produkcji trwać będzie. Nie wynika z tego, ażebyśmy nie mieli z tego powodu zastanowić się nad tem, jakie następstwa ten rozwój przynosi dla klasy robotniczej i dla samego gospodarstwa społecznego.

Dla proletaryatu, jako klasy zorganizowanej i walczącej z klasami posiadającymi, ten rozwój stosunków społecznych jest niewątpliwie bardzo korzystnym. Drobni majstrowie, którzy wszędzie stanowią główną siłę reakcyjnych partyi, którzy gotowi są bronić z całą energią i z całą zaciętością interesów klasy posiadającej, niesłusznie uważając je za własne, ci majstrowie przeszedłszy do proletaryatu bardzo często pozbywają się swojej dotychczasowej bezmyślności, przystosowują się do nowego otoczenia i stają w szereгах zwalczanej przez się dotąd armii robotniczej. Ale nawet jeżeli to nie następuje, to w każdym razie taka proletaryzacja drobnych przemysłowców uszczupla szeregi obrońców dzisiejszego porządku i doprowadza do tego, że coraz bardziej widocznym staje się rozłam istniejącego społeczeństwa na nieliczną garstkę posiadających i wyzyskujących i na ogromną masę pozbawionych własności i wyzyskiwanych. W miarę postępującego upadku drobnego przemysłu, przepaść dzieląca obie te klasy staje się coraz głębszą, przeciwieństwa klasowe zaostrzają się coraz bardziej.

Ale nie tylko dla proletaryatu jako klasy rozwój ten ma znaczenie dodatnie, panowanie wielkiego przemysłu ma także pewne dobre strony dla poszczególnych robotników. Przedewszystkiem wielkie przedsiębiorstwo posiada tę wyższość nad małym, że warunki pracy w pierwszym są daleko lepsze. Zabudowania fabryczne, przeznaczone wyłącznie dla produkcji, a nie dla innych celów np. mieszkalnych, są daleko zdrowsze i czystsze niż ciasne, duszne i ciemne nory, w których się mieszczą warsztaty służące równocześnie za mieszkanie dla majstra i jego rodziny. Następnie ustawodawstwo fabryczne w wielu krajach (np. Austrii) nie obejmuje wcale drobnego przemysłu, wolność zatem wyzysku sił robotnika jest tutaj najzupełniej niekrępowaną. Ale nawet

tam, gdzie ustawodawstwo ochronne rozciąga się także na przemysł drobny, wszelka kontrola, czy przedsiębiorca zastosowuje się do przepisów ustawy jest niemożliwą. Wreszcie także co do wysokości płacy i długości dnia roboczego wielkie przedsiębiorstwo przedstawia dla robotników daleko korzystniejsze warunki w porównaniu z małym a to z tego powodu, że przy pierwszym organizacja robotników w związku zawodowe jest łatwiejszą wskutek ciągłego obcowania ze sobą większej liczby robotników, podczas gdy organizacja zawodowa robotników, zajętych w przemyśle drobnym napotyka na wielkie trudności.

Ze stanowiska gospodarstwa społecznego wyparcie drobnego przemysłu przez wielki jest również zjawiskiem dodatniem, jestto bowiem zwycięstwo form produkcji, odpowiadających istniejącym warunkom nad przestarzałemi, które się do zmienionych warunków przystosować nie mogły.

Jestto rzeczą naturalną, że majstrowie widząc grożącą im zupełną ruinę, nie stoją z założonemi rękami, nie oczekują tej konieczności dziejowej z spokojną rezygnacją, ale starają się bronić wszelkimi sposobami przeciw tym potęgom, które ich bytowi zagrażają. Nie mniej naturalną jest rzeczą, że szukając środków ocalenia a nie znając przyczyny swej zguby, szukają ich w przeszłości, w wiekach średnich, tych złotych czasach drobnego przemysłu. To też przedewszystkiem domagają się organizacyi produkcji na wzór tej, jaka istniała w wiekach średnich, a mianowicie cechów, ograniczenia ilości samodzielnych majstrów i dowodu uzdolnienia. Nie widzą przytem, że stosunki od tego czasu radykalnie się zmieniły, że wobec rozwoju produkcji i środków komunikacyjnych nie można już wrócić do tych prostych, naiwnych sposobów produkcji, które istniały w wiekach średnich. To też wszelkie ich usiłowania pozostają bezskuteczne. Gdyby nawet zdołali przeprowadzić swoje żądania, nie wywarłoby to najmniejszego skutku na bieg wypadków, gdyż rozwój faktycznych stosunków jest silniejszym od sztucznych instytucyj, narzuconych bez znajomości czasu i jego potrzeb.

Tymczasem usiłują drobni majstrowie konkurować z wielkim przemysłem przez straszny wyzysk robotników, przydłużając ogromnie czas pracy, przyczem posługują się przeważnie siłami młodem, uczniami, których przyjmują w większej liczbie, nie zatrudniając daleko droższych dorosłych robotników.

Obok drobnych majstrów biorą udział w tej walce o utrzymanie drobnego przemysłu także inni członkowie klasy posiadającej, którym na utrzymaniu dzisiejszego ustroju społecznego bardzo wiele zależy. Wiedzą oni dobrze, że drobny przemysłowiec jest podobnie jak włościanin obecnie najlepszą podporą dzisiejszego społeczeństwa i oddają się tym mrzonkom, że tak zawsze będzie, że o „antykolektywistyczną czaszkę chłopa“ i drobnego rzemieślnika, socjalizm rozbije się w puch. Z tego też powodu usiłują oni klasy te, coraz bardziej zanikające, sztucznie utrzymać przy życiu, a w tym celu nie domagają się już dla rzemiosła cechów i tym podobnych środeczków, gdyż są przekonani o ich zupełnej bezsilności, ale chcą postawić drobny przemysł na nogi przez udzielenie mu małych motorów gazowych lub elektrycznych. Rozumują oni w ten sposób: Ostatecznej ruiny drobnego przemysłu dokonała maszyna. Jeżeli teraz doprowadzimy do tego, że i drobny majster będzie mógł mieć własną maszynę, to przewaga wielkiego przemysłu będzie tem samem zniszczona. Naturalnie, że rozumowanie takie tylko na pierwszy rzut oka może się wydać słusznem, a przy bliższem przypatrzeniu się dochodzimy do przekonania, że i to rzemiosła nie uratuje. P zedewszystkiem, aby być w stanie nabyć maszynę, trzeba mieć kapitały, a tylko zanikająco mała część — jeżeli w ogóle istnieją tacy — drobnych przemysłowców może o sobie powiedzieć, że pieniędzy potrzebne na maszynę posiada. Przeważna zatem część musiałaby kupować na raty, a wszyscy wiemy, jak trudnem jest regularne spłacanie rat chociażby małych. Następnie wszelki postęp techniczny jest u nich niemożliwy. Wielki przedsiębiorca może zmieniać maszyny, zastępywać je lepszymi i t. d., gdyż ma na to potrzebne kapitały; rzemieślnik nie może o tem nawet marzyć. Zresztą wszystkie te okoliczności, które przytoczyliśmy jako uzasadniające przewagę wielkiego przemysłu nad drobnym, pozostają niezmiennione. Tak, że i ten ostatni środek, o którym z taką pewnością głoszone, że wreszcie wybawi drobny przemysł z pazurów kapitalizmu, okazuje się zupełnie bezsilnym.

Jednakowoż małe motory, chociaż nie wskrzeszą dawnych świetnych czasów dla drobnego przemysłu, mogą przynieść inne następstwa, dla klasy robotniczej daleko groźniejsze. Mogą one wprawdzie zachować wielką produkcję, ale zdecentralizować ją w ten sposób, że zamiast jednej fabryki powstanie kilkaset małych warsztatów, w których robotnik wraz z całą rodziną na rzecz wielkiego kapitalisty

będzie produkował wytwory z materiału, którego tenże mu dostarczy, maszyną, będącą również własnością kapitalisty i za cenę nader niską, również przez niego oznaczaną. Takie zastąpienie zcentralizowanej fabryki przez przemysł domowy grozi ogromnem niebezpieczeństwem dla klasy robotniczej. Wszystkie zdobycze tyloletnich walk, całe t. zw. prawodawstwo ochronne, cała organizacja zawodowa, wszystko to może być zagrożonem. Klasie robotniczej pozostać tylko jedna broń, tem skuteczniejsza jednak i lepsza: polityczna walka klasowa. Proletaryat będzie musiał z jeszcze większą niż dotąd energią skupić się cały, bez różnicy zawodów, pod jednym wspólnym sztandarem, będzie musiał z całą świadomością swego położenia zorganizować się w jedną partję polityczną, która połączy wszystkich wydziedziczonych i wyzyskiwanych do wspólnej walki z klasą posiadającą i wyzyskującą. Pod tym sztandarem znajdują się niewątpliwie także przedstawiciele drobnego przemysłu, którzy będą musieli przyjść do przekonania, że nie w przeszłości, ale w przyszłości szukać należy ratunku, że tylko solidarne postępowanie z całym proletaryatem, uchroni ich przed zupełnym upadkiem. Pod znakiem tej solidarności całego proletaryatu w walce z dzisiejszym ustrojem, zwycięży cywilizacja nad nowoczesnem barbarzyństwem, zwyciężą uciskani nad gnębicielemi, zwycięży także postęp w produkcyi nad przestarzałemi jej formami, do których teraz i wielki przemysł na kapitalistycznej podstawie należeć będzie...

—*jl.*

Materyalistyczne pojmowanie dziejów.

Bardzo często możemy słyszeć twierdzenie, że partja socjalno-demokratyczna jest partją, której zasady i dążenia oparte są na naukowej podstawie. Co to ma znaczyć? Otóż przez to twierdzenie chce się zaznaczyć, że partja nasza nie stawia sobie, jak inne partje polityczne, jakichś celów wymarzonych, do których dąży dlatego, że się jej podobają i które się spodziewa osiągnąć właśnie dlatego, bo do nich dąży, lecz że dążenia jej i zasady są wpływem głębszego

pojmowania rozwoju społecznego i praw, które nim rządzą. Teoretyczna podstawa jej zasad, oparta jest na pojmowaniu rozwoju społecznego jako wpływu rozwoju sił ekonomicznych, czyli na t. zw. materialistycznym pojmowaniu dziejów i następnie na studyowaniu dzisiejszego ustroju ekonomicznego i dążeń, jakie on wykazuje, czyli na krytyce ustroju kapitalistycznego i jego skutków. Pomówimy najpierw o pierwszym.

Czem więc jest to materialistyczne pojmowanie dziejów? Ażeby na to odpowiedzieć, należy zastanowić się nad tem, w jaki sposób pojmowano rozwój dziejowy przedtem i w jaki sposób pojmują go dotąd ci, którzy nie są zwolennikami materializmu historycznego. Najdawniejszem i najbardziej rozpowszechnionem było mniemanie, że jakaś istota nadziemska o nadludzkiej potędze i nadludzkim rozumie rządzi i kieruje światem w celach sobie tylko wiadomych, że zatem od niej także rozwój społeczeństw ludzkich w zupełności jest zawisłym. Inni pojmowali rozwój społeczny jako wynik działania wielkich mężów, bohaterów, królów i prawodawców, którzy stosownie do swej woli kształtowali społeczeństwo, usuwali dotychczasowe urządzenia, jeżeli się im nie podobały, ustanawiali nowe i nadawali społecznemu rozwojowi taki kierunek, jaki się im żywnie podobał. Pojmowanie to nie było wprawdzie tak naiwnem jak pierwsze, było ono jednak niemniej od tamtego niesłusznem. Inni wreszcie uważali idee i zasady czy to religijne, czy społeczne i polityczne za moment decydujący w rozwoju dziejowym. Tak np. pojmowali oni rewolucję francuską nie jako wynik istniejących wówczas stosunków społeczno-ekonomicznych, ale jako skutek tego, że idee wolności, równości i braterstwa, były szerzone nader energicznie wśród ludu i znajdowały w nim żywy oddźwięk. I to pojmowanie nie może się ostać wobec krytyki, zwłaszcza przy zestawieniu go z pojedynczymi faktami historycznymi.

Materialistyczne pojmowanie dziejów wychodzi z zupełnie innego założenia. Przyjmuje ono, że główną rolę w historii odgrywają materialne środki do życia, że ich wytwarzanie jest główną sprężyną, czynnikiem decydującym, zarówno w życiu pojedynczego człowieka, jak i w życiu całych narodów.

Te środki do życia konieczne zależą od produkcji, od czynności ludzkiej, mającej na celu wytwarzanie dóbr materialnych, koniecznych do zaspokojenia ludzkich po-

trzeb. Produkcya ta jest w rozmaitych czasach rozmaita, tak co się tyczy sposobu w jaki się odbywa jak i ze względu na wynik jej, na ilość i jakość tych dóbr materialnych, które wytwarza.

Rozmaitość produkcji przedstawia się jako postępowy rozwój. Produkcya postępuje statecznie w ten sposób, że ludzie poznawają coraz lepiej przyrodę i jej siły, i uczą się sił tych używać dla siebie, na swoją korzyść. Uczą się mianowicie sił tych i naturalnych produktów używać na zaspakajanie swych potrzeb, zaprzęgając pierwsze do pracy dla siebie, drugie przetwarzając odpowiednio do swych wymogów. Nadto ułatwiają sobie tę pracę przez wynajdywanie coraz nowych środków w produkcji (narzędzi) i coraz nowych sposobów produkcji. Początkowo ubodzy jak mysz kościelna, nie znający sił przyrody, bezsilni wobec nich i opanowani tylko nadzwyczajną czią i obawą dla nich, a zatem także zmuszeni poprzestać na tem, co znaleźli już do użytku gotowem (np. owoce), z czasem powiększają coraz bardziej zapas swoich środków do życia a równolegle z tem i zakres swych potrzeb.

Ponieważ środki materialne są dla człowieka najważniejsze i najpotrzebniejsze, ponieważ są podstawą wszelkich dalszych jego prac i walk, przeto wynika z tego, że cała cywilizacya zawisła jest od wytwarzania tych dóbr materialnych, że zatem rozmaite zmiany historyczne wynikają ze zmian w sposobie produkcji. Stateczny rozwój, jaki (ogólnie wzięwszy) widzimy wśród ludzkości, możemy zatem pojmować jako wynik rozwoju produkcji, a wszystkie objawy, które danej epoce historycznej towarzyszą, jako uwarunkowane istniejącymi stosunkami ekonomicznymi. Wynika z tego wreszcie, że także walki wśród ludzkości, walki, które ciągną się od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej, są przedewszystkiem walkami o dobra materialne lub materialne interesy.

W świetle materialistycznego pojmowania dziejów, pojmujemy także należycie ustrój społeczny, w niem znajdujemy racjonalne wskazówki do zrozumienia istniejących stosunków społecznych. Zapatrując się na życie społeczne jako na coś, co jest zupełnie zawisłem od stosunków ekonomicznych, a w szczególności od sposobu wytwarzania dóbr materialnych, nie widzimy już w dzisiejszem społeczeństwie zbioru jednostek o równych celach, które połączyły się celem łatwiejszego korzystania z sił przyrody i zapewnienia sobie wszystkich tych korzyści, jakie z współ-

nego pożycia płyną, ale widzimy w niem rozmaite klasy, o rozmaitych ekonomicznych interesach i rozmaitem społecznem stanowisku. Społeczeństwo dzisiejsze, a także i te, które przedtem istniały, wyjąwszy czasy najpierwotniejsze, były społeczeństwami klasowemi.

Między klasami, lub nawet grupami klas, wrzała dawniej i wre obecnie zacięta walka o dobra materyalne i o władzę polityczną, której posiadanie jest ważnym warunkiem korzystnego ekonomicznego stanowiska. „Historja wszystkich dotychczasowych społeczeństw — mówi Marx — jest historją walk klasowych“.

(Dok. n.)



Robert Owen.

(Szkic historyczny).

Gdy się dziś po świecie rozglądniemy, wpada nam w oczy przede wszystkim, iż społeczeństwo ludzkie rozdzielone jest na dwie klasy, z których jedna coraz bardziej rośnie, druga coraz to maleje. Pierwsza złożoną jest z ludzi pracy, z ludzi, którzy stwarzają wszelkie bogactwa, stawiają pałace, tkają materye, a sami nie mają ani dostatecznej strawy, ani zdrowego mieszkania, ani ciepłej odzieży — drugą składają ludzie, którzy albo bardzo mało, albo nic zgoła nie pracują, a zagarniają dla siebie zysk z pracy robotników, zapewniający im wygodę, dostatki i potęgę.

Te stosunki, rozwijając się coraz to więcej, stwarzały zawsze rozgoryczenie u dołu, rozbudzały w szerokiej warstwie pracującego ludu cały szereg sprawiedliwych żądań, rozbudzały w niej chęć zastąpienia dzisiejszego ustroju innym, w którym wszyscy ludzie wspólnieby pracowali i mieli równe prawo do owoców swojej pracy — słowem stworzyły ideę socjalizmu.

Idea ta dojrzeć mogła dopiero wtedy, gdy dojrzał ustrój kapitalistyczny, który ją wywołał, ale w czasach gdy był jeszcze słabym i nierozwiniętym — musiała i ona zostać słabą i nierozwiniętą. Tak więc socjalizm stojący dzisiaj w sile męskiego wieku, ma po za sobą długą historję, ma swój wiek młodzieńczy, który cechują szlachetne porywy

i wielka nieświadomość, gorąca wiara w przyszłość i zupełny brak doświadczenia przeszłości.

Młodzieniec, który spostrzegł, że stosunki, jakie go otaczają są złe, pragnie zastąpić je zaraz, natychmiast stosunkami doskonałymi — marzy. W marzeniu swoim tworzy obraz doskonały i wierzy, że wystarczy wytłómaczyć go jasno i dobitnie całemu otoczeniu, aby się ono nim przejęło i wprowadziło go. Tak samo socjalizm w swoim okresie młodzieńczym — marzył, kreślił szerokie obrazy doskonałego ustroju i wierzył, że należy tylko pozyskać dla niego królów, książąt i bogaczy, a oni zabiorą się chętnie do jego zaprowadzenia.

Dlatego, że socjalizm z przed wieku chciał zaprowadzić nowy ustrój podług doskonałego marzenia, a nie opierał się na nauce i doświadczeniu, nazywamy go utopijnym, bo utopia znaczy: marzenie, mrzonka.

Młodzieńczy okres w życiu człowieka trwa lat kilka, młodzieńczy okres w rozwoju idei — lat kilkadziesiąt.

Chcielibyśmy zapoznać Czytelników z bojownikami młodzieńczego socjalizmu, których prace, walki, zawody i doświadczenie przyczyniły się nie mało do wzrostu i rozwoju ruchu socjalistycznego.

Zacniemy od Roberta Owena, który był jednym z ostatnich utopistów i którego najstarsi socjaliści dzisiejsi znali jeszcze osobiście.

Urodził się on w małym miasteczku angielskiem w r. 1771. Od dziecka pojąć tego nie mógł, dlaczego ludzie są źli, dlaczego się wzajemnie krzywdzą — a młodzieńcem będąc przyszedł do przekonania, że powodem tego jest złe wychowanie, złe warunki, w jakich ludzie wzrastają i brak oświaty. Wychowanie i warunki tworzą sumienie i charakter człowieka, nędza wytwarza złodziei i pijaków, brak oświaty rodzi zabobony i dewocyę. „Zmieńcie warunki, a zmieniają się ludzie“.

Przyszedłszy do tego przekonania, marzył Owen o zmianie warunków, kreślił cudowne obrazy przyszłego ustroju społeczeństwa, w którym nie byłoby miejsca dla zbrodni i grzechu. Marzył o możliwości pokazania wzoru doskonałego ustroju całemu światu, o przekonaniu go, że inne warunki stworzyć można, że je stworzyć należy!

Zanim opowiemy, w jaki sposób danem mu było urzeczywistnić to swoje marzenie, niech nam wolno będzie udać się za Owenem, wówczas 19-letnim pomocnikiem handlowym do Manczesteru.

Manchester był ogniskiem przemysłowego ruchu Anglii i ogniskiem fabrykacji wyrobów bawełnianych i wełnianych. Tam życie pulsowało szybkim tętnem, fabryki huczały dniem i nocą, tam zaprowadzano najpierw coraz nowe ulepszenia, coraz doskonalsze maszyny, które coraz to lepiej, coraz samodzielniej przędły i tkwały, coraz więcej wytwarzały bogactw i coraz większe zastępy ludzi wyrzucały na bruk uliczny, na pastwę nędzy. Tam poznał Owen produkcję kapitalistyczną w pełnym rozwoju, zadał sobie palące pytanie: Czy wzbogacenie się setek ludzi musi pociągać za sobą nędzę tysięcy?

Dla odpowiedzenia sobie na to, oddał się badaniu nowoczesnej produkcji, poznał przemysł wełniany do najsłabszych jego tajników, od 16 do 29 roku życia był kolejno współwłaścicielem fabryki maszyn, właścicielem małej przędzalni, zarządcą największej w Manchesterze fabryki wyrobów wełnianych i właścicielem podobnego przedsiębiorstwa. W kole współkolegów-fabrykantów uważany był za dziwaka. Pewnie — cóż to za fabrykant, który dobrze płaci robotnikom i dobrze się z nimi obchodzi? Cóż to za fabrykant, który żyje cicho i skromnie i tylko uczy się a uczy, i z ludźmi uczonymi przestaje?

Mając 29 lat, mógł Owen dopiero urzeczywistnić swoje dawne marzenie, przekonać świat o tem, że lepsze warunki do życia stworzyć można i że polepszenie warunków pociąga za sobą podniesienie i umoralnienie ludzi.

W roku 1800 został współwłaścicielem i jeneralnym zarządcą fabryki wyrobów bawełnianych w New Lanark, w Szkocyi (kraj położony na północ od Anglii a należący do niej). Fabryka ta znajdowała się w okolicy dzikiej i nieprzystępnej, w której ogromnie trudno było dostać robotników. Dla przynęcenia ich, zbudowali poprzednicy Owena wieś i wynajmowali w niej bardzo tanie mieszkania. Okoliczna rolnicza ludność tak jednak nienawidziła jednostajnej fabrycznej pracy, że nawet w ten sposób ściągnąć jej nie było można. Do wsi New Lanarku przybywali więc tylko wyrzutki społeczeństwa, zawodowi pijacy i złodzieje ze wszystkich części kraju, a zarząd fabryki z konieczności przyjmował ich do roboty.

Ludzie ci, obcy sobie, nienawidzili się wzajemnie, okradali i siebie i właścicieli fabryki, tak, że w czasie kiedy Robert Owen objął jej zarząd, była kolonia New Lanark gniazdem kradzieży, opilstwa i moralnego upadku.

Na tym gruncie, wśród takich okoliczności chciał Owen wziąć się do pracy, chciał przekonać świat o prawdziwości zasady: zmieńcie warunki, a zmieniają się ludzie.

Przedewszystkiem zbadać usiłował, jakimi były warunki, które mieszkańców New Lanark pchały do upadku i zbrodni i odkrył, że: po 1-sze żaden z robotników nie miał przyjemnego ani zdrowego mieszkania; po 2-gie żaden nie odżywiał się dostatecznie, gdyż środków żywności nie można było w miejscu dostać, ale trzeba było iść po nie do sąsiedniego miasteczka, gdzie je ogromnie przepłacano; po 3-cie, że poziom umysłowy robotników był bardzo niskim.

Te trzy braki postanowił Owen usunąć, co bynajmniej łatwem nie było, gdyż musiał przełamać upór współwłaścicieli, którym tylko o zysk chodziło, upór urzędników, którzy nie chcieli być narzędziem w ręku „dziwaka“ i upór nieufnej ludności, z którą się nawet porozumieć nie umiał, gdyż Szkoci mówią odmiennem narzeczem. Nieugiętością i siłą woli zwalczył jednak wszystkie te przeciwności. Przedewszystkiem postanowił przebudować osadę. Po jakimś czasie zmieniła się ona nie do poznania: w środku jej stanęły dwa wielkie, trzypiętrowe budynki, w których były: w jednym szkoła, biblioteka i czytelnia, w drugim: pralnia, skład środków żywności i towarów, jakie ludność zapotrzebować mogła. Naokoło rozciągały się obszerne ogrody, podzielone na drobne części — własności robotników, a po za ogrodami widniały jasne i przestronne domy mieszkalne. Po żywność nie trzeba było iść do miasteczka, w „składzie“ sprzedawano i lepszą i tańszą, gdyż zarząd fabryki skupował ją hurtownie i po cenie kosztu robotnikom odstępywał.

Szkoła w New Lanark była wzorem, według którego reformowano zakłady naukowe w Niemczech i Anglii. Owenowskie „ogródki dzieciinne“, w których bawiły się i chowały dzieci robotnicze od 2 do 5 lat, okazały się tak znakomitymi, że Londyn zaprowadził podobne dla dzieci mieszczańskich. Najlepsze siły nauczycielskie ściągnął Owen do New Lanark i nie szczędził im zapłaty. Głównym celem nauki, było kształcenie charakteru i rozwijanie samodzielności myśli. Przypominamy, że było to w pierwszych latach bieżącego wieku i że teraz, u jego schyłku, prawie żadna szkoła zadania tego nie wypełnia!

Dla dorosłych robotników zaprowadzono szkołę wieczorną, czytelnię, bibliotekę i urządzano koncerty, z których

korzystać mogli, gdyż Owen obniżył czas pracy z 16 na 10 i pół godziny, a z których korzystali, mimo że nie zamknięto żadnego z dawniejszych szynków. Robotnicy sami gdzieindziej, nie w szynkach rozrywki szukali — ze zmianą warunków, zmienili się ludzie.

Po kilku latach pracy Owena, przedstawiała osada New Lanark obraz jasny i przyjemny. Spotykało się tu ludzi zadowolonych i inteligentnych, dzieci wesołe i zdrowe. Owen odpowiedział sobie czynem na dawne pytanie: czy wzbogacenie się setek ludzi musi pociągać za sobą nędzę tysięcy. Właściciele New Lanarku mieli znaczne zyski, a ludność żyła w dostatku.

New Lanark, niby wyspa jaśniejąca dobrobytem i dostatkiem, zwrócić musiało na siebie uwagę całej Europy. W okresie między rokiem 1810 a 1815 odwiedzało je przeciętnie około 2000 ludzi rocznie. Owen, przejęty powodzeniem, pałał żądzą zaprowadzenia w ogóle „racyonalnego systemu społecznego“ na ziemi. W tym celu, zachęciwszy już przykładem, starał się poglądy swoje szerzyć pismem, wydał cały szereg dzieł pedagogicznej i społecznej treści. Wiedział on dobrze, że ustrój, który był zaprowadzony w New Lanark nie mógł być ostatnim wyrazem rozwoju póty, póki uznawał dwie klasy: właścicieli i robotników, to też Owen sam go uważał za przejściowy i w pismach swoich nakłaniał do zniesienia klas i zrównania ludzi. Chciał ideał ten urzeczywistnić jak najprędzej, nie szczędził więc ani kosztów, ani pracy, ani trudu. Zjednywał największych mocarzy, nawiązał stosunki z carem Aleksandrem, z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem — we Wiedniu odwiedził Metternicha, aby mu wytłómaczyć konieczność reformy społecznej.

Tymczasem produkcya kapitalistyczna rozwijała się z dniem każdym, a im ona jest lepiej rozwinięta, tem przedział między robotnikami a kapitalistą staje się większym, tem jaśniej uwidocznia się, iż wyzysk leży w interesie wyzyskujących, którzy się go dobrowolnie nie zrzekną, a jeżeli nawet zaprowadzą jaką reformę z łaski, z filantropii, to każdej chwili zatrzymać się mogą. Bardzo rozwinięta produkcya okazuje dopiero, że ulepszenie stosunków nie może być darowanym, że musi być wywalczonym, że wyjść musi z dołu — od ludu, a nie z góry od władzy.

Prawdy powyższej w owych czasach znać jeszcze nie było można. Nie znał jej więc Owen — i w tem właśnie leży jego nieświadomość; miarą swojej szlachetności mierzył

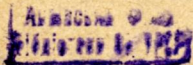
szlachetność drugih, a nie wiedział, że nie szlachetność, ale nieubłagane prawa ekonomiczne światem kierują — w tem jego naiwność.

„Warunki tworzą ludzi“, a warunki owych czasów musiały utworzyć Owena nieświadomym i naiwnym, mimo, że był bystrym krytykiem istniejącego ustroju, mimo że był gorącym rzecznikiem socjalizmu. Owen-utopista starał się zjednać władców i książąt, ale Owen-socjalista domagał się pierwszy u rządu zaprowadzenia 10cio-godzinnego dnia pracy, organizował pierwsze w Europie spółki zawodowe i robotnicze stowarzyszenia spożywcze. Owen-socjalista szerzył ideał równości społecznej i wszystkie siły, wszystkie dochody i całe życie poświęcił agitacyi w sprawie zmiany stosunków.

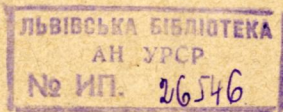
Widząc, że nie ma naśladowców, że władzcy nie spieszą się z zaprowadzeniem „racyonalnego systemu społecznego“, usiłował raz jeszcze ich przekonać i w r. 1824 zakupił dobra w Ameryce i założył tam wzorową kolonię New Harmony. Ta próba nie udała mu się jednak, kolonia z rozmaitych przyczyn upadła.

Wróciwszy do Anglii, zajmował się Owen ciągle agitacją. Mimo sędziwego wieku, był nieustrudzonym w pracy, objeżdżał wszystkie kongresy, na których mówiono o sprawach ludu, choćby je byli nawet magnaci dla rozrywki swojej zwoływali. Wzruszającą bowiem naiwnością nieskażonej, czystej, a szlachetnej duszy wierzył do końca, że od możnych potrafi coś dla dobra ludu utargować.

Ostatni wysiłek w tym kierunku uczynił w r. 1858. Obłudne »Towarzystwo ku szerzeniu wiedzy« zwołało w roku tym na listopad konferencyę do Liwerpolu (miasto w północnej Anglii). Owen, podówczas 87 letni starzec, nie mógł nie pospieszyć tam, gdzie poruszoną była sprawa szerzenia oświaty. Mimo steranych sił, mimo osłabienia i jesiennej pory wyjechał do Liwerpolu. Trudy podróży dobiły i tak już gasnące zdrowie starca, — przybył na miejsce ciężko chorym. W lektyce musiano zanieść go na zgromadzenie. Zaledwie jednak przemówić usiłował, już go siły opuściły i padł zemdlony. Po dwutygodniowej ciężkiej chorobie, postanowił wyjechać do swojego miasteczka rodzinnego. którego od 50 lat nie widział — chciał tam umrzeć. Przybywszy tam, powrócił nieco do sił, błąkał się czas jakiś po miasteczku, starał się odnaleźć dobrze znane zakątki, dowiadywał się o znajomych i przyjaciół. O każdym odpowiadano mu: umarł 20, 30 lub 40 lat temu...



2684 *



Pewnego ranka Robert Owen nie powstał już z łoża. Umarł 17 listopada 1858 roku. Umierając, w marzeniu widział zbawienie ludzi na ziemi, wybawienie od krzywdy, wyzysku i ciemnoty, zbawienie do którego każdy dzień nas zbliża, które nastąpić musi, skoro okupywanem bywa pracą milionów, tysiącami ofiar żywcem pogrzebanych w czeluściach kopalń i męczeństwem wyzyskiwanych i krzywdzonych ludzi.

Helena Rawska.



Niewidzialni wrogowie.

 orocznie powtarzające się epidemie już od dłuższego czasu są dla nas zjawiskiem powszedniem. Cholera odwiedza nas co roku, tyfus jest gościem nie rzadkim, jego odmiana, tyfus głodowy, pojawia się coraz częściej, nie mówimy już o tuberkulozie (suchotach), tej chorobie proletaryatu, od której mało kto z klasy pracującej jest wolny. Powszechność tych zjawisk musiała wreszcie zwrócić na się uwagę rządów, które uznały, że przecież coś na to zrobić potrzeba. Więc zwróciły się do uczonych, by ci zbadali przyczyny tego stanu. I oto uczeni przede wszystkim znaleźli, że sprawcami tych chorób są bakterye, istoty drobne, gołym okiem niedostrzegalne; badając zaś przebieg tych chorób i sposób rozszerzania się, przyszli do przekonania, że źródłem ich i ogniskiem jest nędza ludzka, niezdrowe, ciasne pomieszkania i brak potrzebnego pożywienia. Między innemi wynaleźli także pewne środki na zgładzenie bakteryi, wprowadzić nie w samym organizmie, ale po za jego obrębem. Wyniki swych badań przedłożyli światu. I cóż świat, tj. ci, co nim obecnie rządzą i o wszystkim stanowią, na to powiedzieli? Należycie tę sprawę rozważyli i pomyśleli sobie: niezdrowe mieszkanie i głód — no! na to przecież żadnej nie ma rady. Przecież nie wszyscy mogą być syci i mieszkać ładnie, nie dla wszystkich stół w przyrodzie jest nakryty. Różnice między jednostkami w społeczeństwie są prawem przyrodzonym, a zarazy zresztą są konieczne, tak samo jak i wojny, jako czynniki, regulujące ilość ludności i zapobiegające przeludnieniu. Ale chociaż praw przyrody powstrzymać nie można i nie wolno,

to przecież masom coś rzucić potrzeba. Więc środki dezynfekcyjne! I wyznacza się rokrocznie, oczywiście wtedy, gdy już epidemia ludność dostatecznie zdziiesiątkowała, pieniądze na dezynfekcyę. I jaki stąd skutek? Rzecz się bynajmniej nie zmieniła, cholera jak przychodziła pierwiej, tak przychodzi dalej, ilość ofiar tyfusu głodowego się nie zmniejszyła, a tuberkuloza możliwie większe ogarnia masy. Jestto zjawisko konieczne w dzisiejszym ustroju społecznym. Mimo to poznanie przyczyn rozmaitych chorób nagminnych, może być w przyszłości bardzo ważnem przy ich zwalczaniu. Dlatego też pozwolimy sobie o tych niewidzialnych wrogach ludzkości, jakimi są bakterye, nieco obszerniej pomówić.

Czem więc są te okrzyczane bakterye? Oto są to organizmy, które dla prostoty swojej budowy zajmują prawie najniższe miejsce w świecie roślinnym. Zewnętrzny ich kształt podobny jest do kulki (micrococcus), laseczki prostej (bacillus), lub zakrzywionej (spirillum). Są nadzwyczaj małe, tak, że je tylko przez silnie powiększające szkła zobaczyć można; największe z bakteryi kulistych nie mają średnicy większej nad $\frac{2}{1000}$ mm, grubość zaś bakcyliów wynosi zaledwie $\frac{1}{1000}$ lub $\frac{1}{2000}$ mm. Żyją pojedynczo lub w koloniach, tworząc niteczki, cieniutkie warstewki albo też bezładne skupienia, zespolone masą galaretowatą.

Cały organizm stanowi obłoniona komórka, której wnętrze wypełnia bezbarwna protoplazma, tj. ciało pod względem chemicznym białkowate, ni stałe, ni też ciekłe, będące zasadniczym elementem budowy wszelkich organizmów. Kształt komórek jest stały i tylko drogą wzrostu ulegać może zmianom. Ruch zależy od postaci, wieku i wielkości bakteryi i może być rotacyjny, drgający lub falisty. Narządy ruchu odkryto niedawno w postaci biczyków, wystających z ciała. Przez pobieranie pokarmów bakterye wzrastają, jednakże wzrost ich możliwym jest tylko do pewnej granicy. W chwili najbujniejszego bowiem rozwoju, następuje proces dzielenia, który u tych ustrojów jest jedynym sposobem rozmnażania się. Bakterye kształtu laseczki przewężają się mniej więcej w połowie swej długości, bruzdka utworzona staje się coraz głębszą, aż przychodzi do skutku zupełny podział komórki na dwie części. Nowopowstałe komórki mogą pozostać nadal złączone ze sobą, lub też prowadzą życie oddzielnie. Zdolność do rozmnażania jest u tych drobnych istot zadziwiająco wielką. Przy korzystnych warunkach zewnętrznych uzyskują bakterye dojrzałość i dokonują procesu podziałkowania w przeciągu niespełna godziny,

z czego obliczyć można, że po upływie 24 godzin ilość ich dojść może do liczby 16 milionów.

Gdy jednak pokarmu zabraknie, tak, że bakteria potrzeb swoich zaspokoić nie może, wtenczas przeobraża się w sporę, tj. komórkę kulistą, o grubszej nieco osłonce niż zwykle, a zawierającą w sobie zgęszczoną protoplazmę. Spory odznaczają się znaczną wytrzymałością na warunki zewnętrzne, znoszą nawet wrzenie i powoli tylko giną pod wpływem niektórych czynników chemicznych. W postaci spory oczekuje bakteria lepszych czasów, pogrążona w letargu, a gdy te lepsze czasy nadchodzą, wtenczas osłonka pęka i wychodzi odmłodzona bakteria, która dalej żeruje, rośnie i rozmnaża się.

Do wzrostu potrzebują bakterie, podobnie jak wszystkie inne organizmy, dostatecznego pożywienia, odpowiedniej temperatury i wilgoci. W skład ich pożywienia wchodzi pierwiastki te same, co i u wyższych roślin, jako to: tlen, wodór, węgiel i azot, tudzież siarka, fosfor, potas i wapień. Pierwiastki te pobierają bakterie ze związków chemicznych w ten sposób, że je poddają rozkładowi, a pochłaniając pewne grupy atomów, zostawiają resztę w postaci oczywiście zmienionej. Różne gatunki bakterii, naturalnie różne pobierają pokarmy i w sposób rozmaity je rozkładają; zależnie od tych obu okoliczności rozróżniamy trzy grupy zjawisk rozkładu: 1) gnicie, tj. rozkład ciał białkowych, odbywający się bez przystępu powietrza, a tem charakterystyczny, że towarzyszą mu nieprzyjemne wonie, pochodzące od wytwarzającego się równocześnie amoniaku; 2) rozkład związków węgla przy przystępie powietrza i 3) fermentacja, czyli rozkład pewnych organicznych związków węgla, znanych pod nazwą wodników węgla. Zazwyczaj procesy wyżej wymienione równocześnie się odbywają.

Bakterie nie wszystkie związki rozkładać są w stanie; są związki takie, z których bezpośrednio korzyści ciągnąć nie mogą. Ten brak uzupełniają fermenty czyli enzymy, połączenia białkowe, wydzielane przez bakterie. Są one dla sprawy odżywiania z tego względu ważne, że związki takie, których bakterie wprost rozkładać nie mogą, zamieniają na chemicznie prostsze i tak niejako przygotowują teren pod ich działanie. Rola ich jest więc przygotowawcza. Zresztą i u innych organizmów napotykamy fermenty w tem samem znaczeniu, np. w ślinie ludzkiej, soku żołądkowym, trzustce itd. Oprócz fermentów, wydzielają bakterie często związki, posiadające własności trujące, tak zwane ptomainy.

Pojawiają się one w gnijącym mięsie ludzi i zwierząt; nadto główne objawy w chorobach tyfusu i cholery pochodzą z wytwarzania tychże trucizn. Produktem czynności bakteryi bywa także alkohol, kwas mleczny, octowy itd. Niekiedy ilość tych produktów wzrasta do tego stopnia, że tamuje dalszy rozwój bakteryi. Niektóre gatunki wreszcie posiadają własność wydzielania rozmaitych barwików. Tak więc, jak widzimy, czynności bakteryi są nader rozmaite, zależnie od rozmaitej przemiany materyi i rozmaitego rozkładu pokarmów. Główną funkcją bakteryi jest rozkład materyi organicznej na najprostsze składniki chemiczne, a ta ich działalność ma tak wielkie znaczenie w gospodarstwie przyrody, że możemy powiedzieć, iż istnienie wyższych organizmów, zwłaszcza roślin, na niej się opiera. Rozmaite zjawiska rozkładu wywoływane przez bakterye, dostarczają ziemi niezbędnych dla wzrostu roślin materyałów. Rośliny zaś stanowią pokarm zwierząt. Bez bakteryi nie byłoby więc roślin, a bez roślin nie byłoby zwierząt ani ludzi.

Drugim głównym czynnikiem rozwoju bakteryi jest temperatura. W stosunku do organizmów rozróżniamy optimum ciepłoty, tj. punkt temperatury dla rozwoju najbardziej dogodny i granice górną i dolną, po za którymi dalsze życie jest niemożliwe. Dla różnych gatunków bakteryi punkty te są różne; u bakcyli cholerycznego optimum wynosi 37° – 38° C., ponad 42° zaś i poniżej 34° bakcyl ten żyć nie może. Jako górną granicę przeciętną przyjąć można 60° C. Zimno jest dla bakteryi obojętne; niektóre z nich wystawione na temperaturę — 110° C. a nawet jeszcze niższą, a potem ogrzane, wracały do życia. Co się tyczy trzeciego warunku wzrostu, tj. wilgoci, to wiedzieć należy, że wilgoć dla bakteryi jest koniecznie potrzebną do życia. Brak wilgoci sprawia je o śmierć. Ciekawem jest działanie światła słonecznego na bakterye, które pod bezpośrednim jego działaniem albo natychmiast giną, albo swoją jadowitość tracą lub przynajmniej powstrzymane zostają w rozwoju.

Przejdźmy teraz do rozmieszczenia bakteryi. Dzięki swej niezwykłej zdolności do rozmnażania znajdują się one wszędzie w przyrodzie, gdzie tylko jest materya organiczna. Głównym ich zbiornikiem wogóle jest ziemia; z ziemi przechodzą do roślin, do wody, skąd wtargnąć mogą do organizmów ludzkich i zwierzęcych. Z ziemi na powierzchni zasuszonej i w stanie pyłu się znajdującej, porywają wiatry zarazki w powietrze i roznoszą je po całym świecie.

Według ich czynności dzielimy bakterye na: 1) zymogeniczne, czyli wywołujące rozkład ciał organicznych, bez objawów chorobliwych, 2) chromogeniczne, czyli mające własność wytwarzania barwików i 3) patogeniczne, czyli chorobotwórcze. Ostatnie przedstawiają dla nas największe zajęcie, bo nas bezpośrednio dotyczą, dlatego nad nimi tylko się zastanowimy.

(Dok. nast.).



W kwestyi rolnej.



Socjalna demokracja rozpoczęła swoją działalność polityczno-praktyczną jako ruch przede wszystkim robotników przemysłowych, ruch proletariatu miejskiego. Musiała ona najpierw tam obrać sobie pole do agitacji, gdzie niszcząca ręka kapitału największe święciła tryumfy, gdzie silnie zaostrzony antagonizm klasowy zapewniał jej zwycięstwo.

Tam też partya zdobyła sobie ogromną większość robotników, a przejście reszty w jej szeregi jest tylko kwestyą czasu. Lecz przemysł miejski fabryczny sam jeden nie stanowi jeszcze całości życia gospodarczego społeczeństw; właściwymi, bo pierwotnymi producentami, są producenci rolni, a nimi socjalna demokracja, — choć objęła ich swym programem, — do niedawna zajmowała się bardzo mało.

Tymczasem ogromna rewolucja, jaka dokonała się w dziedzinie gospodarstwa przemysłowego, potężnem echem odbiła się i na wsi. Kapitalizm i gospodarstwo wiejskie wciągnął pod swoje druzgocące koła, uczynił byt jego zawisłym od rynku światowego i przycisnął go taką masą ciężarów, że od nich nie zdoła go uratować ani polityka celna, ani sentymentalne wzdychania t. z. „ludowców“, ani zbawienne kazania chrześcijańskiego socjalizmu. Drobnny chłop staje się proletaryuszem stokroć nędzniejszym niż brat jego robotnik miejski, bo przywiązany do „własności“, która jest źródłem tych wszystkich jego cierpień.

Ale właśnie to położenie bez wyjścia obudziło chłopów wszystkich krajów ze snu dotychczasowego. Zagrożona

w swoim bycie, ta ciemna masa, dotychczasowa podpora reakcyi, zaczyna się zastanawiać nad nędzą swoją, traci ufność do dotychczasowych protektorów i szuka wprost programu i partyi, któreby jej pomocną dłoń podały.

To też w sam czas socjalna demokracja opuściła stanowisko teoretyczne, jakie zajmowała wobec kwestyi agrarnej międzynarodówka jeszcze, a potem kongresy międzynarodowe, na których zadowalniano się tylko konstatowaniem, że skutkiem nagromadzania się własności ziemskiej w coraz mniejszej ilości rąk, kwestya agrarna „upraszcza“ się coraz bardziej.

Kongres zurychski w r. 1893 na wniosek Rumunów polecił wszystkim kongresom krajowym, aby rozpatrzywszy się i omówiwszy dokładnie kwestyę rolną, przedstawiły następnie spostrzeżenia swoje i wnioski na kongresie międzynarodowym w Londynie, celem opracowania programu działalności na wsi.

W myśl też tej uchwały tegoroczny zjazd partyjny niemiecki w Frankfurcie, jako jeden z najważniejszych punktów porządku dziennego postawił sprawę agitacyi po wsiach, a głośna polemika między Vollmarem i Schönlankiem z jednej strony, a Beblem i towarzyszami z drugiej, najwybitniejszymi przedstawicielami partyi socjalno-demokratycznej, dowodzi, że sprawa ta nie jest tak łatwą, jak nam się zdawało.

Gdy bowiem z jednej strony należy poznać stosunki wiejskie dokładnie, poznać różnicę między wsią a miastem, by nie przenieść żywcem sposobu agitacyi między robotnikami na wieś, to z drugiej strony strzedz się należy oportunistów i reakcyi, w jaką łatwo popaść, gdy opieramy się na żywiole tak reakcyjnym, jakim są chłopci. Ani na chwilę nie wolno nam zapomnieć, że partya nasza jest klasową i rewolucyjną i jakie są ostateczne jej cele.

Kwestya agrarna, powiada Schönlank, to kwestya o dwóch obliczach, jak głowa Janusa. Jedno jej oblicze to walka kapitału z pracą, drugie to walka posiadłości z posiadłością. Sprzeczności te wytworzył kapitalizm, gdy przedarłszy łupinę feudalizmu, przeciwstawił szlacheckiemu junkrowi wielkiego przedsiębiorcę rolnego i drobnego chłopca, a tymże robotnika wiejskiego i parobka. Jedna strona medalu, to feudał, używający potężnego jeszcze wpływu swego w polityce przeciw przedsiębiorcy, któremu na polu ekonomicznym sprostać nie jest w stanie, — celem ustanawianie ceł ochronnych i premii eksportowych, a obok nich „straszna tragedia upadającego średniego i małego chłopca“, —

druga strona, to walka między właścicielem wielkiej własności a proletaryuszem, między średnim właścicielem a najmitem, między chłopem a parobkiem. Dodajmy do tego »regulowanie« sobie rynku pracy ze strony przedsiębiorców sprowadzaniem taniego robotnika z zagranicy i wydaleniem go, gdy go nie potrzebują, t. j. walka proletaryusza z bratem swoim proletaryuszem, — a uświadomimy sobie tę niezmierną złożoność kwestyi agrarnej. Nadto wiedzieć należy, że stosunki każdego kraju przedstawiają się inaczej, stosownie do swego rozwoju historycznego, że więc komunały tylko i »zasadnicze« odpowiedzi w rodzaju tej, że »własność gruntowa musi przejść w ręce ogółu«, lub »że narzędzia produkcji będą wspólne«, kwestyi ani trochę nie posuną naprzód. Z uśmiechem też przypomina Vollmar, jak dotychczas agitowano na wsi. Chmara agitatorów miejskich, robotnicy i inteligenci, spadali co niedzielę na wieś, zasypując chłopów broszurami i mowami, z których ci nic nie rozumieli. Była tam mowa o materialistycznym poglądzie na dzieje, o marksowskiej teorii nadwartości, o rozwoju techniki maszynowej i t. p., a gdy biedni chłopci wytrzeszczali oczy, nie wiedząc czego ci ludzie chcą od nich, zarozumiali »agitatorowie« orzekali, potrząsając pesymistycznie głowami, — że »łeb chłopski« niezdolny jeszcze do »walki klasowej« i że trzeba go zostawić »rozwojowi stosunków«.

To powinno być dla nas wskazówką, że rzeczywiście do agitacyi na wsi zabrać się należy inaczej, że idąc między lud wiejski, trzeba znać doskonale stosunki wiejskie, poziom umysłowy i psychologię chłopca, lecz z tego nie wynika, jakoby chłopca w sposób dla niego przystępny nie można było pozyskać dla partyi i nie można mu było zupełnie otwarcie odsłonić celów ostatecznych partyi socjalno demokratycznej.

Z tego nie wynika, że tu przeoczyć się musi antagonizmy klasowe, że ponad klasami przerzucić można most, by je wszystkie wciągnąć do partyi socjalno-demokratycznej: tak robotnika wiejskiego i małego chłopca, który „nie jest już szaleńcem na punkcie własności (Eigentumswütherich) i który przy odpowiedniej agitacyi przejdzie do nas łatwo, jak i chłopca wielkiego (Grossbauer), którego Schönlanck złapać chce „za sakwę“ (beim Geldsack) i którego — jak przyznaje — trudniej będzie zagitować.

Wprawdzie nie łądzi się Schönlanck wcale, że pozyska tych posiadaczy większych dla programu naszego; balast

ten w naszej partyi opłaci mu się już dlatego, że będzie z nami sympatyzował (!) i że w danej chwili nie „zwróci przeciw nam okutych butów“ swoich. Także i Vollmar stara się udowodnić, że antagonizm klasowy na wsi nie jest tak zaostroszony, jak w mieście. Jeśli drobny chłop upada pod ciężarami podatków, jeśli długi jego przenoszą najczęściej wartość jego »własności«, jeśli »posiadacz« taki, chcąc utrzymać rodzinę swoją przy życiu, musi wynająć się za robotnika na obcym gruncie, to cały ten stan jego nie jest w zupełności wynikiem walki konkurencyjnej wewnątrz produkcyi rolnej. Jego niszczy przede wszystkim kapitał z zewnątrz, jego niszczy mała siła kupna robotnika, upadek przemysłu domowego i t. d. Najlepszym dowodem tego to, że średnią i wielką własność trapią długi i to często przechodzące rentę gruntowo-podatkową, a zresztą w wielu gospodarstwach wielkich panuje jeszcze prymitywna gospodarka, nie ma jeszcze maszyn i ulepszonych narzędzi, tak, że nie one wpływają tak niszcząco na drobnego chłopą. Tu więc prawa rozwojowe inaczej działają niż w gospodarce przemysłowej, a własność ziemską w odmienny sposób wrastać będzie w organizm socjalistyczny, niż środki produkcyi przemysłowej.

Dlatego też ostrzegają Vollmar i Schönlanck przed szablonem i wzywają partyę do wypracowania programu, któryby pokazał chłopom, że ulżyć im chcemy nie w odległej przyszłości, lecz już teraz zdjąć chcemy z nich ciężary, które ich przygniatają. Oprócz punktów programu politycznego, które w agitacyi niewątpliwie bardzo będą skuteczne, musimy dać chłopom program ekonomiczny, w którym żądałiby środków pozytywnych, zdolnych dziś już chronić chłopą od wyzysku kapitalistycznego i równocześnie torować im drogę do nowych form gospodarskich. Referenci wskazują na Danię, Węgry, Rumunię, Włochy, które przystępują już do praktycznej działalności na wsi, a szczególnie podnosi Francję, która programem marsylskim z r. 1892, uzupełnionym na zjeździe w Nantes dowiodła, że opuściła już stanowisko teoretyczne (!).

Program ten wychodzi z punktu widzenia, że zadaniem socjalizmu nie jest oddzielenie pracy od środków produkcyi, lecz przeciwnie, wydarcie środków produkcyi z rąk »próżniaków« a oddanie ich producentom.

»Kollektywizm nie chce wywłaszczyć chłopą, lecz chce uwolnić go od wszystkich ciężarów« (Guesde).

»Musimy uwolnić chłopą, dzierzawcę i robotnika wiejskiego ze szponów wyzysku. Ponieważ drobny chłop nie wyzyskuje nikogo, więc wiejska posiadłość drobna mieć może miejsce w systemie organizacji socjalistycznej, gdzie owoce pracy należą do robotników« (Jaures).

Obowiązkiem partii robotniczej jest nietylko wywłaszczenie próżnujących właścicieli dóbr, kopalń, kolei żelaznych i hut na korzyść nieposiadających producentów rolnych, lecz chronić także ciężko pracującego na własnym (selbstarbeitende) gruncie chłopą od fiskusa, lichwy i wyzysku wszelkiego rodzaju.

Powołując się na Engelsa, który rzekomo miał przyklasnąć programowi Francuzów, Vollmar i Schönlanck stawiają rezolucję w tym samym duchu, której ustęp końcowy brzmi jak następuje:

»Kwestya agrarna jako część kwestyi społecznej wtedy dopiero może być rozwiązana, gdy grunta wraz z środkami pracy zwrócone będą producentom, którzy dziś pracują w usługach kapitału, bądź jako drobni chłopci, bądź jako proletaryusze wiejscy. Na razie jednak należy ulżyć tak drobnemu posiadaczowi jak i robotnikowi wiejskiemu przez gruntowne reformy. Najbliższem zadaniem partii jest ułożenie programu agrarno-politycznego, któryby w nader przystępny sposób objaśniał, uzupełniał najważniejsze i najbliższe żądania programu erfurckiego.

»Ustawy ochronne dla chłopów mają chronić ich jako płacących podatki, jako dłużników i jako gospodarzy wiejskich. Ustawy ochronne dla robotników wiejskich mają dać tymże prawo koalicyi i zgromadzania się, znieść ustawę o usługach (Gesindeordnung) i znieść tem samem różnicę między miejskim a wiejskim robotnikiem.

»Osobna komisya zajmie się rozpatrzeniem nagromadzonych już materyałów naukowych i przedłoży najbliższemu kongresowi swoje wnioski.«

Wywody te i rezolucya Vollmara-Schönlancka, choć większością głosów przyjęte zostały na zjeździe, — po za kongresem i w prasie wywołały burzliwą polemikę, która dotychczas nie jest jeszcze ukończoną i nie doprowadziła jeszcze do rezultatów pozytywnych, — lecz sam fakt, że sprawa agrarna przedmiotem jest tak namiętnych dyskusyi, dowodzi nam jej ważności, — z drugiej strony słuszne zarzuty, jakie spotykają referentów ze strony najstarszych przywódców partii, że opierając się na elementach reakcyjnych, wnoszą hasła drobnomieszczańskie w pro-

gram partyjny, że do ruchu wciągają niepotrzebny balast, który go wprawdzie liczebnie wzmacnia, lecz jakościowo czyni płytszym — są dla nas rękojmią, że partya socyalno demokratyczna wysoko dzierży sztandar rewolucyjny i dla żadnych pozornych sukcesów nie zgodzi się wejść w kompromis z żywiołami, które z natury swej postępowymi być nie mogą.

Bebel, Auer, Ledebour, Engels ostro krytykują rezolucję i wywody Vollmara, któremu oprócz tego zarzucają oportunizm i partykularyzm w polityce i występują energicznie przeciw programowi, który uwzględnia tylko najbliższe żądania partyi a resztę wieszać każe na kołku. Protestują przeciw agitacyi, któraby nie wspominała o ostatecznych celach partyi. Wedle nich dadzą się one skutecznie propagować w wielkiej części ludności wiejskiej, lecz musimy sobie przede wszystkim uprzytomnić, na kim będziemy się opierać. Otóż Bebel i Auer twierdzą, że tylko chłop bezrolny i taki „posiadacz“ gruntów, który w połowie jest wyrobnikiem, są materiałem do agitacyi socyalistycznej, a Engels energicznie się zastrzega przeciw oświadczeniu, jakoby on pochwalił Francuzów za ich program. Przeciwnie, pisał on Francuzom, iż program, który ma na celu zachowanie drobnej własności, jest na wskroś reakcyjny; że Francuzi samotnymi będą w próbie uwiecznienia drobnej własności i że drobny chłop jak i dzierżawca zmuszonym jest wyzyskiwać w chwili, gdy bodaj jedną siłę roboczą wynajmuje.

Jak więc widzimy, nie mógł się Vollmar powoływać na Engelsa, który wprost przeciwne co do agitacyi wiejskiej ma poglądy. Ta gorąca jednak dyskusya bynajmniej nie wyświetliła sprawy i nie dała jeszcze substratu do wytworzenia programu agitacyi. Sesya parlamentarna przerwała na jakiś czas polemikę, która po zamknięciu rady państwa ustąpić ma rzeczowej i spokojnej dyskusyi. Że gruntowne zbadanie całej kwestyi jest koniecznem, że na niem tylko oprzeć będzie można agitację na wsi, która, przyzna każdy, jest nader trudną — nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Dotychczas bowiem bałamutne tylko panują co do tej agitacyi pojęcia. Oto Ledebour, cytując miejsca w objaśnieniach do programu erfurckiego Kautskiego, wykazuje, że i tam mowa jest o zachowaniu drobnej własności i o pocziwym sentymentalnym kolektywizmie, który chłopom nie wydrze ziemi z rąk.

Ciekawem też jest, jak to sobie przedstawiają ci »agrariusze« kolektywizm, obok którego drobna własność chłopska spokojny sobie żywot będzie prowadziła!

Przedewszystkiem, któż oceni, gdzie kończy się wielka i średnia własność, skazana na pożarcie przez kolektywizm, a gdzie zaczyna się własność mała godna zakonserwowania? Zresztą, co to będzie, gdy taki drobny chłop będzie potrzebował na jakiś czas robotnika? Czy członek socjalistycznej organizacyi przejdzie do niego jako najmita? Lub gdy znów innego chłopca własność jego nie będzie mogła utrzymać wraz z rodziną — czy pozwoli mu społeczeństwo socjalistyczne, by pracując w przedsiębiorstwach socjalistycznych mógł sobie zarobić resztę?

Lecz pocóż te pytania? Z zajęciem godnem tej sprawy śledzić będziemy dalszego toku dyskusyi i traktowania tej kwestyi, która nas szczególnie interesować powinna, gdyż kraj nasz jest przeważnie rolniczym i sprawa pozyskania chłopów dla haseł naszych socjalistycznych powinna stać na pierwszym miejscu naszego programu agitacyjnego.

Traw.



FRAGMENT.

Oto już idzie, patrzcie, ostrą drogą,
 Śród ciemnych chórów, wielki geniusz świtu,
 Spiżową depce po ciemieścach nogą,
 A czołem sięga do niebios błękitu;
 Żrenicę topi w tej słonecznej kuli,
 A dłoń do piersi swej żelaznej tuli
 I woła wrogom świetlanego bytu:
 »Darmo o pierś mą kruszycie oręże,
 Jam nieśmiertelny i jutro zwyciężę!

Przed nim zastępy męczeńskich rycerzy,
 Co w jego imię spokojni pomarli,
 W zielonych wieńcach, w stalowej odzieży,
 Jakiej spodleni nie udźwigną karli:
 Dumni, że pili z prześladowań czary,
 Mkną heroldami tej potężnej wiary,
 Której się w sercu nigdy nie zaparli,
 A która dziś się proroctwem odzywa
 Wielkiego trudu i wielkiego żniwa.

Poszumem wiatrów, szelestem potoków,
 Kiedy spadają z gór srebrzystą falą;
 Blaskami słońca, skrzydłami obfoków,
 Co się w niebieskich jeziorach kryształa,
 Tchnieniem wiosennem, zimową szarugą,
 Wstęgą błyskawic płomieniącą, długą,
 Grzmotem piorunów, co przybytki wała,
 Wcisła się pieśń ich w dusz najskrytsze cienie,
 Jak świt wspaniała, wielka jak stworzenie.

O płyńcie pieśni! duch, co was przenika,
 Bielszy od łona niewinnej dziewczycy;
 Bez bluszczowego liścia, bez rzemyka,
 Którym bezczeszczą kształty rzemieślnicy,
 Schyla się nagi nad ludzi obliczem
 I zachwyconych pięknem tajemniczem
 Złączywszy z sobą ogniwem tęsknicy,
 Niewysłowionych melodyj szelestem
 Szeptce i szeptce: »Patrzcie! taki jestem!«

O płyńcie pieśni! płyńcie! wszak narodzin
 Nowego jutra wyście zwiastunami:
 Wśród trosk i cierpień, wśród samotnych godzin
 Ze sere wysnute, krwią, potem i łzami
 Tych wykarmione, co pod jarzmem kończą,
 W miecz się przemienicie i tarczę obrończą!
 Tak! aniołami — nawet szatanami
 Bądźcie, i jeśli potrzeba wam zgłiszczy,
 Niech wasza ręka wszystko w proch poniszczy!...

Jan Kasprówicz.



Lasy i pastwiska.

(Opowiadanie byłego plenipotenty.)

Panie Boże, co to krzyku było u nas za te lasy i pastwiska! Jak się zwijali panowie, jak naradzali się, podplacali inżynierów i adwokatów, ażeby uwolnić się od wszelkich ciężarów. Mądre głowy. Oni wiedzieli, że chociaż cesarz dał chłopu wolność i zniósł pańszczyznę, to przecież, jak oni nie dadzą mu lasu i pastwiska, to chłop musi albo ginąć, albo przyjść do panów z pokłonem — a wówczas wróci znów pańszczyzna, choć w innej postaci, ale dla chłopu wcale nie lepsza!

I myślicie, że u nas nie wróciła pańszczyzna? Przyjdźcie tylko i popatrzcie się do naszej wsi, sami się przekonacie. Prawda, atamani i ekonomi, nie jeżdżą już po pod okna z kańczukami, na pańskim podwórzu nie ma już tej dębowej kłody, na której bywało odbywało się „hurtowne pakowanie“, ale popatrzcie się tylko na ludzi, pomówcie z nimi! Czarni, jak ziemia, nędzni, chaty poobdzierane, stare, przechyliły się na boki.

Płotów prawie całkiem nie ma, choć naokoło las, jak morze; przychodzi się ludziom obkopywać pole rowami, ta obsadzać wierzbami, tak, jak na Podolu. Bydło nędzne, nikłe, ta i rzadko u którego jest gospodarza. A spytajcie idących z sierpami i z kosami: gdzie idziecie ludzie? to pewnie powiedzą: „Na pański łąn żyto żąć“, albo „na pańską łąkę kosić“. A gdy wy się zdziwicie, dlaczego tak się dzieje, że oni idą teraz do pana na robotę, kiedy jeszcze swego nie ruszali, a tu grzeje, kłos kruszy się, to oni pokiwają głowami i powiedzą smutnie: „Cóż czynić? Sami to widzimy i serce nam się kraje, ale coż robić! Zadłużyliśmy się u pana, a u niego taki zwyczaj, że przedtem odrób panu, choćby pioruny były, a już potem sobie. To u nas co roku tak: u pana zrobimy wszystko zawczasu i dobrze i czysto, nasza własność tymczasem ginie i niszczy się w polu. I dobrze to wymyślił nasz pan! U niego las — u nas i pasteczka na gospodarstwie nie ma bez jego wiedzy! U niego pastwisko, u nas bydło wyginęło, wyniszczyło się, a reszta chodzi, jak mara. U niego pole uprawione, czyste, a nasze zarosło pierzejem, gorczycą i burzanami, nawozu nie ma, ażeby uprawić, bydełka roboczego nie ma. A to co jeszcze na tem polu urodzi się, to i ginie na polu, bo pana przed-

tem podczas pogody obrobić musimy. I nigdy my nie możemy przyjść do chleba, nie możemy stanąć na nogi, nie możemy wybić się z pod pańskiej ręki. A pan gniecie, gnienie, co sił starczy! On u nas teraz naczelnikiem gminy, jakiś jego przysługacz pisarzem i cała rada musi słuchać jego rozkazów. Ubogiego nie puści na zarobek ani na służbę, książki nie wyda. „Siedź i nie rusz się, pracuj u siebie“. A u siebie, rozumie się nie ma roboty, więc idź do pana. A pan — masz po dziesięć centów na dzień w najcięższy czas i musisz robić, bo nie masz gdzie podziać się! Tak on nas przyśrubował i jeszcze silniej przyśrubowuje. Powiedzcie sami, czy trzeba nam prócz tego pańszczyzny? Mnie wydaje się, że dawna pańszczyzna z bukiem i ekonomem nie była tak straszną.

A teraz posłuchajcie, jak to on nas zażył z mańki, by nas wyprowadzić w pole i zabrać w ten sposób w swe ręce. Ja sam byłem przytem, to mogę wam na pewne powiedzieć i każde słowo zaprzysiądz. Ot słuchajcie!

Poczęło się nasze nieszczęście od konskrypcyi, wiecie, tej, co była w 59 roku. Do tego czasu żyliśmy z panem w zgodzie. On bał się nas ruszać, bo, wiecie, panowie wówczas mieli strach z powodu owej rzezi mazurskiej. A my znów i jego nie mieli potrzeby czepiać się: pastwisko mieliśmy, w lesie rębaliśmy, tak, jak nasi ojcowie z dawien dawna i zawsze uważaliśmy las za gminny, a nawet mieliśmy gminnego leśniczego. Aż tu naraz — konskrypcya. Wiecie, lud ciemny, nie wie co, w jakim celu, przestraszył się. Tak to zawsze, nasz chłop boi się, by mu podatków nie podwyższyli. Tak i ówczas; spisywać będą nie tylko ludzi, ale i bydło. To już nie jest bez celu.

Aż tu raz w niedzielę, po nabożeństwie, wyszli ludzie z cerkwi, i stanęli na „zarinku*)“ radzić. — Wójt tam głosi jakieś nakazy, drudzy o żniwach mówią... Aż tu pan... „Otóż tak, panowie gromada, ważna sprawa — konskrypcya. Ja wasz przyjaciel, ja teraz taki chłop, jak wy. Wiecie, cesarz zrównał nas wszystkich, teraz nie ma już panów... Nu, prosto powiedziawszy, począł on nas tumanić. My gęby pootwierali, co to, po raz pierwszy słyszymy od naszego pana ludzkie słowo. „Otóż tak“, mówi on dalej „ważna sprawa, konskrypcya. Czyja łaska, proszę do mnie, mam coś ważnego powiedzieć, jak wam trzeba zachowywać się

*) Zarinek jest to piaszczysty i kamienisty obszar, czasem zarosły łożami, ciągnący się wśród brzegów rzek podgórskich.

przy tej konskrypcyi. I poszedł naprzód, do dworu. A my wszyscy, ilu nas było, ławą za nim. Weszliśmy na podwórze. On stanął na ganku, rozglądał się po ludziach a dalej wywołał kilku starszych do siebie i poszedł z nimi do pokoju. Stoimy, czekamy. Powracają nasi starzy.

— No i nu, co pan mówił, co za sprawa? A starcy nasi kiwają siwemi głowami i mruczą: „Tak to, tak, to prawda“. A dalej do nas: „Chodźmy do wsi, dlaczegośmy taki krzyk rozpoczęli na pańskim podwórzu. Czy tu nam miejsce do narady“. Poszliśmy.

„Wiecie wy, dobrzy ludzie, panowie gromada — powiedzieli nasi starcy, kiedy stanęli znów na gminnym zarinku — że jutro ma przyjechać do nas konskrypcya. Więc pan nasz, daj mu Panie Boże zdrowie, kazał nam ostrzedz gminę. Uważajcie, mówi na bydło. Oni spiszą bydło a potem nałożą na was od każdej sztuki po guldenowi podatku. Jak powiecie, że pasiecie w lesie, to będziecie i od lasu płacić podwójny podatek: raz za las, a drugi raz za to, że pasiecie. To pan radzi zrobić tak: przedewszystkiem nie mówić, że pasiemy w lesie, a potem przechować część bydła w lesie przez jutrzejszy dzień i przy konskrypcyi mniej podawać bydła niż mamy. Tak, mówi, robią i po drugich wsiach. A las, powiada, jak wasz był, tak i będzie, bo konskrypcya nie ma do gruntów.

Radzili, radzili i uradzili posłuchać pana. Co za głupcy! Więc, jak u kogo było pięć sztuk bydła, to on trzy do lasu, a dwie zostawia na pokaz; u kogo dziesięć sztuk, on siedem do lasu, a trzy zostawia. Całe stado bydła z całej wsi zapakowali do lasu, pomiędzy jary i dęby, i oczekujemy spokojnie konskrypcyi. Tak ciężko człowiekowi przychodzi płacić te podatki, a tu pan nastraszył nowem nibyto podwyższeniem, że my nie wahali się po prostu oszukać konskrypcyę, ażeby tylko jakim sposobem wykręcić się od biedy.

Na drugi dzień rano, gdzieś tak koło obiadu, już konskrypcya we wsi. Spisują... No, my wszyscy trzymamy się tego, cośmy uradzili, podajemy jak najmniej bydła, odpiaramy się pasienia w lesie i cieszymy się, że sprawa idzie tak gładko. Aż w końcu doszła konskrypcya i do pana. Niektórzy ludzie z ciekawości poszli za nią. Za małą chwilę przybiegają do wsi zdyszani, przestraszeni...

(C. d. n.).

Iwan Franko.



22.2

189

VIII

F S-97



ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.



Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	— 50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie	2—	Rocznie	4 „

Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.

Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Ploha i Olszewskiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golloha, Ossolińskich 15.



111
15 92 1895





Komuna paryzka.

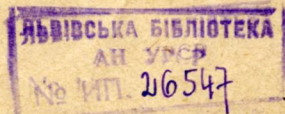
(W dwudziestą czwartą rocznicę.)

Zaden może ruch ludowy nie ściągnął na się tyle obelg, oszczerstw, nie wywołał tyle nienawiści, co rządy gminy Paryża w r. 1871. Dlaczego? Bo w miarę jak dojrzała świadomość ludu, w miarę jak proletaryat robotniczy przejmował się zasadami socjalistycznymi — wybuchy tego proletaryatu były więcej określone, zmierzały właściwszemi drogami do postawionego i uznanego celu.

Na ulicach Paryża kartaczowano lud w rewolucyi lutowej 1848, kartaczowano go i w dniach majowych 1871, to prawda. W organizacji samej walki ulicznej, w prowadzeniu spraw publicznych zachodzi jednakże wielka różnica między 1848. a 1871. rokiem.

Proletaryat paryski w r. 1871. nie powierzał swych losów w ręce burżuazji, przywódców szukał wśród siebie. Złotym słówkom republikańców nie wierzył i wszelkie wyteżył siły, aby ich jak najdalej od prowadzenia swych spraw trzymać. A przecież komuna upadła? A przecież rządy gminy innych miastach większych Francji zgnieciono po kilkudniowym istnieniu? Tak. Lecz postęp widoczny był w umiejętności prowadzenia walki, sposób przygotowania samych rządów gminy znaczny i te okoliczności zmuszają przypuszczać, że gdy stosunki dojrzeją i proletaryat jeszcze raz wyteży swoje siły — owa nauka i doświadczenie musi go doprowadzić do zwycięstwa. Rewolucye ludowe upadały w Paryżu na to, aby proletaryat zebrawszy coraz więcej doświadczenia powstał i zwyciężył. To kwestya czasu jeno.

W tym rzucaniu się na komunę burżuazji, nie tylko francuskiej lecz wszystkich krajów, w których stosunki robotnicze do panów okazywały naprężenie, dowodzi właśnie, że burżuazya kosmopolityczna zagrożoną była w swych posiadach że straszliwy taran komuny paryskiej, gdy walił w zgniłe stosunki francuskie, to trząsł się wraz cały gmach



społeczny fundowany na takim samym błocie niesprawiedliwości w innych krajach. Stąd to tyle piany na ustach burżuazyi wszystkich narodowości i wściekłość na motłoch, który z pominięciem urodzonych i pieniędzy chciał rządzić!

Wojna francusko-pruska wybuchła wbrew woli prawdziwych republikańców francuskich. Zazdrośni chwały Napoleona III. stronnicy Bourbonów i Orleanów, których brał apetyt także na widok wielkich kradzieży drugiego cesarstwa, pragnęli wojny. Królowie pieniężni, dostawcy wojskowi pragnęli wojny, zwłaszcza wobec pustych magazynów wojskowych.

Wojna wypowiedziana sprowadziła przewidywany, pożądaný przez wszystkich 2-gi września, kapitulacyę pod Sedanem i zabranie do niewoli księcia Lulu. Napoleon III. dopiero teraz odetchnął w Wilhelmshöhe, pewien, że nikt mu zakupionych dóbr w Anglii, Szwajcaryi i Hiszpanii nie skonfiskuje i że spokojnie trawić może.

Lud paryski nie okazywał żadnego zmartwienia po cesarzu. Gdy wieść doszła do Paryża 4-go września, obległ zgromadzenie narodowe i z całą siłą naparł na lewicę parlamentu. Wszystkim stronnictwom królewskim dusza na ramię wyłaziła i biegali oni po kurytarzach trzymając się za głowę a żądanie ludu spełnić musiano.

Lud zażądał republiki, ogłoszono Rzptę. Nie w zamiarze odsądzenia się od zachcianek monarchicznych, nie, ale dlatego, aby lud sobie z karku usunąć.

Stronnictwa rządzące pozbawione niemiłej sobie władzy, czy myślą prowadzić obronę całości Francyi? Ani im to w głowie. Wszak miasta niemieckie zalane są brańcami wojennymi francuskimi, pod Sedanem tylko 200.000 żołnierza ubyło — komużby dostarczać furazów i odzienia? Stronnictwa rządzące chcą pokoju, by fabryki puścić w ruch na nowo, bo z magazynów wysprzedano zapasy. Francya nie może wytrzymać obłężenia Paryża, wołają. Pokoju, pokoju za wszelką cenę.

Lud paryski domaga się 9. września powszechnego uzbrojenia. Ba, ale lud francuski, a zwłaszcza lud paryski ma do załatwienia wiele rachunków z burżuazyą. Nie można ludu uzbrajać.

Robotnicy francuscy, członkowie związku międzynarodowego socjalistycznego szlą pozdrowienie do swych braci niemieckich tak samo, jak poprzód i zażegnują mord bratobójczej wojny, wszakżeż pospolite uzbrojenie, bataliony gwar-

dyi paryskiej są im miłe, bo oni nie tylko radziby pozbyć się Napoleona, lecz wszystkich wyzyskiwaczy.

Burżuazya widziała siłę ludową 5. i 9. września i ciarki jej chodzą po plecach. Burżuazya odgadła zamiary organizacji robotniczych i nie tylko nie chce pospolitego uzbrojenia, ale nawet chce rozbroić gwardyę gminy Paryża, ubezpieczyć lud, choć nieprzyjaciel kraju stoi przed bramami miasta.

Patryotyzm Francuzów okazał się w całej wówczas wartości. Podobny on był patryotyzmowi naszych Chłopi-ckich i Skrzynieckich w r. 1831, którzy ludu uzbrajać nie chcieli i prowadzić go na nieprzyjaciela, bo lud polski mógłby być z nimi i z swoimi narodowymi rozprawić się naprzód ciemieżcami.

Burżuazya francuska nie tylko ludu uzbrajać nie chciała, lecz z pomocą Prusaków osaczyć, ujarzmić, rozbroić Paryż rewolucyjny, zniszczyć kolebkę wszelkich rewolucyj. 28. stycznia podpisuje się akt kapitulacyi Paryża i prosi Prusaków, aby czuwali nad całością mienia francuskiego. Szczyt patryotyzmu bandy Thiersa!

Handel o zawarcie pokoju z Prusakami prowadzony był teraz z całą gorączką. Zgromadzenie narodowe zwołane i wybrane, w 8 dniach przyjmie wszelkie warunki pokoju jakie przywiozą Favre i Pouyor-Quertier z Frankfurtu od Bismarka. Nastaje zawieszenie broni z nieprzyjacielem zewnę-trznym, aby burżuazya mogła z całym oddaniem zabrać się do proletaryatu — nieprzyjaciela wewnętrznego.

Wrzenie wśród ludności Paryża było wielkie. Pamiętał proletaryat czasy głodu podczas oblężenia, pamiętał zanie-dbanie obowiązków obrony przez burżuazję. Robotnicy pa-miętali swoje krzywdy i krew wylaną tylekrotnie w obronie swych praw na barykadach Paryża. Lud paryski sformował bataliony gwardyi miejskiej pod wodzą obieralnych z po-śród siebie naczelników. Gwardya posiadała jako własność miejską działa. Akt kapitulacyi Paryża nie wydał tych dział Prusakom, bo nie były one własnością państwa. Armaty chciał rząd Thiersa odebrać ludowi. W nocy 18. marca kilka oddziałów wojska napadło na plac gwardyjskiej artyleryi. Zabito sztyldwachów, a gdy lud zbudzony z przedmieść przyszedł odebrać co swoje, — wyloty armat skierowano w jego piersi. To pierwszy zamach na lud paryski, który przejrzał i postanowił mieć się na baczności.

Z ludem połączyli się teraz i drobni mieszczenie, któ-ry w 1848. r. strzelali do robotników, a w r. 1870 przy-

patrywali się jeno wrzeniu robotników. Po zamachu rządowym rewolucya w Paryżu pozyskała sobie drobnomieszczan.

Dnia 23. marca rząd burżuazny widząc, że w Paryżu grozi mu niebezpieczeństwo, ucieka do Wersalu, o 2 mile odległego od Paryża. Za rządem centralnym ciągną wszyscy, którym trudno wyżyć tam, gdzie lud władzę sprawuje. Za członkami rządu i panami ciągną wszetecznicze, któreby nie mogły sprzedawać się biednym w Paryżu; za rządem pociągła cała zgraja szpiclów i donosicieli, którzy w jawnym rządzie ludu zatrudnienia nie mieli.

Komitety centralny, zajmujący się dotychczas z ramienia rządu sprawami Paryża, uznał za właściwe oddać rządy gminy w ręce radnych gminy. Ogłosił wybory powszechne na dzień 26. marca w 20 okręgach paryskich, a po dokonanych wyborach wobec kroci zgromadzonego ludu przed ratuszem, wobec nowych radnych Paryża ogłosił Ranvier: »W imieniu ludu proklamuję komunę«. »Niech żyje komuna«, zawołało 200 tysięcy ludu.

Po ucieczce rządu republikanów co pozostało na barakach rządu gminy i co on zrobił?

Komuna nie lada miała zadanie. W Paryżu ześrodkowywał się cały ruch maszyny państwowej. Każde kółko obracające się na prowincyi, poruszane było z Paryża. Paryż oddziaływał na Francję, o ile ona nie była zajęta przez Prusaków. Chociaż ludzie od rządu czmychli do Wersalu, urzędów i zakładów przecieżyć przenieść się nie dało. Kasy rządowe, poczta, telegraf, zakłady humanitarne, różne ministerya wszystko objąć musiała komuna i obsadzić swoimi ludźmi.

Mało kłopotu dla ludzi, którzy mieli wykształcone poczucie dobra publicznego, choć pozbawieni byli rutyny urzędniczej. Jak międzynarodowe stowarzyszenie robotnicze pojmowało swe obowiązki — to jego ludzie okazali w komunie wybitny biorąc udział.

Rząd komuny składał się z radnych wybieranych przez powszechne głosowanie, odpowiedzialnych przed swymi wyborcami, którzy każdej chwili mogli swego wybranego cofnąć. Komuna nie była tylko ciałem ustawodawczym, ale zarazem wykonawczym. Większość komuny składała się z robotników uświadomionych, socjalistów, niejako mężów zaufania dzielnic robotniczych Paryża.

Komuna pozbawiona była władzy politycznej. Policya państwowa nie miała tam co robić, gdzie wszyscy rządzą i radzili; administracya nie rządziła, lecz zarządzała wedle

potrzeb mieszkańców. Za służbę publiczną wynagradzano dziennie, jak za każdą inną pracę. Urzędy z pensjami wielkimi i dochodami znikły. Opowiadają, że minister finansów Jourde (umarł zeszłego roku 1894 w nędzy), gdy wybrał się do restauracyi na śniadanie z trzema swymi kolegami, nie mogli zapłacić należitości około 2 fl. po przetrząśnieniu swych sakiewek. Musieli jednego z pośród siebie wysłać, aby pożyczył pieniędzy i wykupił ich z restauracyi. A przecież ten minister finansów zebrać musiał co rana 675.000 franków i 250.000 ludzi wypłacić. A przecież przez ręce komuny przeszło w ciągu jej trwania od 20. marca do 8. maja 46,300.000 franków na koszt wojny i żywienia Paryża.

Komuna zniszczywszy państwo cesarskie wymieść musiała i jego filary — duchowieństwo. Zniosła własność prywatną klasztorów, a choć milionowe to były majątki, dla samej gminy Paryża przyznano tylko 8000 fr., resztę dla pracujących w dobrach duchownych.

Wszystkie zakłady naukowe otwarto bezpłatnie dla wszystkich i tak komuna, jak władza duchowna nie mogły się wtrącać do nauczania.

Urzędnicy sądowi byli wybieralni, aby nie mogli się kryć pod płaszczyk niezawisłości od rządu, a sądzić, jak administracya każe.

Wojsko stałe komuna usunęła i zastąpiła je milicją miejską.

Komuna była szczytem taniego rządu, komuna bez wojska była szczytem rządu bez brutalnej siły. Czynności ogólnej natury poza gminą, mieli spełniać także urzędnicy wybieralni i odpowiedzialni każdy za siebie.

Komuna zabrała się do dzieła z tym zmysłem praktyczności, który cechuje robotników nawykłych do radzenia sobie w każdej chwili, i o ile środki na to pozwalały wywiązała się z zadania.

Co do opieki nad pracą, wprowadziła komuna wiele żądań socyalistów. Za zniesienie pracy nocnej piekarzy, całe bataliony tworzyły się z samych piekarzy z wdzięczności.

Komuna miała być światem, całością dla siebie, na zasadzie całkowitego samorządu choćby najmniejszej wioski. Gminy miały porozumiewać się przez delegatów w zgromadzeniach okręgowych, okręgowe zebrania miały zaś wybierać swych delegatów do delegacyi narodowej w Paryżu, wszędzie z określonym mandatem.

Ten sam program przyjęły miasta Lyon, S'Etienne, Creuzot, Marsylia, Toulouza i Narbonna, podniosły w imię jego rewolucję przeciw rządowi Thiersa, lecz upadły o wiele wcześniej od Paryża.

Rząd wersalski chciał złamać ruch komuny, który zyskiwał sobie zwolenników w całej Francji, do żywego zdar tej przez nadzwyczaj zcentralizowane wszystkie poprzednie rządy.

Na 30. kwietnia ogłoszono wybory do rad gminnych. Mimo całego nacisku rządu Wersalskiego na 700.000 rajców gminnych tylko 8.000 zebrali stronnicy monarchiczni.

Komuna paryżka zajmowała się najgłówniejszym dziełem, obroną Paryża przed rządem Wersalczyków i żołdaków, których Prusacy o tyle z niewoli puszczały, ile potrzeba było do walki z Paryżem komunardów. Zgromadzenie w Wersalu i jego naczelnicy poprzysięgli zemstę komunardom i wykonywali groźby.

Napady na Paryż, bombardowanie reszty miasta, czego nie zniszczyli Prusacy, zalewanie miasta szpiegami, którzy siali nieufność w komunie, mordowanie jeńców komuny bez sądu z pastwieniem się nad bezbronnymi, oto były czyny obrońców cywilizacji, Wersalczyków. Od dnia 3. kwietnia bitwy wrzały na przedmieściach Paryża co dnia, i fort za fortem, które broniły miasta, dostawał się do rąk Wersalczyków. Komunardów ubywało, Thiersowi przybywało żołnierzy do zgniecenia Paryża, a Bismark, od którego odeszły obawy odwetu, puszczał nawet 3 razy tyle żołnierzy francuskich, ile puścić był obowiązany.

Komunie zarzucają okrucieństwa, które właśnie Wersalczycy popełniali. To generał Trochu przygotowuje naftę na oblewanie domów, gdzie chronili się komunardzi. Zabójstwo dwóch generałów wersalskich popełnili ich własni żołnierze, którzy nie mogli wykonać rozkazu i strzelać do swych braci. Zabito 64 zakładników i arcybiskupa Darboya, bo tego sobie życzył naczelnik rządu Thiers, aby mieć powód mordować komunardów. Nie chciał oddać Blanquiego za trzymanego u komunardów arcybiskupa. Jemu bardziej był na rękę trup arcybiskupa, niż on sam żywy.

A kiedy to komuna porzuciła drogę ludzkiego obchodzenia się z więźniami swymi? Dnia 7. kwietnia wydała ona dopiero dekret głoszący: ząb za ząb, oko za oko. Po wielu mordach dokonanych przez Wersalczyków. Po rozstrzelaniu dzielnego Duvala bez sądu, po rozsiekaniu w kawałki Flourensa przez żandarmów, tego samego Flourensa, który bandę

rządową ocalił 31. października od powieszenia przez wzburzone masy.

W warunkach pokoju Bismark zrobił ustępstwo rządowi wersalskiemu, że dopiero po zgnieceniu komuny zażąda pierwszej raty z 5 miliardów kontrybucyi i cofnie część wojsk z Francyi. „Il faut eu finir“ woła Thiers — trzeba raz skończyć z komuną.

Trzeba skończyć, aby miliony, które przy zaciągnięciu pożyczki kontrybucyjnej można było zarobić, mogły wpłynąć prędzej do kieszeni Thiersa, Juliusza Favra, Ernesta Picarda, Pouyer-Quertiera i Juliusza Simona. Sami ludzie po za którymi grabieże majątków sierocińskich, kradzież skarbu państwowego, handel przekonaniem politycznemi.

Z pomocą skradzionych milionów sieją zdradę w Paryżu, przekupują dowódców komuny, zagrzewają wersalskich żołdaków do mordów.

Komuna w Paryżu otoczona mocnym pierścieniem wojsk wersalskich, komuna wytrzymująca dwa oblężenia naraz, pruskie i wersalskie, komuna odcięta ze wszystkich stron od prowincyi, nie może liczyć na długie życie.

Niesnaski w rządzie komuny z powodu żywiołów obcych socyalizmowi, nieufność, którą rodzi niepowodzenie, zabierały energię i radcom i dowódcom wojskowym.

Ale i siły komunardów nareszcie się wyczerpywały. Stracono wielu obrońców w walce zamejskiej. 21. maja wtargnęły wojska wersalskie do Paryża i rozpoczęły prawdziwą rzeź, wobec której postęпки Suwarowa na Pradze pod Warszawą, Murawiewa wieszatela są jeszcze mało okropnemi.

Bez sądu stawiano gromady komunardów pod murami i rozstrzeliwano. Szasopoty pomału niosły zniszczenie. Używano więc mitrajlezw. Oddziały kobiet, dzieci, komunardów z bronią, lub bez broni schwytyanych ustawiano nad wykopanymi rowami na kilka metrów głębokości i mitrajlowano tak długo, aż się doły nie napełniły — rannymi lub zabitymi. Przysypywano ziemią nawet żyjących — a jęki z grobów po nocach słyhać było, gdy huk armat ustał.

Tak Thiers dotrzymywał przyrzeczenia danego zgromadzeniu narodowemu 21. marca, że wojska do Paryża nie poszle.

Od dnia 21. maja do 28. maja trwała rzeź i mord bez ustanku. Jestto tak zwany tydzień krwawy, obchodzony corocznie w Paryżu. 28. maja padł ostatni sztandar czerwony



na cmentarzu Père-Lachaise, a 28. czerwca Thiers zapłacił pierwszą ratę Bismarkowi. Tutaj dotrzymał słowa.

Przewrotność patryotyzmu bandy rządowej Thiersa (cywilnej) i Mac Mahona (wojskowej) — obu późniejszych prezydentów republiki, może iść chyba w zawody z przewrotnością Bismarka. Kiedy nie tylko cesarstwo drugie, ale cała Francja leżała zdeptana przez najeźdźcę, kiedy rabunek ogromnych sum i kraju był dokonany — Bismark chciał być sędzią wewnętrznych spraw francuskich. Rząd Thiersa zgodził się na to — i przyjął usługi pruskie w roli żandarma, dozorczy mordów, który przytrzymywał i wiązał ofiarę — komunę paryską. Oto patryotyzm gorący francuskiej burżuazji, patryotyzm, który skończył na lizaniu łap carskich!

Komuna nam dowiodła, że lud paryski bez przygotowania, potrzebą zaskoczony, zdolny był, prowadzić sprawy publiczne przez państwo dotąd zmonopolizowane. Komuna paryska przekonała krzykaczy o niedojrzałości ludu, że taniej, energiczniej — nadewszystko z uszanowaniem wszelkiej wolności obywatelskiej — rząd gminy zdolny sprawować rządy.

Upadek komuny spowodowały stosunki zewnętrzne, chęć zdzierania ludu francuskiego przez przewrotnych bankierów, adwokatów i wszetecznicę z czasów cesarstwa, nadal pod rządem Rzpt. Komuna dowiodła, że organizacja międzynarodowa może jedynie błogie wprowadzić skutki, jeśli proletaryat pewnego kraju widzi za sobą współczucie i pomoc innych narodowości. Komuna powierza jedno z ministeriów Niemcowi, naczelne dowództwo wojsk komuny, Jarosławowi Dombrowskiemu*) i rangę jener. Wróblewskiemu. Komuna dowiodła, że tylko rządy ludowe mogą wprowadzić zmianę stosunków robotniczych na lepsze, postawić pomost między stosunkami dzisiejszymi, a przyszłością socjalistyczną.

*) Dnia 21. maja rada komuny ostatni raz obradowała nad depeszą Dombrowskiego o zasiłek w wojsku dla obrony przedmieścia. Zasiłków nie posłano. Dombrowski padł śmiertelnie w piersi ugodzony o 2. godzinie popołudniu 23. maja na barykadzie w ulicy Myrrha, obok walczącego Vermorela. O godzinie 4. zmarł w szpitalu Lariboisière — pochowany 24. maja na Père-Lachaise. Gdy trumnę złożono nad grobem, 200 gwardzistów z oficerami defilowało i każdy z nich całował wodza-cudzoziemca w zimne czoło. Naraz zagrały armaty wersalskie z wylotu ulicy i sypnęły kulami pomiędzy pomniki cmentarne. Vermorel przerywać musiał mowę pogrzebową z powodu huk, a zakończył ją wezwaniem: »Przysięgnijmy, że odejdziemy stąd, aby umrzeć«.

Za to zapłacił Paryż:

Dwudziestoma pięcioma tysiącami poległych w walce lub pomordowanych w rzezi.

Trzydziestoma tysiącami zmarłych w więzieniach, wskutek ran i chorób zaraźliwych, powstałych z przepełnienia.

Trzynastoma tysiącami skazanych na całe życie, po większej części na wyspy z klimatem zabójczym (Nowa Kaledonia, skąd powrócili w r. 1878 za amnestią).

Siedmdziesięcioma tysiącami sierót, wdów i starców opieki pozbawionych.

Toteż z dumą mógł Thiers obwieścić burżuazji całego świata w dniu 25. maja: „Porządek i cywilizacya wreszcie otrzymały zwycięstwo“.

Brak miejsca nie pozwala przytoczyć charakterystyki ludzi „porządku“, „obrońców cywilizacyi“. Nie możemy umieścić ustępów z walki bohaterskiej komunardów, okazać ich bezgranicznego poświęcenia dla sprawy, ich pogardę śmierci. Jako członkowie międzynarodowej partii socjalno-demokratycznej, czcimy pamięć poległych w boju komunardów i głębokie mamy przekonanie, że krew wylana, myśl podjęta i doświadczenie nabyte będą podwaliną lepszej przyszłości.

Jan Kozakiewicz.



Materyalistyczne pojmowanie dziejów.

(Dokończenie).

W każdym społeczeństwie, które przekroczyło już pierwsze zaczątki życia społecznego, możemy przedewszystkiem rozróżnić dwie klasy: posiadających i nieposiadających, czyli takich, którzy żyją z pracy drugich i takich, którzy pracą swoją pierwszych utrzymują. To jest podział najprostszy. Naturalnie, że w miarę rozwoju społeczeństwa, stosunki stają się coraz bardziej złożonymi i dwie wspomniane klasy nie przedstawiają już dwóch skupień o jednostkach zupełnie sobie równych, ale w obrębie tych klas tworzą się mniejsze podziały i grupy. To jednak nie zmienia zasadniczo istoty rzeczy. Klasa posiadająca posiada nie tylko środki produkcyi, ale także władzę polityczną, ona

tylko przedstawia społeczeństwo na zewnątrz i tylko ona posiada władzę na wewnątrz, utrzymując za jej pomocą — jak długo to możliwe — w karchach posłuszeństwa tych, którzy pozbawieni wszelkiej władzy, zmuszeni są pracować na swoich gnębicieli.

Ale ten podział na klasy jest również zawisły od ekonomicznych stosunków, a w szczególności od sposobu produkcji środków materyalnych. W miarę zmian tego sposobu produkcji, zmieniają się także klasy, które w jednej fazie rozwoju społecznego były na górze i stanowiły klasę panującą dla tego, bo ich panowanie najlepiej odpowiadało istniejącym stosunkom ekonomicznym; powoli przestają wykonywać te czynności, które je na ten wysoki szczybel w społeczeństwie podniosły, społeczne ich znaczenie coraz bardziej się zmniejsza, a chociaż ich władza polityczna jeszcze jakiś czas pozostaje niezmienioną, to jednak z czasem i ona maleje, aż nareszcie muszą ustąpić ją innej klasie, która do istniejących stosunków ekonomicznych lepiej jest przystosowaną.

Nowa reforma produkcji, która wywołuje tę zmianę, początkowo odpowiada nie tylko interesom nowej klasy panującej, ale jest ona także częściowo zgodną z interesami tej ogromnej większości pozbawionej środków produkcji, gnębionej i wyzyskiwanej. Z tego powodu w początku takiej nowej fazy rozwoju społecznego przycicha na chwilę walka klasowa, klasa panująca zdaje się przedstawiać interesa całego społeczeństwa, a zasada harmonii interesów wszystkich klas społecznych uważaną jest za niezbitą pewnik. Ale z czasem, gdy siły produkcyjne właściwe danej formie produkcji zupełnie się rozwiną, nie mogą one już pozostać w ciasnych ramach, zakreślonych im przez istniejący ustroj społeczny. Pokazują się pewne niedomagania, które ogarniają coraz szerszy zakres, sprzeczność interesów poszczególnych klas społecznych występuje w całej pełni i nastaje okres gwałtownej walki klasowej. W walce tej klasa panująca używa wszelkich środków, aby żywioły niezadowolone i dobijające się władzy pokonać, ale napróżno. Musi ona ustąpić konieczności dziejowej, panowanie jej się kończy, a na widownię dziejową występuje nowa klasa panująca. Ustrój społeczny ulega teraz radykalnej zmianie, wskutek czego siły produkcyjne, które nie mogły w poprzednim ustroju należycie się rozwinąć, występują teraz w całej pełni, wyzwoliwszy się z więzów.

I my dzisiaj żyjemy w takiej przejściowej epoce. Siły produkcyjne, wytworzone w kapitalistycznej formie produkcji, przerastają już istniejący ustrój społeczny. Walka klasowa, która jak wspomnieliśmy towarzyszy stale takim okresom przejściowym okazuje się również, ale w stopniu dotąd niewidzianym w dziejach i w nowej zupełnie postaci.

„Wszystkie dotychczasowe ruchy, były ruchami mniejszości, albo w interesie mniejszości. Ruch proletariatu jest samoistnym ruchem ogromnej większości w interesie tej ogromnej większości. Proletariat, najniższa warstwa obecnego społeczeństwa, nie może się podnieść, nie usuwając gruntu pod nogami warstw wyższych“. (Marx).

Różnice te między walkami klasowymi przeszłości, a obecną są wypływem kapitalistycznej formy produkcji. Podczas gdy w dawniejszych czasach ustrój społeczny obok tego głównego podziału na klasę posiadającą i nieposiadającą, przedstawiał pstrą mozaikę rozmaitych grup i warstw społecznych, to w ustroju kapitalistycznym przeciwieństwa między temi grupami się zacierają, całe społeczeństwo dzieli się teraz na dwie klasy: malejącą z dniem każdym burżuazję i rosnący proletariat.

Zasadniczą cechą produkcji kapitalistycznej jest to, że średnie warstwy, które dotąd wypełniały przepaść między klasą posiadającą, a nieposiadającą, coraz bardziej zanikają. Drobnny przemysł nie może się ostać wobec konkurencji wielkiego przemysłu, drobna własność ziemska upada pod naciskiem długów i podatków. Te średnie warstwy, tracąc dotychczasowe swe stanowisko, spadają do rzędu proletariatu i zasilają coraz liczniej jego szeregi.

Z drugiej strony i proletariat sam nie przedstawia już bezmyślnej masy, która znosi cierpliwie jarzmo niewoli, uważając ją za coś koniecznego. Warunki, w których nowoczesny proletariat pracuje, zrzeszona praca w fabrykach, przyczynia się do tego, że klasa pracująca przychodzi do przekonania, że na jej barkach spoczywa cały ustrój społeczny, że gdy cały proletariat ożywiony będzie jedną myślą, będzie przedstawiał siłę, której nic oprzeć się nie zdoła. Pogarszające się z każdym dniem warunki bytu, oraz większa wrażliwość na krzywdę, jaka mu się dzieje, wytwarzają tę podstawę, na której cały proletariat schodzi się i podaje sobie ręce do wspólnej pracy. Świadomość klasowa szerzy się z siłą żywiołową, większość proletariatu wie już, że nie ma nic do stracenia, a do zyskania ma świat cały. Wyrazem tej świadomości klasowej, tego poczucia potrzeby

łączności całego proletaryatu jest hasło: „Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się“, hasło które się stało wyznaniem wiary całego uświadomionego proletaryatu.

Burżuazya usiłuje naturalnie utrzymać się przy władzy wszelkimi sposobami, już to grożąc pięścią, już też w nielicznych swych jasnych chwilach robiąc ustępstwa. Lecz zwycięskiego pochodu proletaryatu, ani jedno, ani drugie nie powstrzyma. Celem jego jest zniesienie ustroju społecznego, opartego na wyzysku, zniesienie panowania klas i podziału na klasy, a zaprowadzenie takich urządzeń, któreby istniejącym siłom produkcyjnym odpowiadały i zapewniały każdemu ludzki byt. Czyż wobec ogromnej różnicy sił obu wrogich obozów i wobec dotychczasowych rezultatów walki można wątpić po czyjej stronie będzie zwycięstwo?!



KAROL FOURIER.

SZKIC HISTORYCZNY.



o, że mię ludzie wykluczali ze swojego towarzystwa, obudziło we mnie wcześniej pogardę dla nich i pchnęło do przemyśliwania nad środkiem, za pomocą którego możnaby dojść do majątku nieznaną w handlowym świecie drogą prawdy i uczciwości. — Po kilku latach udało mi rozwiązać to zadanie. Odpowiedź nań zaprowadziła mię dalej niż się sam spodziewać mogłem. Cel mój był bardzo różny od tego, jaki mają inni nowatorzy — oni żądają, aby człowiek koniecznie był cnotliwym, choćby się tem nawet na niebezpieczeństwo narażał, ja zaś badałem co zrobić należy, aby cnota przynosiła korzyści, które ludzie dziś ciągną z oszustwa i fałszu. A dalej odkryć chciałem taki stan rzeczy, w którymby tylko uczciwość chronić mogła od ruiny majątkowej, w którymby ludzie we własnym interesie musieli być uczciwymi.

Te słowa pisał w roku 1803. Francus, Karol Fourier, syn kupca, uznany tak przez ojca swojego, jako też innych „fachowców“, za niezdolnego do handlu.

Istotnie niezdolnym też był zupełnie, bo nie mógł pojąć, jakto można tanio nabyty towar bliżnim swoim za drogie pieniądze sprzedawać; jak można zły towar zachwalać jako najdoskonalszy; jak można w czasach głodu i nędzy, olbrzymie zapasy żywności w morze wrzucać po to, aby się ich cena podniosła itd. itd.

Podczas kiedy Robert Owen, organizował w Szkocyi zdumiewająco doskonałą osadę, to we Francyi, Karol Fourier przyszedłszy również do przekonania, że na świecie źle się dzieje, badał, krytykował istniejące stosunki, kreślił plany doskonałego ustroju i marzył o zaprowadzeniu go natychmiast, dla przykładu, dla zachęty, choćby tylko w jednej gminie.

„Odpowiedź zaprowadziła mię dalej, niż się tego sam spodziewać mogłem«. — Odkrył więcej, aniżeli mógł przypuszczać.

Wielcy uczeni, którzy badali wszechświat, spostrzegli, że słońca, gwiazdy, ziemie i księżyce znajdują się w ciągłym ruchu, ale ruchem tym kierują pewne stałe i ściśle określone prawa, tak, że jedno ciało niebieskie drugiemu w drogę nie wchodzi, że mimo ruchu panuje we wszechświecie harmonia, to znaczy zgodność.

Dlaczegożby życiem ludzkim nie miały kierować takie same prawa? Fourier podniósł myśl, że życie, aby być doskonałem, musi być harmonijnem. Ideał jego społeczny — to zgodność. Praw, które życiem kierować mają, aby się stało harmonijnem, nie trzeba szukać daleko — leżą one w ludzkiej naturze.

Jedną z najpierwszych potrzeb człowieka jest zajęcie, praca. Dziecko już bez zajęcia wytrzymać nie może; więzien jest najnieszczęśliwszym wówczas, gdy mu pracować nie pozwolą. Ale nie praca sama przez się pociąga człowieka — każdy czuje jakieś szczególne upodobanie w innym zatrudnieniu. Podczas gdy dla jednego najmiłszem zajęciem jest stolarstwo, to drugiemu przyjemność sprawia ogrodnictwo, trzeciemu introligatorstwo itd. Fourier spostrzegłszy to, określił, że dzieje się to na mocy prawa *a t r a k c y i*, czyli przyciągania, skłonności.

Dla człowieka, który obok innego zajęcia, w chwilach wolnych, z największą przyjemnością oddaje się tokarstwu, staje się ono męczarnią, jeżeli przyjdzie mu siedzieć przy warstacie po 14 godzin dziennie i dzień w dzień, rok w rok te same wyrabiać przedmioty. Człowiek potrzebuje odmiany, odmiany w pracy i otoczeniu — ustrój, który

ma ludzi uszczęśliwiać, musi liczyć się z tym popędem do odmiany.

Jeżeli jakiś człowiek zajmuje się ogrodnictwem, a sąsiad jego też ogrodu z szczególną dogląda troskliwością, to każdy z nich łożyć będzie wszelkie usiłowania, żeby drugiego prześcignąć, bo w naturze ludzkiej leży popęd do współzawodnictwa. Popęd ten sprowadza w dzisiejszych stosunkach wadliwą konkurencyę, oszustwa, fałszowanie towarów itd., ale w ustroju harmonijnym należy nim tak pokierować, żeby koniecznie prowadził do ulepszeń, odkryć i postępu w każdej dziedzinie pracy.

Jeżeli pewna grupa ludzi ma zamiłowanie do jednej i tej samej pracy, to zbliży ich do siebie, wytworzy wspólne interesa i przyjaźń. Człowiekowi wrodzonym jest popęd do zgodności i towarzyskości, który spaczonym został przez dzisiejsze złe warunki: potworzyły się drobne frakcye, stronnictwa, małe egoistyczne grupy — ale w doskonałym ustroju będzie on węzłem braterstwa dla wielkiej rodziny — ludzkości.

Fourier, byстрыm okiem badacza spostrzegł jeszcze inne cechy natury ludzkiej, ale wymieniliśmy te tylko, które wydawały nam się najważniejszymi.

Jeżeli skłonności, popędy i żądza człowieka nie są zaspokojone, wtedy nie może się on czuć szczęśliwym. Ażeby ludzi uszczęśliwić, trzeba stworzyć takie warunki, któreby pozwoliły na zaspokojenie wszystkich wymagań ich natury. Fourier usiłował nakreślić plan takiego ustroju.

Każdy człowiek ma upodobanie do kilku zajęć, niechże więc oddaje się tym zajęciom, ale każdemu z nich nie poświęca więcej nad 2 godz. dziennie, ażeby go nie nużyły. Przypuśćmy np., że jakiś człowiek ma zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego, do hodowli pszczoł, introligatorstwa i uprawy róż. W tej samej gminie jest dziewięć innych ludzi, którzy mają tak jak on zamiłowanie do nauczycielstwa, a oprócz tego ma każdy z nich upodobanie w innych gałęziach pracy. Tych dziesięciu ludzi będzie tworzyło seryę nauczycieli, którzy mają, jako tacy, wspólne interesa, stykają się co dzień itp., ale pracują w tym zawodzie tylko po 2 godz. dziennie. Człowiekowi nie wystarcza ograniczona grupa ludzi, on potrzebuje szerszego towarzystwa, tej potrzebie staje się zadość, gdyż po 2 godzinach pracy, każdy z nich oddaje się innemu zawodowi, przechodzi do innej seryi, pracuje tam z innymi ludźmi znowu dwie godziny, poczem chwyta się innego działu, mienia zajęcie, otoczenie,

itd. itd. Pracując w jednej seryi, np. przy uprawie jabłek, współzawodniczy z drugą, trudniącą się np. hodowlą gruszek, ale to współzawodnictwo nie prowadzi do nieprzyjaźni, gdyż z tymi samymi ludźmi, z którymi współzawodniczy, pracuje wspólnie w innej jakiejś seryi, ma na innem polu wspólne interesa, pojęcia, dążenia itd. Tak więc współzawodnictwo staje się bodźcem do ciągłych ulepszeń, a przyjaźń ma trwałe, silne podstawy.

Oprócz wyżej wykazanych warunków człowiek potrzebuje jeszcze zdrowego i wygodnego mieszkania, zdrowego i smacznego pożywienia, ładnej i dobrej odzieży itd., itd. W doskonałej gminie, która ma być wedle Fouriera jednostką doskonałego ustroju, wszystkim tym słusznym wymaganiom ludzi stanie się zadość.

Fourier sądził, że aby ludziom zapewnić dostatek, trzeba przedewszystkiem odprawić handel, to jest pośredników, przez ręce których towar przechodzi, zanim dostanie się od wytwórcy do spożywczy. Gdyby nie było tych ludzi, którzy na pośrednictwie zarabiają, to każdy towar możnaby o wiele taniej dostać, życie mniejby kosztowało, a cały szereg osób mógłby używać wygod i dostatku. To spostrzeżenie Fouriera zupełnie jest słusznem i zgodnem z dzisiejszemi naszemi pojęciami. Tylko, że my wiemy, iż dzisiejszy system handlowy jest wywołany przez produkcję kapitalistyczną, to jest przez to, że fabryki i inne przedsiębiorstwa są prywatną własnością wielkich bogaczy, a nie całego społeczeństwa, a Fourier w początku bieżącego stulecia dostrzedz tego jeszcze nie mógł i uważał handel za źródło wszelkiego zła. W doskonałej gminie nakreślonej przez Fouriera, a zwanej *falangą* jest więc handel zniesionym.

Ażeby wszystkim członkom *falangi* jak najdostateczniej-
sze życie zapewnić, trzeba wszystko jak najtaniej wytwarzać. Tanio wytwarza się wtedy, jeżeli przedsiębiorstwa są wspólne. Dziś np. każdy rolnik zwozi swoje zboże do osobnego spichlerza. We wsi więc, w której jest 400 drobnych właścicieli, kupować trzeba 400 drobnych gruntów pod spichlerz, budować 400 spichlerzy, które nie mogą być wszystkie korzystnie położone, ani starannie wystawione, tak, że się zboże w nich często psuje.

Ileby się to zaoszczędziło kosztów i ile pracy, gdyby zamiast 400 małych, wystawiło się jeden olbrzymi spichlerz, który mógłby być wybudowany starannie i odpowiednio i w którym plony nie byłyby narażone na zepsucie.

Gmina Fouriera, falanga, jest komunistyczną, hasłem w niej: każdy podług swoich sił, każdemu podług jego potrzeb. Wytwory wspólne oddaje się do wspólnego składu, a stąd wprost przechodzą one do spożywców.

Jeżeli we wsi jest przypuścmy 400 rodzin, to budują one 400 chat, co wymaga tyle kosztów i pracy, że o wodociągach, salach do zebrań, łazienkach, czytelniach itd. myśleć im nawet nie wolno — gdyby wybudowali jeden wielki gmach, mogliby bez większego nakładu kosztów, ani pracy mieć dostatnie i piękne mieszkanie. Dlatego wszyscy członkowie falangi, a może ich być do 2000 osób, mają mieszkać we wspólnym gmachu, zwanym falansterem. W falansterze na niczem nie zbywa, są tu wodociągi, łazienki, sale, a komunikacja jest bardzo ułatwioną, gdyż kryte, a piękne kurytarze przeryniają budynek we wszystkich kierunkach i w czasach słoty zastąpić mogą miejsce przechadzek.

W czasach, kiedy Fourier plan swój kreślił, wydawać się musiało umieszczenie kilkuset rodzin w jednym gmachu rzeczą niepodobną do przeprowadzenia, a życie w takim gmachu niekoniecznie przyjemnem. Kto dziś jednak widział olbrzymie hotele wielkich stolic świata, jak Berlina, Paryża i Brukseli, temu się myśl ta wcale tak dziwną nie wyda. W tych hotelach znajdzie kilkaset rodzin umieszczenie odpowiadające najróżnorodniejszym upodobaniom: są tu mieszkania spokojne i zaciszne, lub wesołe i bardziej ożywione, są czytelnie, sale balowe, nawet ogrody zimowe, teatry i piękne, wykwintne, zimą ogrzewane kurytarze — pomysł Fouriera nie jest więc tak dziwacznym, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło.

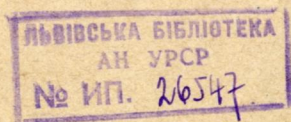
Przypuścmy, że w falansterze mieszka 500 rodzin, gdyby te 500 rodzin chciały prowadzić osobne gospodarstwa, to trzebaby budować 500 kuchni, stawiać 500 pieców kuchennych, codzień w tych 500 piecach palić i 500 kobiet odrywać od innych, przyjemniejszych może dla nich zajęć. Dla zaoszczędzenia więc tak kosztów jak i pracy, ma w falansterze być jedna wspólna kuchnia, jak w wielkich hotelach, a w pracy około niej mieniać się będą serye złożone z ludzi mających upodobanie w tem zajęciu.

W rodzinie, w której są dzieci, trzeba żeby albo ojciec, albo matka, albo jakaś inna osoba cały swój czas doglądaniu i wychowaniu ich poświęcała. Gdyby w każdej rodzinie jedna dorosła osoba poświęcać się musiała dzieciom, to ileżby rąk ubyło od innej produktywnej pracy, ileż osób byłoby pozbawionych zajęć, do których czują upodobanie,

a ile osób nieuzdolnionych trudnić by się musiało wychowaniem, na czemby dzieci najwięcej może cierpiały. Dla uniknięcia tego, dzieci całej falangi wychowują się razem. Grupy równego wieku, oddaje się na cały dzień do osobno w tym celu utrzymywanych wielkich, czystych i jasnych izb, w których zajmują się niemi osoby, mające w tem upodobanie, a zmieniające się co 2 godz. Dzieci od pięciu lat bawiąc się, pracują produktywnie. Pomagają w kuchni, przy tem uczą się rozpoznawać jarzyny, to je zaciekawia, zaglądają do warzywnego ogrodu, dowiadują się od starszego dziecka jakiego szczegółu z botaniki, przykład jego zachęca do bliższego poznania się z botaniką, w tem celu okazują ogromną chęć do nauki czytania itd., itd. Wogóle cały system wychowawczy jest na to skierowanym, żeby w dzieciach obudzić ciekawość do nauki, żeby ona nie była im nakazaną, narzuconą, ale upragnioną przez nie.

Falanga przedstawia więc mniej więcej następujący obraz: Olbrzymi falanster, w którym znajdują się mieszkania, sale zborne, kuchnia, pralnia, rękodzielnie, (przemysł fabryczny nie był jeszcze podówczas we Francyi rozpowszechnionym), i składy, dalej plac wolny, za nim ogrody, sady, pola, łąki i lasy. Mieszkańcy falansteru, nie wyłączając dzieci, wstają o świcie i każdy oddaje się temu zajęciu, które mu jest najmilszem, i które mu sprawia przyjemność. Odmiana otoczenia i zajęcia nie daje odczuć znużenia i utrzymuje świeżość umysłu. Praca w falandze nie tylko jest przyjemną, ale i owocną w najwyższym stopniu, gdyż zapewnia każdemu życie tak zbytłowne, na jakie pozwolić sobie nie może największy bogacz w dzisiejszym ustroju społecznym.

Fourier opisuje tę swoją osadę do najdrobniejszych szczegółów. Myśmy podali plan jej w ogólnych zarysach i tak też przedstawia się ona najpoważniej — szczegóły, które Fourier kreśli, wydają się dzisiejszemu czytelnikowi, dojrzałemu socjaliście, tak dziwne, tak naiwne i niedojrzałe jak rojenia niedowarzonego chłopaka. Np. wiedząc, że skłonności ludzkie należy wyzyskać dla dobra społeczeństwa, pozostawia szerokie pole ludzkiej próżności. Dla zadośćuczynienia jej, wymyśla najrozmaitsze rangi, tytuły np. „magnata globu ziemskiego“, i odznaki, zachowuje godności królów, sułtanów i cesarzy, chociaż oni właściwie w harmonijnym ustroju nic do czynienia nie mają, każe otaczać ich należnym szacunkiem, im zaś każe chylić głowę przed dziewczyną lub chłopcem, którzy do pewnego wieku ślubowali czystość, lub przed dzieckiem pracującym, co ich ma w dumę



wprawić i być dla nich silnym bodźcem do wytrwania na drodze cnoty i pracy.

Jak bardzo dojrzałość myśli ludzkiej zależy raczej od czasu w którym się żyje, aniżeli od osobistych zdolności — na to dobitnym dowodem być może Fourier. Człowiek szeroko uzdolniony, bystry badacz, znający życie ludzkie do najdrobniejszych szczegółów, kreślący plany, które nas dziś zdumiewają, ma obok genialnych, pomysły zadziwiająco nie-dojrzałe i utopistyczne. Np. chcąc wyzyskać upodobania ludzkie dla dobra społecznego tak rozumuje: Ponieważ dzieci lubią się babrać, a są roboty niektóre, które starszym zupełnie przyjemności sprawić nie mogą, jak czyszczenie kanałów, usuwanie spustoszenia po burzy itd., itd., to dzieci czynić to mają. Wogóle najcięższe prace kładzie na dziecinne barki w tem przekonaniu, że świadomość, iż są użyteczne, przepełni je dumą i że okazywane im przez starszych oznaki szacunku należnego pracy, będą im sowitą nagrodą.

W końcu spotykamy u Fouriera to co u Owena — głęboką wiarę, że ludzie jak zbawienia chwycą się jego planu. Fourier codziennie o oznaczonej godzinie czekał w mieszkaniu swoim na bogacza, któryby natchniony jego wielkimi pomysłami, przyszedł dobrowolnie ofiarować mu milion franków na urządzenie pierwszej falangi...

Ten rys ta wiara w szlachetność ludzi, przejawiająca się u wszystkich niemal utopistów, ma rzewny jakiś charakter...

— Dlaczego jeżeli pokazuję ludziom drogę do takiej szczęśliwości, jakiej nikt, nawet najmożliwiejsi w dzisiejszem społeczeństwie uzyskać nie mogą, dlaczego nie mają przyjść i chwycić się tego z zapałem? — pyta każdy młodzian nieotarty w świecie, pyta socjalizm młodzieńczy nie mający po za sobą ciężkich prób i nauk.

Na to pytanie odpowiedzieć miały dopiero późniejsze dzieje.

Helena Rawska.



Niewidzialni wrogowie.

(Dokończenie).

Jak już wspomnieliśmy, udało się dopiero ostatnimi czasy stwierdzić, że sprawcami najstraszniejszych chorób, których ofiarą padają całe masy ludności, są bakterye. Tyfus, cholera i dyfterya grasują epidemicznie i rzucają setki ludzi

na łożę śmierci. O wiele groźniejszymi są jednak suchoty, które olbrzymie wprost ogarniając masy, przybierają formę choroby społecznej, tem straszniejszej, że trawi organizm powoli, uśmiercając komórkę po komórce, tkankę po tkance, aż organizm we wszystkich swych posadach wstrząśnięty i osłabiony, w pył się rozpada.

Na czemże polega zabójcze działanie bakterii? Oto bakterie chorobotwórcze wniknąwszy do organizmu i zastawszy tu podstatkiem pożywienia, atakują komórki ciała i rozpoczynają z niemi walkę, z której prawie zawsze wychodzą zwycięzko. A zwycięztwo ich oznacza zagładę organizmu. Siedliskiem ich są poszczególne narządy, jak przewody oddechowe i błony śluzowe (przy dyfteryi), płuca (suchoty), jelito (tyfus, cholera), kości nawet, najczęściej zaś naczynia krwionośne. Gdy wpadną do krwi, gromadzą się porwane prądem do naczyń włoskowatych, tu ilość ich przy obfitem pożywieniu tak dalece wzrasta, że te naczynia zupełnie zatykają i temsamem pewną grupę komórek od reszty organizmu odcinają. Teraz komórki zamknięte uledz muszą bakterjom, przypływ krwi niezbędnej do wymiany gazów jest niemożliwionym, komórki tedy giną z braku pokarmu, nowe w ich miejsce powstać nie mogą i w ten sposób cała tkanka obumiera. Produkcya ptomain proces zagłady tylko przyspiesza. Komórki więc w przeważnej liczbie wypadków bakterjom ulegają, lecz nie bez walki.

Niedawno postawiona przez byłego profesora odeskiego, a obecnie jednego z kierowników instytutu Pasteura w Paryżu, Miecznikowa, teoria fagocytów, bliżej nam pozwala charakter tej walki zrozumieć. Według tej teorii fagocyty, czyli białe ciała krwi, w razie napadu bakterii na organizm, spieszą w stronę zaatakowaną i pożerają bakterie, gdy jednak są w mniejszości, giną i służą zwycięzcom za pokarm. Im więcej zatem kto ma białych ciałek we krwi, tem dłuższy opór bakterjom stawić może.

Teoria Miecznikowa rzuca także pewne światło na to ciekawe zjawisko, że różne indywidua w sposób różny na działanie bakterii reagują. Jedni chorobie szybko ulegają, drudzy ją przewyciężają, są wreszcie tacy, którzy jej wcale nie podpadają. Powiadamy, że zależy to od indywidualnej dyspozycji jednostek, od ich większej lub mniejszej odporności, na czem jednak choć pod jednym względem odporność ta polega, dotychczas nie wiadano.

Czy jednak fagocyty bronią organizmu, czy inne jakies elementy w ciele, to zdaje się żadnej nie ulegać wątpliwo-



ści, iż sposób odżywiania się najważniejszą odgrywa rolę. Oto co pisze w tej mierze znany z badań bakteriologicznych profesor monachijski Emmerich w swoim dziele „Die Natur der Schutz- und Heilssubstanz des Blutes“: „Dawno jest to wiadomem i niezbiecie stwierdzonem, że zgłodzony lub źle odżywiany organizm więcej jest dysponowany dla chorób zaraźliwych i tymże o wiele łatwiej ulega, niż ciało należycie odżywiane“. A przedstawivszy dalej, że nadzwyczaj ważny dla odporności organizmu względem bakteryi składnik krwi „serumalbumin“ przy złem odżywianiu się całkowicie znika, powiada, że zgłodzony organizm stracił wszelką broń do walki z bakteriami patogenicznymi. Głód jest więc czynnikiem rozszerzającym zarazę. Z tego wynika, że dla zapobieżenia chorobom zakaźnym nie tyle wystarcza starać się o assanacyą gruntu, o dostarczenie dobrej wody do picia itd., ile o dobre i obfite pożywienie dla ludu, o podniesienie jego odporności względem chorób.

Gdy jednak bakteryom się uda pokonać opór komórek ciała i w następstwie tego choroba wybucha, to rady nie ma prawie żadnej. Medycyna wobec tych drobnych wrogów w przeważnej części chorób stoi zupełnie bezradna. Jedynie, co uczynić możemy, jest starać się, by bakterye poza obrębem naszego organizmu zniszczyć i im wstępu do nas zabronić.

Znajomość środków odpowiednich opierać się musi na znajomości dróg, któremi zarazki choroby do ciała naszego dostać się mogą. Oto bakterye, zawarte w kale, plwocinach lub innych wydzielinach człowieka, daną chorobą nawiedzionego, przeniesione być mogą przez nieostrożność na pokarmy, często nieczystości z kloaki przeciekają przez szpary do pobliskiej studni i zarażają bakteryami wodę do picia, lub też wreszcie zarazki z gruntu wysuszonego unoszą się w powietrze i przez przewody oddechowe wędrują do organizmu. Aby więc szerzeniu się choroby zapobiedz, stosować należy środki dezinfekcyjne. Przedewszystkiem należy wszelkie wydzieliny chorego i wszystkie przedmioty, pozostające z niemi w zetknięciu uwolnić od bakteryi tj. bieliznę, odzież, naczynia itd. Istnieją trzy metody dezinfekcyi: 1) przez suche gorąco, 2) przez gotowanie lub przepuszczenie prądu pary wodnej i 3) przez trujące czynniki chemiczne. Odzież i bieliznę dezinfekcyonuje się przez gotowanie lub prąd pary wodnej, to też istnieją we większych miastach osobno do tego celu przystosowane przyrządy. Ręce zaś, naczynia i wydzieliny oczyszcza się

zapomocą czynników chemicznych. Do najpospolitszych z nich należą: sublimat, kwas karbolowy, chlorek wapna itd. Jedna część sublimatu na 10.000 części wody już działa zabójczo na bakterye w roztworze 1:5000 nawet spory po pewnym czasie giną. Szczególnie skutecznym na wydzieliny i plwociny chorego jest kwas karbolowy, którego 3 części na 100 części wody niszczy bakterye w stanie wegetatywnym, a 5:100 nawet spory.

Środki dezynfekcyjne są więc ważne, jako środek przeciwko rozszerzeniu wybuchłej już choroby. Ale jedynym skutecznym środkiem wogóle przeciw powstawaniu chorób, jest podniesienie stopy życiowej uboższej ludności i spotęgowanie temsamem jej odporności.

Wspomnieć jeszcze należy bodaj w kilku słowach o szczepieniu ochronnem, które jednak dotychczas tylko w nielicznych chorobach, jak w czarnej ospie i wścieklicznie, pomyślnie wydało rezultaty, a które również zmierza do zwiększenia odporności organizmu. Szczepienie ochronne polega na tem, że wprowadzamy do organizmu bakterye właściwe chorobie, przeciw której organizm odpornym uczynić chcemy. Przedtem jednakże należy jadowitość tych bakteryi przez sztuczną hodowlę osłabić, tak, że wprowadzone do organizmu, tylko lekką wywołują chorobę i wkrótce giną z powodu niekorzystnych warunków, które same swem działaniem w organizmie wywołują. Tymi elementami szkodliwymi dla rozwoju bakteryi organizm się niejako nasycza tak, że gdy bakterye tej choroby o silnej nawet jadowitości do organizmu się dostają, znajdują tamże warunki dla siebie niepomyślnie i w walce z komórkami ciała ginąć muszą.

N. S.



ZAPISKI LITERACKIE.

Andrzej Niemojewski. Z cyklu »Polonia Irredenta« — *Podziemia*. Kiedy burżuazya, zaślepiona swem uprzywilejowaniem stanowiskiem na świecie, chce wszędzie, w każdej dziedzinie ludzkiej kultury, stać na świeczniku i siebie tylko uważa za ideał opiewania godny, a z dumą i pogardą odpycha od siebie każdego, kto śmie przedstawić światu ideał nowy, ideał prawdziwej ludzkości; kiedy nie chce zrozumieć, że ona w swej niemości moralnej nie zdolna już więcej obudzić prawdziwego natchnienia: to lud robotniczy, świadom praw dziejowych, z radością wita piewę, który u niego czerpie natchnienie, który odgadując jego myśli, czując jego chęci, tworzy pieśni ponure a wzniosłe, gdzie koi cierpienia i zarazem zapala serca do walki, prorocze słowa przepowiadając zwycięstwo.

Takim piewcą jest Andrzej Niemojewski, takim jest nowy zbiór jego poezji „Podziemia“.

Jak już sam tytuł wskazuje, zstąpił poeta do ciemnych kopalni i w 12 pieśniach skreślił ponury obraz życia podziemnego.

Otwiera przed nami bramy tych piekielnych czeluści, przedstawia nam obrazowo ten świat, gdzie tak samo, jak na górze »wre głucho bój zysku zacięty«. A kiedy potrafi o strunę ponurą, kiedy każe nam patrzeć na nędzny los tego »nieznanego tłumu«, który »w ziemi głęboko«, zdala od ożywczych promieni słonecznych ciężko pracuje, narażony co krok na niebezpieczeństwa takie, jak wybuchy niszczących gazów, zapadanie się poziomu lub zalanie wodą, grzebiące setki ofiar »w mogile ponurej« — to muszą być serca z kamienia, by nie odezwało się w nich współczucie dla tego nowożytnego Tantalą, o którym poeta mówi:

»Daremnie się chyli z rozpaczą człowieka
Nad bogactw płynącym strumieniem.
Tantalą! twe oczy mgła mętna powleka,
Daremnie chcesz czerpać! Nurt z hukiem ucieka
Od wargi spalonej pragnieniem!«

Lecz poeta ma także słowa otuchy dla tych cierpiących mas. Pro-roczemi usty przepowiada koniec temu światu, który »toczy się po pochylni, aż tam się roztrzaska na dole«, aż wreszcie »dzień zwycięży nad nocą«.

Dlatego ostatnia pieśń: »Dom zborny« jest gorącą odezwą do ludu roboczego. Niechaj wszyscy jak jeden mąż staną do »domu zbornego«. Tutaj »rzucimy pytanie dziejowej idei, stąd jedną pójdziemy w świat drogą!«

Takie są pieśni Niemojewskiego, a nie są to pieśni wylęte w bujnej fantazyi poety, lecz jest to mistrzowską dłonią prawdziwe skreślone życie i nie winna to poety, że z pod jego ręki takie wychodzą obrazy.

J. R.

Wiaczesław Budzynowski: „Chłopska posilist w Hałycynie i nowoczasni suspilno-reformatorski zmahania“. Lwów 1895. Ze wszystkich gałęzi nauki, ekonomia polityczna znajduje się u nas niewątpliwie na najniższym stopniu. O większych teoretycznych pracach ekonomicznych niema nawet mowy. Co się tyczy stosunków ekonomicznych kraju to nimi zajmowała się do niedawnego czasu wyłącznie grupa, skupiona w wydziale krajowym pod przewodnictwem prof. Pilata, tudzież kilku profesorów uniwersyteckich. Dla szerszej publiczności znajomość tych stosunków była wprost niedostępną i tem też da się wytłómaczyć, że za poważnego pracownika na polu ekonomii uchodzi u nas taki Dr. Leopold Caro i że blagierskie wywody p. Szczepanowskiego znajdują liczną publiczność, która słucha ich z nabożeństwem, widząc w nich »ostatni wyraz nauki« oraz proroczą zapowiedź pięknej przyszłości.

Wobec tych stosunków nie dziwnego, że ze szczerą radością przyjmujemy każdą pracę, która niema na celu tendencyjnego przedstawiania położenia ekonomicznego kraju w dobrym świetle, która nie poczytuje sobie za obowiązek bronić interesów szlachty i utożsamiać je z interesami kraju, ale która opierając się na znajomości faktycznego stanu rzeczy, z całą bezwzględnością odkrywa tę jęczącą się ranę, jaką jest życie ekonomiczne Galicyi, bez obawy wskazuje na tych, którzy tę ranę zadali i stara się rozpatrzeć wszystkie środki proponowane do jej uleczenia.

Wszystkie te zalety wykazuje w wysokim stopniu praca p. B. Autor zaczyna ją skreślaniem strasznego położenia chłopów galicyjskiego i historii jego martyrologii od r. 1848. Opierając się na bogatym materiale statystycznym wykazuje, że już sama reforma z r. 1848. zawiązała przyczyny obecnego upadku drobnej własności, wymierzając poszczególnym właścicielom zbyt mały obszar, tak że przeszło 94% wszystkich właścicieli posiadało grunt mniejszy niż 20 morgów. Ale i ten obszar wskutek znanych i osławionych praktyk szlachty w sprawie »lasów i pastwisk« został jeszcze bardziej okrojony. Jeżeli dodamy do tego procedury serwitutowe, z których na 32.000, chłopów przegrali 30.000, a więc musieli ponosić ich koszty, dalej nierównomierne opodatkowanie chłopów i szlachty, wskutek czego pierwsi płacą o 681.000 zł. rocznie za dużo, wreszcie zniesienie propinacyi, które kosztowało chłopów 13½ mil. zlr., to będziemy sobie mogli zupełnie jasno zdać sprawę z tego, kto spowodował dzisiejsze straszne położenie chłopów, kto pchnął go w ramiona lichwiarza i kto zmusza go do porzucenia gruntu i ucieczki do Rosyi lub za morze. Te wywody a zwłaszcza opis obecnego położenia chłopów jest niewątpliwie najlepszą częścią pracy p. B.

W drugiej, znacznie słabszej, części swej broszurki rozbiera autor projekty reform społecznych mających na celu zaradzenie upadkowi drobnej własności. Najpierw przedstawia swój program ogłoszony w „Narodzie“ z r. 1891. Dla scharakteryzowania tego programu wystarczy przytoczyć to, co autor o nim mówi, mianowicie, że »zawiera wszystkie te dążenia, które pojawiły się w programach różnych partij i w ustawodawczych projektach rozmaitych ciał parlamentarnych« (Str. 53). Lepsze określenie tego programu, aniżeli podane przez autora, który uważa poszczególne jego punkta za zbieranie z rozmaitych programów jest niemożliwe. Po skreśleniu działalności »Kółek rolniczych« i »Narodnej Torhowskiej«, których znaczenie autor — zdaniem mojem nadzwyczaj przecenia, przechodzi on do omówienia reform proponowanych przez rządy i zbywa zbyt krótko projekt austriacki »o włościach rentowych«, tem szerzej natomiast rozwodzi się nad projektem węgierskim, na mocy którego poszczególni właściciele mieliby się łączyć w celach ujednolajnienia uprawy roli a rząd miałby dostarczać poszczególnym gminom maszyn za pewną opłatą. Wniosek taki dla Galicyi niema wielkiego znaczenia wobec tego, że na długich i wąskich zagonach chłopskich o rozmaitej jakości gruntu i porzucanych w rozmaitych stronach, użycie maszyn na wielką skalę jej niemożliwe. Sam autor zresztą przyznaje, że projekt ten dla Galicyi niema najmniejszego znaczenia. (Str. 75). Przechodząc do projektów soc. demokratycznych podnosi ten często przez samych socjalnych demokratów stawiany zarzut doktrynerstwa i nieznamośności stosunków. P. B., nie szczędzi — niestety nieraz bardzo słusznych — zarzutów partji, chociaż mógł na jej usprawiedliwienie przytoczyć to, czem usprawiedliwia niejasność programu partji radykalnej ruskiej, że »dopiero zaczęła pracę, to też nie można od niej żądać, żeby program jej był już w najdrobniejszych szczegółach obrobiony. Obrobi go sam ruch, a najlepszą szkołą będzie dla nas doświadczenie« (Str. 115).

Nakoniec kreśli autor projekt programu partji ruskiej radykalnej. Zastregając sobie na później prawo obszerniejszego omówienia tego projektu poprzestaje na uwadze, że autor zupełnie nie uwzględnił znaczenia konkurencyi zamorskiej, która może zmusi Europę do porzucenia uprawy zboża i do wzięcia się do innych rodzajów uprawy np. jarzyn, następnie zapomina zupełnie o różnicy między programem minimalnym, a maksymalnym. Pierwszy zawiera u niego np. takie żądanie, jak wykupno gruntów, należących do wielkich właścicieli i oddanie w dzierżawę chłopom.

To jest możliwem tylko wtedy, gdy władza polityczna będzie w rękach klasy pracującej, a wtedy już nie trzeba programu minimalnego, który jest programem na dziś i zawierać powinien tylko te żądania, jakie już obecnie lub w najbliższej przyszłości mogą być zrealizowane.

Taka jej mniej więcej treść pracy p. B. Napisana ona jest z wielką werwą i z prawdziwą miłością dla gnębionych i wyzyskiwanych. Rażą nas tylko niektóre zwroty, które autor widocznie uważał za dowcipne, a które tylko obniżają wysoki poziom etyczny jego pracy. Jeżeli np. p. B., który się mieni »uczniem genialnego Marksa« (Str. 92), zarzuca proletaryatowi »manję wielkości« (Str. 118), to możemy to położyć na karb tej samej konsekwencji, która skłania go do stawiania projektu programu społecznego i oświadczenia o kilka karteń dalej, że projekt ten w obecnych stosunkach nie ma dla Galicyi żadnego znaczenia. Znaczenie Marksa dla socjalizmu polega nie tyle na jego teorii wartości, albowiem i bez niej socjalizm naukowy mógłby istnieć, ile na jego teorii rozwoju społecznego, której szkic znajdują czytelnicy w 1. i 2. nrze „Światła“ p. t. „Materjaliistyczne pojmowanie dziejów“. Proletaryat, zdaniem Marksa, jako wytwór kapitalistycznej produkcji jest tą siłą, powołaną do przetworzenia ustroju społecznego. Nie uznawać tej historycznej misji proletaryatu, a równocześnie nazywać się »uczniem genialnego Marksa« bardzo trąci manią wielkości — ale nie ze strony proletaryatu... Do takich zwrotów należy także zdanie o papieżach socjalno-demokratycznych Engelsie I. i Marksie I., które się samo dostatecznie charakteryzuje.

Mimo tych braków praca p. B. stanowi cenny nabytek w naszej literaturze ekonomicznej. Pierwszym warunkiem racjonalnej pracy agitacyjnej na wsi jest znajomość istniejących stosunków. Do wprowadzenia do takiego studyowania stosunków agrarnych Galicyi, praca powyższa p. B. obok drugiej jego pracy p. t. „Agrarne stosunki Galicyi“ nadaje się znakomicie. Z tego też powodu polecamy ją naszym czytelnikom, jak najgoręcej.

—jt.

N O T A T K I.

Nędza w Paryżu. Jedno z najbogatszych miast na świecie, w którym masy próżniaków opływają w zbytku i rozkoszy, liczy w swoim łonie 41.984 żebraków.

Hygiena społeczna. Dr. Mesnil, sekretarz francuskiego komitetu higienicznego, przytacza bardzo ciekawe statystyczne dane o śmiertelności w stosunku do ilości zamieszkiwanych pokoi. Na 1.000 mieszkańców, których mieszkanie składa się z

1 pokój umiera	163.5	3 pokoi umiera	7.5
2 pokoi	22.5	4 „ „	5.4

W jakich warunkach znajduje się klasa robotnicza w Brukseli widzimy z tego, że

cały dom zamieszkuje	431 rodzin
3 pokoje	1.371 „
2 pokoje	8.058 „
1 pokój	6.976 „
Strych	2.186 „
Piwnice	200 „

Połowa więc robotników skazana jest na trzydziści przeszło razy większą śmiertelność, aniżeli klasy uprzywilejowane.

—tz.

FEJLETON.

Z CYKLU WIERSZY

p. t.

J A N I N A.



Odgłosem surm, zagłuszyć serca żal
Pochować ból w topieli grzmiących fal,
Chciałbym swą jaźń schorzałą i znużoną
Złożyć już raz na niepamięci łono.

Przed sobą wciąż jej bladą widzą twarz
Czuję, jak dreszcz, ów pierwszy uścisk nasz,
I w uchu mem jej słowa grają tylko
Zmarł dla mnie świat i żyję wrażeń chwilą.

Czyż serce me już skrzepło jako głąz,
Nie pomnęż krzywd i nędzy szarych mas,
Nie mogęż czuć i cierpieć z ludym całym
Jakżem dziś jest — nikczemnym, złym i małym.

Pragnąłbym wstać, lecz nie mam więcej sił,
Namiętność jad wsączyła do mych żył,
A wola ma bez hartu i podpory
Czeka na grom, jak dąb stoczony, chory.

Z.



Lasy i pastwiska.

(Opowiadanie byłego plenipotenty.)

(Dokończenie).

— Co my zrobili? — krzyczą oni. — Tu coś nie tak, tu coś złego. — Czy nie przyprowadził tylko nas pan na jakie nieszczęście. On zapisał nie tylko wszystko swoje bydło, ale i to nasze, co schowane w lesie, i komisya tam pojechała!

My ośłupieli, usłyszawszy takie dziwo. Zaraz zebrali się razem i pobiegli do lasu. Komisji już nie było. Pytamy pastuchów: byli, mówią, panowie i nasz dziedzic, coś pisali, liczyli bydło, ale nas nie pytali o nic. — My do wsi, mówią nam, że komisya wyjechała już ze wsi boczną drogą. My ruszyliśmy za nią, dopędzili aż w drugiej wsi. Tak i tak, — mówimy — to panowie nasze bydło liczyli w lesie.

— Jak to może być wasze, kiedy wy sami powiadali, że więcej bydła nie macie i w lesie nie pasiecie?

— My tylko tak mówili, pan nam tak poradził.

— To czegoż teraz chcecie, ażeby my drugą konskrypcję u was robili, czy co? Bądźcie zdrowi! Coście zrobili, to będziecie mieli. Co napisane, to przepadło. A zresztą wolno wam rekurować, ale mówimy wam naprzód, że rekurs nie nie pomoże, a tylko jeszcze sami dostaniecie się do kryminału za to, że oszukaliście cesarską komisję.

Z tem my wrócili się. Przepadło — powiedzieliśmy — zobaczymy co z tego będzie.

Czekamy rok, drugi — nie ma niczego. Pan znów na dobrej stopie z nami, tylko, jak kiedy wspomnieć o konskrypcji, to uśmiecha się i mówi: „Et! żart i nie więcej!“

Aż tu na trzeci rok — słyszymy, jakaś komisya jedzie do wsi, pastwisko rozmierzać.

— Co u licha — myślimy sobie, to co, za czem, po co? Pastwisko nasze od wieków, po co go rozmierzać? Prawda, my ostatniemi laty podzielili jeden kawałek między gminę i zorali; myślimy sobie, może to przyjechali wymierzyć, ile my zorali, a ile się jeszcze zostało. A komisya prostu do dworu; zjedli obiad, a potem na pastwisko. Rozłożyli mapę, pan sam z nimi chodzi i pokazuje: ot ztąd ciągnie się dotąd, a to oni zorali.

Podeszliśmy do tej komisji, kłaniamy się zdaleka, przystąpili bliżej, znów kłaniamy się, a komisya ani w ten bok się nie patrzy. Dalej wójt ośmielił się i mówi:

— To, proszę panów, nasze pastwisko, na co wy go mierzycie i palami rozdzielacie?

— A ty co za jeden? — pytają panowie.

— Ja wójt gminny.

— Nu, to dobrze, odpowiedzieli i dalej swoje robią. Oddzielili palikami ten zorany kawałek osobno, a resztę znów osobno. My chodzimy już za wójtem i patrzymy się, ale co oni mówią, tego nie wiemy, bo po niemiecku szwargoczą. Skończyli i siadają na bryczkę. Wójt za nimi,

nie puszcza ich, lecz ciągle dopytuje się. Wówczas jeden staje na bryczce i mówi do nas.

— Wy ludzie widzieli, jak komisya mierzyła pastwisko?

— Ta widzieliśmy — mówimy.

— I widzieli, jak paliki biła?

— I to widzieli.

— I wiecie, że tamto tam — pokazał na zorany kawałek — to wasze, a to tu pana.

— Ha? co? jak? — krzyknęli my wszyscy jakby oparzeni, i do komisyi. Komisya w nogi.

Na drugi dzień pędzą pastuchy bydło na pastwisko, a tam pańscy słudzy. „Marsz stąd, to pańskie pastwisko nie waź się i nogą tu stąpić!“ Pastuchy zawrócili bydło, pędzą do lasu, a tam pańscy gajowi i hajducy. „Marsz stąd, las pański, nie śmiej i za rów postąpić nogą“. Pastuchy-dzieci w płacz; pędzą bydło znów do domu. Gwałt, krzyk we wsi, jakby kto całą wieś z wszystkich czterech stron podpalił. Co tu robić? Kobiety krzyczą: My z kociubami pójdziemy i tym pańskim sługom głowy porozbijamy. Ale starsi ludzie jakoś je uspokoili i zaraz wybrali kilkunastu, ażeby pojechali na naradę do Lwowa, do adwokata. Wybrali i mnie. Pojechaliśmy, wyszukali adwokata, Rusina, zasłużonego mówią, szczerego. Przyszliśmy do niego, mówimy: Taka i taka sprawa. „Cóż, mówi, będziemy rozpoczynać proces. Postarajcie się o świadków, akta, pieniądze, a tymczasem zachowujcie się spokojnie, bo wszelki bunt tylko zaszkodziłby sprawie.

— Ależ panie — mówimy mu — jak nam zachowywać się spokojnie, kiedy nie ma gdzie bydła wypędzić. Ta bez paszy bydło na pniu zginie!

— Ha — mówi adwokat — cóż ja wam mogę na to poradzić? Jak wygramy proces, to pan będzie musiał zwrócić wam całą szkodę, a teraz radźcie sobie, jak możecie.

Z tem my poszli. Rozpoczął się proces. Ileśmy pieniędzy na niego wydali, Pan Bóg jeden wie. Ja naliczył samemu adwokatowi i na stemple coś więcej niż siedemset guldenów. Gmina ciągnęła się z ostatniego, choć jak jej to trudno przychodziło. Bo las i pastwisko pozostało w pańskich rękach i my musieli większą połowę bydła za pół darmo wyprzedać, bo nie było czem karmić. Reszta tłukła się — i do dziś tłucze się — po zarinku, gdzie chyba gęsi paść się mogą, na odłogu lub po ogrodach. Sady nasze przez to poniszczyły się, pasieki opustoszały, a bydło chodzi skóra tylko i kości.

Siedem lat ciągnął się nasz proces, a to tak, jakby kto przez siedem lat z gminy żyły ciągnął. Zeszli my przez ten czas na niwec, a do pana całkiem nie chodzimy, zawzięli się. Pan tak samo. Już w jakich my sądach, w jakich instancjach nie byli! I w cyrkule, i w gubernii, i w ministerstwie, i Bóg wie gdzie. I zawsze w jednej instancji przegramy — rekurujemy; w drugiej wygrywamy — pan rekuruje, a końca, jak nie ma, tak nie ma. Aż nareszcie — sława Ci Panie Boże! — doczekaliśmy się. Przychodzi woźny przynosi nam rezolucję z ministryum. Tak i tak, ażeby rozstrzygnąć spór między gminą a dworem, wyznaczono gubernialną komisję, która na spornem miejscu ma wszystko oglądać, przeglądać dokumenty, przesłuchać świadków i wydać ostateczny wyrok. Dla tego też obie strony obowiązane są tego i tego dnia stawić się na miejscu spornem z całym materiałem dowodowym. Wyrok tej komisji będzie bez apelacji potwierdzony i wykonany. Nu, sława ci Panie Boże! pomyśleliśmy sobie. Teraz zapewne będziemy mieli słusność, kiedy komisya będzie na miejscu sądzić. Tu każdy będzie mógł powiedzieć, co wie, każdego wysłuchają i w takim razie muszą przyznać, że słusność po naszej stronie.

Pan nasz otrzymawszy taką rezolucję bardzo posmutniał i spuścił nos, ale dalej, widać coś namyslił się, siadł na bryczkę i do Lwowa. Gdzie on jeździł nie wiedzieć, ale nasi dwaj ludzie, którzy byli wówczas we Lwowie, mówili, że widzieli go idącego z naszym adwokatem. Rozumie się powiedzieli wówczas, gdy już było po wszystkim! Dość tego, że po dwóch czy trzech dniach przyjechał nasz pan ze Lwowa już weselszy, a nawet uradowany. Dziwimy się, ale nie wiemy, co to ma znaczyć.

Poszli i my do swego adwokata. Ucieszył się bardzo. „Wygrywamy sprawę“, mówi. — „Ja sam — powiada — stanę z wami na miejscu sporu przed komisją. Ale dzień przedtem przyjedźcie tu do mnie: wójt, plenipotenci, świadkowie, przywieźcie papiery, jakie macie, z sobą, bo trzeba przejrzeć, poradzić się. Wiecie tak jak przed bitwą przygotowują się, tak i nam trzeba przygotować się. Przyjedźcie rano, to ja powiem każdemu, co i jak ma mówić, bo wiecie, sprawa zawikłana, a popołudniu na wóz i pojedziemy do wsi, ażeby na oznaczony czas być na spornem miejscu“.

Posłuchali my jego rady, jeszcze dziękujemy. Zebrali się wójt, dwaj plenipotenci i trzech najstarszych gospodarzy we wsi, jako świadkowie, zabrali wszystkie stare papiery, jakie były u kogo i pojechali o północy do Lwowa, w dzień

przed przyjazdem komisji do wsi. Przychodzimy rano do adwokata — nie ma go w domu, gdzieś wyszedł, ale zaraz przyjdzie, proszą poczekać. Czekamy, czekamy, nie ma adwokata. Już dziesiąta, jedynasta, dwunasta godzina — nie ma. Zgłodnieli my, poszli do woza coś przekąsić. Przybiegamy po chwili, jeszcze nie ma adwokata. Co za nieszczęście? już pierwsza, ta i druga, ta trzecia godzina — tu już do domu jechać czas by było, aby na wieczór być, a jego nie ma. Aż dalej, gdzieś koło czwartej idzie on.

— Ach! przepraszam -- mówi — bardzo przepraszam, panowie gazdy, ale nie moja wina, że ja tak spóźnił się; byłem w sądzie przy rozprawie i obrona przeciągnęła się aż do tej godziny. — Ale to nie, to da się jeszcze naprawić. Proszę do mego pokoju!

— Ale, możeby my zaraz siedli na wóz i jechali do wsi — mówię. — To pan mógł by tam przeglądać papiery i nauczyć nas, co mamy mówić.

— E, nie ma czego się spieszyć, — rzecze — jeszcze dojedziemy, a przeglądanie papierów nie potrwa długo.

Poszli my z nim do pokoju i posiadali. Wnieśli całą wiązkę aktów. Począł on to czytać, czyta, czyta, powoli, uważnie, czasem coś nas się zapyta, my odpowiadamy, on znów czyta, a tu już pół godziny, tu już godzina, już i druga mija — on nie.

My siedzimy tak jak na węglach, wijemy się, pocimy się, a on pyta nas, jakby na protokole, czyta papiery, mruczy — nieporadna godzina. My kilka razy przypominamy: pora już jechać. A on swoje: zaraz, zaraz! I dalej do czytania. Szósta wybiła, jak skończył czytać. Nu, myślimy, Panie Boże sława ci, już koniec czytaniu, pojedziemy! Ta, gdzie tam! Jak zacznie nam teraz tłumaczyć cały proces od początku do końca, szeroko, szczegółowo, tak, jakby my nic nie wiedzieli. Mówi, mówi, a my prawie ze skóry nie wyskoczymy — prawieby człowiek wstał, plunął mu w oczy, i poszedł. Ba, niestety! Dalej zaczął on nas nauczać, jak my mamy mówić przed komisją, i rzeczywiście mądrze nas nauczał. Cała sprawa stała nam tak jasną, tak każdy dobrze wiedział, co ma mówić, że aż miło! Niestety tylko, jak skończyła się ta nauka, wybiła dziewiąta godzina. Zmierzchno całkiem. On aż teraz zobaczył, że poczęło grzmieć.

— O, a to co takiego, już wieczór? — powiedział on, oglądając się.

— Ta wieczór — mówimy, już jak zasądzeni.

— Cóż teraz robić? Jak jechać?

— Albo ja wiem — odpowiedziałem. — Teraz trudno jechać, droga zła, ta i daleko dosyć, lasami!...

— Sami nie wiemy, co robić! — odpowiedzieli nasi ludzie.

— A na którą godzinę ma przyjechać komisya.

— Na dziesiątą rano.

— Na dziesiątą? E, to bajka; przenocujcie wy tu, a jutro raniutko powstajemy i pojedziemy tak, że aż zakurzy się. Na ósmą tam będziemy. Idźcie tu, zaraz koło mego pomieszkania jest szynk, żyd porządny, tam przenocujecie, a jutro, pamiętajcie, nie opóźnijcie się, ja będę na was czekał.

Co robić! Radzi nie radzi poszli my. Żyd tak, jakby na nas czekał.

— Czy od pana adwokata? — pyta.

— Tak jest!

— Nu, nu, chodźcie, znajdę dla was miejsce, nocujcie zdrowi, A może czego potrzebujecie?

— To dajcie po kieliszku wódki, lepiej będzie spać.

Wypili my, pokładli się w boży czas i od razu zasnęli jak drzewo. Czy długo my spali — Bóg wie. — Dość tego, — budzę się — dzień biały.

Zrywam się do okna, już z południa. Patrzę dokoła, wszyscy spią, jak kłody. Panie Boże, co takiego? Czy to sen, czy rzeczywistość? Krzyknął ja, co siły, — nie, nie sen! Oni pozrywali się i sobie do okna. A to co? już z południa? Czy my tak długo spali? O nieszczęśliwy losie! Wijemy się, jak piskorze osoleni, a tu w głowie każdemu szumi, wszystkie kości bolą, jak połamane. Wołamy żyda; ile wam się należy za nocleg? — Nie wiele, tylko sześć złotych? — Co? jak? jakim sposobem? A on gałgan, widząc, że my spieszymy się, że my tu rzucamy się i wargi gryziem z niecierpliwości, stał we drzwiach, i tylko uśmiecha się, gładząc brodę.

— Tak u mnie wszyscy goście płacą!

Niektórzy zaczęli targować się, ale gdzie tam, ani słowa nie daje sobie powiedzieć. Rzucili my mu pieniądze, ile chciał, i dalej do adwokata. Przybiegamy, nie ma w domu, rano czekał, czekał na nas a dalej sam pojechał, mówiąc, żeby my jak najprędzej spieszyli za nim. — A nasze papiery? — Papiery zostawił, macie wasze papiery! — Tak, masz! Pojechał a papierów niezabrał z sobą. Panie miłośni, co z nami się działo, to i pomyśleć strasznie! Co to,

myślimy sobie, tam gdzieś już bez nas sprawę rozsądzono, gmina przegrała, co nam powiedzą ludzie? Jakie nieszczęście czeka nas dalej? My tak, jakby widzieli, co nas czekało, to wówczas nie było już trudno i przewidzieć!

Popeździli my do domu i to nie do wsi, ale na pastwisko. Nie ma nikogo. My do lasu. Nie ma nikogo. A tu już niezadługo wieczór będzie. My do dworu — w dworze śpiewy, śmiechy, uczta, muzyka — to pan komisję gości. Patrzymy, jest i nasz adwokat w pokoju czerwony, wesoły rozmawia. Ile przekleństw na niego w tej chwili padło, to pewnie tyle szklanek piwa w swem życiu nie wypił. My prawie skamienieli, nie mówimy nic, nie pytamy o nic, bo i na co? Sami wiemy, że nasze nieszczęście gotowe. Jak słupy postawiliśmy na ganku, stoimy, czekamy, a sami nie wiemy na kogo i za czem. Jakoż zobaczyli nas panowie, dalej w śmiech w pokoju, ale do nas nikt nie wychodzi. Pańscy słudzy idą koło nas, także śmieją się, żartują, szturkają, ale nikt do nas ni słowa. Pańskie psy przychodzą, obwąchają nas, niektóre zawarczą, a niektóre cicho odejdą.

A my nic, stoimy, jak martwi. — Już zmierzchno się, w pokojach zajaśniało światło, panowie i panie poczęli śpiewać jakieś pieśni, na dworze zaczął padać deszcz, a my stoimy jeszcze na ganku, z oczyma wlepionemi w te jasne szyby, z dreszczem na ciele i rozpaczą w sercu.

Aż wreszcie, późno już w nocy, otworzyły się drzwi i panowie jeden za drugim zaczęli wtaczać się do swych bryczek. Przedewszystkiem panowie z komisji. Przechodząc koło nas, najgrubszy z nich stanął, spojrzął na nas groźnie i mówi:

— Wy co za jedni?

— Tutejsi.

— Czego potrzebujecie?

— Co się stało z naszym procesem?

— Z waszym procesem? To wy teraz przychodzicie dowiadywać się o tem? Pijacy obrzydliwi! Wy warci pastwiska, wy warci lasu? A torby żebrackiej nie łaska! Idźcie do domu i nie ważcie się o tem wspominać! Minęły te lata, jak żyliście bez bata! Przepadły Iwanie pieniądze!

Cała komisja siadła na bryczki i zaśmiała się. Za komisją nadszedł nasz adwokat, przekradając się, jak złodziej, zmieszany, niby pijany.

— A, wy tu, wy tu? — plótł on. — Ja czekałem na was, dla Boga, czemu nie przychodziliście?

— A dużo panu dziedzie zapłacił, ażebyś pan nas wstrzymał w mieście, dopóki komisya nie rozstrzygnie sprawy na jego korzyść?

— Co? jak? ja! obraza honoru! — mówił on siadając na bryczkę i ruszył czem prędzej z dworu.

— A bodajesz kark skreć! — wrzasnęliśmy za nim. Ta nadaremnie, nie skreć! bestya. Aż tu i pan nasz, jak z ziemi wyrósł przed nami. Stał kiwając się w otwartych drzwiach.

— He, he, he, — mówił on z pijanym śmiechem — panowie gromada, obywatele, bürgerzy, plenipotenci, a co tam słyhać? Jak idzie procesik? Niczego! niczego! Ale zaczekajcie no wy, ja was będę obecnie rozumu uczyć. Teraz będziecie skakać, jak ja zagram. Ja dam wam się teraz we znaki, że popamiętacie mnie.

I dotrzymał słowa! Przyśrubował wszystkich tak, że odetchnąć nie można. Prawda, gmina nie od razu poddała się. My zrobili rekurs, ale rekurs odrzucili. Wówczas my postanowili siłą bronić swego prawa, ale tem jeszcze gorzej sobie zaszкодiliśmy. Żony, dzieci, mężowie i starcy, wszyscy razem wyruszyli ze wsi, ażeby nie dać panu zająć pastwiska. Pan sprowadził wojsko. My przed wojskiem popadali na ziemię wołając: „Choć będziecie jechać, choć strzelać, my nie ustąpimy się z tej ziemi, to nasze!“ Ale wojsko nie strzelało i nie przejeżdżało, a tylko podzieliwszy się na dwa oddziały, ruszyło na koniach przez zboże, przez płoty, ta do wsi. Przyszło wracać się... Dwa miesiące stali we wsi żołnierze; co było lepszego z bydła — wyrznęli i pozjadali, doprowadzili do biedy, a kiedy odjeżdżali, to pan mógł być zupełnie spokojny: gmina była złamana i zrujnowana do czysta i musiała sama oddać się w jego ręce.

Ot taka nasza dola... Czy będzie kiedy lepiej, czy będziemy mogli choć przy śmierci odetchnąć swobodniej, Pan Bóg wie. Ale pan z całej siły pracuje nad tem, ażeby czem raz ciśniej naciągnąć na nas kajdany. Pięć karczm założył we wsi, szkoły nie ma, księżdz wziął sobie takiego, że z nim idzie ręka w rękę, a nie ma nikogo, ktoby nam poradził, żyjemy jak te woły w jarzmie, już i dzieciom nie robimy nadziei na lepszą dolę...

Iwan Franko.



22.2
18
VIII
F S-97

Treść Nr. 1.

Od Wydawnictwa. — „O upadku...
słu“. — „Materyalistyczne pojmowanie dzieł...
Owen“. (Szkic historyczny) nap. Helena Rawska. — „Nie-
widzialni wrogowie“. — „W kwestyi rolnej“ przez Traw. —
Fejleton: „Fragment“, wiersz Jana Kasprowiecza. —
„Lasy i pastwiska“ (Opowiadanie byłego plenipotentą) nap.
Iwan Franko.

Treść Nr. 2.

„Komuna paryska“ (w dwudziestą czwartą rocznicę) nap.
Jan Kozakiewicz. — „Materyalistyczne pojmowanie dzieł...“
(dok.). — „Karol Fourier“ (Szkic historyczny) nap. Helena
Rawska. — „Niewidzialni wrogowie“, (dok.). — Zapiski lite-
rackie. — Notatki. — Fejleton: Z cyklu poezyi p. t.
„Janina“ nap. Z. — „Lasy i pastwiska“ (Opowiadanie by-
łego plenipotentą) nap. Iwan Franko, (dok.).

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„NAPRZÓD“. Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy
czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką po-
cztową 90 ct.

„NOWY ROBOTNIK“, Lwów, ul. Wałowa 1. 15. Wychodzi 1.,
10. i 20. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct.,
z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„DER ARBEITER“ (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Pi-
smo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydow-
skich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego
miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką po-
cztową 40 ct.

„GAZETA ROBOTNICZA“. Organ polskiej partii socjalistycz-
nej w Berlinie. O Andreasstrasse 78, A. — Prenu-
merata kwartalna w Niemczech 1. mrk. 10 fen., za gra-
nicą 1 mrk. 60 fen., w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„ROBOTNIK“ Organ polskiej partii socjalistycznej. War-
szawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„PRZEDŚWIT“. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Zwią-
zku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie.
Adres: „Dawn“, 7. Reaumont Square, Mill-End. Rodd.
London, E. — Prenumerata roczna 5 zhr. 4, rs. (w ko-
pertach).

ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.



Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	— 50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie	2—	Rocznie	4 „

Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.

Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Płonna i Olszewskiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golloba, Ossolińskich 15.





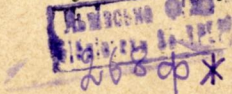
* ŚWIĘTO PRACY *



Było to w stuletnią rocznicę wielkiej rewolucyi francuskiej. Cały świat cywilizowany obchodził setną rocznicę walki, do której wystąpiło mieszczaństwo w r. 1789, przeciwko dwom stanom, które wówczas były wszystkim tj. przeciwko duchowieństwu i szlachcie rodowej. Walkę tę zakończyło zwycięstwo mieszczaństwa. Uchwalono więc przede wszystkim prawa człowieka, to jest nie pozwolono możnym nadal znęcać się nad tymi, którzy do ich klasy nie należeli. Równe prawa otrzymali wszyscy ludzie, a choć następnie spaczono i skrzywiono myśli twórców tych praw, to jednak duch rewolucyi powiał po wszystkich ziemiach, a zwycięstwo jej stało się niezmiernie ważnem dla rozwoju ludzkości.

W tę to rocznicę odbyła się wielka wystawa światowa w Paryżu i liczne zjazdy, bądź naukowym, bądź społecznym sprawom poświęcone. Między ostatnimi odbył się też międzynarodowy kongres socjalistyczny w miesiącu lipcu, który w 100 lat po uchwaleniu praw człowieka, zastanawiał się nad sposobem walki, mającej przyspieszyć równouprawnienie klasy robotczej z innymi klasami, a raczej wyzwolenie tej klasy z niewoli politycznej i ekonomicznej, która od stu lat zmieniała tylko formę i nazwę, — ale która dotąd trwa nieubłagane, choć zwarte szeregi proletaryatu obudzonego ze snu do czynu, wskazują dowodnie, — że czas jej panowania się kończy.

Dziś jedną tylko uchwałą kongresu tego się zajmiemy, uchwałą, która znalazła oddźwięk w sercach i mózgach robotników wszystkich krajów i narodów, która przeprowa-



dzoną została tak ogólnie i ochoczo, jak żadna inna, a której przeprowadzenie okazało światu potęgę międzynarodowej łączności robotników i przejęło trwogą całą klasę uprzywilejowanych i jej rządu.

Uchwała ta, przyjęta jednogłośnie na wniosek tow. Lavigne z Bordeaux, brzmi:

1) Należy urządzić olbrzymią jednolitą manifestację robotników wszystkich krajów w ten sposób, aby robotnicy wszystkich krajów, a względnie wszystkich miejscowości, zawezwali w dniu oznaczonym przedstawiciele panujących klas do ograniczenia ustawniczego trwania dnia roboczego do 8 godzin;

2) zważywszy, że w grudniu r. 1888 odbyty kongres amerykańskich federacji pracy postanowił podobną manifestację urządzić dnia 1. maja 1890, należy datę tę naznaczyć dla międzynarodowej manifestacji.

3) W każdym kraju mają robotnicy urządzić ową manifestację w sposób, na jaki pozwalają miejscowe ustawy i stosunki.

Za najodpowiedniejszy sposób przeprowadzenia tej uchwały uznano ogólnie wstrzymanie się w dniu 1. Maja od pracy — zwoływanie zgromadzeń i pochodów masowych, a ten sposób demonstrowania w rezultacie tak okazał się imponującym, tak skutecznie wpłynął na wzrost szeregów socjalistycznych, że w następstwie tego, postanowiono dzień 1. Maja ogłosić stałym świętem pracy, pomimo, iż pierwotnie na manifestację wyznaczono tylko dzień 1. Maja 1890 r. I oto widzimy, że nawet w krajach, gdzie w latach poprzednich nie zdołano przeprowadzić w dniu tym bezrobocia, z każdym rokiem liczba zwolenników święcenia 1. Maja wzrasta i może już w tym, lub przyszłym roku — święcenie, pomimo szykan i gwałtów kapitalistów i rządów, a ofiar ze strony robotników, będzie tak ogólne, że nie poruszy się ani jedno koło maszynowe i umilkną w zupełności kowadła i młoty.

W Austrii, gdzie lud roboczy pozbawiony jest w zupełności praw politycznych — połączono z demonstracją za 8-godzinny dzień roboczy domaganie się równego bezpośredniego, tajnego powszechnego prawa wyborczego i swobód politycznych — a 1. Maja już w r. 1890 wypadł tu tak wspaniale i imponująco, jak może nigdzie. Z każdym rokiem też liczba demonstrujących w dniu tym i wstrzymujących się od pracy rośnie i po każdym 1. Maja ruch so-

cyalistyczny zyskuje tysiące nowych szermierzy, z każdym rokiem partya socyalno-demokratyczna potężnieje.

*

*

*

Są hasła i idee, które lotem błyskawicy wciskają się wszędzie, przez nic i nikogo nie powstrzymane, omijają słupy graniczne bez paszportów i przeszkody, zapalają tłumy hasłom tym dotąd zupełnie obce — biorą się nie wiedzieć zkad — jakby przygnane wiatrem.

Myśl ta nasuwa się, skoro pomyślimy o tem, jak to się stało, iż święto pracy odrazu tak silnie przyjęło się w naszym kraju. Jeśli zważymy, iż ruch socyalistyczny przed rokiem 1890 w kraju naszym był sekciarski i obejmował nieliczne tylko jednostki i to wyłącznie prawie w stolicy kraju, to mimowoli nasuwa się pytanie, skąd wzięło się to, iż uchwała międzynarodowego kongresu socyalistycznego tak wielkie obudziła zainteresowanie w sferach robotniczych, a co dziwniejsze, iż tyle znalazło się tysięcy ludzi, gotowych uchwałę tego kongresu wykonać.

Pragnę pokrótce omówić sytuację, jaką tu wieść o zamiarze święcenia dnia 1. Maja zastała i okoliczności, jakie święceniowi temu towarzyszyły.

Pierwszą odezwę za święceniem 1. Maja wydała „Praca“ Daniluka z 8. lutego 1890 r. podając uchwałę kongresu paryskiego; po niej nastąpił szereg artykułów tak w „Pracy“, jak i w powstałym w dniu 1. Marca tegoż roku „Robotniku“, — który odrazu zyskał sobie szerokie grono czytelników wśród klasy pracującej, a to tembardziej, że „Praca“ wychodząca w ostatnich czasach zaledwie kilka razy do roku, nie mogła zapełnić luki i uczynić zadość z dawna odczutej potrzebie stworzenia pisma broniącego interesów robotniczych.

Na pierwsze te głosy w sprawie święta robotniczego — poruszyło się w dziennikach wszystkich odcieni — sama myśl o tem, że zaraza zachodnia ogarnąć może „pocziwych“ robotników polskich — napełniła szlachciców i liberałów galicyjskich takim przestachem, że pismom swoim nakazały dać we wszystkie trąby i dudy, nawołując policję z jednej strony, a zaklinając robotników z drugiej, by nie dali się „bałamucić niesumiennym, płatnym agitatorom“, wywodząc, że święcenie 1. Maja sprzeciwia się uczuciom religijnym, narodowym i społecznym Polaków.

Ruch ten zrobił swoje, a kiedy dnia 28. marca 1890 komitet złożony z przewodniczących „Zgromadzeń Towa-

rzyszy“ zwołał zgromadzenie publiczne do sali „Gwiazdy“, aby przedstawić do uchwały wniosek o święcenie 1. Maja, to zebrała się taka moc ludzi, że setki nie mogły docisnąć się do przepełnionej sali — a wniosek komitetu przyjęto z największym entuzjazmem. Wybrano komitet mający się zająć przygotowaniami do uroczystości, omawiano sprawę w dniu święta robotniczego poruszyć się mające, a między innemi poruszono myśl założenia stowarzyszenia, mającego być ogniskiem ruchu robotniczego.

Po tem zgromadzeniu rozpoczęła się gorączkowa praca agitacyjna. Każdego dnia prawie odbywały się poufne zebrania robotników poszczególnych zawodów — a wszędzie przyjmowano myśl święcenia z zapałem szczerym. Ujadania zaś pismaków, którzy w obronie robotników nigdy słowa jednego nie pisnęli, bardziej przekonywały robotników o potrzebie przyłączenia się do manifestacyi międzynarodowej, aniżeli najsłabsze argumenty.

Pierwszy maja szybkim zbliżał się krokiem, oprócz głosów dziennikarskich wystąpiły przeciwko święceniu ambona i władze rządowe. Policya wezwała komitet ściślejszy i przedstawiała im niebezpieczeństwo i odpowiedzialność za ewentualne rozruchy i zaburzenia spokoju, a każdemu z członków tego komitetu przydała, zda się dla bezpieczeństwa, „anioła stróża“ w postaci cywilnego ajenta. Namiestnictwo wydało olbrzymią odezwę do publiczności, uspakajając ją, iż rząd użyje wszystkich środków, choćby najostrzejszych, byle nikomu nic złego od świętujących się nie stało. Odezwa ta, zamiast uspokoić, zaniepokoiła w wysokim stopniu wszystkich sytych; kto mógł wynosił się z miasta na wieś, lub do will przedmiejskich, inni zaopatrywali się w broń; jeden tylko handel broni sprzedał w ciągu kilku dni, kilkaset rewolwerów. W dwa dni przed 1. Maja. „życzliwi robotnikom“ zaproponowali komitetowi utworzenie „komitetu obywatelskiego“ z osób wpływowych, któreby powagą swoją uspokoiły obawy i nadały uroczystości pokojowy charakter. Komitet propozycyi tej nie przyjął — odpowiadając, że byłoby to ujmą dla robotników, aby kto inny, a nie oni utrzymywali porządek.

Do podniesienia strachu przyczynił się w wysokim stopniu, pożar który wybuchł w dwa dni przed 1. Maja w warstatach kolei Karola Ludwika. »Zaczynają palić!« — Robotnicy pozostali spokojni w świadomości, że między nimi nie ma podpalaczy.

Nadszedł wreszcie dzień 1. maja. — Od wczesnego rana gromadki robotników z czerwonymi odznakami na klapach surdutów przeciągały przez miasto. Wojsko było skonsygnowane, a silne patrole policyjne snuły się po ulicach co kilkadziesiąt kroków. Wchodzimy do rynku, który niezwykle przedstawiał widok. Sklepy zamknięte, przekupniów ze straganami nie ma — natomiast mrowi się dokoła ratusza od świątecznie przybranych robotników. Bije godzina 10. Robotnicy z rynku wciskają się na obszerne podwórze ratuszowe. Patrząc z trybuny, — widzimy same tylko głowy kilkutysięcznej rzeszy, falującej niby łan zboża, za każdym silniejszym naciskiem przybywających. Zadzźwięknął dzwonek i rozpoczyna się zgromadzenie — jakiego dotąd Lwów nie widział. Jeden po drugim występują mówcy na trybunę, zebrane tysiące w miarę treści przemówień wyrażają żal, gniew, to oburzenie lub radość, gromkie słysząc oklaski lub okrzyki zgromadzenia — a wreszcie po wyczerpaniu porządku dziennego, zabrzmiał potężny śpiew hymnu robotniczego, podniosłej pieśni naszej „Czerwonego sztandaru“.

Powoli opróżniał się ratusz — robotnicy rozeszli się do domów pokrzepieni na duchu, z zadowoleniem jakie daje spełnienie obowiązku.

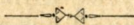
Tak wyglądała manifestacja majowa we Lwowie w r. 1890. W następnych latach nie było i nie mogło już być kwestyi, czy należy dzień 1. Maja święcić, ale chodziło oto, aby święcenie to rozszerzyć także po za Lwów — i oto już w r. 1892 odbyły się zgromadzenia w tym dniu w całym szeregu miast galicyjskich, a z każdym rokiem więcej jest zwolenników święcenia 1. Maja.

W tym roku manifestacja wypadnie niezawodnie jeszcze świetniej niż dotąd, bo w roku ostatnim postępowanie klas uprzywilejowanych, bardziej niż kiedykolwiek pouczyło lud pracujący, że tylko własnej pracy i odwadze zawdzięczać on może wybawienie z niewoli i poniżenia.



Józef Hudec.

„Narodowe misye“.



Są u nas pewne sprawy publiczne, które zapomocą całkiem szczególnych procesów psychicznych otacza się tem, co się nazywa »jednogłośną, zgodną opinią publiczną«, reprezentowaną przez kilka dzienników

krajowych; sprawa taka ma niemal zawsze jakąś stałą rubrykę w gazecie, podobnie jak zapiski policyjne lub »popierajcie przemysł krajowy!«. Pisze się o niej tak wiele, raczej powtarza się o niej wciąż w kółko to samo tak często, aż znużony mieszczanin galicyjski zostanie ogłuszony, zdławiony i zahypnotyzowany. Wtedy ze szklanym, tępym wzrokiem powtarza on np., że hr. Kazimierz Badeni jest bardzo dzielnym namiestnikiem, że jego brat hr. Stanisław jest demokratą, który ulżył ogromnie chłopstwu przez owe sławne »3 %«, socjaliści chcą zaprowadzić »wspólność« kobiet i znieść Polskę, a gimnazjum polskie w Cieszynie ma być najznakomitszym środkiem ratowania zagrożonej polskości na Szląsku.

Biada śmiałkowi, któryby odważył się zaprzeczać takiej »jednogłośnej opinii« i nazwał np. hr. Kazimierza raczej..... bezwzględny, a hr. Stanisławowi przypisał wcale nie demokratyczne zalety hofrata i członka Izby panów, a już piorun oburzenia trafi jego głowę, jeżeli rozzuchwali się i zacznie sceptycznie przypatrywać się znaczeniu gimnazjum cieszyńskiego dla Szlązaków. — Tą ostatnią sprawą chcemy się właśnie zająć. Obchodzi nas ona tutaj, nie jako poszczególny wypadek, lecz jako typ pewnych objawów galicyjskiego patryotyzmu, mającego tę jedną pewną cechę, że byka chwyta za ogon, zamiast za rogi, i omija zawsze nader starannie wszystko, co jest jedynie racjonalne, dlatego, że te racjonalne drogi wymagają walki z rządzącą dziś w kraju kastą. W ten sposób potrafią już zatracić masę zapasów, a co ważniejsze — i pieniędzy, które inaczej użyte podniosłyby kulturę narodową niezmiernie. — Proszę sobie tylko przypomnieć sumy składane na »Macierz polską«, które zostały niemal wyrzucone za okno; »Macierz polska« bowiem w rozwoju naszego ludu wywiera sto razy mniejszy, wpływ, niż jedna gazetka Stojalowskiego lub p. Wyśloucha.

Tysiące wyduszone na galicyjskim filistrze nie mogą być płodne w dzielne czyny; »Macierz« musi rozlewać w swych broszurkach nudną, cikliwą mieszaninę sentymentalnych fałszów społecznych, politycznych, obyczajowych itd., bo inaczej naraziłaby się dworom i plebanom.

Weźmy drugą akcję: »Towarzystwo szkół ludowej«. Tu jest również coś podobnego. Dano filistrowi sygnał, powtórzono sygnał sto, set tysięcy razy, ominięto szczęśliwie najważniejszą rzecz, tj. budowę szkół k o s z t e m kraju i państwa, dobre płacenie białych murzynów

nauczycielskich również z kasy państwowej, usunięcie złego obchodzenia się z nimi itd., a natomiast stworzono »stałą rubrykę«, gdzie członkowie kasyna w Pacykowie mogą wykazywać ile guldenów zebrali przy preferansie na »szkołę ludową«, lub gdzie ich żony i córki mogą figurować pełnemi nazwiskami przy tej okazji. Gdyby tych dziesiątków tysięcy, ba w krótkiej przyszłości, kroci, użyto na rozbudzenie świadomości, że przecież szkoła należy się ludowi od kraju czy państwa, że jałmużna tutaj jest najfałszywszą drogą załatwiania rzeczy; gdyby, każdemu posłowi postawiono to jako warunek, pod którym może być wybranym, gdyby użyto we wielkiej tej sprawie wielkich dźwigni, którymi tak znakomicie umie się posługiwać szlachta galicyjska, mielibyśmy zis p o r z ą d n e s z k o ł y, ale — nie mielibyśmy »Towarzystwa szkoły ludowej«.

Co np. wobec szkoły dla ludu znaczy propinacya lub mniej lub więc dobre interesa »obszarników dworskich«, (których jest wszystkiego około półtrzecia tysiąca), co znaczą magnackie wyścigi i inne tym podobne historye w bilansie n a r o d o w y m?! A jednak szlachta otrzymała nie jałmużnę, lecz ustawą oznaczone miliony guldenów od sejmu, od rządu, czyli z p o d a t k o w y c h krwawych groszy na te wszystkie cele. Dawano i daje się miliony, dziesiątki i setki milionów tym, co umieją »chwycić byka za rogi«.... Przyjrzyjcie się obradom towarzystw gospodarczych, gdzie siedzi niemal wyłącznie szlachta. Jaki kształt, jaka zgodność i czułe stosunki między temi spółkami interesowanych szlachciców, a między Kołem polskiem lub większością sejmową! O »jałmużnie«, ba! o »samopomocy« nie dadzą oni sobie wiele gadać; rząd, kraj, powiat ma o b o w i ą z e k im zapłacić, pomódz, pouczyć, dać tani kredyt, podnieść ceny itd.

Niedawno temu, na posiedzeniu takiego towarzystwa w Krakowie, jeden szlachcic postawił wniosek, żeby w jubileuszowym roku rząd, czy sejm, ponosił kosztą wydania uroczystego pamiątnika stowarzyszenia! Nic darmo, — nic z »jałmużny«, to rządowy i krajowy obowiązek, to znaczy posługiwanie się całą organizacją społeczną, całą wielką maszyną państwową.

Ale filister lęka się walki o zdobycie tej maszyny. Woli dać jałmużnę: guldena, dwa, trzy (byle znów nie za wiele!...), dostać za to tytuł »patryoty« i być spokojnym, że zrobił co należy, aby lud się kształcił, lub aby Szlązacy zostali Polakami.

Z tymi ostatnimi jednak tak rzeczy stoją, że bezpłodność filisterskich usiłowań jest wprost rażąca. Dwustutysięczna ludność polska na Szlązku, skoncentrowana najbardziej w Księstwie cieszyńskim, aż do Bielska jest rdzenną ludnością c h ł o p s k ą. Ale wysoka kultura, ogromne fabryki i kopalnie, gęsta sieć kolejowa wywarły na tych chłopów tego rodzaju wpływ, że wielu z pośród nich jest przez wielką część życia robotnikami fabrycznymi. Ludność wiejska jest niejako przetkana proletaryatem fabrycznym i to w ten sposób, że proletaryat ten nie jest skoncentrowany w miastach, jak gdzieindziej, lecz żyje i mieszka na wsi. Od Morawskiej Ostrawy i Witkowic, aż pod Białą są stosunki te z różnymi odmianami te same w swej istocie. Granice między chłopem, a fabrycznym proletaryuszem zacierają się coraz więcej; po jednej stronie ostają się tylko najbogatsi chłopci, po drugiej ruchliwa wielka masa proletaryatu, który stanowi ogromną większość ludności. Szlachty polskiej na szczęście nie ma tu, mieszczaństwo jest prawie doszczętnie niemieczone. Klasą rządzącą są Niemcy, a w małej części Czesi.

Przeciwieństwa n a r o d o w e są tutaj zarazem mimowoli przeciwieństwami k l a s o w e m i.

Takie są elementa składowe zadania. — Jak się »patriotyczni« filistrzy galicyjscy wzięli do rozwiązania tego zadania?

Ponieważ chodzi o ratowanie »narodowości« ogromnej masy ubogich r o b o t n i k ó w i jeszcze uboższych c h ł o p ó w, przeto pomyślano o g i m n a z y u m (!), do którego będą chodzili najpierw synowie zgermanizowanych kilkadziesiątu m i e s z c z a n, dalej synowie N i e m c ó w i C z e c h ó w, którzy zechcą się nauczyć po polsku dla urzędniczej kariery, a wreszcie synowie kilkunastu n a j z a m o ż n i e j s z y c h chłopów. Lud zostanie sobie spokojnie na uboczu, bo lud do gimnazyum dzieci niemal nie posyła.

Dla sumiennego człowieka, któryby chciał rzeczywiście ocalić polskość chłopów i robotników szląskich, danem było z góry całkiem inne rozwiązanie zadania. — Ruch robotniczy, szerzący się tu od trzech lat z byskawiczną szybkością, bez żadnych niemal nakładów pieniężnych, bez niczyjej jałmużny, bez pomocy, a nawet wbrew tzw. »inteligencji«, jest jedynym żywym ruchem, który zaczepia o najżywotniejsze interesy życiowe robotnika, takiż sam analogiczny ruch chłopski rozwijający się obok, wskazuje przecież nawet ślepym drogę, po której musi i »patriota«

postępować, aby pozyskać dla »narodowych« celów chłopu lub robotnika szląskiego. Ale galicyjscy »patryoci« wolą dać guldena na »gimnazjum«, aby tylko nie zetknąć się z prawdziwą, ciężką rzeczywistością, aby tylko nie być zmuszonymi na Szląsku sympatyzować z tem, czego się u siebie w domu tak strasznie lękają, tj. z ruchem proletaryatu, choćby najniewinniejszym. Taki preferansista kasynowy, albo »fikałski«, albo prowincjonalna strojnisia, którzy składają guldeny na gimnazjum, zadrżeliby, gdyby te guldeny poszły na organizowanie ludu polskiego na Szląsku, tak, aby ten lud zapomocą powszechnego prawa głosowania dobił się p r z e z u s t a w y nie jednego z jałmużny, ale trzech gimnazyów z ustawy, nie z łaski lecz z podatkowych pieniędzy, płynących do kasy rządowej. A już wprost zabawnem jest, w jaki sposób myślą niektórzy »patryoci« rozwiązać sprawę, kto ma być Polakiem na Szląsku. Niedawno podała krakowska »N. Reforma« nadzwyczaj sumienną i mozolną pracę dra Jana Bystronia o ludności polskiej na Szląsku, gdzie zapomocą filologii wykazuje się, kto Polak, a kto Czech. — Rozprawa ta dla filologa bardzo cenna, dla polityka przedstawia chyba wskazówkę, jak nie należy brać się do dzieła. Weźmy przykład. W Morawskiej Ostrawie i okolicy przeżywa ludność polska bez najmniejszej wątpliwości, a tymczasem pismo, stowarzyszenia i t. d. są czeskie. Dlaczego? Ponieważ ruch robotniczy był tu wprowadzonym przez Czechów, ponieważ mówiono w czeskim języku do robotnika polskiego o najważniejszych sprawach jego życia! I taki Maciek lub Józef z pod Tarnowa, nauczył się okropnej czeszczyzny, aby tylko mózdz porozumieć się z tymi, co mu dawali organizację, stowarzyszenie, pismo robotnicze, teatr robotniczy i t. d. Młodszy z pośród »patryotów« młodoczeskich rozumieją to dobrze i nie lękają się ruchu robotniczego, który na nich patrzy z góry; idą do socjalistów i w »zagrożonych« terenach razem z nimi pracują. Czy widzieliśmy coś podobnego u Polaków? Od trzech lat polscy socjaliści w mrówczej pracy pracują na Szląsku, niemal co niedzieli wyjeżdża jeden, dwóch lub nawet więcej mowców socjalistycznych z Krakowa do Ostrawy, Karwiny, Łazów, Orłowy, Dąbrowy, Trzyńca, Wendryni, Cieszyna, Ustronia, Bielska i t. d., a nigdy nie zaciekawili to ani jednego »patryoty« polskiego, który zadowolnia się »guldenem« na gimnazjum, lub inną jałmużną. Nie piszemy tych słów, aby wyrazić tym panom nasz żal, ale chcemy zilustrować ich bezpłodny jałmużniczy patryotyzm wobec Szlą-

zaków. Urządzają oni tam uroczystości »patryotyczne«, znane aż nadto dobrze nam, którzy mamy te „podniosłe“ sceny w Galicyi. Warto widzieć, jak trzyma się publiczność na takich uroczystościach, wieczorkach i t. p.

Na estradzie i wogóle koło »wielkiego ołtarza«, garstka panów i księży, koło nich grupa ciekawych, przy drzwiach zaś, lub w każdym razie dalej od panów, dwie grupy: jedna zwolenników Stojałowskiego, druga złożona z socyalnych demokratów. Te dwie ostatnie grupy patrzą na panów z ukosa i nie biorą niemal udziału w mowach, gdzie piorunuje się na socyalizm i na ruch ludowy, a często wychodzą rozgoryczeni na nierozumnych fantastów, którzy sądzą, że konstytucya 3. maja więcej lud obchodzi, niż jego straszna niedza dzisiejsza.

Na takim terenie jak Szlązk na nic się nie zdadzą mdłe próby drobnomieszczańskiego galicyjskiego patryotyzmu. Gdyby te 80,000 złr., które już zebrano na gimnazjum, a które nawet nie wystarczą na wystawienie budynku, nie mówiąc już o profesorach i t. d., gdyby tę sumę, ba połowę, czwartą jej część wydało galicyjskie społeczeństwo, aby rozpętać z uspienia i poprowadzić ruch ludowy na Szlązku, już dziś byłyby skutki sto razy większe, niż mogą być z gimnazjum po dwudziestu latach zaledwie i to dla małej części polskiego narodu na Szląsku. Ale do tego nie wystarcza tańczyć w »roku żałoby« i dać guldena kary narodowej, grać preferansa w kasynie i znowu guldenem jałmużny na Szlązaków uspić „narodowe“ sumienie.

Jedna energiczna uchwała Koła polskiego w Wiedniu, a gimnazjum w Cieszynie dać by musiał rząd sam z podatkowych pieniędzy, ale nikt o tę uchwałę się nie stara, mimo wszelkich łgarstw naszych parlamentarzystów. Jeden tylko i to klerykał ks. Kopyciński odważył się na coś podobnego za rządów „koalicyi“, ale i ten się dał udo-bruchać!...

W ten sposób podniesiono jałmużnę do zasady polityki narodowej, a misę „narodową“ na Szlązku pełni się z hałasem zupełnie nie odpowiadającym ważności punktu zaczepienia akcji „narodowej“. Gimnazjum, którego sam gmach ma kosztować 100.000, będzie potrzebowało rocznie około 30.000 pomocy, aby mogło istnieć. Na to jest dziś przeszło 80.000 złr. A zatem jałmużna musi być podniesioną niejako. A tymczasem 200.000 ludu polskiego na Szląsku płaci podatki do kas rządowych dalej, tylko że z tych podatków budują się i utrzymują niemieckie szkoły... Cóż

racyonalniejszego, jak dostać w swoje ręce wpływ na rząd, aby dać ludowi to co mu się należy, a nie jałmużnę. Gdyby ktoś zarzucił, że to dłużejby trwało, to jest to nieprawdą, ponieważ i akcyja jałmużnicza trwa już dziesiątki lat. Zresztą gdyby nawet, to zawsze byłaby to szkoła życia dla ludu szlążkiego, szkoła całkiem inaczej działająca niż galicyjska jałmużna.

Ci co płoną chęcią ratowania zagrożonego polonizmu na Szlążku, nie mają innej drogi, jak rzeczywiście złączyć się z ludem, z ruchem robotniczym, walczyć o powszechne i równe prawo wyborcze, popierać opozycję przeciw latyfundiom i fabrykantom, a wtedy będzie tam Polska, ale Polska ludowa, socyalistyczna.

Do tego trzeba prowadzić politykę ludową, śmiałą i zaciętą, a na to nie stać naszych klubowych preferansistów lub nasze rozmodlone „Polki“ galicyjskie, ratujące rzekomo Szlążaków »guldenami« jałmużniczymi, lub jednodniówkami, jakby na jakich pogorzalców.

Dopóki »patryoci« będą się, jak czart święconej wody, lękali tego ruchu ludowego, dopóty muszą filistra hypnotyzować gimnazjum cieszyńskie, o które i tak możemy być spokojni, bo na czele jego będą stali: ksiądz Józef Londzin i ks. Monsignore Swięży. Ten »Monsignore« postara się już o to, aby z gimnazjum zrobić to, co zrobiono z »Macierzą polską«, tj. szkołę lichszą od rządowej.

Żegota.



Chłopska posiadłość w Galicyi.

Napisał W. Budzyński.

I.

Już nie raz i nie dwa przesuwał ponad cywilizowanymi krajami huragan społecznej rewolucyi — nie raz już powstawały uciskane masy, aby zburzyć do szczętu starły i niesprawiedliwy porządek, aby z korzeniem wyrwać gniotące je złe, aby zaprowadzić równość między ludźmi. Najpłodniejsze w skutki, najjaskrawszymi zgłoskami zapisała

się na kartach historii wielka francuska rewolucja 1789 roku. Ze wszystkich rewolucyj, ona najzupełniej zerwała z dotychczasowym rzeczą porządkiem, sprowadziła najwięcej zmian w życiu narodów. Rzeki krwi, które spływały z gilotyny, miały — jak owo morze Egipcyan, zatopić wszystko to złe, pod którem tyle wieków jęczała ludzkość! Ona to obiecywała zniszczyć dotychczasową niewolę i nędzę ekonomiczną mas, obiecywała zaprowadzić raz na zawsze równość między ludźmi!

A czy spełniła obietnicę? Czy usunęła niewolę i wyzysk? Nie! Ta krewią ciemieńców i ciemieżonych okupiona rewolucja, ta rewolucja, która dla ideałów równości tyle ofiar pożarła, tyle egzystencji zniszczyła, nie dotrzymała słowa! — Prawda, zniesiono dawne przywileje, lecz tylko na to, aby zrobić miejsce nowym, usunięto dawną stanową nierówność, aby zastąpić ją nowoczesną nierównością klasową!

A masy ludowe — te masy, które krewią swą budowały nowy ustrój, cóż one zyskały? Lud wywalczył sobie honorowy przywilej pracy. Honorowy — gdyż materialnych korzyści, przywilej ten nie daje, korzystać z całego płodu swej własnej pracy, nie pozwala ten nowy uropejski na »wolności« oparty ustrój społeczny. Za to cały ciężar konsumpcji, zwałił się na barki »starszej braci« narodowej rodziny! Oni to przyjęli na siebie ów ciężki „patryotyczny“ obowiązek i w pocie czoła swego spożywają wszystkie narodowe bogactwa, wyprodukowane przez »młodszą brać!« Jedni pracują, a drudzy spożywają. Czyż to nie ów znakomity „społeczny podział pracy“, który jest „warunkiem wszelkiego postępu cywilizacji?“ »Wszyscy nie mogą być równi — muszą być biedni i bogaci, głodni i syści« — darmo-pracujący i darmozjady. „Gdyby nie było gnoju, z którego rośliny ciągną soki, nie byłoby tych wonnych kwiatów kultury ludzkiej“. W ten i podobny sposób rezonowały uczone i pół-uczone powagi i zagłuszały głuche zresztą sumienie darmozjadów. I długo tak żyli w spokoju nasi »szczęśliwi posiadający« przekonani, że prześliczny jest porządek, w naszym ustroju społecznym.

Ale do czasu dzban wodę nosi. Zjawili się „fałszywi prorocy“, prorocy nowej religii społecznej, uczeni upośledzonej »młodszej braci“. „Nie ma ładu w naszym ładzie społecznym — zabrzmiało wołanie tych wykołejonych indywiduów“, ład trzeba dopiero zaprowadzić. Ma się rozumieć taki ład, jakiego nam trzeba, jaki my rozumiemy. Taki ład,

w którymby nie wałęsał się bez domu ten, który buduje pańskie pałace, — aby miał czem nakryć grzbiet ten, który gnie go nad tkackim warstatem, aby zatryumfował już raz ten święty rzekomo nieboszczyk, który ma strzedz bram raj, a który głosił, że „próżniak nie powinien jeść!“

Głos tych „podejrzanych elementów“, nie przebrzmiał bez śladu, jak pusty wiatr ponad ludzkością. Ziarno upadło na żyzny grunt. Nieustająca podziemna robota niestrudzonych „wichrzycieli“ zrobiła — po pierwsze — całą klasę przemysłowych robotników porządnie niezadowolonymi z swego położenia, po drugie, potrafiło w nich „wmówić“ że niedola i upośledzenie klasy robotczej, nie jest przyrodzoną koniecznością, że one są tylko rezultatem dzisiejszego i nie wiecznego, lecz przemijającego ustroju społecznego. „Prorocy ci wykazali jasno, jak na dłoni, że ten dzisiejszy ustrój społeczny nie jest niezmienny i że z jego zmianą w duchu interesów klasy pracującej zmieni się trwale położenie tej klasy.

Rezultatem propagandy wspomnianych poglądów było to, że bezmyślne i z rezygnacją na swoich wyzyskiwaczy pracujące masy fabrycznego proletariatu, zmieniły się na uświadomioną, do pewnego, choć dalekiego celu z fanatyczną wiarą w zwycięstwo idącą klasą robotniczą. Klasa ta wystąpiła na arenę politycznych walk, jako partya socjalno-demokratyczna.

Celem partyi jest wywłaszczenie klasy kapitalistów z będących w ich posiadaniu środków produkcyjnych, to jest ziemi, kopalń i fabryk i przeniesienie prawa własności tych rzeczy, na społeczeństwo. Po przeprowadzeniu tych reform, nie byłoby w nowem państwie ani wyzyskiwanych, ani wyzyskiwaczy, wszyscy byłiby państwowymi urzędnikami — i między obywatelami nie byłoby już różnic ekonomicznych; ekonomiczna nierówność i niewola, zniknęłyby raz na zawsze. W socjalistycznym państwie zostaliby dzisiejsi kapitaliści zrównani z innymi obywatelami, i musieliby tak jak i oni, na chleb swój zarabiać. Naturalną jest rzeczą, że oni będąc w pierwszej mierze zagrożeni, pierwsi wystąpili do walki z rewolucyjnymi dążeniami partyj robotniczych. Lecz nierówne siły wystąpiły przeciwko sobie. Na twierdzą, w której zabarykadowała się mała garstka kapitalistów, wysłał proletaryzujący kapitalizm niezliczone zastępy proletariatu.

Większość stanowczo po stronie robotników. Zawzięty bój toczy się już dość długo — dlaczegoż nie słychać zwy-

ciężkiego hymnu legionów robotniczych. Dlaczego stoi jeszcze, dlaczego nie rozsypuje się w gruzy twierdza kapitalizmu? Dlaczego niema jeszcze obiecanego przez naszych apostołów rajy ziemskiego? Dlaczego? — dla tego, że w sprawie tej, ma rzucić na szalę jeszcze ktoś trzeci swój głos — a głos to ciężki! tego trzeciego zaś, nie spytano dotychczas, a „co ty na to?”. Sprawa wspomnianego sporu, nie jest tak prostą jak to się na pierwszy rzut oka wydaje. Prawda, że bezpośrednio w sporze tym, zainteresowani są tylko proletaryusze-robotnicy i ich pracodawcy. Lecz są pewne elementy społeczne, które jeżeli nie bezpośrednio w przedmiocie sporu, to pośrednio w jego rezultacie, w społecznych zmianach jakieby on spowodował, są zainteresowane. Elementym tym, jest tak zwana drobna burżuazja tj. rzemieślnicy i chłopi.

Te elementy są składową częścią organizmu społecznego i tak głęboka reforma społeczna, jaką wprowadziłoby zwycięstwo socjalistycznej partyi, zmieniałaby radykalnie ich położenie. Elementy te, mocą obecnie istniejącej ordynacyi wyborczej, posiadają dziś już taką siłę polityczną, jakiej socjalistyczny proletaryat, w Galicyi osobiście — nie prędko jeszcze się dobieje.

„Od Irlandyi, aż do Sycylii — powiada Engels *) — od Andaluzyi do Rosyi i Bułgaryi, jest chłop bardzo ważnym czynnikiem ludności, produkcji i politycznej siły“. Prawda, siła polityczna chłopskiej klasy nie jest tego rodzaju, co polityczna siła innych klas, gdyż ona nie jest czynną, świadomą, celową. „Jako czynnik politycznej władzy — mówi dalej Engels — utrzymał się chłop tylko dzięki swej odosobnieniu wiejskiego życia uwarunkowanej apatyi. Ta apatia wielkiej masy ludności, jest najsilniejszą podporą parlamentarnej korupcyi i despotyzmu“. Mniejsza o to, na jakiej podstawie, w jakim charakterze, jako czynny, czy jako bierny element, jest dziś u nas chłop ważnym i silnym faktorem politycznym i dlatego los wszelkiej reformy społecznej, będzie w wielu razach zależeć od stanowiska, jakie względem niej zajmą te, pomiędzy wielkimi kapitalistami, a proletaryatem balansujące elementy.

Do niedawna zachowywał się „młodszy brat“, lub jak go Niemcy nazywają „mały człowiek“ od pług biernie w tej walce proletaryatu z kapitalizmem. Co więcej — on ją kompletnie ignorował. I miał rację... Bo cóż mogła go

*) »Die Bauernfrage« w »Die Nene Zeit« 1894/5.

interesować walka o fabryczny inspektorat, o podwyższenie płacy i skrócenie czasu pracy fabrycznych robotników? Zresztą do zrealizowania programu socjalistycznego, do owego przewrotu społecznego było jeszcze tak daleko, że chłop nie potrzebował się obawiać, że dziś jutro, odbierze mu państwo jego ziemię. Dziś już jednak rzeczy się nieco zmieniły, osobliwie po za zachodnimi granicami Galicyi, t. j. w Europie. Tam urosła już socjalna demokracja w siłę, która daje jej możność, jeżeli nie zawładnięcia sterem państw, to w każdym razie możność wpływania na ustawodawstwo w kierunku swego programu i na takiż rozwój tych instytucyj społecznych, którym i chłop podlega. Im bardziej rośnie w społeczeństwie siła partji, tem bliższy jest czas zrealizowania jej ostatecznych ideałów. Prócz tego w partji socjalistycznej można zaznaczyć ten postęp, że punkty jej najświeższych programów, przestają już kręcić się wyłącznie około materialnych interesów fabrycznego proletaryatu i agitatores socjalistyczni, którzy dotychczas zajmowali się wyłącznie miastami i fabryką, zaczynają „wtykać“ swe nosy na wieś, i wyciągają swe „szpony“ po ludność wiejską. Pozyskawszy mianowicie w mieście to, co mogła tam pozyskać, socjalna demokracja, przenosi powoli pole swego działania na wieś, i w ten sposób także bezpośrednio zmusza chłopą do zajęcia wobec niej jakiegoś stanowiska. Lecz chłop — mówią nam — nie da się pozyskać dla żadnej akcyi, która zmierza do jakiegokolwiek przemiany dzisiejszego ustroju społecznego. Tem bardziej nie można przystępować do niego z żądaniem zniesienia prywatnej własności ziemskiej. „Taki agitator zapoznałby się z kijami chłopskimi“ — mówi jeden dziennik szlachecki. Chłop ma być apriori nie przystępny dla takich programów. Co więcej — mówią, że chłop nie cierpi wogóle żadnego postępu. Jedynym jego społecznym programem ma być „naj bude jak buwało“. Zdaje się, że i historia potwierdza tę nienawiść chłopą do wszelkich, a wszelkich reform.

Przykre doświadczenia z chłopami, porobiły już antyfodálne rewolucye i rewolucyoniści. Czy nieznane nam antyrewolucyjne bunty chłopów francuskich?! „Niejasne aspiracye socjalistyczne lutowej rewolucyi 48 roku, zostały uprzątnięte reakcyjnymi głosami francuskich chłopów; chłop, który chciał mieć spokój, wygrzebał ze skarbu swych wspomnień legendę o chłopskim cesarzu Napoleonie i stworzył drugie cesarstwo. Wszyscy wiemy co naród francuski kosztowało to dzieło chłopskie; jego skutki odbijają się do

dziś jeszcze na narodzie francuskim“ (Engels). Czy nie dlatego upadły mieszczańskie rewolucye krajów niemieckich, że chłop stronił od nich, a po części był im przeciwny?

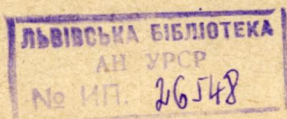
Przez zniesienie pańszczyzny dostał chłop to, czego najwięcej potrzebował i nie myślał dalej awanturować się. Niemiecki chłop chciał też mieć spokój, a walkę o „prawa człowieka“ pozostawiał ludziom. Naiwni rosyjscy rewolucyoniści, którzy najgłębiej byli przekonani o słuszności swej sprawy, z dziecinną wiarą w konieczność zwycięstwa porzucali szkoły, urzędy i rodziny i rozchodzili się w „lud“ głosząc mu socjalistyczną ewangelię. Oni wzywali lud do powstania i urządzenia królestwa niebieskiego na ziemi. Chłopi powstawali rzeczywiście, lecz nie na to, aby porwać własne kajdany, ale na to, aby spętać apostoła — i z poła-manami żebrami oddać go carskim siepaczom do dalszej kuracyi. A które pułki są w całej Europie „najwierniejsze“ i „najpewniejsze?“ Te, które rekrutują się z czysto chłopskich okręgów. Buntu one nie potrafią zrobić, lecz potrafią zgnieść bunt swej własnej braci! A w kochanej naszej Galicyi?! Na pierwszą wieść o polskim powstaniu pochwycił ruski — nietylko ruski, lecz i polski chłop — a cep i widły, aby przykładnie ukazać zuchwalstwo buntowników, którzy śmieli podnieść rękę przeciw cesarzowi. A inteligencja ruska — nawet miejska inteligencja — ci przywódcy chłopskiego ruchu w wschodniej Galicyi, jak oni zachowywali się w tych czasach, kiedy mieszczenie całej Austrii wywalczało tę odrobinę swobód, z których korzystał i ich — chłopski lud? I we śnie nie byłoby wymarzyć czegoś obrzydliwszego, nad to polityczne stanowisko, jakie zajęli przywódcy ruchu ruskiego w 48 roku. Praca tych niedołążnych „krzewicieli“ ducha ruskiego, była ultra-wsteczną a dla rozwoju ruskiego narodu wprost zabójczą. Rusini byli wówczas wzorem najwstrętniejszego serwilizmu — upadającego, psiego serwilizmu. Rusini — ci osławieni „Tyrolczycy Wschodu“ — stanęli wtedy przeciwko polityczno-narodowościowym ruchom drugich narodów — nawet takich narodów, które Rusinom nigdy nic złego nie zrobiły, jakimi byli np. Włosi. Kiedy udało się austriackiej armii pobić Włochów, pisali Rusini w swym piśmidle »Hałycka Zorja«, że radośny dzień zaświtał dla Rusinów — i urządzali dziękczynne nabożeństwo w Wołoskiej cerkwi — prawdopodobnie za to, że wyrznięto tam kwiat młodozieży ruskiej! Popierając kontrrewolucyę dynastyi, bronili patrioci ruscy

umierającego ustroju politycznego średniowiecznych czasów — narodowi na szkodę, a sobie na hańbę!

Opierając się na podobnych faktach, faktach nie wymyślonych, a wziętych wprost z niedawnej historii, pocieszają się »beati posidentes«, że chłop nie da się porwać nowym, ultra-rewolucyjnym, socjalistyczno-komunistycznym prądom. Gminną własność ziemską, to on jeszcze potrafi pojąć — ale gminną gospodarkę na niej?! Chyba tylko na pastwiskach. Aby cała gruntowa własność przeszła w posiadanie państwa, i aby państwo o ją uprawiało? o, tego już nie pojmie chłopski rozum. Chłop i socjalizm mają być pojęciami, które się wzajemnie wykluczają. Zwolennikami tej teorii, są nie tylko obrońcy dzisiejszego, kapitalistycznego ustroju. Tak myśleli także roznosiciele socjalistycznych teorii. „Drobny właściciel gruntowy jest przyszłym proletaryuszem. Jako taki, powinien być przystępnym socjalistycznej propagandzie. Przeszkadza mu w tem jednak na razie wcielony jego egoizm własnościowy. Im cięższą staje się dla niego walka o zagrożony strzępek ziemi, z tem większą rozpaczą trzyma się on go i tem bardziej widzi w soc.-demokracji, który mówi o oddaniu ziemi na własność ogółu tak samo niebezpiecznego wroga, jakim jest dla niego lichwiarz i adwokat“ (Engels). Wielu z socjalistycznych agitatorów odnosiło się ze skrajną pogardą do chłopów i życząc sobie, aby kapitalizm jak najprędzej zniszczył i sproletaryzował tę wsteczną armię, tę największą zaporę zwycięskiego pochodłu socjalno-demokratycznych robotników — z politowaniem i lekceważeniem traktowali tych, którzy wyrażali nadzieję pozyskania chłopów dla socjalizmu!

Dziś zaczyna doktrynerstwo to powoli ustępować. Wielu socjalistów zaczyna się już optymistycznie zapatrywać na przyszłość socjalizmu wśród mas chłopskich, przynajmniej w tych krajach Europy, w których klasa chłopska stanęła już na samym brzegu przepaści. Krajem takim jest, także Galicya.

Czy galicyjski chłop mogą zostać socjalistą?! Nim zaczniemy rozbierać istniejące, lub możliwe poglądy socjalne naszego chłopów, musimy zaznaczyć się dokładnie z jego socjalnem położeniem. Jakieby nie były dzisiejsze poglądy galicyjskiego chłopów, pójdzie on w tę stronę, w którą prągo jego materialne interesy. Zaznajomiwszy się dokładnie z jego położeniem, będziemy mogli z wszelką pewnością wydać sąd, za jaką partją pójdzie i czy dla danego programu jest u nas grunt podatny, czyli też go nie ma.



Proletaryat, jako wynik ustroju kapitalistycznego.

Adzieliśmy już w poprzednich numerach »Światła«, że w zażartej walce konkurencyjnej, jaką stacza dziś mała produkcja przemysłowa i rolna z wielką produkcją kapitalistyczną — co roku tysiące drobnych wytwórców schodzą w szeregi proletaryatu. Bez jawnego gwałtu, bez naruszania w czemkolwiek obowiązującego prawa o własności, pozbawia ich kapitał środków produkcji, a utuczywszy się ich własnością, wyrzuca ich na rynek pracy — by ztamtąd znów dostać ich w szpony wyzysku — jako robotników najemnych.

W ten sposób kapitalizm sam z siebie wysnuwa podstawę swego rozwoju, z jednej strony koncentrując w swym ręku coraz więcej bogactw, a z drugiej uwalniając te ogromne zasoby siły roboczej, które potrzebne są w produkcji kapitalistycznej.

To też dziś kapitaliści śmiało głosić mogą hasła »wolności i równości« i pod ich osłoną prowadzić dzieło wyzysku. Wszak robotnik sprzedający swoją siłę roboczą, zupełnie jest „wolny“ i stawiać może żądania. Gdy jednak cofniemy się o kilka wieków wstecz, w owe czasy, kiedy kapitał, starając się pokonać zapory, jakie stawiały mu ówczesne urządzenia ekonomiczno-społeczne — pierwsze stawiał kroki na drodze, która mu zapewniła zwycięstwo w świecie wytwórczym, natenczas nadaremnie szukać będziemy piosenki o „wolności umowy“.

Historia odśłania nam cały szereg niesłychanych gwałtów, zapomocą których możni wywłaszczali słabych posiadaczy z ich własności, a „zaoszczędzając“ sobie w ten sposób te ogromne bogactwa, które uczyniły ich panami świata, wytworzyli pierwsze szeregi bezwłasnościowego proletaryatu, bez którego produkcja kapitalistyczna byłaby niemożliwą.

Było to na początku XVI. wieku, kiedy rzemiosło miało jeszcze silną podstawę, a wzrastający w społeczeństwie podział pracy coraz bardziej je udoskonalał.

Szukając coraz nowszych dróg i coraz odleglejszych rynków zbytu dla produktów rozwijającego się przemysłu, kwitnący wówczas handel, znalazł drogę morską do Indyi

wschodnich i odkrył Amerykę, nieznaną dotychczas część świata.

Odkrycie to, a szczególnie odkrycie Ameryki z jej bogatemi kopalniami złota i srebra, i nieznanymi dotąd płodami roślinnymi, niezwykle ruch budzi między mieszkańcami Europy. Setki tysięcy kupców i awanturników spieszą do nowego kontynentu pędzone gorączką złota, a zdobywszy ogromne bogactwa handlem, oszustwami, gwałtami na Indyach dokonanymi — wracają do ojczyzny, roztaczając przed Europejczykami nieznaną dotychczas blask.

Ogromne rynki zbytu otwały się dla produktów przemysłu europejskiego, lecz krępujące produkcję przepisy cechowe i cały ustroj prawno-polityczny państw nie pozwala przemysłowi czynić zadość tej wzmożonej potrzebie wytwarzania.

To też widzimy, jak wszystkie te przeszkody z wolna ustępują przed rozsadzającymi je stosunkami ekonomicznymi, a gdzie opór jest silniejszym, tam usuwa się go gwałtem.

Największego wpływu zaczynają zażywać w państwie bogaci kupcy i kapitaliści; ba nawet organizacja państwowa dostrajać się zaczyna do ich celów. Dotychczasowe państwo federacyjne przekształcać się zaczyna w monarchię absolutną, biurokratyczno-militarną, która broni interesów kapitalistów jako swoich własnych, natomiast kapitaliści, potrzebujący zcentralizowanego państwa, wspierają je pożyczkami pieniężnymi.

Nie też dziwnego, że dla bogatych tych kapitalistów monarchowie pierwszy czynią wyłom w przepisach cechowych, pozwalając im zakładać manufaktury i organizować masową produkcję towarów. Ale do masowej produkcji potrzeba wielkiej ilości rąk roboczych, a istniejące podówczas stosunki własnościowe nie dostarczały jeszcze sił roboczych w takiej liczbie, jakich wymagała zrzeszona praca wielkich rękodzielni. Jednakże rozwój ekonomiczny i tej potrzebie wkrótce zaradził.

Rozszerzenie rynków zbytu dla wytworów przemysłu, odbiło się także na produkcji rolnej. Wzmogło się zapotrzebowanie płodów surowych, jak drzewa, wełny, skóry, lnu, — a chłop, który dotychczas nie znał prawie rynku, teraz zaczął dla niego produkować.

Za sprzedane towary otrzymywał chłop pieniądze, a pieniądze te stały się źródłem jego nieszczęścia. Zamiast danin i opłat w naturaliach żądali teraz panowie i państwo

od niego pieniędzy — i zaczęli nakładać na niego takie ciężary, że biedny chłop, upada pod nimi.

Doprowadzani do rozpacz, wszczynali chłopci bunt i powstania, które wypełniają prawie cały wiek 16 i 17, a po upadłem takim powstaniu, tłumnie opuszczali wieś i udawali się do miasta, zostawiając posiadłości swoje na łup panów.

Niedość na tem; panowie porwani gorączką zysku, zaczęli teraz sami produkować na wielką skalę drzewo, skórę, wełnę — tak potrzebne w przemyśle — a potrzebując do tego wielkich obszarów łąk i lasów, bez skrupułów spędzali chłopów z ich własności i zagarniali je dla siebie. Czyż nie świętą jest własność w ten sposób „zaoszczędzona?”

Cóż tedy pozostawało tym masom wywłaszczonym, pozbawionym środków produkcji? Aby nie zginąć z głodu, musiały wynieść swoją siłę roboczą, jedyną własność, która im jeszcze została na rynek pracy i sprzedać ją czekającym już na nią kapitalistom za cenę, jaką już targ wówczas regulować począł.

Oto historia powstania pierwszych szeregów proletariatu z jednej i burżuazji nowoczesnej z drugiej strony, powstanie obu tych klas, bez których dzisiejsze społeczeństwo kapitalistyczne pomyśleć się nie da. Odtąd rozwijają się obie „spokojnie“ dalej — pierwsza obok drugiej i z drugiej. Produkcya kapitalistyczna z dniem każdym, z każdą chwilą, to wynalazkiem nowym, to nowem odkryciem w różnych dziedzinach życia społecznego rewolucjonizuje społeczeństwo, by sprowadzać z kolei wszystkie te sprzeczności i komplikacje, które cechują dzisiejszy stan rzeczy — i z których z konieczności wyłonić się musi nowy porządek społeczny. Dalej bowiem rozszerzają się rynki i wzrasta potrzeba produktów — już i manufaktury nie są w stanie czynić jej zadość.

W tem olbrzymia rewolucya pchnęła produkcję kapitalistyczną znów o potężny krok naprzód. Para i maszyna dała jej w rękę broń, zapomocą której w szybkim pochodzie druzgoce wszystkie przeszkody, które stawały jej w drodze. Miejsce dotychczasowych manufaktur zajmują fabryki, zatrudniające setki robotników; miejsce średniej klasy rzemieślników, milionerzy przemysłowi, którzy kierując temi ogromnemi armiami robotniczymi wprost sprzeczny z ich interesami mają interes.

Burżuazya rośnie w siły i potęgę. Nauka i sztuka, stają na jej usługi; systemy ekonomiczne bronią jej interesów,

głosząc wolność handlu i swobodę konkurencyi, jako główną podstawę rozwoju ekonomicznego, — znów urządzenia państwowe zmieniają się pod naciskiem ekonomicznych czynników i cały ustrój prawno-polityczny państwa, poddając się burżuazji — staje się reprezentacją jej interesów.

Rewolucya francuska, a w kilkadziesiąt lat później rewolucya ogólna-europejska odbudowują państwa na zasadach konstytucyjnych, które zapewniają burżuazji wszelką wolność, jaka do rozwoju wszystkich sił była jej potrzebną.

Trzeba też przyznać, że rola burżuazji w rozwoju społecznym ogromnie była rewolucyjną, że panowanie jej spowodowało postęp, o jakim poprzednie wieki ani nie marzyły. Przemysł, handel, sztuka, nauka osiągają olbrzymi rozwój, a z nim na tle nowych stosunków własnościowych zmieniają się poglądy na rodzinę, małżeństwo, religię itd. Lecz wkrótce burżuazja staje bezsilna wobec tych potężnych sił produktywnych, które stworzyła. Wolna konkurencya stwarza zjawisko, które zwolna podkopuje jej byt. Nadprodukcya i kryzysy, wynikające z anarchii w produkcji w regularnych odstępach czasu niszczą całe gałęzie przemysłu i niespodziewanie spowodują zastój tam, gdzie przed chwilą bogactwo i przemysł kwitły w najlepsze. Wszystkie siły, za pomocą których burżuazja obaliła system feodalno-cechowy, ogromne rynki, wolność produkcji, sprzysięgły się teraz przeciw niej samej — broń, którą walczyła, zdobywając sobie panowanie, zwraca się teraz przeciw niej — a dzierży ją klasa, którą także wytworzyła sama, klasa proletaryatu.

Wspomnieliśmy już, że razem z burżuazją i produkcją kapitalistyczną rozwija się także proletaryat.

Olbrzymi postęp w podziale pracy i udoskonaleniu maszyn, zamienia robotnika, dotychczas człowieka samodzielnego — w dodatek do maszyny tylko, w jej dozorcę. Zamiast zręczności i pewnego wykształcenia fachowego, wymaga się od niego tylko siły roboczej, która na rynku pracy staje się towarem, podlegającym, tak jak inne towary, wahanom targu i wpływom konkurencyi.

Płaca robocza waha się najczęściej około ceny produktów potrzebnych do zachowania i reprodukcji siły roboczej, a nie może nigdy podnieść się do wartości wytwarzanych przez tę ostatnią produktów. Robotnik bowiem za cenę swej płacy wytwarzać musi wartość znacznie od niej większą tak zw. nadwartość, która jedynie jest ce-

lem dzisiejszych przedsiębiorstw kapitalistycznych. W tym też celu fabrykanci do niemożliwych granic przedłużają dzień roboczy i wciągają do produkcji kobiety i dzieci.

Praca kobiet i dzieci niszczy rodzinę robotnika, gasi „ognisko domowe“, którego kapitaliści są tak gorącymi piewcami i rzuca setki kobiet proletaryatu w ramiona prostytutki. Tak niesłychanie niskie są płace robotnic, że nie wystarczają do ich utrzymania, a dla uzupełnienia jej — robotnice szukać muszą „ubocznych zarobków“. Oto stosunki, które wytworzyła burżuazja i których broni z całych sił, uważając świat wyzysku i ucisku za najlepszy ze wszystkich światów!

Długi dzień roboczy, praca kobiet, napływ robotników ze wsi i miast, wywłaszczonych konkurencją wielkiego kapitału, udoskonalenie maszyn, które oszczędzając siłę roboczą, co dzień tysiące niepotrzebnych robotników wyrzucają na bruk, wreszcie kryzysy wytwarzają ogromną armię robotników nie mogących w produkcji znaleźć zajęcia, t. zw. armię rezerwową, która dla kapitalistów jest nieocenioną. Jest ona w ich rękach najważniejszą bronią, zapomocą której obniżają płacę roboczą, tak więc nadmierna praca jednych, wywołuje brak zajęcia u drugich, i przymusowe bezrobocie nie tylko jest nieszczęściem dla dotkniętych nim, lecz oznacza niepewność egzystencji dla całej klasy robotniczej.

Przymusowe bezrobocie nie są bynajmniej wynikiem zastoju w produkcji, lecz przeciwnie naturalną konsekwencją jej rozwoju i podobnie jak drobna własność dziś nie zabezpiecza właściciela przed upadkiem i nędzą, tak też posiadanie siły roboczej nie chroni od niej robotnika.

Jeśli nad pierwszym wisi nieustannie obawa bankructwa i wywłaszczenia, to drugiego prześladuje widmo bezrobocia, a ta niepewność jutra — to najstraszliwsze zło dzisiejszego ustroju społecznego.

Oto owoce, które produkcja kapitalistyczna przynosi proletaryatowi — nadmierna praca, przymusowe bezrobocie, rozluźnienie węzłów rodzinnych — usiłując równocześnie proletaryzować coraz szersze masy. Dotychczasowe średnie klasy: drobni przemysłowcy, kupcy, rzemieślnicy, chłopci, rentierzy, wszyscy, nie dziś to jutro schodzą do proletaryatu, bądź z powodu, że drobny ich kapitał pochłoniętym zostaje przez wielki kapitał, bądź dlatego, że nie mogą przystosować się do nowego sposobu produkcji. Inteligencja nawet staje się towarem i spada w cenie z większą podażą. Nadpro-

dukcyja robotników w umysłowych wytwarza proletaryat inteligentny, którego położenie z każdym dniem staje się gorszem. I tu brak pracy i armia rezerwowa naj-sroższem są złem.

Lecz ta niepewność położenia, ta dręcząca obawa o jutro, podkopują wiarę proletaryatu w istniejący porządek społeczny, i jego sprawiedliwość. Chcąc usunąć wszystko złó, proletaryat dąży do gruntownej zmiany całego ustroju społecznego i staje się jedyną rewolucyjną klasą społeczną, pionierem nowego porządku. Z początku zwraca się proletaryat przeciw nowym narzędziom produkcyi i przeciw poszczególnym kapitalistom, upatrując w nich źródło swej nędzy. Nie rozumiejąc biegu rozwoju ekonomicznego, nie rozumiejąc swego klasowego stanowiska, ani potrzeby łączenia się w wspólną organizacyę, walczy luźnie, idąc często na lep klas wyzyskujących go.

W miarę jednak, jak się rozwija przemysł, proletaryat nietylko wzrasta liczebnie, lecz skupiając się w coraz większych masach w fabrykach i okręgach przemysłowych, dochodzi do poczucia siły swojej.

Konkurencya między kapitalistami, zmuszająca ich do ciągłego obniżania płacy robotników, wyrównuje zwolna różnice między robotnikami, a wspólność położenia i interesów, coraz silniejsze między nimi zacieśniają węzły.

Początkowa walka garstki robotników z poszczególnymi fabrykantami przybiera charakter coraz bardziej świadomej walki klasowej proletaryatu z całą klasą wyzyskiwaczy i z całym ustrojem społecznym, a rezultatem jej dotychczas, nietylko liczne ulgi dla robotników, jak ustawowy dzień roboczy w różnych państwach, ustawy ochronne itp., lecz najpotężniejszym to organizacya proletaryatu całego świata dla wspólnej walki, ze wspólnym wrogiem.

Walka proletaryatu, jako walka klasowa w pierwszym rzędzie musi być polityczną, zwalcza bowiem wszystkie urządzenia państwowo-polityczne, które są wyrazem dzisiejszego stanu rzeczy i dążą do jego zachowania. Robotnicy całego świata domagają się równouprawnienia politycznego, którego pierwszym szczeblem jest prawo powszechnego głosowania, a z tą bronią w ręku postępują naprzód na drodze, który wyznaczył im rozwój ekonomiczny, ku zdobyciu wszystkich środków produkcyi i zaprowadzenie nowego ustroju.

I jakkolwiek silne na pozór są państwa burżuazyjne i potężne jeszcze klasy panujące — to strach paniczny przed

kroczącym śmiało naprzód proletaryatem, ustawy antiprzewrotowe mające na celu zgnieść ruch, którego już nic zdusić nie zdoła, — a wreszcie ustawy te, które usiłując uspokoić robotników, rzucić im chcą jakiekolwiek okruchy w postaci reform, reformek, byle ocalić „porządek” — dowodzą jasno, że proletaryat jest klasą przyszłości, a zwycięstwo jego jest tylko kwestią czasu.

Traw.



ZAPISKI LITERACKIE.

Zygmunt Niedźwiecki: „Grzech”. *Nowele i szkice*. — „Sam na sam”. *Nowele i szkice*. (Kraków 1895). Jakie społeczeństwo, taka jego sztuka. Nikt bowiem nie jest w stanie wyswobodzić się z pod wpływu swego otoczenia i tworząc, odzwierciedla tylko wrażenia, od tegoż przyjęte. Ma się rozumieć, że ma tu również doniosłe znaczenie także i indywidualność artystów, przez której pryzmat przechodzić muszą wrażenia, zanim się w ich dziełach odbiją. Przeważa tu jednak w każdym razie wpływ społeczeństwa, jak to udowodnili Marx, Buckle i Taine. Dlatego to współczesna sztuka, a głównie literatura, daje nam obraz walki, jaka się dziś w łonie społeczeństwa rozgrywa. Jak dzisiejsze społeczeństwo rozdarte na dwa obozy: jeden chyłący się do upadku, a drugi rosnący i rozwijający się potężnie, jeden broniący się resztkami swych sił, zdenerwowany i niewidzący jutra przed sobą, a drugi zwyciężający, pełen nadziei i wiary w swą sprawę, — tak i we współczesnej literaturze widzieć się dają dwa kierunki: jeden schorzały, gorączkowy, drugi pełen ognia i zdrowia. Pierwszy żywioł przeważa naturalnie, bo jest on wyrazem życia umysłowego burżuazji, która mając dotychczas monopol kultury, opanowała prawie wyłącznie wszystkie dziedziny pracy umysłowej, zwłaszcza te, które stanowią pewien zbytek. Wprawdzie pojawiają się od czasu do czasu w burżuazyjnej literaturze, a zwłaszcza w polskiej, naiwne sielanki technące jeszcze zupełną ignorancją dzisiejszych stosunków kulturalnych, ale są to tylko echa dawno minionych lat, szczęśliwszych (dla klas posiadających) czasów, przeżytych prądów, mogących odżyć jedynie w sentymentalnej duszy człowieka, który patrzy, a nie widzi.

Głównym jednak tonem panującym w naszej burżuazyjnej literaturze to zwątpienie i zdenerwowanie, a głównym typem Płoszowski. Polska literatura współczesna tem się jednak różni od zachodnio-europejskiej, że widać w niej bardzo mało śladów myśli o jakimś lepszym jutrze. Jakkolwiek widać w niej przyznanie moralnej zgnilizny i wewnętrznej niemocy burżuazyjnego społeczeństwa, to jednak rzadko można w niej napotkać coś innego, jak płytkie zapoznawanie tego faktu, że burżuazja traci grunt pod nogami, czem już nie grzeszy burżuazyjna literatura zachodu. I tak autokrytyka znachodząca się w literaturze naszej burżuazji jest prawie zupełnie bezpłodną. Dlatego niezmierną posiadają u nas wagę nieliczne okazy beletrystyki, będącej wypływem socjalistycznego światopoglądu. Do nich w pierwszym rzędzie należą nowele Zygmunta Niedźwieckiego.

Zdołał on w nich świetnie uchwycić przełom, na jakim się znajduje obecne społeczeństwo, odtworzyć trafnie obydwie jego strony. W pier-

wszystych swych utworach: „*Słońce*“ (Kraków 1892) i „*Jedyne dzieło*“ (Kraków 1893), zajmuje się wyłącznie jedną stroną współczesnego życia. Obserwuje w nich objawy moralnej degeneracji burżuazyjnego społeczeństwa. Wieje więc z nich gorycz, gryząca ironia i głęboko odczute niezadowolenie. N. p. w świetnym szkicu »Nowa era« znakomicie jest zobrazowana rozterka zachodząca między głoszoną przez burżuazję moralnością, a stosunkami rzeczywistymi. Pojmujemy zatem, dlaczego jezuita Badeni nawoływał w „Przeglądzie powszechnym“ pisma burżuazyjne, by swe szpalty przed Niedźwieckim zamknęły.

W następnych swych nowelach: »*U ogniska*« (Kraków, nakładem »Naprzodu“, 1894) poruszył Niedźwiecki drugą stronę dzisiejszego życia społecznego: zrywanie się proletariatu do walki o swe prawa. Widzimy tu wprawdzie jeszcze jedną ciemną rodzinę robotniczą, żyjącą w niskiej i wstrętnej atmosferze moralnej, ale widzimy teraz zaraz, jak w innej podobnej rodzinie mieszczącej się w oficynach poczyną kiełkować myśl kulturalna. Widzimy tu ruch robotniczy w najważniejszych jego fazach i z najcharakterystyczniejszych stron przedstawiony, przesuwając się przed nami cała galeria typów ze współczesnego — specjalnie polskiego — ruchu socjalistycznego, cały szereg najważniejszych ustępów z życia duchowego jednostek biorących w nim żywy udział. Mamy tu i obrazy doli robotniczej od kolebki aż do grobu, mamy wreszcie kilka szkiców z publicznego życia naszej wielkiej i małej burżuazji i jej prasy, świetne satyry, tryskające iskrami gryzącego dowcipu...

Obecnie leżą przed nami dwa nowe tomy nowel Niedźwieckiego: „*Grzech*“ i „*Sam na sam*“. Są to nowelki w pierwszym rodzaju.*) — Zawierają one sporą dawkę krytyki różnych objawów burżuazyjnego społeczeństwa. Znakomita psychologia, jaką się odznaczają, nadaje im wysoką wartość artystyczną. Znajdujemy tu także (równie jak i w dwóch pierwszych tomach, niektóre utwory nie mające nic wspólnego z życiem społecznym, a osnute na czysto indywidualnych momentach psychologicznych. Z tych przedewszystkiem wyróżnia się szkic p. t. »Sen«, dający nam dokładny obraz płomiennej duszy autora.

Tak pojmować i przedstawiać życie zdolnym jest tylko umysł człowieka prawdziwie kochającego wolność i prawdę, nienawidzącego z głębi serca wszelkie szranki, ucisk i obłudę. To też odczuwa Niedźwiecki głęboko krzywdę, jakiej doznaje proletaryat i spełniając wiernie swój obowiązek w walce o jego interesy, poświęca w ich obronie swój talent i swe pióro.

Tomasz Pokrzywa.



N O T A T K I.

Przyczynek do koncentracji kapitału. Stany Zjednoczone są jednym z najmłodszych krajów kulturalnych na świecie, ale też i jednym z najbogatszych. Tak zwane „bogactwo narodowe“ wzrosło w ostatnich latach w olbrzymi sposób — w roku 1893 osiągnęło sumę 66.000 milionów dolarów.**)

*) Niektóre z nich były poprzednio drukowane w »Naprzodzie«.

**) dolar wynosi 2 i pół guld.

Mianowicie:

Ziemia i budynki	39.544,544.333 dolarów
Marzędzia rolne i bydło	2.703,015.040 „
Kopalnie	1.291,201.579 „
Złoto i srebro	1.158,774.948 „
Naszyny i zapasy towarów	3.058,493.440 „
Koleje żelazne	8.485,427.313 „
Telegrafy, telefony, okręty	701,705.713 „
Rozmaitości	7.893,701.821 „

Ten sam statystyk, który zestawiał powyższe cyfry, George K. Holmes, wykazał nam również, że „bogactwo narodowe“ jest szwindlem, że całe masy ludności nie mają w niem żadnego udziału, że właśnie nieznaczna mniejszość kapitalistów przywłaszcza sobie cały wytwór pracy robotniczej. Mianowicie wykazał, że ludność rozpada się:

na klasę robotniczą	6,599.796 rodzin = 52 ⁰ / ₀
„ „ „średnią	4,991.081 „ = 39 ⁰ / ₀
„ „ „kapitalistów	1,091.325 „ = 9 ⁰ / ₀
Podział „bogactwa narodowego“ przedstawia się następująco:	
Klasa kapital.	42.703 milionów dolarów = 71 ⁰ / ₀
„ „średnia	14.550 „ „ = 24 ⁰ / ₀
„ „robotnicza	2.746 „ „ = 5 ⁰ / ₀

Proletaryat Londynu. Na 4¹/₂ miliona mieszkańców Londyn liczy:

Włóczęgów	50.000
Żyjących bez żadnego stałego zajęcia	300.000
Żyjących z dochodów nieregularnych	25.000
Regularnie lecz niedostatecznie wynagrodzonych	400.000

czyli, że w samym Londynie milion ludzi żyje w nędzy, co nie przeszkadza wcale 250 angielskim milionerom spożywać w spokoju owoce cudzej pracy.

Liczba prostytutek przechodzi 300.000.

Chrześcijańskie stowarzyszenia robotników w Niemczech. Federacja chrześcijańskich stowarzyszeń robotniczych w Niemczech liczy obecnie 250 stowarzyszeń mających 10.000 członków. W prowincjach nadreńskich i w Westfalii znajduje się ich 121, w Bawarii 46, w Saksonii 30, w Württembergii 12.

10.000 w porównaniu z 1,800.000 socjal-demokratów! Dość mizernie to wygląda.





FEJLETON.

Jak to wyglądało w początkach.

(Opowiadanie z 1. Maja).

W pewnem małym miasteczku Galicyi — nazwijmy je Kołtunowem — dziwne od jakiegoś czasu działy się rzeczy. Wiosna 1891 roku przyniosła wraz z łagodnym, zachodnim powiewem, różne „imponderabilia“, różne nieuchwytne zarazki niepokoju... Nie było ich nigdzie, a jednak były wszędzie. — Na lekkich skrzydłach wiosennego technienia przelatywały z umysłu do umysłu, z serca do serca, rozszerzały się ciągle, a znikały natychmiast w chwili, gdy czyniono najlżejszy choćby wysiłek, aby je uchwycić, zważyć, albo do ściany przydusić i przytrzymać.

W całym Kołtunowie prenumerowano tylko 15 czasopism i nie można powiedzieć, żeby dziennikarze niepokój wszechynali i coraz szerzej, coraz dalej go rozniecali i żywili. Bóg wszechmądry wiedzieć raczy, skąd się to ludziom wzięło?... Może wywołał to wesóły Jan, zwinny robotnik ze Lwowa, albo poważny Michał z pobliskiej huty szklanej, który — żandarmerya wie przecież o wszystkim — z poczty socyalno-demokratyczne pisma przynosił, albo ów blondyn, przystojny kamieniarz... Był on przez całą zimę zajęty przy wspinałym hrabiowskim grobowcu, nudził się w tem ciasnem gnieździe i pił po szynkach z włóczącymi się bez pracy murarzami. O! — ten podejrzenie wyglądał...

Dość, że wreszcie przyszło. Jak? i skąd? — to próżne pytania.

Murarze zgromadzali się pilnie u Szlomy Rubina w szynku pod „Złotym śledziem“. Pierwsze roboty wiosenne były już w toku od miesiąca, a ludzie ci mieli teraz promieniejące oczy, które spoglądały radośnie z twarzy pokrytych cienką warstwą wapiennego i ceglanego pyłu. Byli przecież znowu przy ciężkiej robocie, mogli pracować,

mogli przynajmniej zarabiać swoich pięćdziesiąt centów dziennie! Na rusztowaniach rozbrzmiewały też całymi dniami wesołe śpiewy, dzięki którym twarda i długa praca znosić się nieco wydawała.

W tym roku przybył nowy gość do starych, znajomych piosenek... Murarze coraz częściej i częściej śpiewali „Czerwony sztandar“, natchnioną, porywającą pieśń robotniczą. Razu pewnego, przybył budowniczy, aby oglądać robotę. Powóz jego zatrzymał się przy oparkaniu, a otyły, wiecznie spocony i sapiący „pan“, począł wstępować na rusztowanie. Deski gięły się i skrzypiały pod tym pańskim ciężarem, który dodrapał się nareszcie do wysokości pierwszego piętra.

Doszedłszy tu, budowniczy, niby masa mięsa i tłuszczu przyganiać począł gwałtownie, brutalnie sklepienia weneckich okien. Głos basowy grzmiał najpierw przeciw „podmajstrzemu“, potem dostało się obu zajęтым przy tem robotnikom, a w końcu całej robotniczej rzeszy.

— Gałgany! Czyż ja gorzki pieniądz swój kradnę, czy rabuję, że wy tak powoli i nędznie fuszerujecie! Przed kilku tygodniami zaledwie przypelzaliście do mnie żebrząc o robotę, a teraz bawicie się tylko i niszczyacie materyał... i tak szło dalej wśród uginających się desek i gwałtownych uderzeń laski o drewnianą poręcz.

Naraz z rusztowania o piętro wyżej położonego — pracował tam powszechnie lubiany i pieszczony Jagódka — zabrzmiała melodia „Czerwonego sztandaru“. Z różnych stron budynku podniosło się z piętnaście do dwudziestu silnych, męskich głosów i przyłączyło do czystego, dzwicznego śpiewu Jagódki.

Głuche, tonące w tłuszczu, gniewnie zrzędzące wybuchy pana budowniczego, zostały dziesięciokrotnie zagłuszone potężnym, chóralnym śpiewem robotników. Budowniczy wściekał się w swojej bezsilności — a w dodatku deski pod nim trzeszczały... „Do licha! ci hultaje urządzali już podobne historye... a gdyby tak jedną lub dwie deski w spojeniu rusztowania rozluźnili...“

— Zchodźmy co prędzej — już ja sobie z nimi w sobotę dam radę — zgrzytnął wściekle budowniczy, i rozpoczął odwrót. Za chwilę siedział już w powozie i odjechał szczęśliwie. Melodia „Czerwonego sztandaru“ płynęła w dal, rozbrzmiewała wspaniale w cichej, wiosnianej atmosferze i wświdrowywała się w uszy umykającego wyzyskiwacza, który po drodze kłął zawzięcie.

O — jestto znak czasu! Takie rzeczy nie przydarzyły się dotąd wśród jego spokojnych robotników. — Pierwszy Maja to sprawił! Teraz pięknie dziać się będzie. — — — Zbóje ci dopuszczają się niechybnie okropnych czynów. Należy w końcu uwierzyć panu Schnieglerowi, właścicielowi fabryki szkła, gdy ten w kołtunowskiew kasynie opowiada historye, od których włosy na głowie stają i rozwija przypuszczenia co do zbliżającego się buntu robotników. — Tak tak — to pewna — istnieje jakiś ferment wśród tych głupich robotniczych prostaków.

Następnęj niedzieli zwołano w Kołtunowie istotnie dwa tajne zgromadzenia. Jedno z nich odbyło się w lokalu mieszczkańskiego kasyna, drugie u Szłomy Rubina pod „Złotym śledziem“.

O! — jakże oba były jeszcze nieporadne!...

W kasynie pili panowie dużo wina, ale żaden nie wiedział właściwie o co chodzi. Jeden tylko fabrykant szkła umiał sobie zdać sprawę z rzeczy, to też słuchano go z nabożeństwem.

— Wojska nie mamy, a policya miejska — ej — to sami pijacy i pomocnicy złodziejów... Zandarmi mogliby tu służbę pełnić, ale cóż pomoże dwóch, trzech ludzi przeciw zastępowi robotników choćby jednej Schnieglerowskiej huty.

Nie — w ten sposób nic się zrobić nie da.

Z grona zebranych wystąpił pan Topolewski, agent towarzystwa ubezpieczeń i żarliwy patryota. Przed laty szeptano o nim, że w r. 1864 sprzeniewierzył pieniądze zebrane na powstanie narodowe i że kupił sobie za nie kamienicę w Kołtunowie. Od czasu, gdy pogłoski te krążyć poczęły chodził Topolewski w poważnym „narodowym“ stroju, który nosił z istic niezrównaną godnością.

Wystąpił on i rzekł: Zdaje mi się, że nie należy nam długo przemyśliwać, skoro ojczyzna sama w ręce nam kładzie środek do zwalczenia agitatorów i niegodnych burzycieli. Panowie wiecie przecież, że w dniu 3. Maja kraj cały uroczyscie obchodzić będzie rocznicę sławnej naszej, przed stu laty uchwalonej konstytucyi. Mówicie, że będziecie musieli ustąpić i robotników na 1. Maja od roboty uwolnić — dobrze — możemy jednak prąd ten zwrócić ku pożytkowi drogiej naszej ojczyzny. Wnoszę zamówienie mszy dla robotników, po którejby gwardyan, wielebny ojciec Fulgencyusz, wygłosił stosowne kazanie o uroczysości 3. Maja. Będziecie panowie musieli ustąpić nieco — ale uratuje się przynajmniej co można będzie. Dixi.

— Brawo — brawo Topolewski! — a więc do gwardyana! Jest on może w kasynie?

— Oczywiście, gra w taroka z sekretarzem. Sprowadzono ojea Fulgencjusza, który propozycję natychmiast przyjął i schował 50 zł. jakie zgromadzeni na mszę złożyli.

— Tylko — niech to będzie piękna msza — prosił sknera fabrykant.

— O — to się samo przez się rozumie.

*

*

*

U Szlomy Rubina wrzało. Większość zgromadzonych stanowili murarze i robotnicy z huty szkła. Tutaj również nie wiadano jak należy obchodzić robotnicze święto. To jedno tylko jasnem było: nie trzeba pracować. Nikt nie umiał powiedzieć co dalej robić wypada. Poważny Michał od dawna już wyjechał, bo go z huty wydano. Dobrego kamieniarza nie było, a kilku intrygantów i pochlebców usiłowało całej sprawie kark skrócić.

Jeden z nich obudził jakby zaklęciem, nagle, niespodzianie, potężnego, w masach drżającego ducha.

— Pomyślcie jeno dobrzy ludzie co czynicie — rzekł. — Macie dobrą płacę, porządnych pracodawców, a chcecie się buntować. — Nie wiecie zapewne, że pan jest w porównaniu z nami bardzo potężnym, że mogą nas rozstrzelać... tak... tak... z tego 1. maja wyjdziemy jeszcze kalekami nędznymi rozstrzelanymi kalekami...

W wielkiej dymem tytoniu przepełnionej izbie szynkowej zapanowała po tych słowach głęboka cisza.

Z ławy podniosła się olbrzymia postać murarza Jana Hebdy. Wystąpił i zacisnąwszy pięście, żywo gestykulując zawołał:

— Co?! — nas rozstrzelają? — za co? — czyż to jest przewinienie, że chcemy nasze święto, 1. Maja obchodzić? — Nie — nie — i tysiącokroć nie! — Czyż zawsze mamy być tchórzami wobec pana?! Chcą strzelać? — dobrze — niech przyjdą!

Rozdarł koszulę na piersi zbronzowiałej od wiatru i słońca i stanął tak przed poprzednim tchórzliwym mowcą.

— Hebda, Hebda, powstrzymaj się, wszyscy myślimy tak jak ty — uspokajali go towarzysze, a trwożliwi od razu zamilkli. Kilku starszym murarzom przyszło na myśl, żeby na uczczenie 1. Maja kupić obraz Najśw. Panny Częstochowskiej i dać go poświęcić w kościele podczas mszy.

Wniosek przyjęto, pomimo, że sprzeciwiała się temu część robotników z fabryki szkła.

O mszę i poświęcenie obrazu poproszą starego, dobrego ojca Tomasza. Jest on sam dzieckiem ludu, umie się tak dobrze z ludźmi obchodzić, a im z pewnością nie odmówi...

W kościele św. Antoniego zapowiedziano dwie msze na dzień 1. Maja, pierwszą na pół do dziesiątej, drugą na pół do jedenastej.

Przy jednym z bocznych ołtarzy świeciły się tylko dwie świece. Ojciec Tomasz nie chciał przyjąć więcej pieniędzy od robotników, a zarząd klasztoru nie chciał dać za darmo lepszego oświetlenia. Boczna nawa kościoła, w której się ołtarz znajdował przepełniona była odświeżnionymi przybranymi murarzami i robotnikami z huty szkła. Ci ostatni stawili się punktualnie co do jednego. Obraz, który miano poświęcić umieszczonym był na ołtarzu.

Po mszy zwrócił się ojciec Tomasz, ośmdziesięcioletni starzec do robotników i wyrzekł drżącym głosem:

— Drodzy bracia — dziękuję Wam serdecznie, żeście mnie przypuścili do waszej uroczystości. W tym pięknym dniu majowym — może nie dożyję już wielu podobnych — chciałbym powiedzieć wam kilka prostych, braterskich słów o waszem położeniu i położeniu pracującego ludu w ogóle. Jestem starym, tak starym, że mogę prawdę mówić nie oglądając się na okoliczności i względy. Jestem jak wy, dziecięciem tego pracującego, na śmierć się zapracowującego ludu. Pomimo, że ojciec mój krew przelewał pod dowództwem księcia Poniatowskiego i cesarza Napoleona, byłem w pierwszej, piękniejszej połowie mego życia pańszczyźnianym niewolnikiem. Czerwona krew 1846 roku rzekami popłynąć musiała, zanim ludowi przyznano wolność.

Gorączkowy błysk jego szarych oczu, zaszedł mgłą — po chwili mówił dalej:

— Jesteście wolnymi... smutna to wolność... mimo jej lud nasz podobnym pozostał do dawnych, pańszczyźnianych, od pana we wszystkiem zależnych niewolników. — Wiem jak to się teraz na świecie dzieje — nie zawsze byłem mnichem — pracowałem i poznałem waszą nędzę. — wasi panowie szukać będą wszelkich sposobów, aby was utrzymać w posłuszeństwie i ochocie do pracy... a wy nie macie na świecie przyjaciela, któryby wam mógł dopomóc. — Węc pomagajcie sobie sami. — Połączcie się jak bracia, puczajcie i wspierajcie się wzajemnie, a ponieważ walczyć będziecie o nowe, lepsze jutro, więc błogosławię wam... ja

stary, biedny człowiek, któryby tak bardzo chciał wspólnie z wami pracować... — ciche łkanie przerwało mu mowę, — błogosławię wam w to święto robotnicze.

Starzec ujął kielich; mały, do mszy usługujący chłopak wziął mszał i wśród ściśniętego szpaleru robotników przeszli powolnym krokiem do zakrystyi.

Pół do jedenastej wybiło. Robotnicy spokojni i pełni powagi opuszczali kościół. Na słonecznym cmentarzu powtórzyły się grupy — murarze byli w uroczystym nastroju ducha, hutnicy jednak spoglądali przed siebie złośliwie i uśmiechali się zadowoleni.

W tem nadjechał elegancki kocz pana Schnieglera, a za nim potoczyły się inne karety i powozy, z których wspaniała publiczność wysiadać poczęła z pompą przed szerokimi schodami kościoła. Apoplektyczny budowniczy i Topolewski w narodowym stroju byli oczywiście w tym tłumie, złożonym z tuzina podobnych im panów.

Robotnicy ustąpili miejsca i odchodzili pomału.

— Jakto! — co? — dokąd?! — pytali panowie — odchodzicie? — a msza?

— Byliśmy już w kościele — brzmiała odpowiedź.

Od furtki cmentarnej podniósł się ładny głos wesołego Jagódki:

— Towarzysze! — dalej na wycieczkę! do lasu! kamieniarz przysyła wam przezemnie niespodziankę!

To mówiąc wywinął w powietrzu sporym pakietem czerwonych jednodniówek majowych, które przyszły ze Lwowa.

Robotnicy ruszyli parami, a gdy znaleźli się za murem kościelnym na małej, polnej ścieżce i zwrócili się w stronę ciemnego lasu, zabrzmiały piękne potężne dźwięki „Czerwonego sztandaru“. Wyrzywały się one z przepełnionych serc, przez cały rok uciskanych ludzi — i płynęły w dal.

Panowie, zbici z tropu przyglądali się temu. — Pierwszy odezwał się skąpy Schniegler: „A gdzież są nasze 50 guldenów?! — „Ej — przegrałem je już dawno przy partyi taroka...“

Ignacy Daszyński.



22. 78

F VIII
S-97

Treść Nr. 3.

„Święto pracy“ nap. Józef Hudec. — „N.
nap. Żegota. — „Chłopska posiadłość w Ga
Budzynowski — „Proletariat, jako wynik ustroju kapitalistycz-
nego“ nap. Trawiecka. — Notatki. — Fejleton: „Jakto wy-
glądało w początkach? (Opowiadanie z 1. Maja) nap. Ignacy
Daszyński.

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód“.

„U OGNISKA“

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedźwieckiego.

12 szkiców na 15 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenu-
meratorów „Światła“ 60 ct.

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„**NAPRZÓD**“. Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy
czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką po-
cztową 90 ct.

„**NOWY ROBOTNIK**“, Lwów, ul. Wałowa 1. 15. Wychodzi 1.,
10. i 20. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct.,
z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„**DER ARBEITER**“ (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Pi-
smo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydow-
skich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego
miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką po-
cztową 40 ct.

„**GAZETA ROBOTNICZA**“. Organ polskiej partii socjalistycz-
nej w Berlinie. O Andreasstrasse 78, A. — Prenu-
merata kwartalna w Niemczech 1 mk., 10 fen., za gran-
icą 1 mk. 60 fen., w kopercie 1 mk. 90 fen.

„**ROBOTNIK**“ Organ polskiej partii socjalistycznej. Wa-
rszawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„**PRZEDŚWIT**“. Czasopismo społeczno-polityczne Organ Zwią-
zku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie.
Adres: „Dawn“, 7. Beaumont Square, Mill-End. Road.
London, E. — Prenumerata roczna 5 złr. 4. rs. (w ko-
pertach).

ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświeceniu i rozrywkę klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.



Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	—50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie . . .	2—	Rocznie . . .	4 „

Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.
Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Płohna i Olszewskiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golloba, Ossolińskich 15.

Od wydawnictwa.

Nadspodziewanie życzliwe przyjęcie, z jakim się pismo nasze w ciągu swego trzymiesięcznego zaledwie istnienia spotkało, ośmiela nas do zwrócenia się do Szanownych Czytelników z prośbą o energiczne rozszerzanie „Światła“. Pewna podstawa finansowa jest pierwszym warunkiem należytego rozwoju pisma. Ponieważ „Światło“ — jak w ogóle prasa robotnicza — stoi tylko pieniędzmi swych abonentów i innych źródeł dochodu nie ma, przeto każdy nowo przystępujący prenumerator jest nową gwarancją, że pismo coraz lepiej będzie w stanie wypełniać swe obowiązki. Od abonentów naszych zależy zatem, czy będziemy mogli powiększyć rozmiary naszego pisma, dając zamiast zeszytu dwuarkuszowego — trzyarkuszowy *bez równoczesnego podwyższenia ceny*, i starać się o coraz lepszy dobór artykułów. Nie wątpimy ani na chwilę, że czytelnicy nasi, od których otrzymaliśmy niejedno słowo uznania i zachęty, dołożą usilnych starań, aby „Światłu“ zapewnić warunki dalszego pomyślnego rozwoju, a to *przez rychłe odnowienie prenumeraty i pozyskiwanie nam nowych abonentów*.

Redakcja.



✱ ANACHRONIZM. ✱

Бібліотека
наукового товариства
імені ШЕВЧЕНКА

rzez wnętrzności miłosierdzia Bożego, zaklinamy Was i zakazujemy »pod grzechem« czytać i prenumerować pisma »Nowy Wieniec«, »Nowa Pszczółka«, »Przyjaciel ludu«, »Naprzód«.... taki jest sens moralny długiego listu, pasterskiego wszystkich czterech biskupów galicyjskich, listu opartego tak samo o pismo święte, jak i o pismo święte przy każdym swem zdaniu ociera się rękawem księżej sutanny ksiądz Stojałowski, „pokutujący“ za grzechy swoje za kratą cieszyńskiego więzienia. Długo wahaliśmy się, czy zabrać się do publicznej analizy i krytyki owego listu pasterskiego; wszak ów „olej socjalno-polityczny“, o który dzisiaj światu chodzi, owe argumenty o tem, że ludzie muszą być nierówni na ziemi, owo uzasadnianie naiwne, że „bogaci być muszą, bo z czegożby ubodzy żyli“, przypomina każdemu myślącemu człowiekowi kazania pocziwych Bernardynów, którym nagle kazano mówić o kwestyi społecznej, o rzeczy do której między innemi potrzebna również drobnostka: n a u k a... Argumenty listu pasterskiego nie wytrzymają w najłabszej nawet głowie krytyki naukowej — pocóż więc zaczynać wojnę z kościołem? Wszystko na pozór odwodziło od zajmowania się bliższego listem pasterskim, ale te same rozumowania zmuszały też każdego myślącego socjalistę do zaznaczenia, że tu wcale nie chodzi o pismo święte, nie chodzi o mniej lub więcej naiwne kazanie bernardyńskie, ani o żadną wojnę religijną, — lecz że wojna toczy się o p o l i t y k ę s p o ł e c z n ą, o chleb i swobodę dla ludu i dlatego nie wolno nam milczeć w chwili gdy nas przeklinają uroczyscie ze wszystkich ambon w kraju.

268 dp *

ЛВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ ИП. 26549

Był czas, gdzie każdy członek tzw. „inteligencji“, prowadził proces z Panem Bogiem o to, czy Bóg istnieje, czy nie. Mara filozoficzno-burżuazyjna, której Słowacki każe wyłazić z czarodziejskiego kotła i pytać z zacietrzewieniem: „czy lepiej kiedy jest Bóg, czy kiedy go нема?“ łąziła przez długi okres dziewiętnastego stulecia po ziemi i niepokoiła umysły. Wolnomysłne mieszczaństwo stworzyło było wspa- niałą naukę; jedna po drugiej gałęzie tej nauki rozjaśniały nam ciemne procesy życia, tłómaczyły wszechświat bez potrzeby uciekania się do biblii lub do powagi „ojców“ kościoła. Wolne badanie, wolne nauczanie i swobodną krytykę podniesiono do podstawowej zasady nowoczesnego praw- dawstwa; kościół tracił w oczach niemal pozycję za pozycją.

Burżuazja rozwiązywała coraz śmieiej jedną „kwestyę“ po drugiej, druzgotała lub przynajmniej podcinała jedną po- wagę za drugą, aż wielki ruch społeczny, przez nią zaczęty rzucił ją przed jedną „kwestyę“, przed pytanie, którego nie może rozwiązać, bo rozwiązanie jest dla niej jako dla klasy posiadającej i wyzyskującej, wyrokiem śmierci! Wyzwo- leni z pęt powagi wszelakiej, podnieśli głowę wydziedziczeni, masa pracująca i przymierająca całe życie głodem, tłum, lud, liczba i siła ogromna podniósł głowę i zaczął wojnę o lepszy ustrój społeczny. Zielona z trwogi burżua- zya i cała klasa posiadająca zaczęła szukać sprzymierzeń- ców..... Niebaczni! tyle powag sami zwalili, tyle tronów pod- minowali, tyle koron hrabiowskich ośmieszyli, a teraz muszą oprzeć się o to niepewne, spróchniałe rusztowanie..... Naj- bardziej krzykliwi wolnomularze zaczęli oddawać córki do klasztoru na wychowanie, hasło: „lud musi mieć religię“, stało się chlebem powszednim dawnych ateuszów, którzy kiedyś całą swoją »postępowość« zasadzali na szyderstwach z religii, lud musi mieć religię, bo może ona bodaj po- wstrzyma lud od rozwiązywania pytania społecznego, grożącego zagładą posiadającym.

Takie mniej więcej procesy odbywały się w Euro- pi e w ostatnich czasach; zaznacząmy: w Europie, bo chcemy przez to zaznaczyć te społeczeństwa i państwa, gdzie życie polityczne i społeczne wartkim płynie strumieniem, gdzie prawa i rozwój przemysłu wyzwoliły lud z ciemnoty przy- musowej i najcięższej chociaż niewoli. Ale kościół katolicki, prowadzony przez nieomylnych papieży rzymskich odzna- czał się zawsze dalej widzącą polityką, niż burżuazja i dla- tego nie spieszył tak bardzo z pomocą dla zagrożonych in- teresów kapitalistów i posiadaczy. W niepewnej sytuacji,

nie wiedząc jeszcze, czyje będzie na wierzchu, kościół, a raczej papież zadowolnił się encyklikami, w których każdy może wyczytać co mu się podoba: biskupi i kapitałisci swoje, a Stojałowski swoje. Stojałowski buntuje przeciw panom i żydom na podstawie słów ojca św., a biskupi go słowami tegoż samego ojca św. walą w łeb, jakby obuchem. „*Roma locuta. causa finita*“. (Rzym przemówił, sprawa skończona) było dawniej przysłowiem; dziś rzecz właśnie ma się przeciwnie, dziś na tle papieskich encyklik rozgorycza dopiero na dobre walka myszy z żabami....

Kościół w Europie czeka przyszłości wyraźniejszej; wie on dobrze jak wielką jest siłą ludowa, którą socjaliści mobilizują, i nie chce się zapędzić w ciasną bez wyjścia ulicę; nie chce stanąć odrazu po stonie wyzyskiwaczy, choć uspokaja ich trwogi jak może, głosząc świętość i nietykalność prywatnej własności, usypiając wiernych komunałami jak np. że majątki pochodzą z oszczędności i pilności itp. Papież godzi się nawet z republiką, której matką chrzestną była komuna paryska, a chrzczono krwią, krwią robotniczą.... Nadarmo belgijscy, francuscy i austriaccy klerykali jeździli do progów apostolskich, do Rzymu, z prośbą o uroczyste wyklęcie „buntowników“, nadarmo mieszkańcami zebrali o błogosławieństwo, a o przekleństwo papieskie, któreby spadło ciężarem na głowy opozycji społecznej, — wszystko nadarmo — papież choć stary, jest mądrym na tyle politykiem, żeby nie kłać tam, gdzie walka jeszcze nie-skończona, wie on, że kłać można tylko raz, a jeżeli ten raz się nie uda, to klątwa bezskuteczna staje się okropną porażką dla — klnącego.

Taki jest stan rzeczy w Europie.

Jeżeli z tych ogólnych założeń przejdziemy do Galicji, to musimy sobie najpierw uprzytomnić, że jesteśmy szczęśliwcami, mającymi zamiast wszystkich skarbów tego świata — a u t o n o m i ę. — W Europie umieją ludzie czytać i pisać, my mamy pod tym względem autonomię, w Europie powszechne głosowanie, u nas autonomia, w Europie papież nie wyklina, lecz próbuje rozlewać oliwę encyklik na wzburzone fale walki klasowej, u nas zebrali się czterej biskupi i na swoje rękę wyklęli za jednym zamachem cztery pisma ludowe!

Zkąd pochodzi ta pewność biskupów, zkąd to rzucają całą ich powagę na szalę przeciw usiłowaniom „ludowców“ i socjalistów?

Jesteśmy w Galicyi, w kraju, gdzie parę tysięcy rodzin szlacheckich ma cztery piąte większości w sejmie, gdzie rząd spoczywa w rękach szlachty i wszystkie pozycje socyalne są przez nią obsadzone. Na pozór nie ma tu wątpliwości, kto wygra; z góry wiadomo, że »buntownicy« przegrają, że zapędzą ich tam gdzie pieprz rośnie. Ale rząd musi się liczyć z konstytucją; „hydra“ buntu zaś zna ustawy i broni każdej piędzi ustawowego gruntu; „emissaryusze“ socyalistyczni i »ludowców« przemawiają coraz ostrzejszym tonem i piszą coraz ostrzej.... Robotnicy miejscy już całym tłumem stanęli pod czerwonym sztandarem, a do chat chłopskich docierają wraz ze słowami ewangelii, herezye socyalistyczne! Walka klasowa przeniosła się od zielonych stolików do życia, burzy i kłębi się w zaciszach, gdzie przedtem panowała święta zgoda plebanii, dworu, karczmy i chałupy chłopskiej. Ze zjawiska, które się dało policyjnie regulować, stał się bój społeczny czemś ogarniającem całą warstwę ludową, warstwę najliczniejszą. W takiej chwili wystąpili biskupi i wykłęli.

Jeżeli mamy być całkiem szczerzy, to powiemy tu wprost, że na klątwę zasłużył i zapracował sobie tylko krakowski »Naprzód«. Oparty o świecką naukę wielkich mistrzów socjalizmu, rozpoczął on wojnę z wyzyskiem na najpobożniejszym gruncie w całej Polsce, w Krakowie w owym »polskim Rzymie«, gdzie co kilku ludzi ksiądz lub zakonnica, gdzie przyjeżdża umierać arystokracja polska, a najpopularniejszymi uroczystościami: pogrzeby sławnych mężów. Współpracownikami pisma są od czasu do czasu ludzie niechrzczeni, z przeproszeniem: żydzi, a pismo wzrasta z każdym tygodniem. Zaczepione przez jezuitów, broni się zajadle i z obrony przechodzi nawet w napaść. To jest co kląć.

Ale z kąd przychodzą »Wieniec i Pszczółka«, z kąd »Przyjaciół« do klątwy i potępienia?! Na jednym i drugim jest Matka boska z dziecięciem i św. Józefem, lub na odmianę z Michałem Archaniołem; na obu jest obowiązkowe: »Niech będzie pochwalony«, dalej napisy: »Módl się i pracuj« i »Boże zbaw Polskę«. Wszystkie świeczki są tu Panu Bogu zapalone, dla »dyabła« nie jarzy się żadna!....

Teraz zrozumiemy, że nie o religię chodzi w tej klątwie, lecz o coś zupełnie świeckiego! Wysłouch, Stapiński, Stojalowski wołają na wyścigi: »Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus«, składają zawsze najpierw obowiązkowy pokłon religijny, a potem zaczynają mówić chłopom o orga-

nizowaniu się, o bronieniu swych praw wobec „obszarników“, a Stojałowski nawet jest na tyle uczciwy, że szczerze broni powszechnego głosowania!

I w tem właśnie leży niebezpieczeństwo, ale nie dla wyklętych..... Przypuśćmy bowiem, że pobożność i katolicyzm Wysłoucha i Stapińskiego są udane, przypuśćmy, że to są inteligentni ateusze, to jednak składają oni przepisane hołdy religii i mają zwolenników szczerze religijnych. Jeżeli ci zwolennicy nie odpadną od nich po kłątwie, to w cóż się obróci powaga biskupów? A zwolennicy nie padają.

Jednak nie trwoga o los pism wyklętych, ani chęć polemiki z czterema biskupami, ale całkiem co innego powoduje nas do omawiania tej sprawy. Jak się zachowało »społeczeństwo« tj. burżuazya, inteligencya, posłowie, dziennikarstwo wobec tej kłątwy. Jedni klaszczą w dłonie na to potępienie, drudzy rzucają się jak wściekli, na socjalistów, że otwarcie i publicznie zaprotestowali mięszaniu się ambony do walk politycznych. Ani jedno z pism codziennych nie znalazło chęci lub odwagi wyjawić swoje zdanie w tej historyi. »Postępowy« Kurjer miał tylko słowa pustego narząsania się nad »wnętrżnościami« miłosierdzia bożego, a natomiast rzucił się na socjalistów za to, że im komisarz nie pozwolił protestować przeciw postępowaniu biskupów. A przecież rzeczy tej nie wolno pomijać uczciwemu publicyście i to z następujących, niezmiernie ważnych powodów. Proboszczowie i wikarzy realizują kławę w ten sposób, że socyalistom zakazują uczestniczyć w charakterze świadków przy chrzcie lub ślubie. Ponieważ chrzest i ślub są jeszcze w naszych warunkach koniecznymi obywatelskimi czynnościami, przeto jesteśmy w przededniu walki już nie o pisma ludowe, ale o najważniejsze prawa obywatelskie. Wygodne milczenie tych wszystkich, którzy mają obowiązek bronić praw obywatelskich, jest już tchórzostwem, które się zemści w pierwszej linii na biednych chłopach.

Dopóki wyklinano pisma, dopóty cieszyły się tylko ich administracye, pozyskujące coraz to nowych zaciękwionych prenumeratorów, no i dopóty wolno było sobie o tem milczeć lub nie.

Ale wspomniane prawa wyjątkowe dla tysięcy obywateli, nie mogą nas zostawić obojętnymi. Tu trzeba mówić i trzeba bronić tych, co muszą iść do kościoła po ślub lub chrzest!

Nie chcemy przepowiadać dalszych skutków klątwy; dla nas wystarczy stwierdzić, że tu nie o religię chodzi, lecz o politykę, że kląną nie tłumacze słowa Chrystusowego, ale ci, którzy bronią dzisiejszego ustroju społecznego, wystarczy zwrócić uwagę, że wzniecono i zaostrzono wojnę, w której przyjdzie i najspokojniejszym otworzyć przyłbicę.

Żegota.



Chłopska posiadłość w Galicyi.

Napisał W. Budzynowski.

II.

Do 1848 roku, nie był chłop całkowitym właścicielem chłopskiej posiadłości gruntowej. Nie tylko gminnymi lasami i pastwiskami, lecz nawet indywidualną własnością chłopu zarządzał pan szlachcic. Mając władzę w ręku, nie omieszkiał on wykorzystywać prawo administratora na swą korzyść. Okrawując systematycznie ziemie rustykalne, wciągał je samowolnie w kompleks gruntów dominikalnych. — Nie mógł też chłop rozporządzać według swego widzimisie, ani swą własną osobą, ani czasem, ani swą pracą. On był przywiązanym do jednego kawałka ziemi i musiał pewną ilość dni w tygodniu pracować na pańskich łąkach — nie tylko on sam, ale i jego wół lub koń, jeżeli takowe posiadał. I w tem działały się ogólnie nadużycia. Szlachcic zmuszał chłopą pracować więcej dni w tygodniu, niż te, do których zmuszały go przepisy. Pełnym właścicielem produktów swej pracy w swej własnej gospodarce chłop także nie był. On musiał składać panu daniny w jajach, przedzy i t. p. Że szlachcic starał się i tu wycisnąć ostatnią kroplę z cytryny, o tem chyba nie potrzebuję już mówić, gdyż to jest rzeczą więcej niż naturalną. Kot dusi myszy, choć nie głodny — taka to już jego natura. Nadużycia szlachty były tak wielkie i tak ogólne, że cesarz Józef II. czuł się zobowiązany nałożyć hamulec samowoli szlacheckiej.

Wydawanie patentów normujących pańszczyźniane powinności i przepisy policyjne, oznaczające granice tych ciężarów, rozpoczęło się w Austrii z rokiem 1760. W tym stuleciu chodziło o polityczną ochronę chłopskich gruntów przed wciąganiem ich w kompleksy posiadłości szlacheckiej. Do tego przychodzą jeszcze tak zwane urbarya, t. j. definitywne oznaczenie przez państwo chłopskich powinności, służebnych obowiązków i danin. Po tych przygotowawczych krokach nastąpiło za Józefa II. w r. 1781 tak zw. zniesienie pańszczyzny. Nie było to nic innego, jak tylko zniesieniem dziedzicznego poddaństwa (W Prusiech zrobiono to dopiero w 1807 r.) Józefińską »urbaryalną regulacyę« t. j. przemianę chłopskich powinności na pieniądze i ich zniesienie, zniesiono za reakcyjnych rządów Leopolda II. 1790 r. Tylko zniesienia dziedzicznego poddaństwa nie unieważniono. Dzisiejszy „samodzielny stan“ chłopski, utworzono w 48 roku z dawnych pańszczyźnianych chłopów. W tym to roku darował im patent cesarski z dnia 14. kwietnia osobistą wolność, ziemię i zwolnił ich od pańszczyźnianych ciężarów.

Kiedy zważymy, że ten krok rządu zmierzał przede wszystkim do tego, aby wykręcić się z chwilowego kłopotu politycznego, a mianowicie, po pierwsze — aby poszczuć chłopów przeciwko polskiej rewolucyi — a po drugie, aby na chwilę uciszyć chłopstwo, które przygotowywało się do groźniejszej jak polska, gdyż do chłopskiej rewolucyi przeciwko pańszczyźnie — możemy nazwać krok ten austriackiej władzy państwowej, wcale rozsądnym. Lecz inaczej wypadnie sąd nasz, jeżeli zaczniemy sądzić ze stanowiska ówczesnego rządu, który tak samo jak i dzisiejszy, stał na straży ustroju społecznego, opierającego się na prywatnej własności gruntowej. Wzrok politycznego geniusza tej siły, który jest stróżem prywatno-kapitalistycznego ustroju, powinien sięgać nieco dalej, jak po koniec swego krótkiego nosa. W interesie sprawy, którą zastępuje, powinien on tworzyć takie reformy, które i na przyszłość stanowiłyby trwałą podstawę danego ustroju społecznego. Z reformą tą, stworzono równocześnie także i zarody śmierci nowych stosunków. Zamiast utworzyć w własnym interesie silną klasę majątniejszych (średnich) chłopów, którzy — jakto wiemy z doświadczenia — mają bardziej konserwatywne skłonności, potworzono samych kandydatów do torby żebraczej, ludzi, którzy „do stracenia nic nie mają“.

Austriacy mężowie stanu sami pchnęli całą galicyjską chłopską klasę w szeroko otwartą paszczę socjalistycznej

»hydry«. Lecz przypatrzmy się bliżej tej specyficznie austriackiej mądrości politycznej.

Na wstępie musimy zaznaczyć, że ziemię otrzymali tylko ci chłopci, którzy ją jeszcze posiadali w tym roku »wiekopomnej« emancypacji chłopskiej. Bezrolny proletaryat, nie otrzymał nic a nic! Konserwatysta ks. Kalinka ocenia liczbę bezrolnych na pięć szóstych całej ludności wiejskiej. Czy to prawda, nie mogę zkontrolować, gdyż wiarogodnych dat urzędowych z tych czasów nie posiadamy. Cała galicyjska własność ziemska była wówczas tak rozdzielona: Była posiadłość dominikalna, obecnie przeważnie wielka, wynosi 5,773.009 morgów i należy do 7.435 właścicieli, a więc na jednego właściciela przypada przeciętnie 755 morgów. Była własność rustykalna, obecnie drobna, wynosi 7,077.018 morgów i należy do 793.970 właścicieli. Na jednego więc chłopca właściciela, przypada przeciętnie 9·9 morgów (to z nieużytkami). Dokładniejszy obraz rozdziału własności gruntowej otrzymamy, jeżeli podzielimy ją na klasy według wielkości:

Posiadłości wynoszących:			
mniej jak po	2 morgi	mamy	215.997
„ 2 do	5 morgów	„	133.055
„ 5 „	10 „	„	193.071
„ 10 „	20 „	„	185.455
„ 20 „	50 „	„	60.076
„ 50 „	100 „	„	5.507
„ 100 „	300 „	„	3.164
„ 300 „	500 „	„	1.194
„ 500 „	1000 „	„	1.667
więcej jak po 1000	„	„	1.639

Podzieliwszy owe posiadłości na: chałupnicze, drobne, średnie i wielkie, otrzymamy liczbę posiadłości:

nijżej	5 morgowych	349.032
od 5 do	50 „	439.202
„ 50 „	100 „	5.507
nad 100	„	7.664

Takich »samodzielnych« właścicieli, z których żaden nie posiadał pełnych 20 morgów — wliczone tu już i nieużytki — było w czasie tej chłopskiej emancypacji — 727.558. One tworzą 94.19% wszystkich chłopskich posiadłości do 100 morgowych! — a 90.78% wszystkich galicyjskich posiadłości! Tak od biedy »porządnych« chłopów, których posiadłości wynosiły aż (!) po 20 do 100 morgów,

mamy w czasie reformy nędznych 64.870 egzemplarzy. To jest ta osławiona średnia posiadłość, która według zdania wielu społecznych reformatorów, ma być owym filarem, na którym spoczywa cały naród, narodowość, wiara, kościół, państwo, tron, itd., itd.; która ma być tą skałą, o którą rozbijają się wszelkie zapędy rewolucyjnego socjalizmu! Ta tak ważna i licznymi tytułami obdarzona klasa — drzyjcie wicherzyciele! — stanowi w 48 r. aż 8.17% wszystkich chłopskich, a 8.08% wszystkich galicyjskich posiadłości gruntowych. Z 215.997 chłopskich posiadłości nie miała ani jedna 2 morgi. Wszystkie posiadłości, których powierzchność nie wynosiła 5 morgów, a było ich 349.032 miały wyżywić, odziać i ogrzać nie mniej, jak 1,750.000 dusz.

Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby — odpowie nam może jaki pan szlachcic — puść... chłopą pod stół, to on pcha się na stół! Nie tak bardzo darowany był ten koń - zdechłak, lecz słono zapłacony, choć zapłata nie należała się. Szlachta nie kupiła sobie chłopą za pieniądze, więc i nie powinna była dostać pieniędzy za jego uwolnienie. Historya oddała była chłopą w ręce wybieralnej starszyzny gminnej, z której się później wytworzyła dziedziczna szlachta, jako zapłatę za to, że w ręce jej włożyła wojenną służbę, państwową administrację, sądownictwo itp. Za te czynności, wykonywane za gminę i niby w interesie gminy, a od których chłopci byli wolni, otrzymała szlachta przywileje feudalnych panów. W dzisiejszem stuleciu przeszło wykonywanie tych obywatelskich czynności na ogół ludności, na wszystkich nowoczesnych obywateli, a zatem i na chłopą. On wykonuje je bezpośrednio, np. służąc w wojsku, lub pośrednio płacąc podatki, za które utrzymuje się państwowe instytucje, jak władze polityczne, sądy, szkoły itp. Biorąc na siebie dawniejsze obowiązki szlachcica, był chłop zupełnie uprawniony zażądać nie tylko swej przed-feudalnej swobody osobistej, lecz także i tej ziemi, która przed wykrystalizowaniem się szlacheckiego stanu, była własnością chłopą, a mianowicie gmin. Szlachta powinna była zwrócić gminom grunta bezpłatnie! To byłoby się i stało, gdyby naród nasz był sobie sam wywalczył swobodę, a nie otrzymał jej w drodze łaski od trzeciej intrygującej siły! Sam kraj — pominiawszy państwo, zapłacił za tę emancypację chłopską z górą 19 milionów — za tych 91·9 na 100 chłopskich posiadłości, które wtenczas już nie mogły wyżywić osiadłych na nich rodzin!

Taka to była „wiosna“ twoja, chłopie galicyjski! Tak zaczęło się »odrodzenie« ruskiego narodu! I za ten prezent zrobiony z nędzy, za tę swobodę skonania pod ochroną ustaw, spodlili się przewódcy ludowego ruchu w Wschodniej części kraju! Za tę miskę soczewicy — wyjedzoną i wylizaną miskę — sprzedali patryoci ruscy z 48 roku własną wolność polityczną i własną cześć, walcząc z rewolucyjnymi dążnościami czasu, które i im niosły wolność. Ci »Tyrolczycy Wschodu« kuli kajdany — sobie i ludowi swojemu! Na wspomnianej reformie, skończyło się sławne dzieło emancypacyjne cesarskiego rządu. Nie zrobiono nic takiego coby temu, nagle na wolność wypuszczonemu chłopu, który nie był w stanie zorientować się wśród nowych społeczno-ekonomicznych stosunków, zapewnić posiadanie jego własności i aby umożliwić mu jak najrentowniejszą eksploatację jego ziemi i wolności. Chłopa pozostawiono bez porady i pomocy. Nie dano mu do rąk żadnej broni dla odparcia wrogów, nacierających nań ze wszech stron, wrogów, z których największym był ruchomy kapitał, w rękach wiejskiego handlarza i lichwiarza.

Obok dynastyi, był jeszcze drugi czynnik społeczny, mianowicie rodowa szlachta — właściciele większej posiadłości, w interesie którego, powinno było zależeć na utworzeniu silnego stanu chłopskiego, któryby w swym osobistym interesie bronił instytucję prywatnej własności gruntowej.

Gdyby szlachta umiała była daleko patrzeć, gdyby miała zrozumienie dla interesów swej własnej klasy, byłaby zapomniała o swych chwilowych interesach i naprawiała omyłki cesarskiego rządu. 48 rok dawał szlachcie bardzo dobrą sposobność naprawić te grzechy, które spowodowały polityczną śmierć Polski.

Chłopska klasa wcale nie zachwycała się restauracyjnymi dążnościami polskich powstańców, gdyż wiekowe doświadczenie pouczyło chłopą, że Polska to synonim niewoli. Polski bez pańszczyzny i kijów, chłop nie mógł sobie nawet i wyobrazić. Demokratyczne, rewolucyjne elementa, chcąc pozyskać chłopą dla polskiej rewolucyi, starały się namówić szlachtę, aby chłopom darowała dobrowolnie wolność. I o dziwo! Ta długoletnia grzesznica nawróciła się. Na sejmiku odbytym we Lwowie w r. 48, uchwalono znieść dobrowolnie pańszczyznę. Uchwalono — lecz do wykonania uchwały nie przyszło. Naszej biednej szlachcie, zawsze wiatr w oczy wieje! Właśnie w tej samej chwili, kiedy ofiarność,

poświęcenie i polityczny rozum szlachty miał zajaśnić oślepiającym blaskiem, pociągnął austriacki rząd, wspomnianym patentem gruby »sztrych« po ich rachunku!

Tak, między nami mówiąc, był ten antyszlachecki manewr rządu szlachcie naszej bardzo a bardzo na rękę. On wyratował ją z bardzo wielkiego kłopotu. Tak, czy siak, byłaby szlachta obiecanki swej nie spełniła. Cesarski patent o tyle przyszedł jej w porę, że zwolnił ją od konieczności złamania danego słowa — on salwował jej »honor«. On zrobił także i to, że ogół do dziś jeszcze wierzy w szczerść demokratyzmu ówczesnej szlachty, że winę za niewykonanie postanowienia szlachty i liche przeprowadzenie reformy, do dziś dnia jeszcze zwała na przewrotność, niezdarność austriackiego rządu. My jednak zapatrujemy się całkiem inaczej na ową rzecz. Do powątpiewania w szczerść słów szlachty w 48 r., uprawnia nas historia naszego społeczeństwa od 48 r. aż do dzisiejszego dnia. Gdyby szlachta na seryo była myślała darować chłopu pańszczyznę, byłaby to zrobiła już w wiedeńskim rajchstagu. Na wniosek rewolucjonisty Kudlicha, uchwalił sejm znieść pańszczyznę. Rozchodziło się tylko o to, czy szlachta ma być odszkodowaną, czy nie. Większość była przeciwną odszkodowaniu. Gdyby szlachta miała być zamiar d a r o w a ć pańszczyznę byłaby w tej sprawie poparła skrajnych rewolucjonistów lub sama postawiła wniosek o zniesienie pańszczyzny bez indemnizacji. Ona tymczasem oparła się gwałtownie temu sprawiedliwemu żądaniu. Rząd cesarski stanął po stronie szlachty i zagroził dymisią wraże — gdyby sejm przyjął zniesienie pańszczyzny, bez indemnizacji. Aby nie doprowadzić do dalszych zawikłań, zgodzono się na wypłacenie szlachcie jakiegoś odszkodowania. Zresztą i po tym fakcie, sprawa nie była jeszcze straconą. Szlachta mogła urzeczywistnić swe demokratyczne chęci wtedy, kiedy otrzymała obligacye indemnizacyjne. Szlachcicowi nikt nie bronił wystąpić przed chłopami i powiedzieć: »Współobywatele, bracia nasi! Oto w rękach mych obligacye, któremi cała opodatkowana ludność zapłaciła mi za waszą wolność. Ja jednak — szlachetny szlachcic, właściciel nie skalanego podłym egoizmem herbu, nie prowadzę handlu ludźmi. Nasz sejm stanowy darował wam wolność jeszcze przedtem, nim to uczynił cesarz. Ja dotrzymuję danego słowa i wykonując naszą uchwałę rzucam te obligacye w ogień. Z nimi niech zgorzeje pamięć krzywd, jakie wyście od nas wycierpieli. Od dziś dnia, będziemy żyć jak równi z równymi! Lecz

zamiast w ogień, rzucili oni obligacye w nienasyconą pa-szczę giełdy, sprzedali niemieckim bankierom — tylko nie na to, aby pieniądze w ten sposób uzyskane włożyć w go-spodarkę i powiększyć narodowe bogactwa, lecz na to, aby stracić je w Monako i na łonie paryskich rozkosznic! Lecz nie koniec na tem. Szlachta czuła się pokrzywdzoną i hań-biła rząd za to, że za mało otrzymała za okrojenie jej śre-dniowiecznych przywilejów. Dawały się słyszeć gromkie głosy oburzenia z tego powodu, że rząd śmiał odebrać szla-chcie bez pła t n e g o r o b o t n i k a, że w ten sposób szar-pnął się na ich prawo własności, na ich prywatne, wiekami uswięcone prawo! A głosy te pochodziły od poważnych reprezentantów społecznej hierarchii, z którymi i cesarski rząd musiał się liczyć.

Gdyby szczerym był ów demokratyzm szlachty, byłaby ona naprawiła partacką robotę rządu, który tak skąpo obda-rzył chłopów ziemią. Byłaby sama dała chłopu więcej ziemi. Cóż zamiast tego robili wspaniałomyślni panowie! Oni na-tężali wszystkie swe siły, aby chłopu okroić jeszcze ile tylko się dało z tej ziemi, którą on otrzymał na podstawie ce-sarskiego patentu! Tu działały się takie, wprost zgrozą prze-jmujące rzeczy, że ja nie mam nawet odwagi powtarzać fa-któw znanych mi z opowiadań naocznych świadków, aby nie zarzucono mi tendencyjnej przesady. Ograniczę się na zacytowaniu ustępów z publicznych dokumentów. Oto w skróceniu przekład (z niemieckiego) jednego z nich:

„Wasza Cesarsko Królewska Apostolska Mości! Jak długo trwało poddaństwo i patrymonialne sądownictwo było w rękach dominiów..... były samowolne o b c i n a n i a g r u n-t ó w i k a r y z a k o r z y s t a n i a z l a s ó w i p a s t w i s k n a p o r z ą d k u dziennym. Ta procedura trwa dalej, nawet po usunię-ciu poddaństwa. Te zapłacone dodatkami do podat-ków prawa..... bywają kwestyonowane, lub całkowicie od-biorane..... Skutkiem umniejszania naszych praw, pogarsza się położenie chłopów i cały ten stan staje się ofiarą biedy i nędzy..... postępowanie posłów dwu drugich kuryj w tej sprawie wykazuje aż nadto wyraźnie tendencję, że oni chcą dalej kroczyć po tej drodze skracania praw byłych podda-nych..... i dlatego to zdecydowaliśmy się oddać sprawę tę, która dla nas jest kwestyą życia, pod ochronę Waszej Ces. Mości!

W Galicyi nie ma prawie a n i j e d n e j g m i n y, któraby nie miała powodu użalać się na samowolne zabieranie grun-tów itd. Niezliczone rekursa pozostają bez żadnych skut-

ków..... Lud myśli, że albo stare zarządzenia zniesiono, albo że urzędnicy postępują stronnico..... ta bezowocna obrona własnych praw, wymaga tak wysokich kosztów, że na nie chłop nigdy zdobyć się nie może. Jeżeli Wasza cesarska Mość nie staniesz w naszej obronie, wytworzą się dla naszych gmin *jeszcze gorsze i cięższe stosunki, jak te, które były w czasach niewoli. Wytworzy się jeszcze cięższa zawiśłość chłopów od dawnych panów, niż dawna pańszczyzna!* Chłopi będą musieli zdać się na łaskę i nie łaskę panów i robić wszystko to, co tym się zachce, aby w ten sposób dostać drwa i módz używać pastwisk. W tej formie przywróciliby dawni panowie te poddańcze powinności, za które zostali raz już tak słono odszkodowani!

Wiedeń 11. Maja 1861«.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Szczepan Cabet.

Szkic historyczny.

Szas między wielką rewolucją francuską, która wybuchła w 1789 roku, a rewolucją 1848 r. był dla ludu francuskiego szeregiem gorzkich i smutnych rozczarowań. Przed wielką rewolucją najpotężniejszą klasą w państwie byli właściciele wielkich gruntów t. j. szlachta, arystokracja. Mieszczaństwo, które trudniło się handlem i przemysłem stawało się z czasem coraz bogatszem, bogatszem nawet od ródowej arystokracji i zażądało dla siebie prawa decydowania w sprawach publicznych. Zdobyć, wywalczyć nie można ich było bez siły ludu, dlatego podniosło mieszczaństwo hasła: wolność, równość i braterstwo, które gnębiony lud zelektryzowały, zapaliły i rzuciły w wir walki.

Ilekoć lud zwyciężał, — mówimy nietylko o wielkiej rewolucyi, ale o wszystkich rewolucyjnych ruchach do 48 roku — zawsze przychodziło potem mieszczaństwo, niby »starsi bracia« i zagarniało dla siebie owoce zwycięstwa, oszukując lud czczemi obietnicami. Zwycięska burżuazja

urządziła się tak, żeby jak najswobodniej mogła na swój sposób wzbogacać się, »zarabiać«, to znaczy wyzyskiwać. Powstały liczne przedsiębiorstwa przemysłowe, olbrzymie rękodzielnie, w których tu i ówdzie był już motor parowy. Chociaż przemysł fabryczny nie był jeszcze wówczas we Francyi rozwiniętym, to jednak w r. 1825 nastąpiła pierwsza kryzys, która tysiące ludzi pracy i chleba pozbawiła.

Proletaryat czuł rozczarowanie i nędzę — lepszego jutra przed sobą nie widział. Genialny głos Fouriera do niego nie doszedł. Fourier był uczonym, był filozofem i badaczem, by zrozumieć jego prace należało mieć wyższe wykształcenie i umysł swobodny — to proletaryuszowi nie było danem. W r. 1840 szerokie, szerokie warstwy ludu poruszyły się jednak nagle nadzieją i wiarą: »będzie lepiej na świecie, bo lepiej być może«.... Mężczyźni, starzy i młodzi, kobiety i dziewczęta spracowane i wynędzniałe, miały naraz zapałem błyszczące oczy, a dusze pełne marzeń o braterstwie i wolności. — Marzyły, bo równość, braterstwo powszechne może być, kto wie, może jest już gdzieś, daleko — w Ikaryi.

Zdawałoby się, że człowieka stroskanego, zbiedzonego do marzeń porwać niepodobna, a jednak uczyniła to — powieść: »Podróż do Ikaryi«, której autor Szczepan Cabet, był ludowi francuskiemu znanym jako członek wielu narodowo-rewolucyjnych stowarzyszeń.

Ikarya, to kraj nieznany nikomu, bo fantastyczny. Przy wjeździe widnieje już w porcie napis: »Lud Ikaryjski jest bratnim narodem wszystkich ludów ziemi«. Wewnątrz państwa panuje zupełny komunizm; istnieje tu wspólna własność, wspólna praca i równy podział jej owoców. Nie ma bogaczy i nędzarzy, nie ma próżniaków, ani na śmierć się zapracowujących robotników. Wszyscy członkowie Ikaryi uważają się za braci i siostry, wszyscy pracują za jednego i jeden za wszystkich, a uczucie braterstwa jest tym czynnikiem, które całem życiem ich kieruje. Warstаты i fabryki są zawsze własnością państwa, a praca fabryczna jest równo cenioną, jak zawód lekarza, profesora lub namiestnika. Obywatele zatrudnieni we fabrykach, mają sześćogodzinny dzień pracy, tak rozłożony, że w ciągu dwu pierwszych godzin, któryś z pomiędzy nich czytuje na głos, w ciągu dwu następnych dozwoloną jest rozmowa, a dwie ostatnie uprzyjemniają sobie chóralnym spiewem. Ustawy mające obowiązywać w jakimś warstacie muszą być uchwa-

lone przez pracowników tegoż warstwu, oni też wybierają z pomiędzy siebie osoby mające pracę dozorować.

W szkołach, które są naturalnie bezpłatne, uczą się wszystkie dzieci tych samych przedmiotów i zaznajamiają się po trochu z najrozmaitszymi gałęziami pracy społecznej, tak, że ukończywszy szkołę w 17 lub 18 roku życia, z łatwością wybrać sobie mogą odpowiednie zajęcie. Wszystko jedno zresztą, czy młodzieniec zostanie szewcem, rolnikiem, czy lekarzem, gdyż państwo wszystkich obywateli równo wynagradza i wszyscy mają równe warunki bytu. Tak jak nauka dla wszystkich jest dostępną i bezpłatną, tak też bezpłatnymi są muzea, przybytki sztuki, środki komunikacji i hotele dla przyjezdnych. Obywatele mieszkają w osobnych domkach, które są zupełnie równo dostatnio, ale nie zbyt-kuwnie urządzone. Nawet domki wiejskie nie różnią się prawie od miejskich mieszkań. Równość Ikaryjczyków przejawia się nie tylko w urządzeniu domów, ale nawet w stroju, gdyż wszyscy ubierają się jednakowo dostatnio, wygodnie, a skromnie.

W »Podróży do Ikaryi« jest kraj ten fantastyczny, zmyślony opisanym do najdrobniejszych i najmniej znaczących szczegółów. Poznajemy Ikaryjskie miasta, ulice, ogrody, domy nawet meble i stroje. Tem szczegółowem i drobiazgowem opisaniem rzeczy i spraw codziennego życia dopiął Cabet swojego celu — uczynił ideę komunizmu popularną w szerokich warstwach ludu.

Owen i Fourier także dążyli do polepszenia doli wydziedziczonych, ale ich propaganda zwracała się głównie do bogaczy i panujących. Powieść Cabeta dostała się w ręce ludzi uginających się pod ciężarem pracy i niedostatku — jego agitacja zwróciła się do ludu.

Dewizą Owena było „Zmieńcie warunki, a zmieniają się ludzie“. Rozumiał on, że aby ludzi lepszymi uczynić trzeba stworzyć dla nich lepsze warunki bytu. Fourier gryzącą satyrą krytykował dzisiejszy ustrój i zaprowadzić chciał ogólną harmonię w życiu społecznym, tj. stworzyć taki stan rzeczy, któryby odpowiadał naturalnym popędom i skłonnościom ludzi. — Tej głębokości myśli i badań nie znajdujemy u Cabeta. Punktem wyjścia dla niego było: »Wierzę, że braterstwo pociągnie za sobą zrównanie ludzi«. Braterstwo istnieje już, w imię jego porzuca obywatele własność prywatną i przeprowadzą komunizm. Cabet nie widział naturalnego biegu rzeczy, nie widział, że się coraz większe kapitały w poszczególnych rękach gromadzą, że wzrasta

proletaryzacya mas, że walka klasowa zaostrza się i zaostrzać się musi coraz bardziej, że rozdział na klasy i konkurencyja niweczą ideał »bratniej miłości« — tego wszystkiego Cabet, nie dojrzał i dojrzyć nie mógł, bo przyszedłszy do przekonania, że w komunizmie leży szczęście ludzkości, zamknął się w bibliotece i zdala od świata rozwijał marzenia o komunizmie i kreślił szerokie obrazy życia, zaczerpnięte z fantazyi.

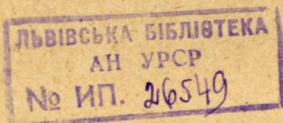
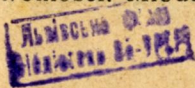
My dziś rozumiemy, że komunizm nastąpić musi, ale nastąpi on wówczas dopiero, kiedy się produkcja kapitalistyczna jeszcze rozwinie, jeszcze bardziej dojrzeje. W następstwie komunizmu ustaną różnice klasowe, walka klas i konkurencyja, a nastąpi wspólność interesów i co za tem idzie solidarność, czyli jak to Cabet nazywa — bratnia miłość ludzi.

Wiemy wśród jakich stosunków Cabet utopię swoją pisał. Były to czasy rewolucyjne, czasy, w których mieszczaństwo żądało dla siebie »równości«. W szeregu ich byli i drobnomieszczaństwo, ludzie ubodzy, ale zawsze „posiadacze“ — bronić ich sprawy, to było rzeczą w każdym razie postępową i demokratyczną; proletaryat nie był zorganizowanym, nie występował jako klasa — Cabet nie dostrzegał w nim społecznej potęgi — zwracając się do ludu, myślał cały naród, głównie drobnomieszczaństwo. Podczas gdy stosunki z nieprzepartą siłą żywiołu zaostrzały walkę klas — on głosił ich pogodzenie i braterstwo. Nie rozumiał stosunków, to też nie był socjalistą, ale jedynie radykalnym demokratą i dlatego utopia jego ma mnóstwo rysów drobnomieszczańskich. W wielu wypadkach np. dobrobyt zagwarantowanym jest w Ikaryi całym szeregiem „zakazów“ i „przepisów“. Aby zapewnić Ikaryjczykom tylko „doskonałą“ sztukę i »doskonałą« literaturę, nie wolno zajmować się niemi ludziami, których prezydent za geniuszów nie uznał. Podczas kiedy w Fourierowskim falansterze mieszkania odpowiadać miały najrozmaitszym gustom, to w Ikaryi nie wolno mieszkać inaczej, wybredniej, aniżeli przepis pozwala; nie wolno ubierać się wedle upodobania itd. Obok wolności istnieją mnogie ograniczenia; wolność nie jest następstwem stosunków produkcji, jest ona tylko zagwarantowaną uczuciem braterstwa i opiekuńczym rządem komuny.

Charakterystycznie drobnomieszczańskiem jest jeszcze odnoszenie się Cabeta do kwestyi kobiecej. — Trudno, aby człowiek, który tyle co on miał współczucia i litości dla

uciśnionych, nie poznał, że najbardziej krzywdzonymi członkami społeczeństwa są kobiety. To też sam przyznaje, że w kwestyi kobiecej jest stanowczym rewolucjonistą. W Ikaryi jest kobieta ekonomicznie zupełnie niezależną od mężczyzny, pracuje ona wedle sił swoich i dostaje takie samo jak mężczyzna wynagrodzenie, słowem ma te co on warunki bytu. Kobieta ikaryjska nie wychodzi za mąż dla majątku, mąż nie bierze jej dla posagu, bo majątku i posagu nie ma; może ona uczyć i kształcić się jak mężczyzna, może zostać doktorem i oddawać się praktyce lekarskiej, a wszyscy obywatele odnoszą się do niej zawsze z jaknajwiększym szacunkiem. — Zdawałoby się, że taki stan rzeczy usuwa całą niedolę jaka ciąży na kobiecie burżuazyjnej. — Cabet nie był jednak socjalistą, tylko komunistycznym demokratą, to też dając kobiecie niezależność ekonomiczną wzbroniał jej praw politycznych, nie dopuścił do głosu w sprawach państwa; uczynił ją z jednej strony niezależną od posagu i majątku — z drugiej kazał w sprawie małżeństwa ulegać zupełnie woli rodziców; słowem wolność, która daje jedną ręką, odbiera nieświadomie drugą. Co się zaś tyczy szacunku jakim kobiety ikaryjskie mają być otoczone — to istnieje on w burżuazji i jest rzeczą, którą szczerzy wstręt obudzić musi, gdyż więcej obłudy, niż w tem okazywaniu szacunku, trudno w jakimkolwiek postępowaniu ludzkim znaleźć. »Nadzwyczajne«, ckliwo-słodkie wyróżnianie kobiet ze strony mężczyzn jest najlepszym dowodem, że oni ich na r ó w n i ze sobą traktować nie chcą.

Te i tym podobne cechy Ikaryi uderzać dziś mogą nas, ludzi o wyraźnych socjalistycznych ideałach, ale w owych czasach, kiedy słowo »lud« oznaczało jeszcze dziwną mieszaninę proletaryatu, drobnomieszczaństwa i drobnych posiadaczy wiejskich, kiedy pojęcie drobnomieszczańskiej wolności nie było jeszcze ziszczone — nie raziły one wcale. Szczegóły w książce Cabeta skreślone, dostatnie życie, ułatwiona praca, równość, miłość bratnia wszystkich, z każdej stronnicy przebijająca miłość autora dla uciśnionych, robiły potężne wrażenie, porywały, unosiły uwielbieniem i wdzięcznością dla Cabeta, przejmowały tych, którzy ucisk znosili — słowem, stworzyły istotny ruch ludowy. Cabet otrzymywał ze wszystkich części Francji szczerze, proste a gorące listy dziękczynne od najbardziej wyzyskiwanych biedaków; wielu uciskanych przez całe życie proletaryuszy odbywało długie pielgrzymki po to, żeby zobaczyć apostoła wolności. Młode dziewczęta i starcy sterani w pracy, odno-



sili się do niego z równem uwielbieniem za to, że wskazał im drogę do szczęścia, że odkrył przed nimi nowy świat, nowe cele i nowe obudził nadzieje... Najwięksi biedacy za ostatni grosz kupowali »Podróż do Ikaryi« i odczytywali ją z wargami spieczonemi gorączką zapału. Entuzjazm doszedł takich rozmiarów, że Cabet mógł w przez siebie wydawanej gazecie „Populaire“ w r. 1847 rzucić hasło:

»Bracia dalej do Ikaryi!« Więc apostoł wolności, do-brotliwy ojciec »Ikaryjczyków« chce z nimi jechać!... chce stworzyć Ikaryę, raj wymarzony!... chce koniec położyć nę-dzy i bólowi!... Francuscy »Ikaryjczycy«, nie posiadali się ze szczęścia. Dopieroż posypały się podzięk!... Pod wpły-wem jednej, wielkiej idei, która ich łączyła, godzili się po-waśnieni i umiłowali nienawidzący. Starcy i młodzież, męż-czyźni i kobiety spieszyli, jednym duchem ożywieni, do re-dakeyjnego bióra »Populaire« i oddawali całe mienie dla wspólnego w Ikaryi użytku. Kobiety przestały nosić koszto-wności, mężczyźni oddawali zegarki kieszonkowe, co kto miał i mógł dać, to oddawał natychmiast. - Ten zapał, to wielkie uczucie braterstwa, które go cechują, podnoszą ruch ikaryjski do rzędu najszczytniejszych chwil, jakimi się histo-rya pochlubić może.

Cabet myślał o założeniu kolonii komunistycznej w Ameryce. Za pośrednictwem Owena otrzymał na ten cel obszerne grunta w Stanie Texas. Z tysiąca ludzi, którzy oświadczyli gotowość wyjechania jako straż przednią, wy-brał 69 silnych mężczyzn, którzy w równym stroju dnia 3. lutego opuścili port francuski Havre.

Nie będziemy opisywali jak po tej awangardzie, jeden za drugim odjeżdżał legion złożony z mężczyzn, kobiet i dzieci, nie będziemy wdawali się w szczegóły tego wy-chodźstwa, które zamiast Ikaryi znalazło w Ameryce puszcę głuchą, zamiast szczęścia febrę, a mimo to nie traciło ducha, wiary i zapału. W r. 1855 zwiedzający ją podróżny tak mniej więcej opisuje osadę ikaryjską: Najpiękniejszym bu-dynkiem była szkoła. Uczące się w niej dzieci wyglądały ładnie, zdrowo i wesoło. Nauczyciela, którego poznał jako bardzo rozumnego człowieka, zastał ku wielkiemu swojemu zdziwieniu w następną niedzielę w kuchni, pełniącego urząd kucharza, a na zapytania skąd ta zmiana zajęcia, otrzymał odpowiedź, że go kuchnia bawi i dlatego pracuje w niej w niedziele. Gdy przechodzącego ulicą mężczyznę zapytał podróżny, która godzina, odpowiedział tenże: nie noszę ze-garka dlatego, bo wszyscy obywatele jeszcze zegarków nie

mają. Wogóle przypominała Ikarya mrowisko — wszyscy pracowali cicho, żyli skromnie i odmawiali sobie przyjemności, jeżeli one nie starczyły dla całej kolonii. Była to niby wielka rodzina, która ma swoje, odrębne życie i jest odcięta od zewnętrznych wpływów, członkowie jej żyli bez nędzy, ale też bez zbytku, nie czuli zniechęcenia, ale brakło im szerokich porywów i gwałtownych bodźców — dni płynęły im wśród cichej pracy i skąpej liczby „dozwolonych“ zabaw. Ikarya stawiała się z czasem coraz podobniejszą do klasztoru odciętego od reszty świata odmiennymi przepisami. A przepisów tych było dużo i coraz więcej... Cabet uważał się za ojca i twórcę Ikaryi, co w jego oczach złem lub szkodliwym było, tego Ikaryjczykom zakazywał. I tak „zakazał“ używanie tytoniu, napojów alkoholycznych, lektury „niezdrowej“, zakazał oponować i sprzeciwiać się sobie, a widząc, że opozycja coraz się rozszerza i wpływać może na prasę, zakazał jej mieszania się do spraw prasowych. Organ Ikaryi, stał się organem Cabeta. Widząc, że przydzielona mu rada przyboczna kontroluje go, nie na wszystko się ślepo zgadza, przedłożył zgromadzeniu projekt zniesienia jej... Trudno, jestto ciągle powtarzający się fakt, że rządy ojcowskie stają się despotycznymi z chwilą, kiedy dziecko dojrzewa na człowieka i nie chce i nie może już ojca ślepo słuchać. W Ikaryi opozycja stawiała się coraz silniejszą, a rząd coraz despotyczniejszym, aż w r. 1857 przyszło do gwałtownego rozłamu, do sporu o zasadnicze kwestye ustroju politycznego i — Cabeta wykluczono z Ikaryi... 1. listopada mniejszość wraz z nim udała się do St. Louis, aby tam założyć „prawdziwą Ikaryę“. Cabet nie doczekał się jej już. Dnia 8. listop. umarł na udar sercowy. Złamał go — mówi dr. Lux — największy cios, jaki człowieka dotknąć może, oszukał się sam na sobie.

„Mniejszość“, która wywędrowała do St. Louis, zaczęła tam pracę na nowo, od początku, od harowania na kęs codziennego chleba. Wytrwałością, wiarą, zapałem i zupełnem zaparciem się siebie, doprowadziła po kilku latach do dobrobytu, lecz zaledwo stanęła na tej wyżynie, gdyż już zaczęły się spory o zasadnicze ustawy, o ustrój polityczny. Spory te zaostrzały się coraz bardziej, aż w r. 1864 rozsadziły osadę. Ci, których tak długo razem trzymał wspólny ideał, wspólna wiara i wspólne nadzieje, rozeszli się — powasnieni...

Stara, najpierwsza Ikarya dzieliła się w skutek sporów jeszcze dwa razy, a każda z powstałych części rozpoczy-

nała pracę na nowo, od zarabiania na suchy kęs chleba, każda wytrwałością doprowadzała do dobrobytu, a potem upadała, bądź to w następstwie sporów, bądź dlatego, że była zupełnie nieżywością. Jedna rozwijała się materyalnie, ale skrzemieniała umysłowo i straciła wszelką zdolność propagandy. W r. 1888 składała się z 36 przeszło 60-letnich starców, z których ostatniemu, jaki przy życiu zostanie, przypaść miało wspólne ich dobro jako — własność prywatna.

Inna grupa stała umysłowo wysoko, ale materyalnie powodziło jej się źle, nie było wyraźnych sporów, ale trapiły ją ciągle teoretyczne debaty i w końcu rozeszli się jej członkowie, wzięwszy każdy część wspólnego mienia, każdy swoją — własność prywatną.

Czyż wiara »Ikaryjczyków«, ich zapał płomienny, ich marzenia gorące i poświęcenie bez granic poszły na marne?...

Nie, bo przysporzyli naukowemu socjalizmowi jeden więcej dowód na to, w co od dawna wierzył on w teorii — że komunizm wtedy tylko utrzymać się i wspańiałe owoce przynieść zdoła, gdy będzie koniecznem i naturalnem następstwem stosunków ekonomicznych, ale jako dzieło poszczególnych reformatorów, pozostanie zawsze i pozostać musi — utopią.

Helena Rawska.



UPADEK RODZINY.



Dotychczas zazwyczaj socjalistów nazywano burzycielami rodziny — wrogami małżeństwa. Równocześnie piętnowano nas wszędzie, jako wrogów *własności prywatnej*, chcących zaprowadzić komunizm, *wspólność majątków i kobiet*.

Własność prywatna środków produkcyi jest złą i szkodliwą, należy ją przeto znieść i zamienić na własność społeczną..... narodową. To jest najgłówniejszy, a całkiem jasny — punkt naszego programu i śmiało całkiem się doń

przyznajemy. Co do rodziny zaś, to postaramy się dowieść że nie my socjaliści jesteśmy jej burzycielami, lecz raczej przeciwnie — *burzycielami rodziny są jej obrońcy i obrońcy... własności prywatnej!*

Przedewszystkiem stoi przed nami pytanie: Jak pogodzić rewolucyjną dążność do zmiany istniejącego systemu posiadania z ideą rodziny, małżeństwa, skoro pojęcie małżeństwa, byt rodziny opiera się na prywatnem posiadaniu?

Otóż historyczny rozwój — a raczej historyczne następstwo rozwoju tych dwóch instytucji t. j. małżeństwa (a mam na myśli małżeństwo monogamiczne) i własności prywatnej, uczy nas, że nie »własność prywatna« w konsekwencji »monogamicznego, małżeństwa«, lecz monogamia powstała w konsekwencji już dokonanych społecznych i ekonomicznych zmian. Dopiero kiedy już *prawnie* uznano istnienie własności prywatnej, dopiero wtedy dla *zabezpieczenia i ugruntowania* takowej uznano także prawnie formę małżeństwa monogamicznego, mniejsza z tem, czy drogą *ustawodawstwa* państwowego, czy też religijnego. Jeśli się nadto weźmie na uwagę, że *monogamia* zyskała wszędzie uznanie, jako jedynie moralna i jedynie odpowiednia, nawet z filzyologicznych względów, forma małżeństwa dla człowieka, dalej, że panuje ona wyłącznie także i wśród tych warstw obecnego społeczeństwa, które zupełnie są wydziedziczone, u których zatem nie może być mowy o „utrzymującej małżeństwo“ własności prywatnej — w takim razie musimy przyjść do przekonania, że własność prywatna — bez monogamicznego małżeństwa i opartego na niem prawa dziedzictwa znikłaby szybko, ale na odwrót małżeństwo i rodzina monogamiczna bez własności prywatnej całkiem dobrze ostać się może.

Z rozmysłu powtarzam tu z naciskiem »małżeństwo monogamiczne«, bo o takie tylko może się rozchodzić tym, którzy zarzucają socyalistom dążność do »komunizmu kobiet«.

Przypatrzmy się teraz, jak wygląda rodzina i małżeństwo w dzisiejszem burżuazyjnym społeczeństwie.

Że małżeństwo burżuazyi, zawierane dla karyery lub zysków materyalnych — a więc w imię prywatnej własności, częstokroć nawet za pomocą specjalnych biur lub anon-sów w dziennikach publicznych, *jest raczej prostytutcyą*, a nie małżeństwem, tego nam nikt nie zaprzeczy. Nikt też nie zdoła nam dowieść, aby małżeństwa proletaryatu socjalistycznego miały być mniej moralne, mniej wzorowe, aniżeli

małżeństwa burżuazyi. Przeciwnie, proletaryusz zawiera małżeństwo prawie wyłącznie z miłości. A jeżeli w późniejszym pożyciu małżeństwo proletaryusza jest czasami podobnem do małżeństwa burżua, to po pierwsze: procent *złych* małżeństw u proletaryctu jest nierównie mniejszy, aniżeli wśród tak zwanych „wyższych klas“, powtóre „piekło“ w domu proletaryusza wywołują prawie wyłącznie tylko — podobnie jak u burżua, stosunki materyalne. Tylko kiedy w domu proletaryusza bywa powodem waśni małżeńskiej *nędzia i głód*, wynik kapitalistycznego wyzysku, to do pałaców burżuazyi *z góry już* niesie ją przesyć, nadmiar użycia, a w końcu *kapitał sam* i ta nienasycona żądza „posiadania“, która każe zagłuszać w młodych sercach wszelkie żywsze, *naturalne* tętno krwi, każdy szlachetniejszy poryw serca i umysłu, byle osiągnąć lub powiększyć „własność prywatną“, choćby nawet kosztem przyszłego „szczęścia małżeńskiego“. Wynika z tego, że kapitalistyczna własność prywatna jest *burzycielką rodziny*, zarówno wyzyskiwanego robotnika, jak i wyzyskiwacza fabrykanta.

Ale do upadku rodziny i moralności małżeńskiej robotnika przyczynia się prywatny kapitał jeszcze w inny sposób. *Pośrednio* wypędzając męża do jednej fabryki lub pracowni, a żonę do drugiej, — *bezpośrednio* płacąc znacznie gorzej pracę kobiety, aniżeli mężczyzny, przezco wiele kobie, popadłszy najpierw w straszną nędzę materyalną, wpada następnie wprost w ramiona zepsucia i nędzy moralnej. Twierdzę „bezpośrednio“ — ale co więcej nie rzadkie są wypadki, w których fabrykant wyzyskiwacz działa w tym kierunku rozmyślnie, z całą świadomością swego postępowania. Znanem jest wyrażenie się jednego z saskich przemysłowców, który na uczynioną sobie uwagę, dlaczego kobiety wynagradza gorzej znacznie, aniżeli mężczyzn, odpowiedział: »Mamy przecie w pobliżu wielkie miasto, one potrafią sobie resztę w inny sposób zarobić«.

Znanym jest także fakt, że we Wiedniu i w innych dużych miastach austriackich tylko dlatego wielka ilość ludności robotniczej żyje w *konkubinacie* (*małżeństwie monogamicznem*, jednakowoż tylko prawnie nieusankcyonowanem!), bo matki, mające w mieście przynależność, chcą w ten sposób zapewnić sobie i swym dzieciom w danym razie pomoc *bogatej* gminy miejskiej, do której nie miałyby prawa, gdyby ich rodzice żyli w *ślubnem małżeństwie*, bo ojciec pochodzi n. p. z jakiejś małej, *ubogiej* wioski górskiej.

Przykładów takich dałoby się góry całe nagromadzić, ale do udowodnienia twierdzenia naszego, że »wrogami rodziny i małżeństwa« są przedewszystkiem *obrońcy* »własności prywatnej«, posłużą nam niektóre cyfry i wnioski z nich wypływające, a wyjęte z referatu *Dr. Verkaufa*, który tenże wygłosił na kongresie higieniczno-demograficznym w Budapeszcie (w roku 1894).

W danym razie chodzi przedewszystkiem o drobną własność chłopską i jej wpływ na upadek rodziny.

Jeżeli będziemy badali przyczyny, które powodują *wzrastanie* liczby dzieci *nieślubnych* i równoczesne *zmniejszanie się* liczby *małżeństw*, w stosunku do ilości mieszkańców, to przekonywujemy się, że największa liczba dzieci nieprawego łoża rodzi się w Karyntyi. Wynosi ona tam 44·5 procent wszystkich wogóle rodzących się dzieci; podczas kiedy w Austrii całej wynosi ona zaledwie 15 procent. Także i liczba małżeństw jest niezwykle mała. I tak, podczas gdy w całej Austrii (i wogóle w Europie) na 1000 osób zajętych rolnictwem 524, a na 1000 robotników przemysłowych 431 jest zaślubionych, to w Karyntyi stosunek ten wynosi na 1000 wieśniaków 305, a na 1000 robotników przemysłowych 320. Charakterystycznym jest to, że wszędzie procent zaślubionych wieśniaków jest większy, aniżeli zaślubionych robotników przemysłowych, w Karyntyi zaś rzecz się ma *przeciwnie*. Wiek nowożeńców jest tutaj również znacznie wyższy, niż gdziekolwiek indziej. W całej Austrii między osobami stanu wolnego znajduje się tylko 12% mężczyzn i 15% kobiet, których wiek sięga lat 30; w Karyntyi jest 42·5% mężczyzn i 64·4% kobiet, które jeszcze po 30 roku życia pozostają w stanie wolnym. Zrozumiałą też w końcu jest rzecz, dlaczego wówczas, kiedy w Tyrolu np. 26% dzieci, urodzonych nieprawnie, następnie przez małżeństwo zawarte później między rodzicami, zostają uznane za prawne — w Karyntyi szczęście to staje się udziałem zaledwo 12·5 procent.

Szukając przyczyn tego zjawiska znajdujemy co następuje. Najpierw spostrzegamy zatem, że Karyntya jest krajem czysto rolniczym. Przeciętnie 63·9% ludności zajmuje się tu rolnictwem, jednakowoż są także okręgi, w których cyfra ta sięga 81·5. W Austrii wynosi ona ogólnie tylko 55·9 procent. Mimo to ilość właścicieli gruntów i domów jest w tym kraju (t. j. w Karyntyi) bardzo małą. Wynosi ona zaledwo 11% ogółu ludności wiejskiej. W Austrii zaś całej cyfra ta dosięga 17%. Ilość zatem tych w Karyntyi,

którzy są w stanie utworzyć własne ognisko domowe jest niezmiernie małą. *Przyczyną zaś tego stanu rzeczy jest dążność do utrzymania własności chłopskiej*, która wytworzyła system dziedzictwa nie pozwalający dzielenia gruntów chłopskich między wszystkich spadkobierców. Grunta i dom zabiera *jeden*, a *reszta spadkobierców* musi iść do służby, zadowalniając się li tylko *splatami*, które nigdy nie wystarczają na utworzenie własnego gospodarstwa. *W ten sposób uprawdzie ratuje się posiadłość chłopską przed zbyt niemiernym rozdrobnieniem, a więc i przed upadkiem, ale równocześnie stwarza się stosunki, których skutki powyżej przedstawiliśmy.*

Że twierdzenie nasze nie jest dowolnem, łatwo nam przyjdzie udowodnić. Chłopi uprawiają swe grunta zawsze na zasadach gospodarki extensywnej (t. j. obliczonej na *dłuższy okres czasu* i na *zyski pewne i stałe*); potrzebują tedy do uprawy swych gruntów bardzo rzadko tylko wyrobników (dziennych) a utrzymują raczej służbę stałą, — dziewczki i parobków. Tak samo, jak w drobnym przemyśle czeladnik, który mieszka i je u majstra swojego, nie może być żonatym, tak też i dziewczka lub parobek u chłopa muszą być stanu wolnego. Żadne z nich z chwilą, kiedy się ożeni, nie znajdzie już nigdzie nowego miejsca. Stosownie też do tego liczba *nieżonatych robotników*, (z których zaledwo 0·8—13⁰/₁₀₀ posiada własny dom lub kawałek ziemi) wynosi w tym kraju 76⁰/₁₀₀; podczas gdy w Austrii tylko 54·6⁰/₁₀₀. Między *samodzielnymi gospodarzami* znajdujemy za to zaledwo 13·9⁰/₁₀₀ *nieżonatych*.

Że ilość małżeństw stoi w stosunku prostym do ilości posiadaczy ziemi i że jest z nią ściśle związana, wskazuje nam i ta okoliczność, iż okręgi, w których przeważa drobna posiadłość chłopska, w których zatem nie ma tylu wydzielonych zupełnie robotników rolnych, wykazują znacznie *wyższą cyfrę małżeństw*, a w następstwie tego znacznie *niższy procent dzieci nieprawnie urodzonych*. Na odwrót, wprost przeciwnie ma się rzecz tam, gdzie przeważa większa posiadłość chłopska. Im większymi są bowiem dworki chłopskie, tem mniej jest samodzielnych gospodarzy, pracujących niemal całkiem bez pomocy służby, tem większą za to jest ilość parobków i dziewczek, zatrudnionych na tych gospodarstwach chłopskich, którym warunki ich bytu — *czytaj: interesa chłopa gospodarza* — nie pozwalają *nigdy* na zawieranie małżeństw i tem więcej też — co jest rzeczą zupełnie naturalną — pojawia się dzieci nieślubnych.

Jakim jest los takich dzieci — to zbytecznem byłoby opisywać, choć tylko wspomnieć, że śmiertelność między nimi jest właśnie największa, a niekiedy przewyższa w dwójnasób śmiertelność dzieci ślubnych. Ale nie dość na tem. Ilość karłów i kalek wynosi n. p. na 10.000 osób w Salzburgu 12·2, w Tyrolu 17·2, w Styryi 18·0 a w Karyntyi 27·0. Liczba analfabetów w Karyntyi wynosi również więcej, niż gdziekolwiek indziej (chyba Galicya tylko ma pierwszeństwo), bo aż 26·77⁰/₀ mężczyzn i 32·71 kobiet. Jasną jest rzeczą, że główny — jeżeli nie wyłączny — kontyngens karłów i analfabetów stanowią właśnie dzieci nieślubnie urodzone.

Przy tej sposobności musimy zauważyć, że z chwilą, kiedy robotnik wiejski dostanie się do miasta — albo nawet w okolicę, gdzie istnieje wielka własność ziemską, gdzie zatem odmienne warunki pracy pozwalają mu na założenie własnego ogniska domowego, to niezawodnie natychmiast obudzi się w nim poczucie potrzeby zawarcia stałego związku małżeńskiego. Dlatego też w miastach liczba małżeństw i procent dzieci, urodzonych z rodziców ślubnych są zawsze znacznie wyższe, niż na wsi, najwyższemi są one w okręgach z silnie rozwiniętym przemysłem fabrycznym.

Wobec tego cośmy powiedzieli, śmiało zatem można postawić twierdzenie: Średnia własność chłopska, ze swoją gospodarką extensywną, jest poważną przeszkodą dla znacznej większości ludności wiejskiej w zawieraniu małżeństw, przeszkodą nadto, która z czasem i w danych warunkach zdolną jest wśród tej ludności zupełnie zatrzeć pojęcie małżeństwa. Widzimy to dość wyraźnie w Karyntyi, w kraju czysto rolniczym, gdzie wobec braku przemysłu fabrycznego i wielkiej własności ziemskiej, właściwość ta średniej własności chłopskiej najjaskrawiej się zdradza, a skutki jej: liczba nieżonatych wzrasta, a z nią wzrasta liczba dzieci nieślubnych — liczba analfabetów, kalek i karłów fizycznych i umysłowych.

Lecz święta własność chłopska uratowana! Tak samo, temi samemi dobrodziejstwami obarczony — ratuje się drobny przemysł!

Tadeusz Reger.



FEJLETON.

Niobę współczesna.



Miłością karmi — bo pierś jej wyschnięta —
Te dwie istoty, którym życie dała,
Ale jej miłość smutna i zbolała,
W tajnikach duszy znękaney poczęta.

Płakać nie może — więc tylko drży cała
Na myśl, że niemoc wnet dłonie jej spęta.
Cóżby poczęły te małe bliźnięta,
Gdyby tak jutro z łoża nie powstała?

Ta myśl, jak piołun życie jej zatruiwa,
W tajemnej trwodze, w bolesnej rozterce,
Gdy senna, słaba nad kołyską czuwa.

Chmara złych przeczuć spada na jej serce.
Więc nawet wówczas, kiedy dzieci pieści,
Wygląda smutna, jak posąg boleści.

K.



Pogrobowcom.

(Urywek).

Wina moja! wina wszystkich win
Wielka wina! wina moja wielka!
Jeden tylko drogi był mi syn
I jednemu byłam karmicielka!

Drugi syn mój, jak mizerny gad
Odepchnięty od mej piersi mlecznej,
Miał otwarty tylko mroku świat,
A zamknięty cały świat słoneczny!

Biada matce, co ma synów dwóch,
A dwóch synów niezarówno kocha,
Dla jednego ma rokoszy puch,
A drugiemu jest jako macocha!

Mój wybraniec, com mu krew mych żył,
Com mu wszystkie dała aureole,
Był grabarzem mego życia... był
Tym kowalem, co kuł mą niewolę!

Drugi syn mój znał jedynie cień
I twarz jego była mi przeklęta,
Lecz zeń wejdzie życie moje... zeń
Wyjdzie żar, co stopi moje pęta?

Wina moja, wino wszystkich win,
Za tę winę jam dziś niewolnica!
Lecz przebaczy mi ten drugi syn,
Bo ja dzisiaj przed nim pokutnica!

Pokutnica... w popiele, wśród łez —
Ja mu oddam wszystkie moje łąny,
Ja graniczny zetnę wśród nich kres,
Ja zniweczę mu wszystkie kajdany!

Niechaj wstanie ten Masławów lud,
Niechaj wstanie legion Bartoszków!
Niech zahuczy jako rozlew wód
Pod czerwoną chorągwią rokoszów!

Niech podniesie swój jutrzniany śpiew,
Niech się zbudzi z uśpienia rozpaczy;
Ja mu oddam całą moją krew,
A niech on mi winy me przebaczy!

Napierski.



Dwa strapienia.

Pod chałupą pies w budzie zwinął się w kłębek. Nos przykrył sobie ogonem, sierść mu się najeżyła, trząsł się cały. A bo też psia pogoda była. Mróz spotegowany ostrym wiatrem północnym — zmiatał śnieg ze wzgórków, na kalenicy snopki poszycia podrywał, a dał tak, że oczy chciał wybrać i szpilkami kłuł po policzkach.

W chałupie z węglami fantastycznie bardzo tańczącymi siedziała chłopska rodzina. Dzieci skulone zagrzebały się w słomie na łóżku. Kobieta koło pieca łamała drobne gałązki i świeciła niemi pod blachą, na której stały dwa wielkie garnki kartofli. Wszyscy spoglądali pożądliwym okiem na całą topkę soli, wczoraj z targu przyniesioną.

Wczoraj było wielkie święto w chałupie. Kupili soli w miasteczku i dzieci po bułce dostały. Chłop i baba napili się wódki. Sprzedano wieprzka. Pieniądze wzięte za kochanego wieprzka, tę pociechę na całą zimę, wieprzka, co podtrzymywał nadzieję na resztę mroźnych dni, a może i część przednowku — pieniądze za niego poszły w większej części do urzędu podatkowego. Ba — ale i bal był także; chłopski bal. I spokój na pewien czas, przed wójtem i egzekutorem podatków i pewność, że kożucha, ani skrzynki za podatki nie zabiorą.

To wesele w chacie sprawił pogardzany, niechlujny wieprzek, niesłusznie prześladowany prawem Mojżeszowem, wstręt wzbudzający u wyznawców wschodnich ludów.

Gospodyni wdychała za swoją pociechę, ilekroć od wczoraj koło pustego przeszła chlewika, w którym kury gospodarowały, jak u siebie. Wdychała, zaglądała przez otwarte drzwiczki, a nawet łała się jej ciska czasami do ocz, jakby za straconem dzieckiem. Ale darmo. Z losem trzeba się pogodzić. Wieprzek sprzedany, pieniądze w sztajeramcie, mała reszta w kalecie. Na nic troski.

W tem pies zaszczekał wrzaskliwie. Na takie dobitne anonsowanie psa: stróża, portyera i obrońcy — gazdowie podbiegli do okienka, które chwilowo odtajało.

— List — odezwał się jakiś głos z podwórza — list do was z miasta.

Wpuszczono do izby przygodnego posłańca wiejskiego, który oddał list. Chłop oglądał owijkę, obracał w rękach i poprosił, aby przeczytał przybyły. Posłaniec strząsnął śnieg z ubrania, zdjął powoli czapkę baranią z głowy, zatarł ręce i z wyrazem dumy na twarzy, jął otwierać zgrubiałymi palcami „pismo“. Mruczał, mruczał, obracał kartki z koślawem pismem i wytłumaczył treść pisaną.

— Syn wasz, ten co przy wojsku.

— Aha, wojak — nie ma innego — mówi gazda uradowany...

— Syn wasz pisze, że pułk jego wyjeżdża do Bośni.

— Jezus, Marya! — zawołali gazdowie naraz.

— Do Bośni — potwierdza improwizowany listowy i piśmienny człowiek. — Prosi was, ojcze, żebyście chcieli przyjechać do miasta i zobaczyć się jeszcze z nim, kto wie, co w Bośni go czeka.

Matka się zafrasowała, dzieci wytrzeszczyły oczy, a gazda usiadł pod piecem i złorzeczył wojsku. Listowy pocieszył rodziców, ogrzał się trochę i wyszedł.

— Cóż zrobimy? — pyta gazda.

— A cóżby, jest jeszcze kilkanaście szóstek po wieprzku — westnęła kobiecina — bierz grajcary i idź do żelaźnicy: Jedź, bo możeby było zapóźno iść pieszko.

Wspomniała sobie matka o synu, zapłakała — i wieprzek może niepowrotnie sprzedany przyszedł jej na myśl.

— Jedź, stary, jedź, zobacz się z wojakiem, może to ostatni raz — głośniejsz zapłakała, a najmniejsze dzieci do wtóru beczały z pośród słomy.

Gazda wzdychał, patrzył osłupiałym wzrokiem w okienko i drapał się po łbie. Jakiś trudny kalkul prowadził, bo pokręcał wciąż głową.

Postanowił wreszcie. Spojrzał na klekoczące w ukropie kartofle i począł się ubierać do drogi.

Zjadłszy obiad, przerzucił torbę przez ramię, kij do ręki i ruszył do pobliskiej stacyi kolejowej.

Maszyna sapie, koła turkoczą, wiatr bije w szyby śniegiem, w wagonie ciepło, a gazda, wsunawszy się w kąt, bieży myślą chyżej od pociągu do miasta, do syna, do wo-

jaka swego, którego mu z pod ręki zabrali, jedyną pomoc na wyrobku i koło małego gospodarstwa.

Przyjechali. Konduktor wypchał z wagonu gazdę, który nie chciał uwierzyć, żeby w tak krótkim czasie już u celu podróży byli. Gwar, hałas na dworcu oszołomił go, lecz szedł za innymi drogą do miasta. Nic nie mówił, nie pytał, tylko spoglądał za każdym żołnierzem, czy to nie syn.

W mieście dopytał się o koszary, w których pułk jego syna przebywał.

Straż dyżurna w bramie, oświadczyła mu, że oddział, a z nim i syn jego, wczoraj pociągiem południowym do Bośni odjechali.

— Co mi też mówicie? Dzisiaj list od syna dostałem.

— Być może, ale kiedyż ten list pisany? a jak długo pocztą szedł do was? — pyta podoficer.

— A patrzcież — i gazda z torby pismo wydobyl i do czytania podał.

List pisany był przed czterema dniami, należycie opłacony, lecz spokojnie leżał sobie na pulce w urzędzie pocztowym, w tej przegrodzie, która miała napis: „Poręba“. Dopiero wczoraj zgłosił się jakiś ciekawy mieszkaniec Poręby i wszystkie listy do tej wioski adresowane zabrał do domu.

Gazda zaklął na taką pocztę i na wydatek na opłatę, który taka poczta pobiera. Ale przecież nie chciał wierzyć, że syn odjechał. Cisnął się w głąb koszar, straż go nie puszczала, aż oficer dniowy na straży, z śmiechem i kpinami młodzieńca dobrze wychowanego w szkole kadeckiej, wytłumaczył gaździe, że syn nie chciał czekać na przybycie ojca.

Zabiadał stary, postął chwilę przed bramą, powiódł smutnymi oczyma po szeregu okien i ciemnym murze koszar i odszedł.

— Nie ma go, odjechał, oj to dola moja — mówił do siebie półgłosem i szedł ulicą bezmyślnie. — Oj to poczta! Oj to ludzie! Gdzie tam już syn mój? I śmieją się jeszcze ze mnie żołnierze.

Szedł tak ulicą, potem drugą, patrzył przed siebie choć nie nie widział, aż po godzinnej może wędrówce głód go ocucił z zamyślenia i żalów.

Wyjął z torby gazda kawał chleba czarnego, nóż i je, żując silnemi szczękami suchy chleb.

Nagle — przystanął. Przed nim znajdowała się wystawa wielkiego sklepu. Wielka szyba, jak gazdowskie drzwi w chałupie, albo jeszcze większa. Przeszedł wedle takich szyb wielu, lecz nie zajęła gazdowej uwagi żadna. Po za witryną, przed którą stał, poukładane były wieprzowe głowy — martwe widocznie, bo taką piękną trawę na nosie i uszach spokojnie trzymały, dalej kielbasy i salcesony, poćcie całe słoniny i wiele rzeczy takich, których nazwy nigdy gazda nie słyszał, a o smaku nigdy nawet nie śnił, choć śniły mu się bardzo dziwaczne rzeczy nieraz.

Przystanął i patrzy. Gdyby tak z godzinę postał, toby oczami szybę prześwidrował. Patrzy, a patrzy i suchy chleb w kostkę kraje i żuje zgłodniały. A głową porusza wciąż to na prawo, to na lewo, to w stronę kielbas, to śpyrki, to znów na suchy chleb, co go w ręce trzyma.

I za całą okrasę tego czarnego, suchego chleba spłynęła mu po policzku, pomiędzy wąsy, do kąta ust — łza. Chłopska łza! Ktoby się jej dziwił? Ileż ich to wypłynie z chłopskich ocz? Ktoby tam zważał na chłopską gębę pomarszczoną i czy ona tam uśmiechnięta, czy smutna?

A za kim gaździe przed witryną masarską łza popłynęła?

Pewno za wieprzkiem sprzedanym, za pieniędzmi, co poszły z targu do cesarskiego sztajeramtu? A może za synem, co z wojskiem cesarskiem do Bośni pociągnął na zgubę może swoją, na niedolę matczyną. Któż ta może sięgnąć pod ten oberwany kozuch i grubą koszulę, do ogorzałej od mrozu i słońca piersi chłopskiej.

Gazda — marny gazda, na trzech morgach — widząc wygolony z sierści, czysty, zielenią ubrany łeb wieprzowy, wspomniawszy sobie na wieprza sprzedanego. Na trud, zachody konieczne do jego wykarmienia. I nic z niego nie skosztował nawet. Już czwarty rok sobie obiecują w domu sutą wielkanoc, jak uchowanego wieprza ubijają. Ani myśleć o tem. Co rok gorzej. Co roku więcej brakuje po przednowku choć i wieprza sprzedadzą. Ich pra a idzie do miasta, zjedzą obcy, nawet schaba chłop nie obliże. A możeby dwa chować wieprze? Jednego sprzedać, a zjeść drugiego? — myśli gazda, patrząc na różową szynkę. Gdzieżby zaś! — Musiałby karmy dokupywać — a za co? Trzeba się zadowolić

wychowaniem jednego wieprzka sprzedać go, a cesarskie pieniądze oddać cesarzowi — nie ma rady.

Podnosząc do ust kawałek chleba, spostrzegł żołnierza przechodzącego.

I syn gazdy chodzi w takich sukniach. Wychowali go z matką, pomagał im na wyrobku, ale musiał iść służyć cesarzowi — nie ma rady. Chowaj, karmij, staraj się, kłopotcz, a potem przyjdą i zabiorą. Zabrali reńskie za wieprza i syna wzięli.

A żeby już raz umrzeć! — zakończył głośno gazda to dumanie.

— Ale pierwszej połowę wieprza zjeść — dorzucił jakiś terminator, który ciekawie się chłopu przypatrywał.

— A żebyś wiedział, że tak — odburknął gazda.

— Ślinka wam idzie, do tego chleba — śmiał się chłopak — zjedlibyście keś śpyrki? He?!

Chłop się obejrzał z pogardą na mieszczucha, co kpił sobie z tego, co mu wieprze chowa i do miasta zwozi, przypomniał sobie, że i oficer z złotymi galonami z niego szydził i podwójnie zmartwiony zabrał się z miasta. Jeszcze raz przeszedł koło koszar, pooglądał do koła, czy syna nie zobaczy i ruszył drogą pieszko do domu z powrotem.

— Szkoda pieniędzy — i tak syna nie zobaczę.

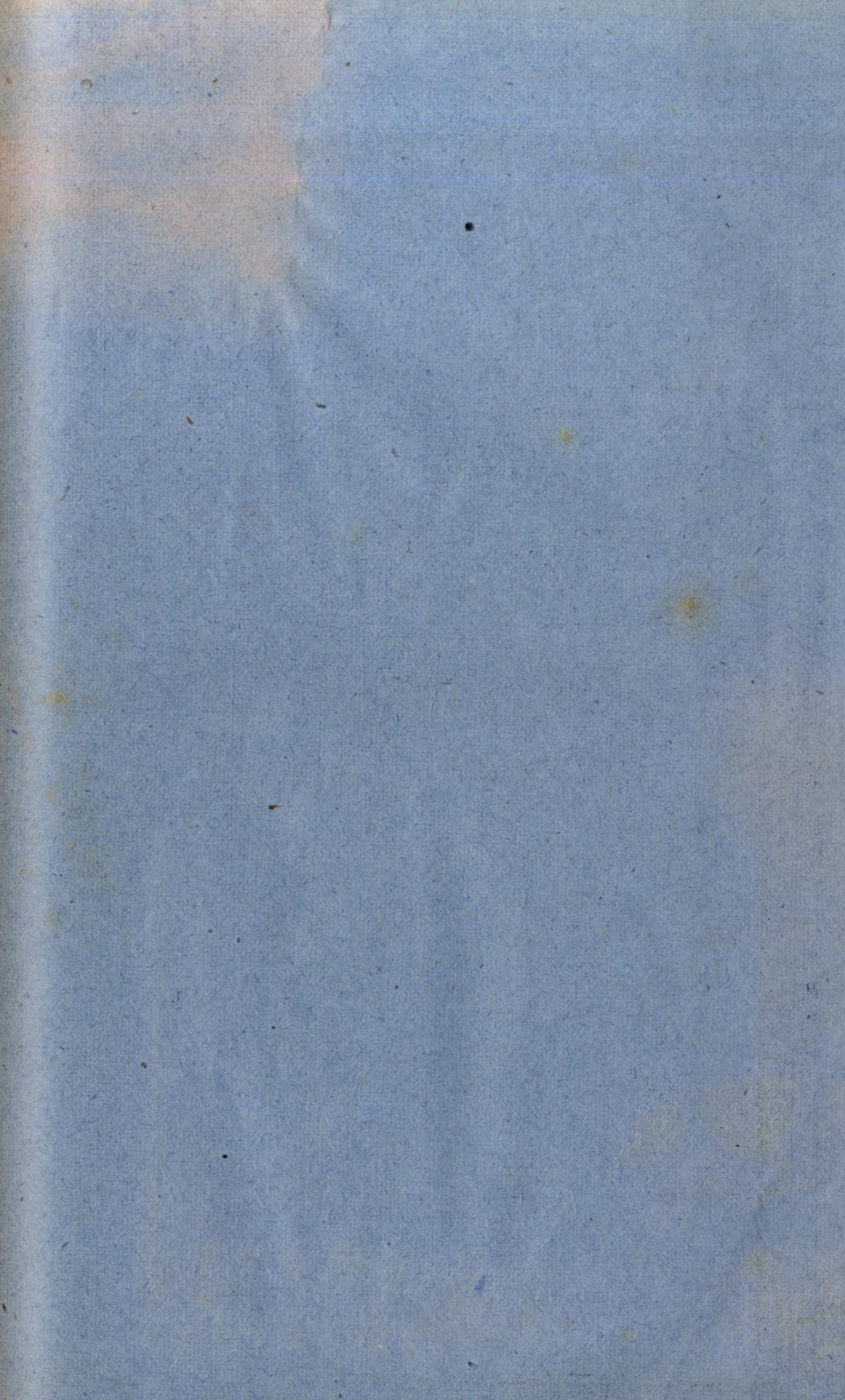
Śnieżyca się uspokoiła pod wieczór — i gazda nie dbając na noc — ruszył w drogę. Ale tylko o synu teraz myślał, o wojaku, co do Bośni z cesarskiem wojskiem pójść musiał.

Wśród drogi często powtarzał głośno, bo go nikt nie słuchał:

— I pieniędzy niema i syna nie widziałem. Ha! nie ma rady.

Janko.





22.2
18
VIII
F 5-97

Treść Nr. 4.

„Anachronizm“ nap. Żegota. — „Chłopi w Galicyi“ II. nap. W. Budzynowski. — „Szkic historyczny, nap. Helena Rawska. — „Upadek rodziny“ nap. Tadeusz Reger. — Fejleton: „Niobe współczesna“, wiersz, nap. K. — „Pogrobwcom“, wiersz, nap. Napierski. — „Dwa strapienia“, obrazek, nap. Janko

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód“.

„U OGNISKA“

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedoźwieckiego.

12 szkiców na 15 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenumeratorów „Świata“ 60 ct.

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„**NAPRZÓD**“, Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką pocztową 90 ct.

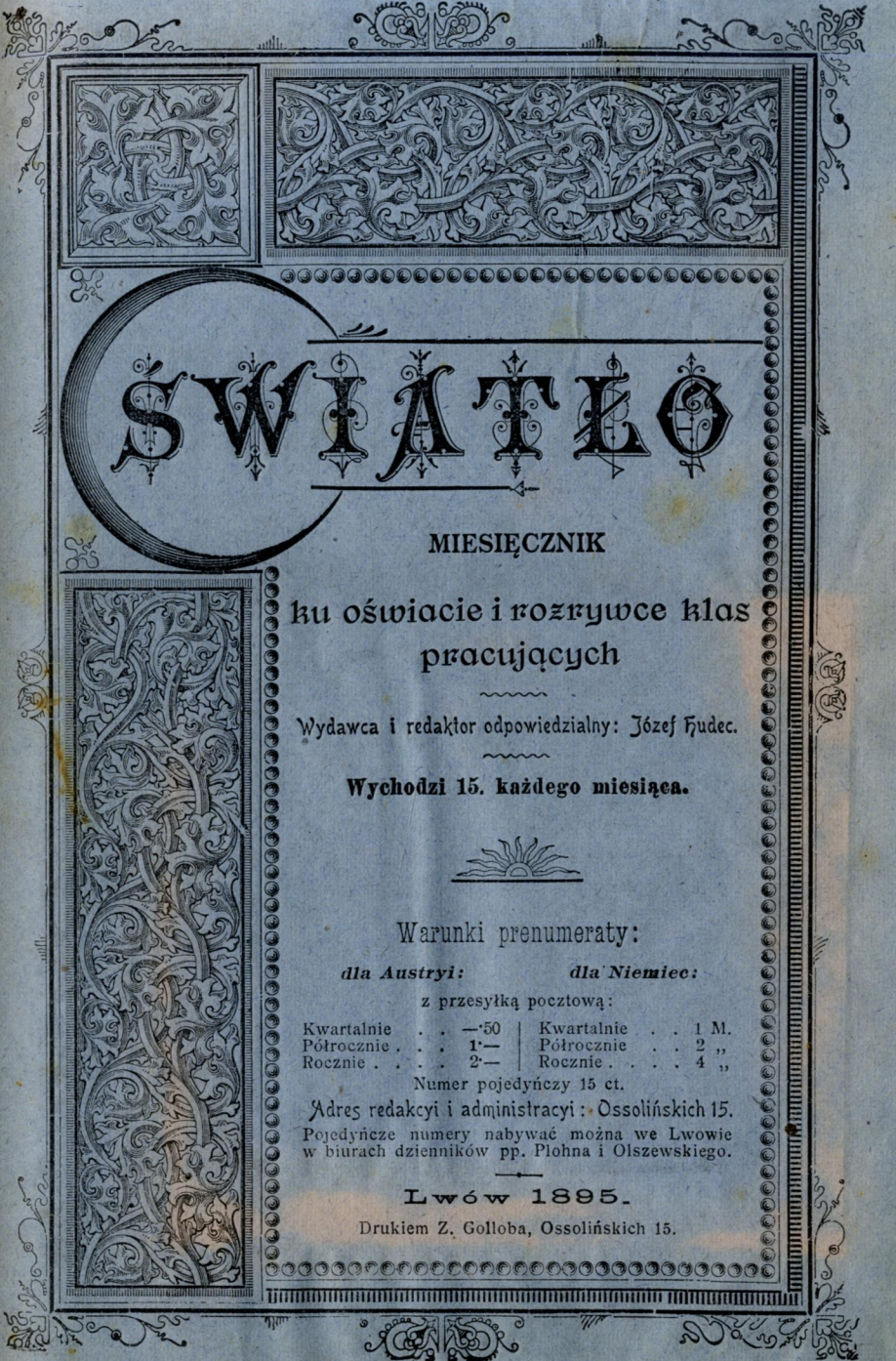
„**NOWY ROBOTNIK**“, Lwów, ul. Wałowa 1. 15. Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct., z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„**DER ARBEITER**“ (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Piśmo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydowskich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką pocztową 40 ct.

„**GAZETA ROBOTNICZA**“. Organ polskiej partii socjalistycznej w Berlinie. O Andreasstrasse 78, A. — Prenumerata kwartalna w Niemczech 1 mrk. 10 fen., za granicą 1 mrk. 60 fen., w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„**ROBOTNIK**“ Organ polskiej partii socjalistycznej. Warszawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„**PRZEDŚWIT**“. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Związku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie. Adres: „Dawn“, 7. Beaumont Square, Mill-End. Road. London, E. — Prenumerata roczna 5 złr. 4. rs. (w kopertach).



ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

~~~~~  
Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

~~~~~  
Wychodzi 15. każdego miesiąca.


Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	—50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie	2—	Rocznie	4 „

Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.
Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Płohna i Olszewskiego.

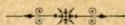
—
Lwów 1895.

Drukiem Z. Golłoba, Ossolińskich 15.



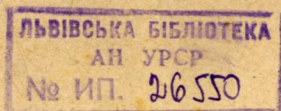


Nieczyste sumienie



Gdyby ktoś nie rozumiał ogromnego, rewolucyjnego znaczenia, jakie posiada partya socyalno-demokratyczna w Austrii, ten powinien przeczytać motywa, jakimi poseł dr. Rutowski uzasadnia monstrualny projekt podkomisyi w sprawie reformy wyborczej. — Dla wielu rzeczy nie mają zrozumienia nasi »demokraci«, nie wiele dbają o honor polityczny lub nawet osobisty, ale to jedno musimy im przyznać, że jest to partya najbardziej tkliwa na wszystkie straty, grożące jej w miastach ze strony zorganizowanego ludu. Nikt nie ma powodu do większych obaw w najbliższej przyszłości, niż właśnie ci tylokrotni zdrajcy ludu, którzy jak na ironię losu muszą być zależnymi od głosowania w miastach, ponieważ nie mają wielkich folwarków i nie należą do wielkich właścicieli, gdzie „wyborcy“ mogliby się zmieścić wszyscy na jednym porządnym wozie... Rutowscy, Lewiccy, Szczepanowscy, Sokołowscy i jak się oni wszyscy nazywają, należeli zawsze do najgorliwiej „aporujących“, byle tylko nie wydano ich na pastwę robotnikom. Od pewnego czasu szaleją poprostu w swym serwilizmie, aby pokazać, że przecież na coś się przydadzą i żeby przez to zabezpieczyć swój byt polityczny. — Ale wróćmy do „mtywów“ p. Rutowskiego. Czytamy tam następujące przyznanie:

„Od dawna uprawiana, świadoma celu agitacya robotników zorganizowanych coraz ściślej na podstawie zasad socyalnej demokracji, zwłaszcza agitacya robotników przemysłowych, którzy z coraz większą energią prowadzą walkę w Austrii o zdobycie praw politycznych, uczyniła konieczną rzeczą, aby co prędzej w parlamencie był zastąpionym



ten ruchliwy żywioł ludowy, rosnący gwałtownie wraz z przemysłowym rozwojem krajów“.

Przyznanie to notujemy jednak nie tylko dlatego, że z ust wroga jest ono najchlubniejszym świadectwem dojrzałości, znakiem naszej energii i siły w społeczeństwie; nadto chcemy na niem zademonstrować perfidy i chytrąść tych, którzy z takich wychodząc założeń, do tak potwornych — jak projekt — doszli konkluzyi. Proszę bowiem zważyć: robotnicy to rozwinęli ową potężną organizację, wykazującą ich wpływ w całym społeczeństwie, nadto żywioł ten rosnąć będzie gwałtownie wraz z każdym dniem rozwoju przemysłowego społeczeństwa, — a więc — odgradzić ich, wyosobnić z tego społeczeństwa, chińskim murem otoczyć, aby nie stali się groźnymi. Rozumowanie to cechuje projekt Rutowskiego i dla każdego rozwiniętego człowieka, ba dla samego tego karyerowicza musi się wydać niekonsekwentnem i śmiesznem. Jakto! klasa energiczna, żywa, rosnąca z dniem każdym szybciej od innych, klasa której życie związane z postępem, z rozwojem, z kulturą społeczną, ta klasa ma być ograniczoną, odgradzaną?!

Ależ to nonsens, to ujmywanie potęg rosnących szybko w jakieś śmiesznie małe ramki kuryi robotniczej, to niedorzeczność, która się nie utrzyma, choćby sto milionów bagnetów jej strzegło. Dopóki społeczeństwo nie umarło, dopóki rozwój przemysłu i cywilizacji coś znaczy dla świata, dopóty zamykanie proletaryatu w klatkach śmiesznie małych i śmiesznie słabych, jest co najmniej naiwnością, a zamiar prowokowania tymi sposobami burzy społeczno-politycznej jest wprost zbrodnią.

Ale idźmy dalej. Ponieważ robotnicy wywołali i prowadzili całą agitację za powszechnem prawem wyborczem, ponieważ chłopci i najdrobniejszy przemysł w połączeniu z najmniej dojrzałymi żywiołami, z tzw. drobną „inteligencją“, nigdy nie upominali się o powszechne głosowanie, zatem subkomitet daje robotnikom 13 mandatów, a „drobnym kontrybuentom“ 34! Ponieważ robotnicy stanowią najdojrzałszy żywioł wśród ludu, dać im najmniej mandatów!

Zastrzegamy się, że nie chodzi proletaryatowi o ilość posłów, ale pożyteczną jest rzeczą postawić się raz na stanowisku logiki mieszczańskich polityków i ztąd zobaczyć, jak szalona trwoga przed robotnikami odbiera im resztkę zdrowego rozumu.

Zepchnąwszy wszystkich obywateli, płacących poniżej 5 złr. podatku bezpośredniego do jakiegoś wspólnego naj-

niższego koryta z 47 mandatami, zatrwożyli się sami „reformatorzy“ wobec tego, co w przyszłości ich nieszczęsna robota przynieść może. Jagnięta zostawiono na łup wilków socjalistycznych! Chłop lub kupiec-greisler nie da sobie rady z silną organizacją proletaryatu i ulegnie!... Albo lepiej zacytujmy samego Rutowskiego: „przez utworzenie jednej kuryi mógłby przenieść się ruch socjalno-demokratyczny pod silnem, zorganizowanem, czynnem kierownictwem partii robotniczej na wieś, przyczem mogłaby uleść bierna ludność wiejska!“.

A więc należy popierać ciemnotę, gnuśność, apatyą u ludu, byle tylko nie dostał się on pod „silne, zorganizowane, czynne kierownictwo“ jedynej partii ludowej, która wie, czego chce!

Jesteśmy, jak czytelnik widzi do tego stopnia grzecznymi, że motywujemy dokładnie, dlaczego motywa Rutowskiego nazywamy, jak na to zasługują: bezczelnymi. Nie chodzi nam o to, że projekt mógłby się stać ustawą; jesteśmy przekonani, że spotęgowałby on rozgoryczenie proletaryatu do niebywałych granic, że stałby się wiecznie otwartą raną polityczną, demonstracją nawet dla najciemniejszych o tem, jak krwawą nierównością polityczną obciążona jest atmosfera polityczna państwa, nie o to nam obecnie chodzi, ale należy uprzytomnić sobie dokładnie, do czego zdolni są nasi „demokraci“, ci spiskowcy, knujący najhaniebniejsze projekty, aby tylko uratować się od grożącej im zagłady. — W Kole polskiem hr. Wodzicki i Straszewski wyrazili wyraźnie swoje oburzenie, że Polak podjął się tej smutnej służby, prezentowania na talerzu niejako potwora wylęgniętego przez komitet. Wodzicki i Straszewski dwaj najzacieklejsi stańczycy! a równocześnie Rutowski, Szczepanowski i Sokołowski chodzili z miną przebiegłych handlarzy, usiłujących w swych słuchaczów wmówić, że towar jest właściwie całkiem dobrym, tylko go nieco oprószyć i odświeżyć należałoby... Nieporównanym np. był Szczepanowski, kiedy zapewniał, że projekt jest jeszcze lepszym, niż śp. „podstawowe zasady“ ogłoszone półtora roku temu przez ks. Windischgraetza, bo..... te dawały tylko 43, a projekt wspaiałomyślnie ofiarowuje 47 posłów. — Zaiste ten „prorok“ narodowy, ten wzniosły blagier Szczepanowski musi mieć duszę mizernego handlarza, za jakiego go zresztą miał śp. Wiśniewski, znający go dobrze! Albo Sokołowski, który powtarza jedną i tę samą mowę od kwietnia 1893, że prawo głosowania może być dane tylko umięją-

cym czytać i pisać, bo „nie można pojąć, jakimby sposobem mogli brać udział w głosowaniu tajnem, a więc kartkami — wyborcy nie umiejący czytać i pisać“ i na tej podstawie chce taki karzeł demokratyczny opierać podstawę życia politycznego!! A jakże to od r. 1873 a zatem od 22 lat wybierają posłów z mniejszej posiadłości w Galicyi? a skądże dziś jeszcze przeszło czterysta tysięcy wyborców w Galicyi jest analfabetów? i nikt im ich prawa nie myśli odbierać dlatego, że państwo i kraj nie spełniły swej powinności wobec nich: nie nauczyły ich czytać ani pisać, choć przecież spore pieniądze z kieszeni tych ludzi wędrowały i wędrują do kas państwowych i krajowych! Z tą mową o cenzusie »inteligencji« nosi się p. Sokołowski jak kura z jajem od dwóch lat, nie biorąc jej oczywiście na seryo, tak samo jak członkowie Koła polskiego w ogóle nie biorą „autonomii“ na seryo, używając jej tylko, albo jako pałki wobec opornych, albo jako witrycha do kas rządowych we Wiedniu...

Ale nieczyste sumienie nie pozwoli tak łatwo usiąść tym wszystkim spółnikom koalicyjnym na nieczystych i cuchnących kłamstwach, które dokoła siebie wytwarzają, mącąc polityczną wodę. Nie znajdzie się po za spółką koalicyjną ani jeden człowiek, któryby przypuścił, że podział społeczeństwa na 8 (ośm) różnych klas, da się długo utrzymać wobec tego jeszcze, że im pożyteczniejsza i liczniejsza klasa, tem ma mizerniejsze i bardziej sfalszowane prawo wyborcze. Proszę tylko z uwagą odczytać następującą wielce pouczającą notatkę:

45 właścicieli fideikomisów	ma	5 posłów
5.357 właścicieli wielkich posiadłości .	ma	80 „
583 członków izb handlowych . . .	ma	21 „
338.510 wyborców miejskich , . . .	ma	118 „
1,387.572 wyborców wiejskich	ma	129 „
1,300.000 uboższ. wyb. miejsk. i wiejk.	ma mieć	34 posłów
700.000 robotników	ma mieć	13 „
1,817.724 robotników rolnych i leśnych	nie ma posła!	

Czy taka struktura średniowieczna społeczeństwa da się utrzymać? Czy zapomniano nagle o olbrzymim wpływie niwelacyjnym nowoczesnej cywilizacji, czy nie widzą, że od dołu rozpoczął się ruch potężny do równouprawnienia politycznego i społecznego dążący, czy w Austrii nie obowiązuje to prawo rozwoju, co w reszcie państw Europy?! Oczywiście, że nie chcemy tutaj przekonać Rutowskich itp. eskamoterów politycznych, byłaby to stracona praca; chcemy

tylko wskazać, jak szalenie nierozumnymi są ci, którzy zaślepieni egoizmem, nie rozumieją, kiedy i gdzie szybko i bez oporu ustąpić należy w polityce. Ci, którzy przed dwoma niespełna latami obalili z dzikim hałasem, wśród obelg Stadnickich i szacherek Lewickich, projekt hr. Taaffego, ci w skrytości duszy nieraz może tego żałują; fala ruchu politycznego wychodząca z odczucia takich realnych krzywd, nie może bowiem zginąć w piasku, nie znalazłszy ujścia, może tylko wzbierać i wznosić się coraz wyżej i wyżej, aż rozerwie tamy.....

Reforma wyborcza wykoszlawiona i przeszachrowana w klubach parlamentarnych, będzie grobem moralnym liberałów niemieckich i demokratów polskich, a przecież gdyby ci ludzie zrozumieli byli jej znaczenie, mogłaby ona na pewien bodaj czas podnieść niesłychanie ich znaczenie w całym państwie, dałaby im siły do wyzwolenia się z szponów stańczykowskich i otoczyłaby ich sympatją.....

Proletaryat nie ma powodu patrzeć w przyszłość z trwogą

Właśnie dopóki mu nie dano ani jednego mandatu, potrafił on poruszyć niebo i ziemię, a co więcej uspionych swych braci — potrafił agitacją swoją zmusić wrogów swoich do zajęcia się jego sprawą, a wreszcie w ogniu walki politycznej zdobył to, czego się w gnuśnym życiu mieszczańszczyzny nie zdobywa: odwagę i dojrzałość. — Uznają jego ważność i w trwodze przed jego silną, dzielną organizacją chcą go zakuć w kajdany »kuryi«, odgrodzić murami od życia i świata.

Ale te usiłowania mogą chyba posłużyć na to, aby wykazać nieczyste sumienia tych, co do dzisiaj z darowanych im przez cesarza praw panoszyli się, poniewierając ludem. — Jakakolwiek »reforma« wyborcza zostanie wysmażoną w czarnoksięskiej kuchni spółki koalicyjnej, żadna z nich nie wstrzyma życia społecznego w jego rozwoju. Pigmeje, grający rolę obrońców dzisiejszego »stanu posiadania«, mogą rozwój ten ułatwić, stwarzając zgodną z życiem społecznościami i z jego potrzebami ustawę wyborczą, albo opóźnić przez monstrualne, na przemocy oparte ordynacje.

Jakkolwiek by się zachowali, nam przyświecać będzie nasze hasło: powszechne, równe i bezpośrednie głosowanie! Proletaryat austriacki jest może jedyną obecnie klasą w Austrii, która utrzymuje żywe stosunki z cywilizowaną Europą; on też jeden zdoła to nieszczęsne państwo feoda-

łów i feodalnych kapitalistów, naprawdę europejskiem uczynić przez powszechne prawo wyborcze.

Rutowscy zaś i »demokraci« pozostaną dla nas jako klasyczne typy historyczne trwożliwych tchórzów, usiłujących zatruć życie polityczne ludu niegodnymi machinacjami.

Historia z pewnością wymierzy im taką dozę pogardy, jaka im się należy.

Żegota.



Chłopska posiadłość w Galicyi.

Napisał W. Budzyński.

(Ciąg dalszy.)

Wasza c. k. Apostolska. Mości!

Napastowani nieustającemi prośbami naszych towarzyszy i zażaleniami tak gmin, jak i pojedynczych właścicieli, zmuszeni jesteśmy przedłożyć w jak *najuniższej* pokorze..... jako dopełnienie do wniesionego już wszechpoddanego przedłożenia w sprawie..... (następuje powtórzenie tego, co było w pierwszym memoryale, tylko gruntowniej i z większym naciskiem)..... Być może, że niektóre pretensye gmin są przesadne, drugie tendencyjnie przedstawione, inne znów już nie do osiągnięcia, w każdym razie jednak *podstawą* tych wszystkich skarg musi być *faktyczne naruszenie ustawy*, kraj musi odczuwać ogólny ucisk — w przeciwnym razie nie możnaby zrozumieć tych nieustających i upartych skargi prawie *wszystkich gmin*, tak wschodniej jak i zachodniej Galicyi. Przypuścić niepodobna, aby te powszechne i ciągłe skargi wywołać mogła agitacya, gdyż to naraża gminy na wielkie wydatki, na pokątnych pisarzy, stemple i koszta podróży..... Przy naszej nędzy byłby to za wielki wydatek na manię procesową..... Chłop nasz przywykł do wszelkiego ucisku — widać, że obecny ucisk silnie się zwiększył, skoro zmusza chłopca do porzucania domu, gospodarstwa, żony i dzieci, i przedsięwzięcia dalekiej podróży (*per pedes apostolorum*), aby znaleźć *swego cesarza*, swego obrońcę tego prawa, któ-

rego w własnym kraju znaleźć nie może..... Podpisani proszą o zawieszenie wszystkich nadciągających procesów i wszystkich komisij powołanych do skwitowania serwitutów, gdyż wszystkie normy, według których załatwiają się te sprawy i *organa*, które je załatwiają, są tego rodzaju, że *broniony jest potężny pan, a wyzyskiwany* biedny chłop..... (następuje krytyka odnośnych rozporządzeń i postępowania władz).

Do r. 1848 trzymano chłopów pod kuratelą. Bez ingerencji politycznych władz nie mogli oni w żadnej własnej sprawie zrobić najmniejszego samodzielnego kroku; ich traktowano jak małoletnie dzieci. Nie sformułowawszy i niezapewniwszy im ich praw, nieprzygotowawszy ich do samodzielności, „wypuszczono“ ich nagle na wolność, ogłoszono ich pełnoletnimi i dojrzałymi. Nagłe to uwolnienie, chwiejność odnośnych postanowień i niespodzianie wprowadzony nowy sposób postępowania (sprawy te przeszły z rąk władz politycznych, do sądów), musiały mieć takie naturalne następstwa, że dawni poddani nie mogli wżyć się w te nowe zarządzenia. Chłopom, którzy nie umieją ani czytać, ani pisać, pozostało niewyjaśnione, a dotąd tak często zmieniane, przeznaczenie władz, którym podlegają ich sprawy: obce dla nich formy nowych postanowień i niewiadome następstwa niedotrzymania prekluzywnych terminów; nie mając fachowych zastępców, zwracają się do pokątnych pisarzy, którzy ich tylko wyzyskują, a sprawę wikłają..... *Rządowe organa przeciągały śledztwa nad skargami, które wnosili chłopci tak długo, że następowały przedawnienia i pan zatrzymał sobie ległanie to, co nielegalnie zagarnął*

Gdy już sam patent pomaga zobowiązanym (szlachcie), a dla uprawnionych (chłopów) jest szkodliwy, to i postępowanie lokalnych komisij jest dla uprawnionych zgubne. *Urzednicy*, którym powierzono przeprowadzenie spraw serwitutowych, *nie są także wolni od winy; oni byli przyczyną*, że załatwienie tej sprawy w bardzo wielu wypadkach skończyło się dla gmin tak niekorzystnie i uciążliwie. Głosu gmin nie uwzględniano. Oni (urzednicy) wykorzystywali tendencyjnie nieporadność chłopów, lub chłopski sposób wyrażania myśli (!), np.: Jeśli wójt powiedział. „My kiedy chcemy brać drwa z tego lasu, musimy *prosić* o to pana“, wtedy urzędnik zapisywał las jako własność pańską,

choć dobrze wiedział, że to słowo „prosić“ oznacza w tym razie tyle, co opowiedzieć się, lub *donieść*, jak tego wymagał patent z 1882 roku, który oddał lasy gminne pod opiekę dominiów i kazał chłopom opowiadać się u pana, kiedy ci chcieli korzystać z *własnego gminnego lasu*. To było uwiadomienie w formie prośby.

W sporach między gminą, a szlachcicem powoływano na świadków najczęściej służbę szlachcica (!).....

W niektórych okolicach dano chłopom jako odszkodowanie za prawo pobierania drwa z lasu roczną rentę w wysokości 35 „nowych“, a w innych 8 $\frac{1}{2}$!

i t. d.

Wiedeń 1. sierpnia 1861.

Podpisani między innymi:

Litwinowicz (biskup), *Kowbasiuk*, *Witalis* itd.

Gabinetowi oddano 5. sierpnia 1861“.

Ciekawe świadectwo moralności wystawił naszej „starszej braci“ poseł na sejm krajowy, ruski chłop Huryk. W r. 1893 wygłosił on w sejmie następującą mowę:

„Czyja to wina, że chłopstwo znachodzi się w takim położeniu? Winę należy przypisać *rządowi i sejmowi*, gdyż nie tylko, że nie bronił włościańskich praw, ale jeszcze *pomagał tym, którzy rząd krzywdzili*. Aby to udowodnić, posłuchajcie łaskawie.

Patentem z 10. września 1872, nadano byłym dominiom policyjny nadzór nad gminnymi lasami. Tym policyjnym nadzorem potrafiły być dominia tak pokierować, że wszystkie gminne lasy i pastwiska przy przeprowadzeniu serwitutów *zagarnęły sobie na własność*. W ten sposób podkopały one materialne położenie chłopów. Rząd, przy przeprowadzeniu serwitutów nie brał chłopów tak w obronę, jak to było jego obowiązkiem. Chłopi bronili swych gruntów przed szlachtą; raz po raz udowodniali świadkami, że od niepamiętnych czasów wyłącznie były w ich używaniu, ale broniących się *aresztowano, powoływano do wojska* i w ten sposób tłumiono te chłopskie »bunt«, gdyż za bunt uważano obronę swych praw!..... Chłopi wdawali się w procesy, które po długich, długich latach kończyły się zwyczajnie tem, że gminy zniszczono materialnie, posekwe stro-

wano, a lasów i pastwisk nie oddano! W dowód prawdy niech posłużą następujące fakty:

Gmina Subotów, w powiecie stanisławowskim, miała ugor. Sąsiedni dziedzic zamyślił zagarnąć część ugoru dla siebie. Kiedy chłopci postanowili bronić się, przywołano wojsko, które „uspokoilo“ i do szczytu zniszczyło gminę. Skarga za skargą szła do sądu; ludzi aresztowano, pomimo, że świadkami udowodnili, iż ta ziemia od niepamiętnych czasów jest ich własnością. *Lecz rząd stał po stronie pana.* Kiedy przesłuchano kilkudziesięciu świadków, którzy zeznali na korzyść gminy, postanowiono przesłuchać jeszcze kilku innych świadków — pańskich sług i jednego żandarma i na podstawie zeznań tych ostatnich, zasądono wszystkich pierwszych świadków na kilkamiesięczny areszt, który odsiedzieli w Stanisławowie, a komisarz zabrał 60 sztuk najlepszego bydła i sprzedał w przeciągu trzech tygodni w Rohatynie na publicznej licytacji za czwartą część ceny.

W drugiej gminie tego samego powiatu, zamyślił pan zagrabić przeszło 100 morgów gminnej ziemi. Kiedy chłopci zaczęli się bronić, sprowadził pan z Tyśmienicy szwadron huzarów i aby im dodać wojennego animuszu, nie poskąpił wódki. Huzarzy napadli na chłopów, powiązali wszystkich, wsadzili do aresztu i *tak długo ich tam głodem morzyli, dokąd ci nie zrzekli się prawa do swej własnej ziemi!* Kiedy zaś później chłopci zdecydowali się sprawę tę oddać do sądu i wybrali w tym celu dwóch pełnomocników, wtenczas prekupiony naczelnik gminy przywołał pełnomocników do siebie, *dał im po 20 kijów* i zagroził, że jeżeli będą w sądzie bronić gminy, *sami zgniją w areszcie!* I takim sposobem pełnomocnicy gminy, *ratując swe własne życie, odstąpili od przyjętego na siebie obowiązku* zastępstwa gminy. A teraz prosty fakt: We wsi Rybne miała gmina pastwisko, na którym był i las. Gminie zabroniono paść tam bydło, a przy przeprowadzeniu serwitutów powiedział inżynier do gminy: *„Żądam, abyście mi dali krowę dojną“.* Lecz kiedy gmina krowy nie dała, powiedział inżynier: „No — to ja takiego znajdę, co mi ją da“ — i napisawszy list do dworu, dostał dwie krowy i całą furę wiktuałów. *Za to zaś oddał las i pastwisko w ręce pana“.*

Za mały jest zakrój mej pracy, abym tu naprowadzał więcej podobnych faktów. Kto choć trochę wąłesał się po naszych wsiach, ten wie, że prawie każda gmina ma mnóstwo podobnych historyj zapisanych w swych ustnych annałach — a pisane one są krwią i łzami!

Sprawy to dawne — lecz mowa Huryka wygłoszoną została ledwo przed kilkunastu miesiącami. Powtórzyły ją wszystkie demokratyczne pisma, a lud przyjął sympatycznie. Czyż nie dowodzi to, że sprawa „lasów i pastwisk“ do dziś jeszcze nie straciła swej aktualności? Że rana, jaką klasie chłopskiej zadały rząd i szlachta, do dziś jeszcze się nie zagoiła i ciągle krwawi?! Że straszną była krzywda uczyniona chłopom, kiedy ci do dziś jeszcze nie mogli jej zapomnieć! W szlacheckich pismach czytamy do dziś jeszcze lamentsy zwolenników „harmonii społecznej“ — że chłop z „nieufnością“ odnosi się do pana, że nienawisć do „pana“ tak głęboko zakorzeniła się w jego duszy, jakgdyby ją wyssał z macierzyńskim mlekiem! To dowodzi, że tą sławetną „emancypacją“ wyrządzono chłopom wielką, nie do przebaczenia krzywdę, że szlachta ciężkiego dopuściła się grzechu wobec społecznej sprawiedliwości!

Do dziś dnia nie skończył się jeszcze proces wywłaszczania klasy chłopskiej, osobiwie w górach, zaludnionych na pół osiadłą, a na pół nomadującą jeszcze ludnością, która żyje prawie wyłącznie z pastwisk i lasów. Pominąwszy już to, że ludność ta wypasa nie swe własne, a lichwiarskie woły, zwężają im ich teren coraz bardziej. Dzieje się to po części pośrednio, tj. w ten sposób, że panowie zamykają ścieżki, wiodące przez ich las na chłopską połoninę. Tę dla chłopów nader przykrą sytuację wyzyскуją panowie jako środek represyjny przy różnych tak politycznych, jak i ekonomicznych sprawach: „Jeżeli nie zrobisz tak jak ja chcę, to ci zamknę wstęp na twe pastwisko“. Prócz tego wyrugowują chłopów z pastwisk i bezpośrednio. Co chwila odgrzebują jakieś stare dokumenty i mapy, o których całe pokolenia chłopskie nie miały najmniejszego wyobrażenia i na tej podstawie wypędzają chłopów z tych pastwisk, na których paśli bez najmniejszej z czyjejkolwiek strony przeszkody ich dziadowie i pradziadowie. Z połoniny, którą oni uważali za swą odwieczną własność, wypędzają bydło, fantują je i licytują za bezcen — dla pokrycia kosztów sporu i uczynionej szkody.

W sporach tego rodzaju było prawo najczęściej po stronie chłopca i on byłby pewnie wygrał niejedyn taki proces, gdyby był umiał dobijać się o swą sprawę i gdyby mu jego materialne stosunki pozwalały na powierzenie sprawy fachowemu a *sumiennemu* zastępcy. Na to słowo *sumiennemu* kładę szczególny nacisk, gdyż przynajmniej $\frac{3}{4}$ przegranych, zawdzięczają chłopci nikomu innemu, jak swym —

słono wynagrodzonym — zastępcom prawnym. Ci nędznicy, za sowitem wynagrodzeniem z przeciwnej strony — zdradzali swych klientów i sprawę zaprzepaszczali! — Że chłopci sami nie mogli bronić praw w sądach, widzimy z faktów naprowadzoych w przemówieniu pośła Huryka.

Spór o prawo posiadania, rozpoczynał się zwykle na spornym gruncie. Szlachcic wypędzał, lub zajmował chłopskie bydło pasące się, jak przed laty, na błoni, lub spędzał chłopskich oraczy z pola, które uważał za swą własność i zapuszczał własne pługi. Robił to w asystencyi dworskich fornali, a czasem i w asystencyi organów państwowych. Chłopi nie dawali sobie płuć w kaszę; cała gmina, przy pomocy bab i dzieci stawiała na miejscu spornem — wszyscy z dokumentami w rękach. A dokumentami, którymi oni udowodniali swe prawo własności były z jednej strony naiwna wiara w „słuszność“ ich sprawy, a z drugiej cepy, widły i koły z płotów. W tej pierwszej instancyi, wygrywali zwykle chłopci. Siła chłopskich argumentów, które działały nie na rozum, a na żebra i gnaty, zmuszała służbę dworską do sromotnego odwrotu. Chłopi tryumfowali. Lecz na tem nie kończyło się. Szlachcic apelował do wyższej instancyi — do sądu. Tutaj już brała sprawa zwykle inny obrót. Chłop wychowany bez takich instytucyj, jak c. k. sąd, nie znał się na prawnych formalnościach i matactwach. Kiedy był przekonany o swem prawie, robił sobie sąd sam na mniejsu — pięścią. Kiedy zaś został zaskarżony o naruszenie cudzej własności, która w jego oczach była jego własnością, ignorował radykalnie wszelkie wezwania na „termin“. Na „forladunek“ spoglądał z lekceważeniem, jak człowiek, który wzniósł się ponad taką czczą formalistykę.

Najzwyczajszą przyczyną ignorowania sądów była naiwna wiara w jego »prawo«, wskutek której i przez myśl mu nie przeszło, aby jakiś tam sąd mógł rozstrzygać o rzeczy, którą on uważał za „swoją“. „To moje — powiedział chłop — dostałem to od cesarza i nikt prócz niego nie śmie mi tego zabrać“. Rzekł, i nie troszczył się o sądową rozprawę. Rozumie się, że wyszedł na tem najgorzej. »Jego« ziemię oddano przeciwnikowi tj. szlachcicowi, a on sam musiał jeszcze sprzedać jeden kawałek własnego, nie spornego gruntu, na koszt procesu, a drugi na koszt podróży do Wiednia. Po przegranej sprawie urządzali chłopci regularnie pielgrzymkę do cesarza, aby ten wziął ich w obronę i rozstrzygał w *cywilnej* sprawie!

Sprawa serwitutów, to już najklasyczniejszy dowód nienasyconości i chciwości naszych rycerzy-rabusiów. — Gdyby historia pozostawiła była choć jedną maleńką plamkę czystości na zbrudzonej tarczy herbowej naszych „raubritte-rów“, to musiałaby ona zniknąć, zamazana brudem serwitutowych sporów. Nasi chłopci zmuszeni byli prowadzić nie mniej, jak 32000 serwitutowych procesów, z których przegrali nie więcej, jak 30.000! Te procesy wypróżniły skrzynie chłopskie na więcej, jak 15 milionów zł., a kieszenie lichwiarzy zapełniły na sumę stokroć tak wielką — gdyż chłop musiał pieniądze te pożyczać u lichwiarza, który bierze 100, 500, 1500 i więcej procentu!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Minimalny program polityczny międzynarodowej socjalnej demokracji w AUSTRYI.

Socjalizm naukowy i praktyczny czyli społeczny, rozszerzony w połowie bieżącego stulecia przez ludzi genialnych i dobrej woli, rozwija się nieustannie, zajmuje umysły nawet przeciwników, zaczyna wpływać na rządy i ma bezsprzeczną, jakkolwiek nie zbyt chyżą przyszłość przed sobą. Wychodząc z racjonalnej zasady, że prywatna własność środków produkcji wprowadza czynniki dezorganizacyjne w dzisiejszy ustrój ekonomiczny, dąży socjalizm systematycznie i konsekwentnie do zamienienia narzędzi pracy na własność wspólną, czyli państwową, rozumiejąc, że taka przemiana ekonomiczna usunie dzisiejszą anarchię społeczną, opierającą się na wolnej konkurencyi, wytwarzającej współczesne państwa klasowe.

Cel ten jest wspólnem dobrem wszystkich ludzi, bo walka klas — nie jest nawet dla wyzyskujących pożądaną i przyjemną; inna rzecz, że oni przyzwyczajeni żyć bez pracy — nie chcą się pozbyć tego *przywileju*, który ponadtołączony jest z możliwością życia za wielu i oddaje im w ręce — władzę nad biednymi. »Przywilej« prywatnego

kapitału wobec pracy — jest ponadto ojcem wielu nadużyć, nawet niekoniecznych, podobnie. jak przywilej urodzenia wytwarzał ongiś nie tylko rycerzy — (dzisiejszych kapitalistów), ale i rycerzy-rabusiów — dzisiejszych »Industrie-ritterów«.

Naturalnie, że taki stan rzeczy zmusił — pokornych długi czas — ludzi pracy do połączenia się z sobą, celem walki z kapitałem. Walka teoretyczna ukończona na korzyść socjalizmu; praktyczna, czyli społeczno polityczna wre dzisiaj na dobre i wzmacnia się w miarę, jak maszyna wyrzuca na bruk coraz większe masy robotnicze. Najsilniej wtargnęła maszyna do przemysłu; nie dziw, że najpierwej zbudził się do czynu robotnik przemysłowy, głównie fabryczny i rozwinął czerwony sztandar walki o naturalne „prawo do pracy“, tj. — „prawo do życia“. W Ameryce i na zachodzie Europy dołącza się dzisiaj do tej walki także robotnik rolny; w Niemczech i w Austrii cieszy się jeszcze utopiami drobnego posiadacza tak długo, dopóki maszyna nie stanie się dlań tem, czem jest dla roli na — Zachodzie i za Oceanem.

Maszyna wkraacza w zwycięskim pochodzie także w szeregi proletariatu inteligencji, ale nie tak szybko, jak wkroczyła do przemysłu i rolnictwa; nie dziw, że ta część robotników — jest jeszcze nieco lepiej społecznie sytuowana; nosi różne nazwy, nadane jej przez burżuazję, jak np. urzędników, oficyalistów itp., wyróżnia się i otacza pozorami zbytku, ale to także tylko do czasu.

Już dzisiaj widać proletaryat inteligentny walczący świadomie w szeregach zorganizowanych robotników przemysłowych.

Ci ostatni idą jednak zawsze jeszcze w pierwszym szeregu, jestto zresztą ich słusznie — cierpieniami zapracowane — »prawo nabyte«, nie szkodliwe jednak, ale przeciwnie wobec mniejszej ruchliwości innych warstw proletaryackich — niezbędne i pożyteczne. W ślad myśli politycznej Marksa, stanowią robotnicy socjalistyczni organizację międzynarodową w tem znaczeniu, że wszyscy postępują solidarnie i zjeżdżają się na wspólne kongresy. Oprócz tego mamy mniejsze organizacje państwowe i krajowe, które mają na oku tż. codzienną, praktyczną i do potrzeb chwili zastosowaną politykę. Nie jest to wyrazem francuskiego possybilizmu, opierającego się o falangę paryskich robotników galanteryjnych — lepiej sytuowanych, ale jest to zrozumieniem i wprowadzeniem w życie ewolucyjnych pierwiastków

do ruchu — rewolucyjnego, bo dążącego do zmian zasadniczych. Zewnętrznym wyrazem takiej racjonalnej polityki są tz. „minimalne programy“ partii socjalno-demokratycznych w poszczególnych państwach. W Austrii obowiązuje do dziś dnia program, ułożony i przyjęty — na kongresach socjalistycznych r. 1889 w Hainfeld i r. 1892 w Wiedniu. Program ten, stanowi podkład naszego ruchu w granicach praw państwa austriackiego i dlatego jest nader ważny. Z tego to względu redakcja „Światła“ postanowiła podać swym czytelnikom przystępny rozbiór tegoż programu minimalnego, który dzieli się na część ekonomiczną i ściśle z nią związaną polityczną. My mamy zamiar skreślić na teraz program polityczny, ale i ekonomiczny okaże się wkrótce w łamach naszego pisma.

Program polityczny — składa się z 6. punktów, które po kolei omawiać będziemy:

I. »Zniesienie ograniczeń, krępujących wolność przenoszenia się z miejsce na miejsce, a mianowicie: ustaw wyjątkowych, ustaw o włóczęgostwie i szupaśnictwie«. Konstytucja austriacka, napisana i nadana w »Imię Boże« i nie mająca z Darwinem nic wspólnego, wychodzi jednak z ogólnej zasady, że człowiek jest zwierzęciem i to takim, które powinno być sprytnie na sznurku prowadzone i nadzorowane, czy też nie myśli się urwać.

Ze walka klasowa stwarza wśród ludzi podobne bydlęta — o tem wątpić się nie ośmielamy i rozumiemy wobec tego, dlaczego prawo stało się — nie od dzisiaj zresztą — wyrazem siły tej lub owej klasy społecznej. Ponieważ siłę tę posiada obecnie klasa kapitalistyczna tak rolna, jak i przemysłowa, otóż nie dziwimy się, że chcąc ją dla siebie zachować, wprowadziła do konstytucyi takie czynniki, jak karabiny, bagnety, armaty, policyści żandarmi, księża, płatni szpicle itp. Oprócz tego posiadamy jeszcze tz. »administrację państwową«, spoczywającą w rękach najsprytniejszych „posiadaczy“, a administracja ta w połączeniu z »władzą dyskrecyonalną« działa istne cudy w kierunku krępowania myśli konstytucyjnej.

Mimo takich zastanawiających wynalazków konstytucyjnych, których »skuteczność« w Niemczech stwierdzał kilkakrotnie hr. Caprivi — mamy w różnych państwach „cywilizowanych“, a także i u nas — dodatek, dołączony do poprzód wymienionych środków poskramiających na wypadek jakich nieobliczonych nadzwyczajności. Przypomina to trochę rzymską dyktaturę, którą patrycyusze stworzyli

po to, aby walczący o swe prawa plebs straszyć od czasu do czasu — kijem. U nas dyktatura taka — nie nazywa się tak brutalnie, ma owszem wcale przyzwoitą nazwę — „praw wyjątkowych“.

Nie jest ona wcale, jakby się zdawało, zabytkiem rządów absolutnych, przeciwnie prawo o ustawie wyjątkowej z dnia 5. maja 1869 r. zostało na propozycję rządu przyjęte przez ówczesną kapitalistyczną większość parlamentarną, a do dziś dnia także — tylko opozycyjne stronnictwa zwalczają je według potrzeby; systematycznie zaś — jedynie socjalna demokracja.

Rozumiejąc dobrze, że w czasach pokoju armia stała jest wysoce skutecznym argumentem rządu w razie »zaburzeń«, — przewiduje ustawa prawa wyjątkowe głównie na czas wojny tj. na wypadek nieobecności wielkiej części armii w kraju. Wojna, rozumował sobie rząd do spółki z wytresowanym parlamentem, daje pole ludowi do zapytania się, po co i za co krew swą dla »Ojczyzny« poświęca. Pytanie to często bardzo kłopotliwe, jest lepszym agitorem, niżeli nawet najzdolniejszy szpicel prowokacyjny; należy więc tego agitatora zamknąć do kozy tj. poddać go pod paragrafy „ustawy wyjątkowej“. Ale... wojna — to ostateczność, a przecież i w pokoju mogą się objawić »in ausgedehnter Weise hochverrätische, oder sonst die Verfassung bedrohende, oder die persönliche Sicherheit gefährn- dernde Umtriebe«.

Wyraz ustawowy »Umtriebe«, jest tak rozciągiły, jak np. polskie słowo »zamiary« lub tp., a uzupełnienie, że te »Umtriebe« są tylko wówczas karygodne, jeżeli mają na celu »zagrożenie konstytucyi«, lub »bezpieczeństwa osobistego«, oznacza właściwie wszystko to, co każdy rząd, w danej chwili istniejący, zechce za niebezpieczne dla siebie uważać. Podobna ustawa giętka, zastosowana w czasie rewolucyi francuskiej przeciw szlachcie — wywołała zgrozę oburzenia wśród feudałów całej Europy, ale zastosowana naodwrot — przeciw ludowi, tłumaczoną bywa z reguły — koniecznością położenia politycznego. Przed 100 laty tłumaczyli reprezentanci ludu francuskiego, że prawa tego rodzaju są wynikiem naturalnej zemsty ludowej; dzisiaj trudno chyba byłoby rządowi kapitalistycznym wykazać, dlaczego one chcą się mścić nad biednymi „współobywatelami“.

Rzeczywiście nie jest ustawa wyjątkowa nigdzie dzisiaj wyrazem zemsty, ale z reguły — jest to wyraz obawy przed zemstą — jeden z tych środków, które kapitał wymyślił

jedynie dla swej obrony w wypadkach ważniejszych, w których zwykle posterunki obronne są albo za słabe, albo mniej skuteczne. W zastosowaniu szczegółowem jest ustawa wyjątkowa wprowadzeniem lokalnego absolutyzmu w ramy mieszczańskiego i szlacheckiego — konstytucjonalizmu, a nie ma ponadto wcale paragrafu, któryby zabraniał te lokalne ograniczenia zrobić na czas jakiś regułą ustawową. Powiedziano tam wprawdzie, że parlament musi każde zarządzenie wyjątkowe potwierdzić, ale dopiero *post festum* tj. ewentualnie dopiero wówczas, kiedy sam rząd uważa już je za zbędne. Wygląda to wprost tak, jakoby cienie despotyzmu miały chronić konstytucjonalizm XIX. w. od niebezpieczeństw; w gruncie rzeczy tak nie jest, bo rządy konstytucyjne opierają się na warstwach kapitalistycznych — to też te naodwrot pozwalają im na czasowe lokalne dyktatury, na podstawie znanej prawdy, że „kruk krukowi oka nie wydziobie“. Cóż mógł mieć np. szlachecko-burżuazyjny parlament niemiecki przeciw temu, że Bismark zaprowadził ustawę wyjątkową przeciw socyalistom, albo że u nas — w Wiedniu pod bokiemy Rady państwa, był wprowadzony dłuższy czas stan wyjątkowy przeciw „anarchistom“, których w stolicy Austrii zastępowali tymczasowo agenci prowokacyjni i pomagali na gwałt anarchizm złączyć z socyalizmem, co prawda — nadaremno.

Kiedy się sztuczka nie powiodła — uznano w dobroci serca, że anarchiści wiedeńscy wymarli i stan wyjątkowy usunięto.

Czasami zdarza się nawet, że kruk wielko-kapitalistyczny dziobie oko swemu młodszemu i niespokojnemu bratu: drobnemu posiadaczowi. Wyrazem takiej walki domowej — jest dzisiejszy stan wyjątkowy w Pradze przeciw Młodoczechom, których nie umiano jednak także zidentyfikować z anarchistami, jakkolwiek agenci płatni świetnie „Omladinę“ zorganizowali.

Nie często, ale przecież zdarza się, że „wyjątek“ zastosowany bywa do „poważnych“ tj. nie „burzących“, ale za to za nadto silnych organizacyi politycznych, jak np. w Niemczech przeciw Jezuitom. — Fakt ten jest zarazem powodem, dlaczego tam katolicy uważają wszelkie ustawy wyjątkowe za barbarzyństwo tj. tak samo, jak socjaliści, u nas zaś jest im z tem „barbarzyństwem“ wcale dobrze.

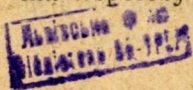
Socyalizm — wychodząc z zasad stałych i racjonalnych — sam głósuje w Niemczech za zniesieniem ustaw wyjątkowych przeciw Jezuitom, z którymi przecież nic nas

nie łączy oprócz człowieczeństwa; naturalnie, że w Austrii, gdzie dotychczas ustawy wyjątkowe tylko klasę robotniczą najbardziej uciskały — walka o ich zniesienie jest jeszcze naglejszą, jeszcze dla nas pilniejszą, niżeli w państwie, gdzie niedawno upadł w parlamencie płód geniuszu klasowego kapitalistycznego tj. „ustawa antyprzewrotowa“.

Długi czas walka nasza była prawie beznadziejną; obecnie jednak, kiedy „koalicja“ wzięła w nawias ustaw wyjątkowych także stronnictwa radykalne, — jest ona nieco łatwiejszą. Nie sądzimy wcale, że nawet kompletne zwycięstwo na tem punkcie już nas ochroni przed prześladowaniami; tak nie jest — przecież możemy ufać na słowo sprytnym prawnikom klas posiadających, że „zwykłe środki ochronne — są w stanie skutecznie bronić dzisiejszego ustroju społecznego“, mimo to jednak zniesienie ustaw wyjątkowych będzie przynajmniej o tyle dla klasy robotniczej pożyteczne, że nie będzie potrzebowała ciągle oglądać się na wszystkie strony, czy też jakiś naśladowca Bismarka nie zechce uznać wszystkich ludzi pracy, za „wrogów ojczyzny“, którzy powinni mieć knebel na ustach, wolne miejsca w kryminałach, a więcej świadomości swych praw — paszporty emigracyjne. Dzisiaj jeszcze jest to wcale możliwe, przecież Bismark znajduje w panu Caprivim naśladowcę w massonskich « Włoszech, a cóż dopiero mówić o „prawowiernej“ Austrii.

b) Osobno uchwalone, ale z ustawami wyjątkowymi w ścisłym sojuszu pozostające są tz. ustawy o włóczęgostwie i szupaśnictwie; są one nawet do pewnego stopnia ważniejsze, bo stanowią regułę ustawową, a nie — wyjątek. — Co prawda, nie doczekały się jeszcze wyraźnego, prawnego sformułowania, wskutek czego ciągle nibyto ma walor ogólna ustawa konstytucyjna, orzekająca krótko, ale dobitnie, że „wolność osobista jest prawnie zagwarantowana“. Wyłomem od tej reguły są jednak nietylko ustawy wyjątkowe, ale nie mniej szereg kruczków prawnych, zwanych ogólnie „postanowieniami o włóczęgostwie i szupaśnictwie“.

Postanowienia te wychodzą, równie jak ustawa wyjątkowa z pojęcia „obrony porządku społecznego“, orzekając, że drogą administracyjną można wydalić z każdej gminy wiejskiej lub miejskiej „włóczęgów“, którzy nie tylko zasługują na to ze względów na bezpieczeństwo życia i mienia współobywateli, ale także wówczas, jeżeli występują



sami, względnie namawiają do nieprzyjaźni „wider einzelne Classen u. Stände der *bürgerlichen* Gesellschaft“.

Życia i mienia jednostek lub odnośnych gmin broni, co sama ustawa wyraźnie zaznacza, — w dostatecznej mierze — policya; wobec tego postanowienia o włóczęgostwie są zbędne... Ale mają one znaczenie wówczas, jeżeli nie chodzi o t. z. zbrodnie pospolite, lecz o — polityczne. Jestto niejako ustawa wyjątkowa przeciw pewnym, nielubianym przez rząd kapitalistyczny stronnictwom, tylko, że nie zwraca się przeciw ogółowi danej partii, ale przeciw jednostkom, zwanym zwykle „agitatorami“. Szerokie ramy tych postanowień pozwalają w gruncie rzeczy na dowolne prawie prześladowanie ludzi politycznie „nie sympatycznych“; na odwrót tacyż ludzie „sympatyczni“ są zupełnie swobodni w swych n. p. konserwatywnych, lub liberalnych agitacjach. W ten sposób są postanowienia o włóczęgostwie ciosem dotkliwym dla szerzenia się partii socyalistycznej. W zwykłym — „spokojnym“ czasie są one, nawet u nas, tylko dość skromnie zastosowywane, ale w razie jakiegoś żywszego ruchu politycznego, manifestacji lub wyborów — mają rząd i kapitał w „postanowieniach o włóczęgostwie“ bicz w rękę przeciw klasie robotniczej, — a przywilej w obronie klas posiadających. „Włóczęgów“ pozwala ta ustawa w razie potrzeby nawet — więzić; zwykle jednak ma być stosowane prawo o szupaśnictwie, na mocy którego, obywatel, uznany za „włóczęgę“, ma być policyjnie do miejsca urodzenia lub przynależności gminnej odstawiony. Najwięcej włóczy się po świecie ludzi bogatych, jak np. szlachciców polskich po drodze do Monaco itp.; możnaby więc i ich podporządkować łatwo pod ustawy o „włóczęgostwie i szupaśnictwie“. Ba! ale klasy posiadające dbają nawet wobec swych własnych władz i rządów o swą skórę, dlatego postanowienia o szupaśnictwie odnoszą się wyraźnie tylko przeciw ubogim tj. „gegen bestimmungslosen Individuen, welche kein Einkommen oder keinen erlaubten Erwerb nachzuweisen vermögen“. Znaczy to tyle, że „włóczęgą“ jest każdy, który na żądanie policyjne nie wyjmie z kieszeni pewnej paczki banknotów na dowód, że on posiada »ein gewisses Einkommen«.

Kiedy przed 50 laty książę Metternich rządził Austryą na sposób feodalny prawie, — mawiał, że »człowiek zaczyna się od barona«; dzisiaj czasy się zmieniły tj. mamy »postanowienia o włóczęgostwie«, które pozwalają biednego barona odstawić do miejsca urodzenia, ale bronią wartości

ludzkiej na podstawie wartości kieszeniowej. Według praktyki szupasowej — człowiek zaczyna się dzisiaj od 5 lub 10 złr., posiadanych na własność. Rzeczywiście mamy wyraźnie liberalną konstytucję, tylko bez frazesów rewolucyjnych o „wolności, równości i braterstwie“.

Można, co prawda, wydobyć się z szponów szupaśnictwa nawet bez — kieszeni, ale... trzeba mieć — jakieś uznane przez państwo — zajęcie np. być fabrykantem i wyzyskiwać robotników. Można być nawet tym wyzyskiwanym robotnikiem lub np. dyurnistą, ale trzeba oprócz tego mieć pracę zarobkową w rękę; natomiast robotnik lub nawet »inteligent« bez zajęcia, wyrzucony na bruk przez kapitalizm, albo też „politykę“ — jest wobec postanowień o szupaśnictwie podobny do zbrodniarza, ściganego listem gończym np. za morderstwo lub kradzież. Gdyby to był człowiek nawet genialny, to c. k. administracja ma prawo trzymać go na uwięzi w miejscu przynależności; może mu nawet w ten sposób zabronić starać się o jakiś zarobek.

Tak tedy ustawy wyjątkowe, tudzież postanowienia o włóczęgostwie i szupaśnictwie — znoszą zupełnie główną zasadę konstytucyjną, że „wolność osobista każdego obywatela jest prawnie poręczoną“; w praktyce zaś są przywilejem klas posiadających przeciw klasie robotniczej i wogóle — proletaryatowi.

Myśmy sami, na gruncie galicyjskim mieli różne stany wyjątkowe, np. przeciw — patryotom polskim; dzisiaj „patryotyzm“ cieszy się z „ministrów rodaków“ ale za to my — robotnicy-socjaliści jesteśmy pod bezpośrednią „opieką“ policyi i pp. burmistrzów małomiasteczkowych, ba, nawet wójtów po wsiach, o czem zresztą wielu z towarzyszy przekonało się namacalnie. Naturalnie, że w takich stosunkach żądanie naszego programu minimalnego, aby ustawy wyjątkowe i postanowienia szupaśnicze zostały zniesione — jest dla nas konieczne nie tylko »z zasady«, ale także celem obrony naszej osobistej wolności i ochrony prawa wolnego zarobkowania, tj. celem utrzymania naszego „życia i mienia“!

o ustawodawstwie ochronnem.

Mysłą przewodnią, która przyświeca proletaryatowi w jego walce z dzisiejszym ustrojem społecznym jest to niezłomne przekonanie, że nędza dzisiejsza jest

koniecznem następstwem dzisiejszego ustroju społecznego. Wszystkie jej objawy, olbrzymie majątki, nagromadzone w ręku jednostek i brak najpotrzebniejszych środków do życia, będący udziałem mas, nadmierne używanie jednych i zupełne usunięcie drugich od korzystania z dorobku cywilizacyjnego całych pokoleń — to wszystko jest ściśle związane z kapitalistyczną formą produkcyi i tylko z jej zniesieniem może być usunięte. Ta myśl przewodnia objawia się wszędzie, w ciągłym zaznaczaniu rewolucyjności ruchu proletaryatu i w nieustannem zapewnianiu, że celem jego nie jest osiągnięcie małych korzyści, które tylko ukrywają zło, ale go nie leczą, lecz zupełne zerwanie z dotychczasowym sposobem produkcyi i oparcie całego życia społecznego na nowych zupełnie podstawach.

Z tem zasadniczem stanowiskiem nie zgadza się pozornie *faktyczne* postępowanie proletaryatu, który w pierwszym rzędzie stawia pewne praktyczne żądania, domagając się *praw politycznych* i *ustawodawstwa ochronnego*.

Sprzeczność ta jest jednak tylko pozorną. Partya robotnicza nie w tym celu powstała, aby tylko konstatować braki, istniejące w obecnym ustroju społecznym, nie może ona ze spokojem badacza poprzestać na wydaniu orzeczenia o chorobie, trawiącej organizm społeczny, ale jest partya, powstałą w celach walki z tym ustrojem i z tego też stanowiska zmuszoną jest o całym swoim sposobie postępowania decydować. Ze stanowiska tedy walki klasowej, w której ona jest jedną ze stron walczących, każdy środek, mogący wzmocnić jej szeregi lub osłabić przeciwnika jest jej bardzo pożądanym. Takim środkiem i to środkiem nader wielkiej wagi jest zdobycie praw politycznych, a w drugim rzędzie osiągnięcie dobrego ustawodawstwa ochronnego.

Konieczność ustawodawstwa ochronnego wynika już z samego kapitalistycznego sposobu produkcyi. Wprowadzenie maszyn oddało robotników zupełnie na łaskę i nie łaskę ich »pracodawców«. Ogromne zaoszczędzenie sił roboczych, jakie przedstawia maszyna, czyni tysiące rąk robotniczych zbytecznymi; udoskonalony mechanizm maszyn pozwala na użycie do pracy kobiet i dzieci. W dwojaki zatem sposób zwiększa się ta armia ludzi, pozostających bez zajęcia i nie mogących tego zajęcia znaleźć. Robotnik musi obecnie być posłusznym wszelkim żądaniom przedsiębiorcy, wie bowiem, że w jego miejsce znajdzie się dziesięciu innych, którzy zgodzą się na wszystkie warunki, byle tylko znaleźć jakikolwiek sposób zarabkowania. W ten sposób

siła odporna robotników została złamaną. Jedynym panem, który decydował o ich losie był teraz przedsiębiorca, który też nie omieszkiał z tej swojej władzy należycie korzystać.

Nadzwyczajne przedłużenie dnia roboczego najpierw w Anglii, później w miarę rozwoju produkcyi także na stałym lądzie, jakoteż znaczne obniżenie płacy, a tem samem i stopy życiowej ludności robotniczej — oto były bezpośrednie następstwa tej nieograniczonej władzy kapitalistów. Pośrednie następstwa okazały się później i istnieją dotąd w całej swej rozciągłości. Statystyka mimo najlepszych chęci tych, którzy się nią zajmują, nie jest w stanie ukryć tego zwyrodnienia, które z każdym dniem się wzmacnia, wskazując wymownie na ustrój kapitalistyczny jako swoje źródło. Ludność robotnicza, od najwcześniejszej młodości zmuszona do ciężkiej pracy fizycznej, nie może już dostarczać potrzebnej liczby rekrutów. Mimo, że wymagania władz z każdym rokiem się zmniejszają, stosunek ilościowy stawiających do poboru i zdolnych do służby wojskowej jest coraz gorszy. I tak podczas gdy w Austrii według źródeł urzędowych w r. 1881 liczba niezdolnych wynosiła 462 na 1000 to już po *czterech* latach urosła na 568 na 1000, a więc o przeszło 10%! Kobiety z proletaryatu pracujące całymi dniami po fabrykach i warstatach nie mogą rodzić zdrowych dzieci, to też nic dziwnego, że liczba dzieci nieżywo urodzonych jest bardzo wielka wśród proletaryatu, a i z tych, które się urodziły żywo, prawie połowa umiera w pierwszych kilku latach. Odporność organizmu wobec chorób maleje nawet u dorosłych i ta okoliczność w połączeniu z strasznymi stosunkami mieszkalnymi jest przyczyną, że we wszystkich większych miastach przedmieścia zamieszkane przez ludność robotniczą są stałą siedzibą rozmaitych chorób. Słowem, dłuższe trwanie niczem nieograniczonej swobody wyzysku grozi całemu społeczeństwu niechybną zgubą.

Jeżeli te pośrednie skutki kapitalistycznej formy produkcyi tak dotkliwie dają się z czasem odczuwać całemu społeczeństwu, to dla klasy robotniczej specjalnie, są one tem straszniejsze, że odbierają jej wszelką możność i nadzieję wywalczenia sobie lepszego stanowiska. Czyż można przypuścić, aby ludzie, wskutek nędzy zwyrodniali fizycznie i niedołężni umysłowo byli w stanie zamienić się na dzielnych bojowników, którzyby z całą świadomością i energią dążyli do osiągnięcia pewnych celów? Najgorzej ekonomicznie położone, najbardziej wyzyskiwane warstwy, najpó-

źniej też wstępują do ruchu robotniczego, stanowiąc tu element najmniej uświadomiony i najmniej pewny. Ze stanowiska tedy proletaryatu usunięcie choćby najgorszych form wyzysku, jest pierwszym warunkiem jego podniesienia się.

Ustawodawstwo ochronne ma na celu usunąć tylko te najciemniejsze strony kapitalizmu.

O zniesieniu wyzysku w ogóle, o *znaczniejszem* polepszeniu położenia proletaryatu nie ma mowy w obecnym ustroju społecznym. Dla tego też żądania zorganizowanej klasy robotniczej dotyczą tylko najkonieczniejszych reform, jak maksymalnego ośmiogodzinnego dnia roboczego, zakazu pracy nocnej, zakazu pracy dzieci i ograniczenia pracy kobiet, wreszcie inspektoratu fabrycznego niezależnego i wybieralnego przez robotników.

Żądania te, naturalnie, natrafiają na opozycję klasy panującej, która każde ograniczenie wyzysku uważa za świętokradzki zamach na swe »uczciwie« nabyte prawa. W walce przeciwko nim najważniejszą rolę odgrywają względy na »dobro« samych robotników. O! bo burżuazya umie być ludzką i zwracać uwagę na położenie proletaryatu, ilekroć jej własny interes jest zagrożony! To też z całym oburzeniem występują rzecznicy kapitalizmu przeciw temu krępowaniu swobody robotników, którym nie pozwala się pracować, jak długo uznają za stosowne. Rzekome obniżenie płacy robotnika, które ma nastąpić wskutek skrócenia dnia roboczego, wywołuje u nich okrzyki zgrozy i współczucia dla tych biednych ludzi, którzy w swej nieświadomości sami się gubią! Te obłudne głosy zagrożonych w swoich dotychczasowych prawach kapitalistów, ani na chwilę naturalnie nie mogą zawrócić proletaryatu z raz obranej drogi. Wie on dobrze, że ta sławiona swoboda pracy, jest tylko swobodą zapracowywania się na śmierć, jeżeli się ma zajęcie, lub też zapróżnowania się na śmierć, jeżeli go znaleźć nie można. Co się tyczy rzekomego obniżenia płacy, które z powodu skrócenia dnia roboczego nastąpić musi to naturalną jest rzeczą, że jeżeli wskutek wprowadzenia ustawodawstwa ochronnego warunki walki wogóle będą dla proletaryatu korzystniejsze, to także i wywalczenie podwyższenia płacy będzie daleko łatwiejsze niż poprzednio.

Wobec niezbyt życzliwego przyjęcia, jakie powyższe argumenty kapitalistów znajdują u klasy pracującej, próbują oni, czy też może względ na dobro „całego społeczeństwa“ nie zdoła odwrócić od nich tych tak niepożądanych reform. Słyszymy zatem, że ustawodawstwo ochronne — to ruina

„narodowego przemysłu“. Wskutek skrócenia dnia roboczego musi się — według zapewnień tych panów — zmniejszyć także produkcyja. Z drugiej strony ustawodawstwo ochronne musi znacznie podwyższyć kosztą produkcyi, wskutek czego wyroby krajowe nie miałyby żadnych widoków powodzenia w walce konkurencyjnej z zagranicznymi. Słowem zupełny upadek narodowej produkcyi, a tem samem, wielkości i potęg, narodu i ma być nieuniknionem następstwem nieznanego choćby ograniczenia swobody wyzysku.

Niestety kapitaliści, tak szczęśliwi w korzystaniu ze swego uprzywilejowanego stanowiska, nie mają równego szczęścia ze swoimi teoretycznymi argumentami. Fakty i to najprostsze fakty, wzięte z doświadczenia krajów bardziej ekonomicznie rozwiniętych, zadają kłam ich dowodzeniu. Ustawodawstwo ochronne zostało najpierw, bo już w r. 1833, zaprowadzone w Angli i wpłynęło tylko dodatnio na ekonomiczne położenie tego państwa. Produkcyjność nie tylko się nie zmniejszyła, ale wzmożła się znacznie; bezpośrednio bowiem następstwem skrócenia dnia roboczego była większa intensywność pracy. Robotnik, który należycie wypoczął i dostatecznie się odżywia może pracować daleko intensywniej t. zn. z daleko większym nakładem sił i uwagi, aniżeli zmęczony i spracowany niewolnik. Sami przedsiębiorcy angielscy przyznają, że po zaprowadzeniu ustawowego 10-godzinnego dnia roboczego w miejsce dawnego 12 lub 14 godzinnego, ilość towarów wytworzonych przez *tych samych* robotników nie tylko się nie zmniejszyła, ale owszem znacznie się wzmożła. Niemożność konkurencyi z zagranicą, o której bają zawodowi obrońcy kapitalizmu, nie może się również ostać w obec krytyki opartej na faktach. Anglia mimo swego ustawodawstwa ochronnego, była do niedawna faktycznym panem rynku światowego a zmiana, jaka się obecnie w tym kierunku objawia, pochodzi z zupełnie innych powodów i wcale nie jest następstwem tych ustaw ochronnych. Zresztą proletaryat wszystkich cywilizowanych krajów domaga się *międzynarodowego* ustawodawstwa ochronnego, któreby nie zmieniło wcale dotychczasowego stosunku poszczególnych państw do siebie.

Oprócz tego ustawodawstwo ochronne sprowadziłoby jeszcze inne pośrednie skutki, które na produkcyjność kraju tylko dodatnio oddziaływać mogą. Drobnny przemysł, upadający z każdym dniem, zawdzięcza tę okoliczność, że zupełnie jeszcze nie upadł, tylko nadzwyczajnemu wyzyskowi sił roboczych czeladników i uczniów. Gdyby ustawodawstwo

ochronne przeprowadzone zostało dla wszystkich rodzajów produkcyi, a zatem i dla przemysłu drobnego, ten ostatni musiałby niezawodnie ustąpić, utraciwszy już ostatnią deskę ratunku. A skrócenie chwil konania drobnego przemysłu może być tylko korzystnem dla produkcyjności kraju.

Drugiem następstwem ustawodawstwa fabrycznego byłoby to, że fabrykanci w celu powetowania sobie strat, poniesionych wskutek jego wprowadzenia, byłiby zmuszeni zaprowadzać nowe maszyny i w ten sposób ustawodawstwo ochronne byłoby znakomitym bodźcem do energicznego postępu technicznego.

Widzimy tedy, że względy na dobro „całego społeczeństwa“, o które tak bardzo się troszczą przedstawiciele kapitału, również nie przemawiają przeciw ustawodawstwu ochronnemu.

Kiedy proletaryat, odczuwając skutki kapitalizmu na własnej skórze, począł domagać się *ustawowego* skrócenia dnia roboczego, przedstawiciele »nauki« rzucili mu hasło samopomocy. Robotnicy mieli łączyć się w silne organizacje zawodowe i własną siłą zmusić przedsiębiorców do ustępstw. I faktycznie taką walkę prowadzono w kilku zawodach i to nawet ze skutkiem dodatnim. Jeżeli jednak zważymy, że takie organizacje zawodowe nie wszędzie są możliwe, że najlepiej rozwijają się one w zawodach, które *stosunkowo* najmniej tego potrzebują, podczas gdy robotnicy, nie posiadający fachowego wykształcenia i najbardziej wyzyskiwani nie mogą nawet marzyć o silnej organizacji — to przyjdziemy do przekonania, że organizacje robotnicze mogą wprawdzie tu i ówdzie odnieść zwycięstwo, ale że położenie najbardziej wyzyskiwanych robotników, którzy przedewszystkiem potrzebują pewnych ulg, wskutek tego wcale się nie zmieni. Zresztą i te zwycięstwa odniesione przez niektóre organizacje są tylko krótkotrwałe, wkrótce bowiem wszystko wraca do pierwotnego stanu. Wobec tego koniecznem jest wprowadzenie ustawodawstwa ochronnego przez *państwo*.

Państwo jest organizacją interesów klasy panującej, w obecnym zatem ustroju społecznym organizacją interesów burżuazyi. Jednakowoż interesa burżuazyi *jako klasy* nie zawsze są zgodne zupełnie z interesami poszczególnych jednostek. »Na praktyczne ruchy kapitału, mówi Marx widok przyszłego upadku ludzkości i koniecznego z czasem wyludnienia ma taki wpływ, jak możliwy upadek ziemi na słońce. Po nas może być potop — oto jest hasło każdego kapita-

listy«. Państwo jednak, jako organizacja klasy panującej, nie może być tak krótkowidzającem, nie może dla chwilowej korzyści poszczególnych członków tej klasy poświęcać stałych interesów całej klasy. A w interesie klasy panującej nie jest *zupełny* upadek proletaryatu, gdyż wtedy nie miałaby kogo wyzyskiwać. Kapitalizm dalej bez militarizmu istnieć nie może, a widzieliśmy, że niczem niekrępowane panowanie kapitału i następujące wskutek tego zwyrodnienie mas, uniemożliwiłoby w przyszłości dalsze trwanie militarizmu. Wszystko to jest przyczyną, że państwo nie może się ograniczyć — że użyjemy zwrotu Lassalle'a — do roli stróża nocnego, strzegącego bezpieczeństwa i własności kapitalistów, jak oni się domagają, ale musi ono czynnie interweniować w całym życiu społecznem.

To była główna przyczyna wprowadzenia ustawodawstwa ochronnego. Oprócz tego działały tutaj jeszcze inne czynniki. Przedewszystkiem sama klasa panująca nie jest jednolitą. Solidarność jej objawia się tylko wobec proletaryatu; w wyzyskiwaniu jego wszystkie warstwy klasy panującej zgodnie podają sobie ręce. Inaczej jednak ma się rzecz, gdy chodzi o podział łupu. Tutaj natychmiast występuje na jaw sprzeczność interesów wielkiej posiadłości ziemskiej i wielkiego przemysłu. Wynikiem takiej walki są często pewne prawa ochronne. Tak się miała rzecz np. w Austrii.

Nie da się wreszcie zaprzeczyć, że same żądania robotnicze wpływają czasami decydująco na wydanie jakichś norm ustawodawczych w celu ograniczenia wyzysku.

Obecne ustawodawstwo ochronne jest zatem dziełem państwa. Nic też dziwnego, że jest dziełem połowicznym, że nie dotyka najważniejszych spraw, a nadto bardzo często wcale nie jest wykonywanem. Przy innej sposobności wykażemy na konkretnym przykładzie austriackiego ustawodawstwa ochronnego, o ile dotychczasowe próby nie odpowiadają najkonieczniejszym nawet potrzebom.

Lepszego ustawodawstwa ochronnego od państwa dzisiejszego spodziewać się nie można. W miarę jak przeciwieństwa klasowe się zaostrzają, jak przepaść między burżuazją i proletaryatem się zwiększa — zwycięża także chwilowy interes poszczególnych kapitalistów nad ogólnym interesem ich klasy. Z drugiej strony to samo zaostrzenie się przeciwieństw klasowych zaciera różnice, istniejące w łonie klasy panującej. Wobec grożącego niebezpieczeństwa ze strony proletaryatu ucicha walka o łup, przedstawiciele ka-

piła i przedstawiciele renty gruntowej w braterskim uścisku łączą się przeciwko przedstawicielom pracy. W ten sposób znika także drugi czynnik ustawodawstwa ochronnego. Pozostaje tylko trzeci. Tak, jak wyzwolenie proletariatu w ogóle, może być dziełem tylko samego proletariatu, tak też zdobycie środków do dalszej walki, a zatem i ustawodawstwa ochronnego — jego tylko wyłącznie być może dziełem. Pierwszym krokiem do tego jest zdobycie władzy politycznej, to też wszędzie uświadomiony proletaryat dąży przede wszystkim do zdobycia *praw politycznych*.

jl.



TOMASZOWA.

OBRAZEK.



Był ponury listopadowy wieczór. Od tygodnia bez przerwy prawie lał deszcz, a błoto na odległej od śródmieścia ulicy dochodziło powyżej kostek. Błoto lwowskie ma swoją zasłużoną sławę — a przedmieście zwane „Bajki“ — walczy ze skutkiem z in-nemi pod względem tym o pierwszeństwo.

Mało też jest odważnych, którzyby, w słotne dni jesienne lub na wiosnę, mieli ochotę brnąć w kałużach stojących na polnych prawie drożynach tego przedmieścia, kałużach, które rzadko wśród najskwarniejszego lata wysychają. Chodzą tu właściciele nędznych lepierek, trudniący się przeważnie rzeźnictwem lub murarką — albo też lokatorowie tychże właścicieli, zarobnicy i ostatni biedacy, których nie stać na opłacenie izby w suterrenach kamienie pobudowa-

nych przy ludniejszych i bliżej ruchu wielkomiejskiego położonych ulicach. Zachodzi tu tylko woźny sądowy z wezwaniami, egzekutor podatkowy za podatkiem zaległym — czasami toczy się dorożka wolnym krokiem, wioząc księdza z wijatykiem do konającego, rzadziej zaś lekarza spieszącego z pomocą do chorego — z reguły bowiem chorzy bez tej pomocy muszą się obyć, nie mając funduszków na opłacenie lekarza, lekarstwa i dorożki.

W jednym z domków przy ulicy Murarskiej, nędzniejszym od sąsiednich, drzwi od sieni stoją otworem, a z również otwartych, mimo chłodu i wilgoci, drzwi izdebki po prawej stronie domku położonej, pada migający promień światła, wywołując długie ruchome cienie. Na prost drzwi otwartych, pod ścianą na łóżku prostem, leży trup kobiety, może czterdziestoletniej, ubrany w białą perkalową spodnicę i takiż kaftan, z brodą podwiązaną chustką kolorową i nie-domkniętymi oczyma. U głowy na stoliku płoną dwie świeczki przed obrazkiem świętym, wspartym o ścianę, oświecając migotliwem swem światłem izdebkę i rzucając cień profilu wychudłej twarzy zmarłej kobiety na ścianę przytykającą do łóżka.

W przeciwległym kącie izby, na słomie porzuconej na ziemię, zasłanej starym kozuchem i innemi jakimiś szmatami, siedzi lub leży pięcioro dzieci, z których najstarsza dziewczyna ma około lat dwunastu. Wystraszonym wzrokiem patrzą na uspioną snem wiecznym matkę, ocierając łzy lub szepcąc do siebie. Dwoje najmniejszych opanował sen. Troje pozostałych nie może skleić oczu. Jakiś lęk ich ogarnia, jakaś trwoga i żal odczuty mimowiednie ścisnął młode ich serduszka, niezdolne do ocenienia straty jaką poniosły. Gospodyni domu dała im po kawałku chleba i skwarków, inaczej byłyby nie jadły, bo ojciec cały dzień chodził po mieście i o jedzeniu dla dzieci zapomniał — a może i nie miał za co go kupić. Chodził on za pogrzebem, a bardziej jeszcze za wydobyciem kilku guldenów na jego zapłacenie — wszak ciało pochować musi, na to nie ma rady.

Obchodził wszystkie domy, gdzie spodziewał się cokolwiek uzyskać. A więc tam, gdzie do niedawna był stróżem, i tam gdzie żona chodziła do obsługi, lub gdzie najmowano ją do prania i tam gdzie chodził w lecie na robotę przy murarzach, a wreszcie do takich, jak on biedaków — kolegów zawodowych, zarobników dziennych i rębaczów, z którymi w zimie szukał zarobku. Nie wiele uzyskał, ale zato

to z tym, to z owym wypił wódki, a że nie prawie nie jadł dzień cały, więc szumiało mu w głowie i ledwo dowlóknął się do domu, brnąc w błocie. Teraz siedzi na ławie u stóp nieboszczki żony, z którą tyle lat nędzy i niedoli przeżył i na pół przytomny, to płacze rzewnie, to majaczy i mówi coś do siebie, to uśmiecha się bezmyślnie — wreszcie, wsparty o ścianę i tył łóżka, usnął.

Gdy przyszedł do domu, dzieci opadły go zadając pytania; popatrzył na nie, nie odpowiadając i kazał im iść spać. Wróciły tedy do swego kąta.

Świece w lichtarzach, pożyczonych u gospodyni, zaczęły się dopalać — nie było komu założyć nowych. Dzieci wołały ojca, by wstał z ławy, ale on spał twardo, znużony chodem i odurzony trunkiem — one zaś bały się ruszyć z swego posłania.

Za chwilę zapanowała w izbie zupełna ciemność. Dzieci silniej do siebie się przytuliły a niedługo i one zasnęły snem niespokojnym.

Zapanowała cisza, przerywana tylko westchnieniami śpiących dzieci i od czasu do czasu chrapaniem ojca.

I.

— Tomaszowa! — przynieście klucz! Tomaszowa! a okna pomyte? — wołała gospodyni jednej z piątrowych kamienic przy ul. Cmentarnej, do której właśnie wprowadzałem się, kiedy wóz naładowany gratami domowymi zajechał przed dom i rozpoczęło się jego wyładowywanie.

— Zaraz, zaraz, proszę pani gospodyni — odrzekła kobieta, nazwana Tomaszową, która zajęta była zamiataniem podwórza i na krzyk gospodyni porzuciła miotłę, spiesząc do kuchni po klucz.

Była to kobieta lat trzydziestu kilku, dość przystojna, z wyrazem inteligentnym, zdradzającym jednak cierpienie. Spiesząc wypełnić rozkaz, oddychała z trudnością — mimo pozornie dość zdrowego wyglądu, wskazującego, że nędza i praca nadmierna nadwreżyła potężne jej zdrowie i rzuciła w organizm jej silny zarodek zabójczej choroby piersiowej. Była ona stróżką i posługaczką w tej kamienicy, za co otrzymywała kilka guldenów miesięcznie. Mąż jej zaś był zarobnikiem dziennym i wraz z czworgiem dzieci zamieszkiwali małą izdebkę w sąsiednim wałącym się prawie domku.

Przyniosła klucz i otworzyła mieszkanie, opowiadając przytem, kto mieszkał w nim przedemną, jacy to byli ludzie niezgodliwi, ile mieli dzieci, o co pokłócili się z gospodynią, która lubi porządek i spokój u lokatorów, a dalej, że gospodyni dobra jest, ale sekutnica, że ona bardzo się »naha-ruje«, choć teraz nie ma zdrowia, ale musi robić, bo mąż mało zarobi, a hrobaki“ często głodne jak „haki“, a zakończyła prośbą, bym też jej dał co zarobić — ofiarowując się do noszenia wody, którą nosiła za reński moim poprzednikom.

— Tomaszowa! Tomaszowa! — wołała z dołu gospodyni — podwórze jeszcze nie zamiecione, do kiedy to będzie trwało. Tu tyle roboty, a ona tam siedzi.

— Całuję rączki panu, już mnie znowu woła — mówi Tomaszowa, to tak cały dzień: Tomaszowa, zrób to, Tomaszowa — chodź tu. Tomaszowa idź tam... ani odetchnąć nie da — i poczęła schodzić ze schodów.

Nie zeszła jeszcze na podwórze, aby dokończyć zamiatania, gdy znów dał się słyszeć głos gospodyni.

— Tomaszowa! Wody nie ma w beczulce, idźcie zaraz po wodę!

Znowu porzuciła miotłę, którą wzięła z kąta, wydobyla koromesło i konewki i poszła po wodę.

Za kwadrans wróciła z wodą z dość odległej studni, a z nią kroczyło dwoje umurusanych dzieci, z których młodszy chłopaczek może trzyletni trzymał ją z tyłu za spodnicę. Oboje zaś płaczliwym głosem wołały:

— Mamo, jeść!

Odganiała dzieci, każąc im iść do domu, one jednak nie chciały o tem słyszeć, powtarzając na każdy jej argument swoje:

— Mamo, jeść!

Wlała wodę do stojącej w sionkach beczulki, konewki i koromesło schowała i znowu zabrała się do przerwane-
go zamiatania.

Tymczasem zjawilo się znowu dwoje starszych jej dzieci, które wróciwszy ze szkoły, a nie zastawszy matki w domu, szukały jej tutaj i zoczywszy ją, powitały również słowami:

— Mamo, jeść!

— Zaraz, zaraz! Idźcie do domu — uspokajała matka dzieci, które o kawałku suchego chleba były prawie do południa — ja tam przyjdę zaraz, tylko posługę skończę.

Drzwi od kuchni gospodyni skrzypnęły.

— Tomaszowa! — dało się słyszeć wołanie.

Zanim jednak gospodyni mogła wydać nową dyspozycję, dzieci przybiegły i całowały ją po rękach, a matka zbliżywszy się również, rzekła cichym, pokornym głosem:

— Proszę też łaski pani gospodyni o dwadzieścia centów... Te raki nie dadzą mi spokoju, ino krzyczą jeść, a tu nie mam czem, ani oka zaproszyć... wczoraj był deszcz, mój nie nie zarobił...

— Mamo, my głodne. Mamo, jeść! — zapiszczały dzieci, jakby na komendę na różne tony.

— Mówiłam wam już tyle razy — odpowiedziała zniecierpliwiona gospodyni — żebyście tu bachorów nie przyprawdzali!...

— Ta gdzie ja ich tu przyprowadzała, same przyszły, pędzę, proszę łaski pani gospodyni, do domu, nie chcą się odczepić, bo co prawda, to i głodne są, po kawałeczku chleba dostały, co od wczoraj został. Proszę też bardzo o te dwadzieścia krajcarów... — dodała błagalnie.

— Co dzień wam dawać nie będę, jużście i tak więcej jak połowę wybrali, ja tego nie lubię. Ciągłe tylko trzymaj się za kieszeń.

— Proszę pani bardzo, dzieci głodne...

Naprzód pójdziecie ze mną na kupno, obierzecie kartofle, umyjecie naczynie od śniadania, a potem wam dam... ale niech mi tego zebrania więcej nie będzie.

Dzieci posiadały na kamiennych stopniach od strony podwórza i oczekiwały powrotu matki. Po godzinnem może czekaniu wróciła ona z kupna, uginając się pod ciężarem kosza napełnionego wiktuałami. Przywitały ją okrzykiem radości na widok przyniesionego przez nią jadła. Raz jeszcze jednak musiały się uzbroić w cierpliwość — jadło to nie dla nich było przeznaczone... Nie łatwo to pojęły, choć matka tłumaczyła im wymownie...

Po kwadransie wyszła matka z kuchni z owymi dwudziestoma krajcarami i odrobiną kartofli w fartuchu, które jej pani darowała, i otoczona dokoła dziećmi, poszła kupić chleba i ugotować im kartoflanki. Sceny takie, jak opisana, powtarzały się z małemi odmianami codziennie... Takie to było ich życie. A, ileż to takich biedaków żyje w tym naszym prześlicznym „porządku społecznym?“...

W takich to okolicznościach poznałem bohaterkę mojego opowiadania, której niech obrazek skreślony przeze mnie stanie za nekrolog, a wszystkim, którzy poświęcą

chwile czasu na jego odczytanie, za zachętę do pracy i walki o zmianę tego porządku, który taką nędzę stwarza i toleruje.

II.

Upłynęło kilka miesięcy — nie zmieniając w położeniu rodziny Tomaszów nic, a przynajmniej nic na jej korzyść. Przeciwnie, położenie stało się, o ile to być mogło, gorszem jeszcze.

Złożyły się na to dwie rzeczy przyrodzone, a dla biedaków w najwyższym stopniu dotkliwe.

Pierwszą z nich było to, iż po niezbyt świetnem i bogatym w urodzaj lecie nastąpiła mroźna, zapowiadająca srogą zimę, jesień, a wraz z nią kłopoty o jakieś takie przyrodzianie dzieci chodzących do szkoły i coraz wzmagająca się drożyzna, — drugą, jeszcze dotkliwszą, bo czyniącą i tak nie bardzo częstokroć zdrową Tomaszowę zupełnie niezdolną do pracy, była nadzieja wyraźna pomnożenia liczby czworga dzieci nowym przyrostem — tak bardzo niepotrzebnym i niepożądanym...

Co się namartwiła, co napłakała, nic nie pomoże...

Zapadała coraz częściej na zdrowiu, a w wysługach zastąpić ją musiała najstarsza, dziesięcioletnia córka, Kasia, opuszczając szkołę. Musieli tak robić, aby nie stracić miejsca i najgłówniejszego dochodu. Któżby bowiem przyjął stróżkę w takim stanie?

Serce krajało się na widok małej tej, wątłej, źle odżywianej dzieciны, jak obrzmiałemi od mrozu rączynami wynosiła ogromny szaflik z pomyjami, lub wlokła za sobą konwie z wodą.

A i tak jeszcze państwo byli łaskawi, że na tę zmianę osób się zgodzili.

— Cóż taka smarkata mi tu robi? — mawiała pani gospodyni.

Ze szkoły przyszła egzekucya, grożąca grzywną, za nieposyłanie Kasi do szkoły. Matka przelekła powlokła się z płaczem do pani dyrektorki, przedstawiając, że ta mała jest obecnie główną rodziny żywicielką. Ulitowano się nad nią i zwolniono od kary, której i tak nikt nie byłby w stanie wyegzekwować.

Nadszedł czas krytyczny. Tomaszowa mimo okropnej obawy i niechęci musiała pójść do szpitala, bo wszystkie usiłowania, by złożyć kilka guldenów na nic się nie zdały. A w domu wszystko kosztuje drogo. Trzeba zapłacić akuszerkę, dać „gałganówkę“, wyprawić jakie takie chrzciny, gdzież im o tem marzyć?

Po kilku tygodniach wróciła do domu z dzieciátkiem w powijakach. Była wybladła i zmizerniała; męczył ją kaszel i bolały wszystkie kości. Prócz choroby, dręczyła ją w szpitalu myśl i troska o zostawione w domu dziecięta.

Miała też z niemi robotę, gdy przyszła do domu. Brudne to było, obdarło wszystko, że aż nad niemi zapłakała rzewnie. Któż bowiem miał je pomyć, poczesać, obszyć i opruć. Ojciec do tego niezdolny, a zresztą i nie miał kiedy. Raniutko musiał odmieść śnieg koło kamienicy, gdzie żona stróżowała, a potem na cały dzień szedł znów do śniegu na kolej. Gdy wieczorem wrócił zgłodniały i zziębnięty do domu, to gdzie mu tam było do dzieci — wypił wódki, lub herbaty z arakiem i kładł się co rychlej spać. Kasia dość miała z siebie, gdy porobiła u pani gospodyni i tam przy obiedzie uwarzyła kartofli dla rodzeństwa. Reszta dzieci była jeszcze za małą i nieporadną, aby coś pomóc. Z sąsiadów, każdy zajęty swoją biedą, nikt nie miał czasu troszczyć się o pozostawione sobie dzieci.

Przyprowadzić to wszystko do ładu, pomyć, poczesać, oczyścić izbę, ponaprawiać choć powierzchownie garderobę — była to praca, jak na jej skolatane siły, zanadto uciążliwa, to też gdy jej dokonała — sama musiała położyć się na dni kilka do łóżka.

Potroszę wstawala, to znów musiała się kłaść napowrót. Trzeba było coraz więcej wysiłku, a sił tych nie przybywało, lecz ubywało z dniem każdym.

Tak trwało do wiosny.

(Dokończenie nastąpi).

Józef Hudec.



18
VIII
F S-97

Treść Nr. 5.

„Nieczyste sumienie“ nap. Żegota. — „C
dłość w Galicyi“ nap. W. Budzynowski (ci
„Minimalny program polityczny międzynarod
demokracji w Austrii“. — „O ustawodawstwie ochronnem
nap. j-t. — Fejleton: „Tomaszowa“ Obrazek nap. Józef
Hudec.

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód“.

„U OGNISKA“

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedźwieckiego.

12 szkiców na 15 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenu-
meratorów „Światła“ 60 ct.

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„**NAPRZÓD**“. Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy
czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką pocztową 90 ct.

„**NOWY ROBOTNIK**“, Lwów, ul. Wałowa 1. 15. Wychodzi 1.,
10. i 20. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct.,
z odesłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„**DER ARBEITER**“ (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Pi-
smo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydow-
skich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego
miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką pocztową 40 ct.

„**GAZETA ROBOTNICZA**“. Organ polskiej partii socjalistycznej
w Berlinie. O Andreasstrasse 78, A. — Prenu-
merata kwartalna w Niemczech 1 mrk. 10 fen., za gra-
nicą 1 mrk. 60 fen., w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„**ROBOTNIK**“ Organ polskiej partii socjalistycznej. War-
szawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„**PRZEDŚWIT**“. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Zwią-
zku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie.
Adres: „Dawn“, 7. Beaumont Square, Mill-End. Road.
London, E. — Prenumerata roczna 5 zhr. 4. rs. (w ko-
pertach).

ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.

Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	— 50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie . . .	2—	Rocznie . . .	4 „

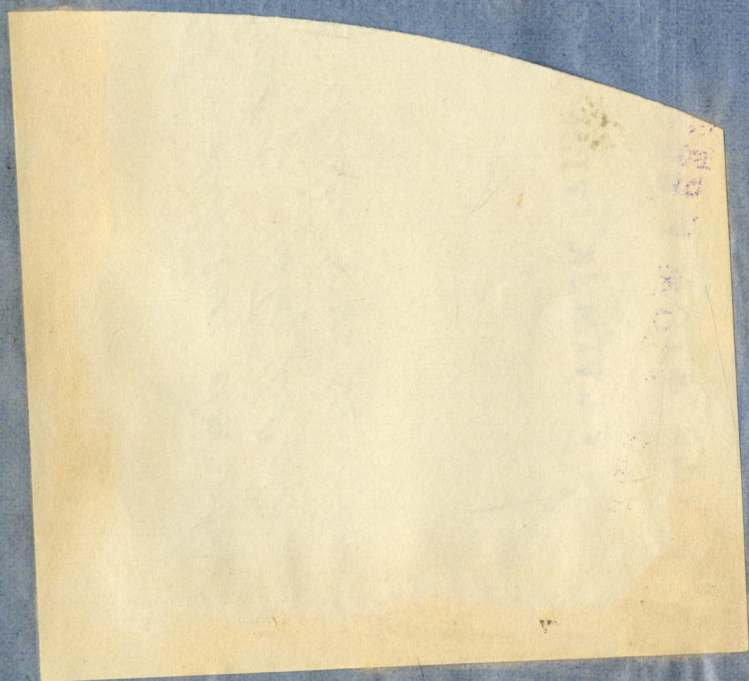
Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.

Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Ploha i Olszewskiego.

Lwów 1895.

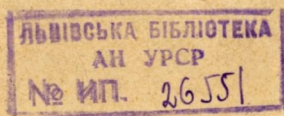
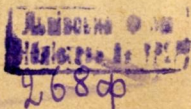
Drukiem Z. Golloba, Ossolińskich 15.





„Nieszczęście“ karyerowiczów.

Tydzień temu wstecz błagałeś mię pan, bym przy pierwszej sposobności wyłączył pana ze „spółki“ z posłem Rutowskim, którego nazwałeś pan swoim „nieszczęściem“, a nawet podałeś mi sposób, w jaki mógłbym to uczynić... tak pisze w ostrej swej odpowiedzi postowi przemyskiemu Witoldowi Lewickiemu, p. Adolf Inlender, korespondent wiedeński „Dziennika polskiego“ (Dz. polski z 3 lipca br.). — Rutowski jest tu podniesiony do symbolu, do „pechu“ dla demokratów, od którego się teraz każdy skwapliwie odżegnywa jak od dyabła... Ale nim temu demokratycznemu „nieszczęściu“ się przyjrzymy, nie możemy sobie i czytelnikom odmówić rzetelnej satysfakcyi, jaką ma zapewne człowiek obrabowany i oszukany, kiedy zobaczy, że nad zrabowaniem jego mieniem dwaj rabusie wodzą się za łby i tarzają się w błocie, wrywając sobie garści włosów z czupryn. — Przepyszna bowiem wojna toczyła się przed kilku dniami po całym obszarze „demokratycznej“ opinii, od Wiednia począwszy, a skończywszy na „Kuryerze lwowskim“. — Szantażyści dziennikarscy, kłócą się z szantażystami poselskimi; a każda strona, w obronie własnej, wyciąga coraz to inną garść błota i wali niem w przeciwnika. Rzecz się pokrótce tak miała. Od roku 1891, kiedy to Szczepanowski w lwowskim ratuszu wystąpił jako pół konserwatysta, a cały obrońca wielkiego kapitału, dostało średnie mieszczaństwo lekkich dreszczów strachu. U góry szlachta i wielki lichwiarsko-bankowy kapitał, u dołu „rebelija“ robotnicza, a potem i chłopska, a ku pomocy niestrudzone języki demokratycznej lewicy, która nie umiała, ani poskrocić góry, ani za łeb wziąć dołu. — Zaczęto krytykować



i analizować więcej, niż to kiedykolwiek w Galicyi bywało w modzie. Tu i ówdzie bąknął ktoś nieśmiało, że przecież cały Szczepanowski jest w najlepszym razie manczesterskim blagierem, ale te głosy nie wzniosły się wysoko w odurzającej atmosferze patryotycznego frazesu, którym hypnotyzowano formalnie nędzę krajową. Za Szczepanowskim weszli do parlamentu mniejsi i równie głodni demokracji i rozpoczęła się ciekawa w swoim rodzaju komedia pomyłek, rozegrana przez mieszczaństwo z jednej, a jego posłów z drugiej strony. Każdy tydzień przynosił z Wiednia coraz to nowe niespodzianki, z którymi nie wiedziano co począć w kraju... Pod skrzydłami Badenich wyrosła lewica, stawiała coraz to śmielsze kroki na prawo na zabagnionym gruncie parlamentarnym, pozbawionym większości, na arenie, gdzie śp. hrabia Taaffe, po wypiciu okazałej liczby „koników“, kpił z publiczności i ze siebie zarazem w tym szczerym cynizmie, który czasem wart więcej niż obłuda cnoty. Ale rządzić 25-milionowem państwem nie można samemi tylko kpinami z ustaw; żartownis parlamentarno-biurokratyczny doczekał się po 14 latach rządów tego, że całe warstwy narodu, ba, całe narody wypowiedziały dzisiejszemu systemowi wojnę na noże! Hr. Taaffe pokazał pazury i zawiesił stan obłączenia nad stolicą Czech. Ustawy wyjątkowe są ostatnim środkiem rządzącej biurokracji; nie mogąc dyskutować (a biurokracya nie umie ani mówić, ani pisać publicznie) z przeciwnikami, zatyka się im gębę kneblem i ma się upragniony „spokój i porządek“... Otóż kto z Polaków podjął się ułatwić zadanie policyi hr. Thuna? — Szczepanowski ten sam, którego omal nie wygwizdano za jego zachowanie się w sprawie dublańskiej młodzieży, która doń się o pomoc zwróciła! Tym razem poszedł dysonans po całym kraju, o ile ten kraj w swych warstwach średnich i niższych myśli i czuje. Nie dlatego, jakoby naszym filistrom tak bardzo zależało na oszczędzeniu czeskim rewolucyonistom cierpień i katuszy więziennych, ale dlatego, ponieważ nie można w Polsce łatwo pogodzić się z stanem obłączenia jakimkolwiek. Za wiele nasłuchiwał się filister nasz o krwawych „sądach“ moskiewskich, aby mógł się stać ich zwolennikiem. Od tego pierwszego, wyraźnego dysonansu poszły obrzydliwym szeregiem coraz dalsze i dalsze, a więc: stanowisko demokratów złapanych w zatrzask reformą wyborczą Taaffego i ratujących się na jedynej desce, jaka dla zbankrutowanych finansowo szlachciców i polityków pozostaje: na autonomii; chybiony debiut Rutowskiego przy referacie

o noweli prasowej, która nic nie przyniosła ucisnionej prasie; następnie straszne nieszczęścia górnicze w Karwinej, potem pukanina na bezbronnych robotników w Morawskiej Ostrawie, przyczem Polacy, zawsze wierni koalicji, szli ślepo za rządem; potem niechlubne debiuty zgrai „kuzynek“ koalicyjnych, a wreszcie projekty ustaw, które gdyby się stały ciałem, ległyby strasznym ciężarem na ekonomicznem i moralnem życiu warstw uboższych; dość wspomnieć tutaj projekt kodeksu karnego i reformy podatkowej. Nie możemy powtarzać się tutaj w wyliczaniu wszystkich zdrad popełnianych przez polityków Koła w sprawie uczciwej reformy wyborczej; od kopnieć, któremi potraktowano obficie jej osławionego referenta, ma on zapewne jeszcze wyraźne sińce... i zaawansował na „nieszczęście“ dla swoich najserdeczniejszych kumpanów.

Dość, że z tego wszystkiego musiała się wywiązać walka między „krajem“, jak się z zarozumiałstwem nazywa kilka pism lwowskich i krakowskich, a demokratycznymi mamelukami, idącymi z koalicją „durch Dick und Dünn“, czyli przez wszelkie błoto. Myliłby się ktoś sądząc, że taka „Reforma“, lub „Dziennik“ podjęły walkę z swoimi dawnymi przyjaciółmi dla jakichś głębszych zasad. Jeszcze od czasu wyborów w r. 1891 można było wiedzieć, co myśleć o opozycji, idącej wprost na smyczy namiestnika... a przecież prasa milczała lub co najwyżej zwracała się przeciw Szczepanowskiemu i to z należnem uszanowaniem, jako do Jeremiasza galicyjskiej nędzy. Ale tymczasem wzrastało całkiem u dołu coraz głębsze rozgoryczenie; pod wpływem krytyki socjalistycznej, wywlekającej na światło dzienne achmany demokratyczne, zaczęli się wypierać swych ojców własni synowie, młodzież, rzemieślnicy itp. żywioły. Dla chłopów zaś każdy wiatr, a więc i demokratyczna błaga, wiłały w oczy i można było powiedzieć, że każdy rzeczywisty ruch chłopski stanie przeciw zakusom parlamentarnych intrygantów, którzy w „koalicji“ ani myśleli działać dla rozwoju ekonomicznego i wolnościowego chłopów, a idąc ręką w rękę z chłopskimi przeciwnikami na każdym kroku, nie mogli niczem zarobić na sympatye chłopskie. Garstkę prawdziwych patriotów zaś zrazili sobie demokraci służalczością wobec wspomnienia pośmiertnego dla zmarłego despoty rosyjskiego. Tracąc tak zwolenników, a zyskując wrogów, nie mogli demokraci, wskutek swego szczególnego „pechu“, poszczycić się pochwałą jedynych pism, na których pochwałę rzeczywiście zasłużyli tj. „Przeglądu“ i „Cza-u“, bo takie

już przesady moralne ma Galicya, że większość ludzi uważa sobie za obelgę pochlebstwa tych szanownych organów. — Wprawdzie „Dziennik polski“ jest częstokroć wstrętniejszy od „Przeglądu“, ale filister galicyjski ma taki przesąd i basta!

Widząc, że krucho, założyli sobie panowie posłowie własny organ we Wiedniu „Przełom“, gdzie po kilku numerach, napełnionych obojętnemi zresztą przechwałkami, lub artykułami bezbarwnymi, wystąpili z wściekłym napa-dem na swoich mlecznych braci, wykarmionych tą samą korrupcyą parlamentarną, na korespondentów wiedeńskich do pism krajowych, za to, że piszą o „demokratkach“ to samo, co można z każdego stenograficznego protokołu skonstatować, lub o czem kraj wiedział bez korespondentów.

— Cośmy takiego zrobili?! — na miłość boską fakta, fakta nam wskażcie, gdzieśmy to i ile razy podle postąpili! Z wytrawną bezczelnością ludzi, którzy liczą na krótką pamięć publiczności i na tępość umysłową filistra, pyta się jeszcze ta spółka referentów „od wszystkiego“, co też takiego zbroiła?... A jeżeli staniemy zdumieni na tem miedzianem czołem pytających niewiniątek, to wprost śmiech wzbudza w nas to co odpowiadają zaczepieni skrybenci, a przykróść prawdziwą już, gdy czytamy, jak Rewakowicz zaczepiony przez Lewickiego, wystawia mu w „Kuryerze lwowskim“, uroczyste świadectwo moralności. Pan Lewicki ma być „porządnym“ człowiekiem, chociaż p. Inlender, znający go wybornie, traktuje go, jako prostego intryganta.

»Wszystkie moje artykuły, pisane w ostatnich czasach, skierowane były przeciw minerskiej robocie szczupłej grupy posłów, do której pan należysz, nie zaś przeciw Kołu polskiemu. Przeciwnie, pierwszy spór pomiędzy nami powstał o to, że nie chciałem na wezwanie posła Rutowskiego wystąpić z napaścią na Koło polskie i jego prezesa.

»Kilka tygodni wstecz usiłowałaś pan w imieniu swoich przyjaciół kupić moje dziennikarskie poparcie, ofiarując mi miesięczną płacę, którą odrzuciłem.

»Tydzień temu wstecz błagałeś mnie pan, bym przy pierwszej sposobności wyłączył pana ze »spółki« z posłem Rutowskim, którego nazwałeś swoim »nieszczęściem«, a nawet podałeś mi sposób, w jaki mógłbym to uczynić.

»Nie ja, ale pan za pośrednictwem kilku młodych ludzi, których wymienić mogę, dostarczałeś od dłuższego czasu pismom niemieckim poufnych z Koła wiadomości.

»Co do fałszywych wiadomości z Koła w »Dzienniku Polskim«, to polegały one zawsze tylko na informacjach poselskich, przeważnie zaś pochodziły — bądź to od pana, bądź od posła Rutowskiego, bądź też, jak sfałszowane przemówienie dr. Kozłowskiego na wiosnę rb. od panów obydwóch.

»Złączywszy się z wydawnictwem »Wiener Correspondenz«, którego redaktor jednomyślną uchwałą obu klubów dziennikarskich wykluczony został z parlamentu, wywlokłeś pan polemikę »Przełomu« przed forum publiczności niemieckiej, co miało ten skutek, że »Deutsches Volksblatt« konstatuje dziś »rozbiecie się Koła polskiego«.

Zostawiamy naturalnie te prywatne brudy tym, którzy czują się powołani do prania cudzej brudnej bielizny. Myśmy nigdy nie byli ciekawi dowiedzieć się, czy i ile łyżek srebrnych „ściągnął“ jakikolwiek polityk, ale bardzo czuli jesteśmy na to, ile razy okpił swoich wyborców, ile razy nie wzdrygnął się tam, gdzie lud krwawe łzy przelewał, ile razy zamykał oczy tam, gdzie ustawę, wolność i sprawiedliwość duszono za gardło.

Na to z dniem każdym i „kraj“ tj. lud będzie coraz wrażliwszy i możemy zapewnić niewiniątka z »Przełomu«, że rzemiosło ich będzie coraz trudniejszym z dniem każdym, a z chwilą, kiedy posłowie robotnicy wejdą do parlamentu, stanie się często niemożliwem. — Niechaj bowiem zrozumieją, że tak, jak niefortunny Rutowski stał się „nieszczęściem“, tak oni wszyscy są dzisiaj nieszczęściem i klątwą dla kraju.

Żegota.



Chłopska posiadłość w Galicyi.

Napisał W. Budzyñowski.

(Ciąg dalszy.)

Piękną ilustrację szlacheckiego demokratyzmu podaje nam W. Nawrocki w pracy pod tytułem „Podwójna kredka“ ogłoszonej w II roczniku ruskiego pisma »Diło«. Podaję tu krótki wyciąg z tej pracy: »Według ustawy z 1869 r. miała

się własność ziemska sama opodatkować (Selbstbesteuerung). Rady powiatowe wespół z państwowymi władzami powierzyły ocenienie czystego dochodu z ziemi, (który miał służyć za podstawę przy wymierzaniu podatków), 363 opodatkowanym. Między nimi było 324, tj. 90% (tylko!) zdecydowanych zwolenników wielkiej własności.

Interesy chłopskie miały tam aż 39 zastępców. Wliczeni tu już są wójci i popi! Stosunek 9 :10, choć stosunek obszarów zajętych przez obie grupy właścicieli był 43:57. Jeżeli szlachta miała 90 reprezentantów, to chłopci powinni byli mieć ich 115, tj. $11\frac{1}{2}$ razy więcej, niż mieli, a jeżeli chłopom należało się tylko 10 przedstawicieli, to panowie nie powinni byli dostać ich więcej jak 8, tj. $11\frac{1}{2}$ razy mniej, niż dostali w rzeczywistości. Tak wymagałaby wszechświatowa matematyka. Ale szlachta to nie „kosmopolici“, ona ma swą własną, narodową naukę, a w niej swą własną nacyonalno-szlachecką matematykę! „Drugą połowę członków wszystkich ciał, powołanych do wymiaru czystego, gruntowego dochodu, mianował rząd. Ponieważ zaś „konstytucyjny“ rząd postępuje zawsze tak, jak tego wymaga interes większości ciał reprezentacyjnych, a ta większość — przynajmniej z Galicyi i w Galicyi — była szlachecką, zatem wybór rządu padł na ludzi, których sympatye były po stronie szlachty. W rezultacie rzecz tak się przedstawia. We wszystkich komisjach było 600 członków. Między nimi było tylko 24 tj. 4% chłopów i wójtów. We wschodniej Galicyi dostali chłopci tylko 2% reprezentantów (8 na 407). Szlachta stanowiła więc w tych ciałach absolutną większość. Czy i wtedy zdradziecki rząd przeszkadzał jej w zrealizowaniu jej ultra-demokratycznych zamiarów?! Szlachta mogła była wówczas zawstydić zaborczy rząd i tak otaksować dochód z ziemi, aby podatki nałożone według tego dochodu nie rujnowały gospodarki chłopskiej, aby jej pozostało bodaj jakieś minimalne minimum egzystencji. Lecz i w tej sprawie bynajmniej nie uważała szlachta za odpowiednie zrywać z tradycją — z praktyką, której trzymali się ich sławni antenaci. Przy oszacowaniu czystego dochodu postępowano tak, jak gdyby nie drobna, lecz wielka posiadłość potrzebowała ochrony. W dodatku zrobiono to jeszcze na koszt drobnej posiadłości. „Niepotrzebujemy peruwiańskich kopalń złota; skóra chłopska jest dla nas najlepszym Peru“ — powiedział raz generał Czartoryski.

Jak wyliczył Nawrocki w wspomnianej pracy, otaksowano czysty dochód katastralny z całej szlacheckiej posiadło-

ści o 3,053.000 zł. niżej, niżby to powinno było wypaść przy bezstronnem oszacowaniu. W ten sposób zwaliła szlachta z siebie na chłopską posiadłość podatek na roczną sumę 681.000 zł. I to poczynawszy od roku 1881. Jeżeli skapitalizujemy tę roczną „kontrybucyę“ — jak się wyraża Nawrocki, otrzymamy poważną sumę 13½ miliona zł. — W tym roku powinna się odbyć ponowna rewizya gruntowego katastru: nadarzyłaby się więc najlepsza sposobność do usunięcia krzywdy, jaką wyrządzono chłopu przed 15 laty. Rewizya taka miałaby ten skutek, że nie tylko okazałoby się, iż chłop płaci więcej podatku niż powinien, lecz że szlachta płaci go stosunkowo o wiele mniej, niż drobna własność. Szlachta miała powody nie życzyć sobie podobnej rewizyi i dlatego stanęło na tem, że takiej rewizyi, jaką postanawia ustawa i jakiej w interesie sprawiedliwości życzyłby sobie należało, — nie będzie. Komisye w tym roku powołane do rewizyi gruntowego katastru, będą tylko rozstrzygać nad zażaleniami poszczególnych właścicieli, którzy czując się pokrzywdzonymi starym katastem, sami zgłoszą się z prośbą o sprawiedliwszy wymiar. Że ci, którzy mają większy dochód niż to wykazuje stary kataster — tj. większość szlachty — z żądaniem poprawek zgłaszać się nie będą — to więcej jak pewna.

Kiedy porównamy autonomiczne ciężary finansowe gmin i dworów, zobaczymy, że chłopci są nimi stosunkowo bardziej obciążeni, niż posiadłość wielka, pomimo, że pierwsza mniej jest zdolną do ponoszenia podobnych ciężarów niż ta ostatnia. Weźmy np. ustawę drogową. Naszemu chłopu, wystarczą i najlichsze drogi. Z dróg bitych, lub zwyczajnych lecz w lepszym stanie utrzymywanych, korzysta ten, który ma co wozić tj. szlachcic i co najwięcej c. i k. artylerya, a nie nasz chłop, który niema co eksportować, który nie posiada już nawet ni konia, ni wozu, Tym czasem chłop musi płacić 3-procentowy dodatek do podatków na utrzymanie dróg. Oprócz tego musi dawać każdy „numer“ tj. każdy samodzielny chłop, cztery dni piesze — jest to tak zwany szarwarek. Przypuśćmy, że obszar ziemi zajęty przez gminę jest tak wielki, jak obszar dworski, gdyby więc chłopci tak samo korzystali z dróg, jak dwór, to sprawiedliwość wymagałaby, aby cała gmina płaciła tyle na utrzymanie dróg, co i dwór. Tymczasem tak nie jest. System ten iż robotnika dostarcza każdy „numer“, sprawia, że obszar rustykalny równy obszarowi dworskiemu płaci tyle razy więcej od dworskiego, ile na rustykalnym znachodzi się

gospodarstw. Krzywdą wołającą o pomstę jest to, że obowiązek ten nałożony jest także i na chałupników, którzy nie mają nawet jednej skiby ziemi i dla których ścieżki są zupełnie wystarczającym środkiem komunikacyjnym. — Na szkołę dawała gmina tj. rustykalna posiadłość jeszcze do 1894 roku 9-procentowy dodatek, kiedy dwór płacił tylko trzecią część tego, coby musiał płacić, gdyby dominikalna posiadłość należała do gminy. Tak samo ma się rzecz z daninami na budynki kościelne itp. A ustawa o polowaniu przeznacza chłopskie plony wprost na karmę dla szlacheckiej zwierzyny. A któż robił te ustawy? — Czy i tu winna „intryga“ centralnego rządu? Czy w sejmie i radach powiatowych siedzi cesarska biurokracja przysłana z Wiednia? Nie! Większość sejmowa, to nasza rodzinna niesfałszowana szlachta. Ona to sfabrykowała i do dziś dnia fabrykuje te nasze „sprawiedliwe“ ustawy ekonomiczne. Niektóre ciężary chłopa są po prostu dochodami dominikalnej posiadłości. Za samo zniesienie propinacyi zapłacił chłop 13½ miliona zł. A ogółem otrzymała szlachta za zniesienie tego jednego średniowiecznego przywileju 62,000.000 zł. Sądzę, iż doczekam się tego, że będziemy musieli zapłacić szlachcie indemnizacyę za zniesienie reszty ich dawnych przywilejów tj. za zniesienie patronatu (prawo mianowania proboszcza we wsi) i zniesienie ich hegemonii politycznej tj. za rozszerzenie prawa wyborczego do ciał ustawodawczych! Wszak te dwa przywileje są także — podobnie jak ich ziemska własność — ich prywatną własnością, uświęconą wiekami i ustawą i przynoszą im wielkie materialne korzyści — a myśmy powinni wiedzieć, że dziś w świecie panuje zasada — nic zadarmo!

Czyż trzeba jeszcze więcej faktów na to, aby przedstawić we właściwym świetle demokracyzm szlachecki w 1848 roku aby zdemaskować tę obłudę, która przykrywała się oburzeniem na cesarski rząd za to, że on śmiał uniemożliwić szlachcie zrealizowanie jej demokratycznych zamiarów?!

(Ciąg dalszy nastąpi).



≡ KOMUNIZM. ≡

I.

Najznakomitszy agitator socyalistyczny Ferdynand Lassalle wykazuje jasno w swych pismach, że cały dochód z pracy, po odtrąceniu płacy roboczej, dostaje się przedsiębiorcy. Lassalle wykazuje, że kapitalistyczny system produkcyi opartym jest na krańcowem wyzyskiwaniu siły roboczej robotnika. Dla przedsiębiorcy, dla majstra lub fabrykanta ważną jest tylko „siła robocza“; o robotnika, który mu tej siły roboczej dostarcza, nie dba on wcale, albo dba o niego tylko tyle, ile tego wymaga jego własny interes. Lassalle wywodzi więc w swej teoryi o „żelaznem prawie pracy“, że zasadą produkcyi kapitalistycznej jest, płacić robotnikowi *tylko tyle, ile mu koniecznie potrzeba do życia*. Obecnie nie rozchodzi mi się jednak o szczegółowe rozbieranie tej kwestyi, dlatego krótko tylko zaznaczę, iż całą tę teorię „żelaznego prawa pracy“ wziął Lassalle od burżuazyjnych ekonomistów Ricardo'a i Thompsona i że cała ta teoria *nie zawsze* zgadza się z rzeczywistością, bo wysokość płacy roboczej zależy *nietylko od koniecznych* potrzeb życiowych, ale i od wielu innych czynników jak: podaży i popytu na siłę roboczą, stopnia rozwoju produkcyi, zwłaszcza ilości produkcyi towarowej i rozszerzenie rynków zbytu, stopy życiowej robotnika — a więc nietylko od *koniecznej* potrzeby i t. d., lecz co najważniejsza zależy ona także od uświadomienia i kulturnego wykształcenia proletaryatu i od siły organizacyi robotniczej, która tocząc zwyciężką walkę z kapitałem, coraz częściej *dyktuje* mu wysokość płacy roboczej. Mimo to jednakowoż pozostanie na zawsze prawdą niezbitą, że po odtrąceniu *płacy roboczej*, cała *reszta dochodu z pracy robotnika* dostaje się do *worka przedsiębiorcy*. Ale czemże jest ta reszta? Marx nazywał ją „nadwartością“. Kapitalista najmuje robotnika t. j. kupując jego siłę roboczą, płaci za nią w najlepszym wypadku jej realną wartość, którą ona ma w danej chwili na rynku jako towar i wydostaje z niej następnie więcej wartości niż go kosztowało kupienie takowej. Tak powstaje „zysk“ kapitalisty, owa *nieopłacona* „nadwartość“; z tej nieopłaconej nadwartości powstaje coraz bardziej rosnąca masa kapitału, gromadząca się w ręku klas posiadających.

Przed powstaniem obecnie istniejącej produkcyi kapitalistycznej istniało tylko drobne wytwarzanie, oparte prze-

dewszystkiem na tej zasadzie, że wytwórca (producent) był zarazem właścicielem środków produkcji t. j. narzędzi pracy i surowych materiałów. Chłop wolny lub poddany uprawiał swą rolę sam lub przy pomocy domowników, rzemieślnik pracował w mieście. Środki do pracy tj. ziemia, narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, warsztaty itd. stanowiły własność jednostek pracujących i były też zastosowane do użytku *jednostek*; musiały więc być małe, ograniczone, karłowate. Były one same przez się *indywidualnymi* i mogły też być zazwyczaj *własnością wytwórcy*.

Z chwilą jednak, kiedy powstała nowożytna forma produkcji, kiedy w miejsce drobnych narzędzi powstały potężne maszyny parowe, wielkie manufaktury i fabryki, zmienił się zupełnie pierwotny charakter narzędzi pracy. Jeżeli do używania dawnych narzędzi pracy wystarczyły siły jednego pojedynczego człowieka lub co najwyżej rodziny, to obecnie, by móżdż wprowadzić w ruch potężną maszynę parową, co gorzej, by móżdż należycie wyzyskać wszystkie korzyści skoncentrowania narzędzi produkcji, trzeba już nie jednostki, ale masy robotników. W ten więc sposób szereg indywidualnych czynności dawnej produkcji został zastąpionym szeregiem czynności społecznych, a wyroby, które dawniej były wytworami pracy poszczególnych jednostek, stały się obecnie wytworami pracy zrzeszonej — społecznej. Jednostka została w *produkcji* zastąpioną przez ogół. Nastąpił więc ogromny przewrót — rewolucja, ale przewrót tylko częściowy.

Wiemy, że podstawę wszystkich stosunków społecznych stanowi nie tylko samo wytwarzanie, lecz także wymiana produktów. Otóż przewrót ten dotknął samej tylko *produkcji*, pozostawiając *wymianę* niemal zupełnie w dawnej jej formie.

W średniowiecznem społeczeństwie produkcja zaspakała przede wszystkim osobiste potrzeby wytwórcy i jego rodziny; gdzie zaś istniały poddańcze stosunki, tam zaspakała pana. O wymianie, o handlu mowy tu prawie nie było — nie było więc i towaru. Chłop-rolnik, czy rzemieślnik starał się zrazu przede wszystkim o zaspokojenie własnych potrzeb, a wskutek mało rozwiniętych stosunków społecznych, był zmuszonym sam wszystkie te potrzeby zaspokajać. Dopiero z czasem, powoli, zaczęto produkować ponad własne potrzeby; nadwyżkę tę przeznaczano na sprzedaż, stawała się ona *towarem*. Ale skoro raz zaczęto produkować dla wymiany — towar, to i produkcja sama musiała doznać zmian.

W miastach zwłaszcza zaczęto produkować coraz więcej i coraz lepiej dla wymiany; powstał handel, który znów rozwijając się i łącząc kraje, zdobywając coraz szersze rynki zbytu, oddziaływał na przemysł i przyspieszał jego rozwój. Wprowadzono do produkcji system podziału pracy, zamieniono powoli wszystkie produkty na towary, a w końcu zniesiono wszelkie zastarzałe już ograniczenia cechowe itd., a zostawiono zupełną swobodę nieograniczonej produkcji towarowej. Tak powstała kapitalistyczna forma produkcji, polegająca na wytwarzaniu towarów. Aby mózdz wytwarzać towary i to jak najwięcej towarów, nie wystarczyło jednak niebawem proste zgromadzenie większej ilości rąk roboczych w warstacie rzemieślnika u którego robotnik sam wykonywał cały towar za pomocą pewnego narzędzia. Kapitalistyczna produkcja towarowa przyniosła ze sobą zrzeszenie i uorganizowanie pracy najpierw w wielkich „rękodzielnich” (manufakturach) z udoskonalonemi narzędziami, w których każdy robotnik wykonywał tylko część danego towaru — a w dalszym swym rozwoju we fabryce z potężnemi maszynami, poruszaniem siłą pary lub elektryczności. Ale zrzeszając i organizując produkcję społeczną, pozostawiła ona nadal nietkniętą dawną formę *prywatnej własności środków produkcji*. Tylko, kiedy dawniej karłowate, „indywidualne” narzędzie pracy było „prywatną własnością” *producentów*, stały się maszyna, fabryka — narzędzia pracy „społeczne” — „własnością prywatną” *kapitalisty*. Kapitałista zagrabiwszy na swoją prywatną własność *narzędzia* pracy, postąpił tak samo i z *wytworami* pracy.

W tem tkwi i z tego wypływa cała *anarchia* kapitalistycznego systemu społecznego: produkcja i narzędzia pracy stały się „społecznemi”, lecz wymiana produktów, (a co za tem idzie własność narzędzi pracy, które są także towarami) „indywidualną”.

Ta anarchia (sprzeczność) sprowadza za sobą całe mnóstwo walk i kryzysów. Wskutek tej sprzeczności przedstawia też cała dzisiejsza gospodarka społeczna, obraz nieopisanego zamięszania. Z jednej strony widzimy produkcję w jednej poszczególnej fabryce, świetnie społecznie zorganizowaną — z drugiej strony, produkcję ogólną w całym ludzkim społeczeństwie do najwyższego stopnia zdezorganizowaną — szczyt anarchii.

Jeden kapitalista niszczy za pomocą konkurencji, drugiego doszczętnie. Silniejszy gnębi, zabija słabszego. Wielki kapitał, pożera mały. Drobni przemysłowcy marnieją —

schodzą do rzędu proletaryuszy robotników, powiększając w ten sposób masy wydziedziczone i niezadowolone z istniejącego porządku rzeczy. Z jednej strony spotykamy nagromadzone olbrzymie bogactwa, przepych, zbytek, nadużycie, z drugiej... niezgłębioną nędzę, głód, brak najniezbędniejszych środków do życia. Tu garstka uprzywilejowanych, tu miliony proletaryatu! Ale nie na tem koniec. Anarchia istniejąca w dzisiejszem społeczeństwie nie tylko *pozbawiła robotnika narzędzia pracy*, lecz pozbawia go ona coraz częściej i coraz więcej *pracy samej*. Z jednej strony ciągłe udoskonalanie maszyn, powoduje — przez to, że maszyny są prywatną własnością fabrykanta — coraz mniejsze zapotrzebowanie pracy robotnika, z drugiej zaś strony nadmierny wzrost produkcji, przy nierównomiernym wzroście konsumpcyi, wywołuje od czasu do czasu ogromne kryzysy, których groza odbija się przedewszystkiem całą swą siłą na ludności pracującej. Podczas takich kryzysów najlepiej się też uwydatnia cała sprzeczność pomiędzy społeczną produkcją, a kapitalistycznym, indywidualnem przywłaszczeniem wytworów produkcji. Setki ludzi bowiem giną wówczas z głodu i nędzy, a równocześnie produkcya ustaje częściowo lub zupełnie, — milionowe bogactwa, gotowe produkty marnieją lub rozmyślnie bywają niszczone.

I wtedy każdy, choćby najciemniejszy, widzi chyba dość jasno, że istniejący system wymiany nie odpowiada już istniejącemu systemowi produkcji. Nadto widzimy powstające co dzień nowe siły produkcyjne, których już opanować nie jest w stanie kapitalistyczna produkcya. Wtedy albo zarzuca je ona zupełnie, lub mało z nich korzysta, albo też zmuszoną bywa do uznania społecznego charakteru takowych. Widzimy to w coraz liczniej powstających olbrzymich towarzystwach akcyjnych, a jeszcze lepiej w „upaństwowieniu“ kolei, poczt, telegrafów itp., których prywatnego posiadania wyrzeka się burżuazya, z powodu niemożności należytego kierowania niemi. Ale co więcej: jeżeli kryzysy mogą służyć jako dowód, że burżuazya nie zdolną jest do kierowania nadal nowoczesnymi siłami wytwórczymi, to upaństwowienia te wykazują chyba najlepiej, że burżuazya stała się już dziś na świecie niepotrzebnym sprzętem, który krępuje tylko swobodę ruchów społeczeństwa.

Wszelkie społeczne funkcyje burżua, wykonują zań teraz płatni urzędnicy, nawet obcinania kuponów dokonuje sekretarz. Wielcy kapitaliści dzisiejsi „pracują“ chyba jesz-

cze jedynie w domach gry i na giełdzie, gdzie się ostatecznie dokonywa akumulacja kapitałów. Musimy na jedno jeszcze zwrócić uwagę. Mówiliśmy o upaństwowieniu. Otóż należy dodać, że „upaństwowienie“ rozmaitych sił i środków produkcyjnych w obecnym społeczeństwie, dzieje się zawsze za wolą i zgodą burżuazji. Państwo dzisiejsze nie jest niczem innym, jak tylko zbiorowym faktorem wszystkich kapitalistów, którzy je uznają, bo ono im daje ochronę ich specjalnych interesów wobec burżuazji innych krajów i ogólnych interesów wobec proletariatu. Zresztą państwo dzisiejsze jest samo dla siebie również kapitalistą, wyzyskującym siły robotnika i pracę jego częstokroć bardziej od każdego prywatnego kapitalisty.

To też socjaliści nie mówią wcale o „upaństwowieniu“ sił wytwórczych, ale o ich „uspołecznieniu“; tem bardziej że potężne te i coraz bardziej potężniejące siły, których nie jest w stanie opanować nietylko burżuazja, jako taka, ale których nie potrafi opanować wogóle kapitalistyczny sposób produkcji, bo do kierowania niemi i kontrolowania ich, potrzebną jest czujność całego społeczeństwa — dopiero uspołecznione będą się mogły należycie ujawnić i rozwinąć. Powiedzieliśmy już przedtem, iż już w obecnym, kapitalistycznym ustroju społecznym produkcja i narzędzia pracy są „społecznymi“ t. j., że pierwszą wykonuje ogół, a drugie służą do tej pracy ogółu. Czyż nie jest więc logicznem i wprost naturalnem żądanie, żeby narzędzia i inne środki produkcji społecznej stały się też własnością społeczeństwa? Czyż nie jest słusznem dążenie do komunistycznej, czyli wspólnej własności tych środków produkcji? Odpowiedź zbyteczna. Sam postęp naturalny w rozwoju produkcji kapitalistycznej prze do tego i z pewnością też prędzej, czy później spełni się punkt programu socjalistycznego, który się streszcza w tem jednym słowie *komunizm*. A teraz co znaczy więc komunizm i do czego on zdąża?

Komunizm, tak jak go socjaliści rozumieją, nie oznacza nic innego, jak tylko wspólne posiadanie ziemi, fabryk, maszyn, wszelkich narzędzi pracy, słowem środków produkcji i wspólne używanie takowych. Samo przez się rozumie się, że to wspólne „używanie“ (środków produkcji) nie będzie się mogło dziać na zasadach jakiegś anarchicznej promiscuitas, lecz że będzie ono odpowiednio do potrzeb i celów uorganizowanem.

Dążenie komunizmu jest więc jasnem. Poprzednio wykazaliśmy już co przynosi ze sobą prywatna, kapitali-ty-

czna gospodarka społeczna: nędzę, głód, brak pracy, wyzysk, ciągłą walkę wszystkich przeciw wszystkim, ustawiczną niepewność jutra, zamieszanie... anarchię. Komunizm znieśie to wszystko, a wywłaszczywszy wszystkich na rzecz ogółu, da wszystkim wszystko! Da ludzkości przedewszystkiem spokój, jedność i braterstwo, bo usunie ze świata ową kość niezgody, własność prywatną środków produkcyi; da równość i wolność, bo znieśie narzędzie gwałtu i ucisku... prywatną formę produkcyi.

W następnym artykule postaram się o odparcie zarzutów podniesionych przeciwko komunizmowi i t. d.

Tadeusz Reger.



ZAPISKI LITERACKIE.

Z dzisiejszej doby. XI. Ugoda czy walka? (Lwów 1895).

Patryotyczne stronnictwo w Królestwie Polskiem, które swój program wyłuszczyło w broszurze p. t. »Nasz patryotyzm«, nie mogąc swych przekonań otwarcie wypowiadać w prasie »legalnej«, posługuje się w tym celu wydawnictwami »nielegalnymi«, drukowanymi poza granicami państwa rosyjskiego, do których w pierwszym rzędzie należy wydawana dawniej w Krakowie, a obecnie we Lwowie serya broszurek p. t. »Z dzisiejszej doby«. W ostatnich tygodniach ukazała się XI. broszura tego wydawnictwa p. t. »Ugoda czy walka?«

Ma ona na celu wykazać, że t. zw. »stronnictwo ugodowe«, grupujące się około »Słowa« i »Kraju«, które usiłuje pod zaborem rosyjskim spełniać rolę galicyjskich stańczyków, a mianowicie lojalnością wyżebrać dla Polaków nieco ustępstw od caratu, żadnych korzyści społeczeństwu polskiemu przynieść nie zdoła; ugoda bowiem tam jest możliwa, gdzie są dwie strony skłonne do ustępstw, tu zaś jest z jednej strony społeczeństwo polskie, które już nie dać nie może, bo mu wszystko odebrano, a z drugiej rząd, który nie dać nie chce, a wszystko zabiera; chcąc tedy uzyskać jakiegokolwiek prawa, trzeba nie godzić się, ale walczyć.

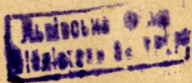
Jakkolwiek godzimy się z tą ogólną myślą niniejszej broszurki, że niczego bizantyzmem, a wszystkiego walką dopiąć można, różnimy się jednak zasadniczo co do sposobu pojmowania tej walki. Mie myślimy na tem miejscu polemizować z programem partyi wydającej seryę »Z dzisiejszej doby«. Dla scharakteryzowania jej poglądu na tę »walkę«, przytoczymy tu jedynie dwa miejsca z omawianej broszurki.

Na str. 21. czytamy: »Istnieje masa ludzka mówiąca i myśląca po rosyjsku i naturalną koleją rzeczy dążącą do rozszerzenia panowania swego języka i pozyskania przez to szerszego pola dla rozwoju umysłowości rosyjskiej; kultura rosyjska z panującymi pierwiastkami bizantyńskim i tatarskim (?!), dążąca do objęcia jak największego terytorium i zapewnienia sobie tem przewagi w walce z zachodem«... itd. A więc trzeba walczyć ze wszystkim co rosyjskie, z narodem rosyjskim, a nie tylko z caratem. To przypisywanie szowinizmu całemu narodowi rosyjskiemu pochodzi z niezrozumienia sprzeczności zachodzących między interesami rządu i klas posiadających, a interesami mas ludowych. Czyż chłopu rosyjskiemu jest przyjemny despotyzm, czyż kocha on tak bardzo biurokracyą, czyż zależy mu na tem, czy jakiś gdzieś daleko od niego mieszkający naród mówi po polsku, czy po rosyjsku?

I nie tylko w Rosyi, ale i we własnem społeczeństwie nie chcą autorowie tej broszury widzieć klas i klasowych interesów, sądząc, że »narodowe interesy« są silniejsze. »W całym okresie naszego życia porobiorowego, nie było chwili, w którejby polityka ugodowa była tak wielkim nonsensem, jak dzisiaj — naturalnie ze stanowiska narodowego, bo ze względu na interes osobisty lub klasowy dla wielu z jej zwolenników jest ona całkiem racjonalna«... (Str. 41.) I tu właśnie tkwi błąd. Nie dla »wielu zwolenników« polityki ugodowej, ale dla całej szlachty i burżuazji jest korzystnem płaszczenie się przed rządem. Myśmy się już dawno pozbyli tej mrzonki o harmonii klas w celach narodowych. Polski ruch wolnościowy pod zaborem rosyjskim będzie się musiał oprzeć jedynie na ludzie roboczym, który zdobędzie sobie niepodległość polityczną przez walkę z klasami posiadającymi i z carskim rządem, — a nie z narodem rosyjskim.

Wilhelm Feldman: *„Nowi ludzie“.* *Studyum psychologiczno-społeczne.* (2 tomy. Lwów. Księgarnia Polska 1894).

Za temat do niniejszej powieści posłużył autorowi ruch akademików krakowskich z końca lat osmdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych, któremu może od czasu Mickiewicza i Filaretów wileńskich u nas równego nie było. Był to okres stojący na pograniczu między dawną konspiracyą socjalistyczną, a rozpoczynającym się właśnie jawnym i masowym ruchem robotniczym, był czas przejściowy, kiedy idee socjalistyczne zaczęły wnikać w szersze koła t. zw. »inteligentnej« części naszego społeczeństwa, kiedy być socjalistą było rzeczą wprawdzie jeszcze straszną, ale już po części modną. Młodzież ówczesna kształcąca się na krakowskim uniwersytecie, a licząca w swym łonie stosunkowo bardzo znaczne grono zdolnych i dzielnych jednostek, z ogromnym zapalem studyowała nowoczesne prądy umysłowe i usiłowała stworzyć sobie z jednej strony program teoretyczny, z drugiej zaś program realnej pracy społecznej. Dążenia te były początkowo bardzo niejasne, poglądy nieskrystalizowane, nieraz wprost spreczne myśli krzyżowały się ze



sobą, idee stare nie wywietrzały zupełnie, nowe jeszcze dostatecznie nie wniknęły, ludzie o najróżniejszych przekonaniach i celach, ale t. zw. »postępowego« pokroju, szli razem, nie mogąc jednak wskutek tych sprzeczności, ani kroku naprzód zrobić. Powoli jednak wyjaśniały się poglądy, ruch się różnicował, jednostki mniej skrajne wycofały się z niego, skrajniejsze przeszły wprost do obozu socjalistycznego i należały wkrótce potem do najdzielniejszych działaczy przy zakładaniu partii robotniczej w Krakowie. Wyrazem tej ewolucyi umysłowej owej młodzieży był jej organ »Ognisko«, a po upadku tegoż »Ruch społeczny i literacki«. Ma się rozumieć, że sferom rządzącym umysłowe to wrzenie, acz niejasne, ale silne i żywiołowe, było nie na rękę i starały się go stłumić.

Stańczycy i patryotyczni tromtadraci, senat akademicki i policya wyruszyli razem na wspólną krucyatę przeciwko tym młodym »wrogom wiary, ojczyzny, własności, państwa, rodziny, porządku społecznego i nasyżych ojczystych ideałów«. »Oni chcą odbudować Polskę, chcą wywołać rewolucyę ludową« krzyczeli stańczycy. »Oni nie chcą Polski »od morza do morza« tylko mówią coś o jakiejś Polsce etnograficznej o zgrozo!« wołali galicyjscy patryoci. »Oni łączą się z międzynarodową rewolucyjną socyal-demokracją« mówiono w policyi. Naturalnym więc skutkiem tego były ciągle konfiskaty, rewizye, aresztowania, relegacye i procesy, których szereg zakończył głośny proces dziesięciu w r. 1891.

Powieść Feldmana, który sam brał gorący udział w owym ruchu, osnuta jest na tle powyższem. Przesuwa się w niej szereg typów, które jak dobrzy znajomi uśmiechają się do czytelnika, pamiętającego owe czasy. I dlatego, choć pod względem artystycznym »Nowi ludzie« pozostawiają bardzo wiele do życzenia, tak co do kompozycyi jak i co do wykonania, chociaż autor nie wyzyskał należyście bardzo wielu dramatycznych momentów, chociaż psychologia (z wyjątkiem tej sceny, w której główny bohater, dekadent, nie wiedząc sam, w jaki sposób, staje nagle na czele ruchu) jest bardzo płytka, a sposób pisania nie jest wcale współczesnym, lecz przypomina starsze powieści w rodzaju Bałuckiego — mimo to wszystko z przyjemnością czyta się to tak żywe przedstawienie życia i czynów »nowych ludzi« krakowskich.

Henryk Tomasz Pokrzywa.

N O T A T K I.

Praca dzieci w fabrykach niemieckich. Z raportu p. Sprengera, inspektora fabrycznego okręgu Magdeburgskiego, wyjmujemy kilka cyfr, do których nie trzeba chyba komentarzy. Zakłady przemysłowe, we wzmiankowanym okręgu liczyły pomiędzy robotnikami w 1891 r. 4.888 dzieci od 14 do 16 lat, w tej liczbie 4.069 chłopaków i 819

dziewcząt, roku poprzedzającego, liczba zatrudnionych dzieci równała się 4.501. Liczba zaś robotników dorosłych, która w r. 1890 wynosiła 69.509, spadła w r. 1891 na 69,096. Wydalono więc z fabryk w ciągu roku robotników dorosłych 413, a na ich miejsce wzięto 387 dzieci.

Roczna produkcya Europy, najwięcej cywilizowanych krajów Ameryki i kolonii australijskich wynosi 8 miliardów 963 milionów funtów szterlingów (1 funt szterling. = 12 guldenów), z czego wypada na każdego człowieka 270 złr. rocznego dochodu, czyli na przeciętną rodzinę (złożoną z 5 osób) 1330 złr.

FEJLETON.

Z CYKLU

„POLONIA IRREDENTA“⁶³

III.

ZIEMIA OBIECANA.

⇒ Na wozie. ⇐

Zachód gorzał w krwawych blaskach,
 Lud roboczy drogą polną
 Ciągnął zdala — a po piaskach
 Wóz szpitalny sunął wolno.
 Na posłaniu twarz zbroczone,
 Włos zlepiony, bladość w licach,
 Jęk niekiedy płynie z łona,
 Żar ostatni tli w żrenicach,
 Spiekłe wargi drżą leciutko,
 Oczy błędzą po lazurze...
 Ach, jak jasny błękit w górze,
 Jak tam błogo, jak cichutko!

Nie grzmi węgiel, nie drży skała,
Która biedną skroń strzaskała,
Przydusiła pierś opoką
Zdała słońca... tam!... głęboko!...
Wietrzyk wieje, czoło studzi,
Z pól napływa woń wiosenna,
W koło słyhać gwary ludzi,
Ukończona praca dzienna!
Ach, jak świeżo tam na błoni!
Powracają, podążają
Uznojeni, umęczeni,
Wietrzyk dzwoni u ich skroni,
Wnet na progach domu staną.
Sen ukoj myśl stroskaną,
Nie wyruszą aż o świecie...
Ciężkie życie — przecież życie!
Ach, ta skała!... Toż niekiedy
W tych chodnikach, w nocy kruczej,
Zda się, żyje, drga i huczy,
Jakby chciała ludzkiej biedy!...
Jedna chwila!... Wielki Boże!
Człęk dla dzieci i dla żony
Zasmolony, zamęczony
Już i słyszeć drgań nie może!...
Przecież skała lekko drżała!...
Raptem... Jezu!... Huk... ból... męki...
Znikąd, znikąd bratniej ręki...
Dusi!... Ludzie!... Dusi!...

— Ciszej!...

Wszak tu pola, wszak tu błonie,
Toć spokojniej pierś już dyszy...
Jasny, piękny błękit w górze,
Taka cisza na lazurze!...
Pomalutku idą konie,
Jakby czuły, że z człowieka
Ledwo dusza nie ucieka...

Sunie człowiek nie do domu!...

Gdyby stanąć? Szepnąć komu?
Żona nie wie! Żadne z dzieci
Za tym wozem nie przyleci..
Toż daleko! Pracy tyle!...
Może pierwsze przejdą chwile,

W koło świeżo i pogodnie,
 Lżej już, lżej już!... Tylko oko!
 Niecو سعیło się pomroka,
 Trudno chwycić tchu swobodnie...

Ha!... znów chodnik... lampki w dali...
 Boże!... krzyczą... lecą duchem...
 Odwalają głaz obuchem...
 Biorą... niosą... Człek na szali
 Płynie w górę... leci... leci...
 Jak na skrzydłach!... Jasność biała
 Dookoła świat zalała...
 Wóz w obłokach białych płynie,
 Oko błądzi po obszarze...
 Co to... Widać jakieś twarze...
 Może żona?... Może dzieci?...
 Wóz podąża... pewnie minie!...
 Ach, ktoś ręką dotknął czoła...
 Ktoś do wozu przypadł z boku...
 Czarne płatki krążą w oku...
 Krzyk się rozległ!... Dookoła
 Nic rozeznać człek nie może...
 Wszystko znika wśród pomroku...
 Ha, znój zimny ścieka z czoła...
 Ciemno... głucho .. noc... bezdroże...
 Wielki Boże!... Wielki Boże!...

Wóz przystanął. Na zachodzie
 Gorzał jeszcze dzień w mgieł toni.
 Blask ostatni drząc w pochodzie
 Przez dalekie przebiegł sioło
 I na trupiej świecił skroni.
 Odkrył głowy lud w około,
 Patrzy... Z czoła myśl ulata,
 Sine lica uśmiech zdobi,
 Rozchylone nieco wargi
 Jakby szeptem cichej skargi,
 Co zastyga... lecz w przyszłości
 Znów się ozwie wśród Ludzkości
 I na twardych głazach świata
 Mroczne dzieje swe wyżłobi! —

Andrzej Niemojewski.

TOMASZOWA.

OBRAZEK.

Ciąg dalszy.

III.

Stały śniegi i lody, a ożywcze tchnienia budzące się wiosny, wraz z słońcem kwietniowem, rozaczały dobroczynny swój wpływ dookoła. Ożywiła się cała natura. Łąki i pola okrywać się poczęły świeżą zielonością, a pękające drzewa napełniały powietrze dziwnie miłą wonią. Wieczorami z pobliskich stawków odzywały się chóry żabie, głucha martwota zimy znikła.

Któż z nas w czas taki nie czuje się rzeświejszym, weselszym, szczęśliwszym? Czyż serce nie napełnia się otuchą i nadzieją, że po troskach i utrapieniach zimowych, nastąpi ukojenie i spokój?

W znanym nam domu przy ul. Cmentarnej ruch panuje niezwykły. Więzione przez zimę całą dzieciaki, wyruszyły na ganki, podwórze i schody, wywabiane ciepłymi promieniami słońca. Blade to wszystko, jakby schorowane — ale rumieniec lekki z uśmiechem radosnym występuje na twarzyczki — czują one bowiem, że skończyła się niewola, że zawitała wiosna, że oddychać będą wolnem, świeżem powietrzem, że odżyją pod jego wpływem.

Widzimy między niemi także dzieci Tomaszowej. Te najbardziej ucierpiały od zimy. W twarzyczkach ich zda się kropli krwi nie dojrzysz — wilgotny, zatechły loch w którym przezimowały, w wyższym stopniu oddziałał na ich zdrowie, aniżeli u drugich, w bądź co bądź zdrowszych, suchszych mieszkających izbach. One też bardziej od innych mają powód cieszyć się z nastania wiosny...

Nie tylko jednak pojawienie się dzieci na podwórzu i ich spiewy i zabawa wywołują ten ruch niezwykły, który nas uderza. Dzieje się tu jeszcze coś innego.

W mieszkaniu gospodarzy, zajmujących znaczną część parteru, przy otwartych oknach i drzwiach odbywa się pakowanie rzeczy do skrzyń i kufrów. Między krzątającymi się widzimy również Tomaszową, wypełniającą różne, bezpośrednio po sobie następujące zlecenia gospodyni, która nad całą akcją trzyma komendę niepodzielną — powodując dość znaczny hałas i wiele zamieszania.

Właściciel domu tego, wybiera się z rodziną daleko, bo aż na Bukowinę, gdzie jako przedsiębiorca zajęty być ma przy budowie kolei. Na zastępcę swego, względnie administratora realności, na czas jego nieobecności, uprosił mnie, dając mi za to prawo bezpłatnego używania ogrodu kilkunastu zagonowego na całe lato. Obowiązkiem moim miało być odbieranie czynszów od lokatorów, odnajmowanie mieszkań, opłacanie rat bankowych i podatków, a wreszcie nadzorowanie Tomaszowej, pełniącej, jak wiadomo, obowiązki stróżowej. Ta ostatnia czynność, dała mi sposobność bliższego jeszcze poznania jej życia i biedy.

Ukończono wreszcie pakowanie rzeczy, gospodarz oprowadził mnie po wszystkich lokatorach, przedstawiając jako swego zastępcę, do którego ze wszystkim udawać się należy, gospodyni udzieliła mi całe mnóstwo wskazówek co do pilnowania Tomaszowej, która jeśli się nad nią nie stoi, nie porządnie nie robi — nadszedł wieczór, odprowadziłem gospodarzy na kolej do pociągu, którym odjechali — a sam wróciwszy do domu, ułożyłem się do snu w ich mieszkaniu, pilnując, by stamtąd kto czego nie ukradł.

Z urzędu swojego byłem dość niezadowolony — gdyż wepchnięto mi go prawie gwałtem. Jak się z przegładnięcia aktów przekonałem, dom, którym miałem administrować, dość był obdłużonym, raty w banku i podatek zaległy, lokatorowie czynsze opłacali nieregularnie i stąd przewidywałem wiele kłopotów — najwięcej zaś obawiałem się kłopotu z ogrodem, o którego uprawie najmniejszego nie miałem pojęcia.

Myśl o tem wszystkim znużyła mnie — usnąłem...

Słońce nazajutrz wyszło już wysoko, kiedy zbudziło mnie lekkie pukanie do drzwi. Zerwałem się na równe nogi i okrywszy się naprędce, otwarłem drzwi. We drzwiach stała Tomaszowa.

— Całuję rączki panu rządcy, dzień dobry! a to pan rządcą sobie zasnął, a panienska kazała pana zbudzić i prosić na kawę.

— Proszę was, Tomaszowo, nie nazywajcie mnie rządcą — przerwałem jej.

— A, kiedy pani gospodyni tak kazała — odparła Tomaszowa.

-- Ale ja nie chcę.

— Dobrze, już dobrze. Nie chce pan, to nie będę tak nazywać, ale proszę pana się ubierać, bo panienska czeka z kawą.

Panienką była moja siostra.

— Czegoż jeszcze chcecie? — spytałem widząc, że nie odchodzi.

— A może pan czego potrzebuje?

— Jeśli woda jest, niczego, możecie sobie pójść! — rzekłem prawie opryskliwie.

Tomaszowa obejrzała się wokoło.

— Gdzie też ta już nasi państwo są? Pewno daleko.

— A no daleko — potwierdziłem.

— Ale, bo to proszę pana, pani gospodyni i panienki bardzo nie chciały jechać, ino pan się uparł...

— Moja Tomaszowo — przerwałem co mnie to obchodzi?

— A pannie Mani, to się aż coś działo... — ciągnęła dalej, chcąc mnie widocznie zainteresować swoim opowiadaniem.

— Idźcie - no, do swojej roboty — ja nie mam czasu teraz z wami rozmawiać — powiedziałem stanowczo.

Tomaszowa widząc, że w tym przedmiocie nie chcę z nią mówić, zaczęła o tem, po co właściwie przyszła.

— Mam też wielką prośbę do mego pana...

— Co za prośbę? — spytałem, sądząc, że chodzi o jaką zaliczkę.

— Kiedy, bo nie śmię powiedzieć..

— Mówcież prędzej! — rzekłem zniecierpliwiony.

— Jak pan każe, to już mówię! —

Chciała mnie pocałować w rękę, ale się nie dałem.

— Jest tu, proszę łaski pana — mówiła nieśmiało — komora; w zimie było w niej drzewo i węgle, teraz próżna, panu na nic nie potrzebna...

— No i cóż z tą komorą.

— Płacimy, proszę pana, pięć reńskich za izbę, taką mokrą, tak się w niej dymi dzieciśka chorują, mnie dusi i oczy mnie bolą — teraz idzie do lata — prosiłam już samej pani, powiedziała, jak pan pozwoli... żeby też pan był łaskaw, trochę byśmy się wypłacili...

— Więc czegoż właściwie chcecie z tą komorą?

— Wprowadzić się na lato i mieszkać w niej. Pilnować będę domu i ogrodu i Bóg też panu wynagrodzi, wiem, że pan tego nam biedakom nie odmówi.

— Dobrze, napiszę do pana gospodarza, jak pozwoli, to się wprowadzajcie.

— Po co by też pan pisał takie głupstwo, nim państwo przyjadą, nas tu już nie będzie... przecie pan może

zrobić, co pan chce — tłumaczyła mi Tomaszowa, widocznie przekonana, że gospodarz na to by nie zezwolił.

— A gdzież będziecie gotować? — spytałem.

— Prosiłam już panienkę, to mi pozwoli garnek postawić przy obiedzie, drzewa to mój z „fabryki“ przyniesie. Panienka dobra, nieraz mi i teraz ugotować pozwoli.

— No dobrze już, dobrze — rzekłem — wprowadźcie się, tylko, żeby dzieci nie hałasowały, żebyście światła nie świecili, bo to drewniane i ogień zapuścić nie trudno.

Prawie mi do nóg padła z radości, musiałem się bronić formalnie od podziękowań i z trudem jej się pozbyłem.

Tego dnia jeszcze rozpoczęło się wypróżnianie owej komory z pyłu węglowego i trzasek, otykanie szpar większych, których było bez liku, szmatami i mchem wyrzuconym z za okien i znoszenie połamanych, nędznych gratów. Wieczorem już cała rodzina Tomaszów siedziała na podwórzu przed drzwiami komórki, w której zamieszkali.

A więc Tomaszowa z dzieckiem przy piersi, mąż jej, Tomasz, mężczyzna czterdziestokilkoletni, chudy, zmizеровany, średniego wzrostu, z twarzą nie zdradzającą wielkiego sprytu, prawie apatyczną, wyjadający barszcz z garnka zielonego i zakąsujący po każdej prawie łyżce chleb z dużej kromki; dalej reszta dzieci również z kromkami chleba w rękach. Na twarzach dzieci i Tomaszowej widać zadowolenie z powodu zmiany mieszkania zadusznego i zadymlonego na tak przewiewne i przestronne.

Nie długo jednak trwała radość...

Kwietniowa pogoda i łaska pańska na pstrym jeździ koniu — mówi przysłowie.

Jakoś trzeciego, czy czwartego dnia po zniesieniu się Tomaszów do komory, pochlodziła, nad wieczorem zerwał się wiatr północny, pędząc przed sobą chmury śniegowe, a w nocy spadł śnieg obfity.

Tomaszowa sama przeziębnięta, okrywała starannie dzieci czem mogła — wyczekując z upragnieniem rana. Jakże długo wydała jej się ta noc.

Rano zimno stawało się coraz dokuczliwsze. Kazałem dzieci przywołać do kuchni, by się ogrzały. Kaszłały wszystkie. Na następną noc poleciłem Tomaszowej z dziećmi mniejszemi spać w kuchni, wszystkich pomieścić nie mogłem.

U starszych dzieci skończyło się na silnym katarze, gorzej było z malenstwem przy piersi, które dostało gorączki i zaczęło piszczeć i kwilić bez przerwy, a ku wieczorowi kwilenie zamieniło się w rżerzenie; biedna matka

z rozpaczą w sercu pobiegła z niem do lekarza, a ten po chwili badania, wyrzekł krótkie orzeczenie:

— Za późno!

Wróciła do domu Tomaszowa z wielkim płaczem. Ciężarem było jej to dziecko, to prawda, ale była przecież jego matką i teraz dałaby życia połowę, aby ocalić to biedactwo, nie chcąc chwytać piersi matczynej.

W nocy chore dziecko dostało konwulsi, a do trzeciego dnia skończyło krótki swój doczesny żywot.

— Lepiej, że umarło — mówiły lokatorki domu, chcąc pocieszyć biedną matkę — coż to jego za życie było, żeby to się było jeszcze nacierpiało nimby wyrosło, a kto wie, co by z niego było, a tak będzie aniołkiem u tronu boskiego! Powinniście Bogu dziękować.

Spojrzała Tomaszowa na mówiące, a w spojrzeniu tem było tyle żalu, bólu, rozpaczy, że umilkły i odeszły ruszywszy ramionami...

Ona zaś pochwyciła dziecię swe martwe w ramiona i okryła pocałunkami, szepejąc:

— Czemu tobie nie wolno było żyć, wyrósć i być szczęśliwym, mój syneczku. Czy dla ciebie nie było już miejsca na świecie, czy nie starczyło promieni słońca i chleba?!

Tomasz przyniósł z miasta trumienkę malutką, oklejona papierem, złożono w nią dziecinę, dano jej do rączek obrazek święty, — zabito następnie trumienkę, ojciec wziął ją pod ramię i poniósł na cmentarz na wieczny spoczynek, tylko starsze dwoje dzieci szło za pogrzebem.

Tymczasem śnieg stopniał, kierunek wiatru się zmienił, ociepliło się znacznie i wypogodziło. Słońce znowu szło na ziemię ożywcze swe wiosenne promienie, podnosząc zwarte zimnem rośliny, jednej tylko nie ożywi roślinki, która ucierpiała od zimna, nie ożywi Tomaszowego Jasia, który spoczął tam daleko na cmentarzu, pod ziemią.

I znów usiadła rodzina Tomaszów przed drzwiami komory, ale nikt by nie dojrzał w twarzach jej promienna radości, a nawet dzieci nie mogą zdobyć się na swobodną rozmowę, tulą się tylko do matki, siedzącej nieruchomo, bez żyj już wprawdzie w oku, ale tak smutnej, tak wynędzniałej, że zda się przez tych dni kilka postarzała się o lat kilkanaście...

Józef Hudec.

(Dokończenie nastąpi).

22.20
F VIII
S-97

Treść Nr. 6.

„Nieszczęście karjerowiczów“ nap. Żegota
posiadłość w Galicyi“ nap. W. Budzynowski (c.
„Komunizm“ nap. Tadeusz Reger. — Zapiski
Notatki. — Fejleton: „Polonia irredenta“ III. Ziemia obie-
cana. „Na wozie“, wiersz Andrzeja Niemojowskiego. —
„Tomaszowa“ Obrazek nap. Józef Hudec (ciąg dalszy).

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód“.

„U OGNISKA“

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedźwieckiego.

12 szkiców na 15 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenu-
meratorów „Świata“ 60 ct.

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„NAPRZÓD“. Kraków, ul. Szewska l. 7. Wychodzi w każdy
czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką pocztową 90 ct.

„NOWY ROBOTNIK“, Lwów, ul. Wałowa l. 15. Wychodzi 1.
10. i 20. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct.,
z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„DER ARBEITER“ (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa l. 15. (Pi-
smo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydow-
skich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego
miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką pocztową 40 ct.

„GAZETA ROBOTNICZA“. Organ polskiej partii socjalistycz-
nej w Berlinie. O Andreasstrasse 78, A. — Prenu-
merata kwartalna w Niemczech 1 mrk. 10 fen., za gra-
nicą 1 mrk. 60 fen. w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„ROBOTNIK“ Organ polskiej partii socjalistycznej. War-
szawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„PRZEDŚWIT“. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Zwią-
zku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie.
Adres: „Dawn“, 7. Beaumont Square, Mill-End. Road.
London, E. — Prenumerata roczna 5 złr. 4, rs. (w ko-
pertach).

ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.



Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

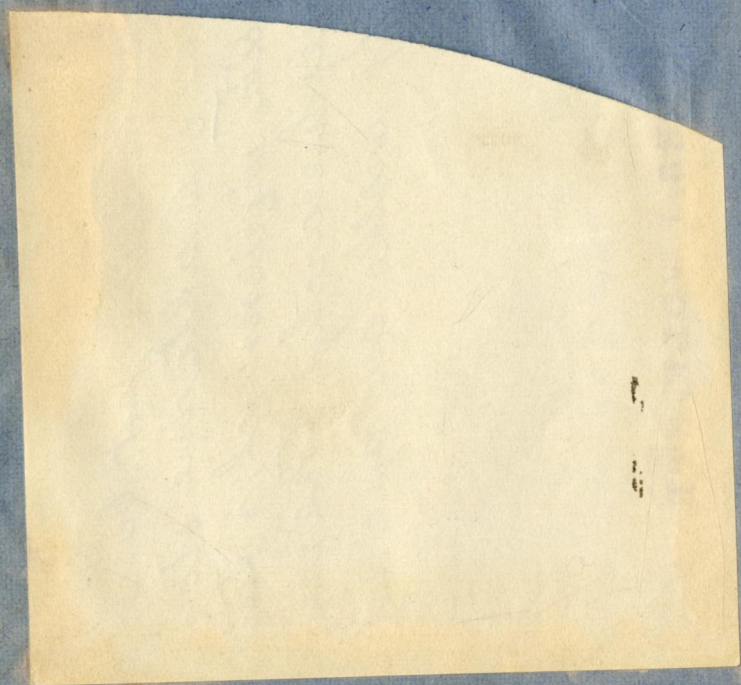
Kwartalnie . . .	—50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie . . .	2—	Rocznie . . .	4 „

Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.
Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Plohma i Olszewskiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golloba, Ossolińskich 15.





FRYDERYK ENGELS

(* 1820 — † 1895).

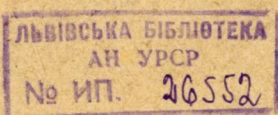
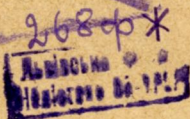


— — —

Z trzech wielkich imion na horyzoncie niemieckiej socjalnej demokracji błyszczących, przeszło ostatnie już do historii; po Lassalu i Marksie umarł Fryderyk Engels dnia 5. sierpnia w Londynie. Żaden z tych trzech silnych i czystych duchów nie był bliższym sercu robotniczemu od Engelsa; Lassalle działał tak krótko i tak wielce był jako bohater wielbiony, że przedstawia niejako uroczyste, nadzwyczajne zjawisko; Marks od r. 1872 t. j. od upadku właściwej »Międzynarodówki«, zagrzebał się w swych księgach i żmudnych pracach, z których nie wyszedł aż do swej śmierci; jeden tylko Engels miał sposobność od lat 25 służyć organizacyom robotniczym w Europie praktyczną, mądrą radą, pouczać i współdziałać przy każdej ważniejszej sprawie. Lasalle pobudził do życia uśpione masy, Marks dał im teoretyczne, niezłomne podstawy naukowe do społecznej walki, a Engels wprowadzał je niejako w życie, ochraniał i strzegł przed zboczeniem na manowce. Każdy z tych trudów równie zaszczytny i — równie ciężki.

Niepodobna nam dzisiaj podawać tutaj życiorysu człowieka, który przez pięćdziesiąt lat życia, przez całe długie życie pracował na wszystkich polach europejskich walk społecznych i politycznych. Ograniczamy się zatem tylko do najbardziej wybitnych chwil tego żywota.

Fryderyk Engels, urodz. w r. 1820 w Barmen, należał do tych nadreńskich rodzin, które, jak całe prowincje nadreńskie, stanowiły najbardziej cywilizowaną warstwę Niemiec ówczesnych. Ale bogata rodzina fabrykancka patrzyła



nieraz na swego syna, jakby na obce pisklę przez kogoś podłożone do gniazda, tak się młody Fryderyk »odrodził« od swoich... Po ukończeniu gimnazjum poświęcił się Engels zawodowi kupieckiemu i zapoznał się dokładnie ze stosunkami angielskimi, gdzie po raz pierwszy zobaczył wielki, nowoczesny przemysł fabryczny. Jako młodzieniec 23-letni poznał się z Karolem Marksem za pośrednictwem artykułu, napisanego do »Roczników francusko-niemieckich«, wydawanych w r. 1844 przez Marksa w Paryżu. Przyjaźń ta, w młodości zawiązana, miała przetrwać aż do zgonu i być źródłem szczęścia dla obu. Odtąd imię Marksa łączy się nierozzerwalnie z imieniem Engelsa, wspólne prace ich łączą, spólny los smaga; i w wielkiej historii rozwoju nowoczesnego socjalizmu nikt nie zdoła oddzielić tego, co zdziałał jeden z nich, a co jest udziałem drugiego.

Piąty dziesiętek naszego wieku, zakończony powszechną europejską rewolucją r. 1848, widział w Anglii ogromny ruch ludowy, robotniczy, dążący do politycznego równouprawnienia klasy robotniczej. Ruch ten znany pod nazwą »czartyzmu« (od »charte« — karta — konstytucja). Engels wziął w nim wnet gorący udział i był współpracownikiem kilku pism rewolucyjnych angielskich. Tymczasem jednak i na stałym lądzie poczynało się wrzenie i przygotowania do rewolucyi. Francya pod rządami szachraja Ludwika Filipa, Niemcy pod berłem Fryderyka Wilhelma, bezmyślnego despoty, Austria w szponach jezuicko-despotycznego Metternicha, Włochy ujarzmione przez całą bandę okrutnych tyranów — wszystko to gotowało się do rewolucyi. Lewe jej skrzydło stanowili komuniści, ci komuniści, dla których mieszczańska rewolucya była dopiero punktem wyjścia dla dalszej, stokroć silniejszej: dla rewolucyi społecznej. Ale ówczesni komuniści z przed r. 1848 byli to po największej części szlachetni marzyciele, którzy więcej uwagi poświęcali marzeniom o małych, niezależnych gminach komunistycznych gdzieś w Ameryce lub na jakiejś wysepce Oceanu spokojnego, niż otaczającym ich stosunkom. Komunizm marzycielski był w działaniu bezpłodny i rządy despotów mogły być z tej strony spokojne. Ale z tego marzycielskiego, »niewinnego« komunizmu, zrobił się, pod wpływem potężnej krytyki Marksa i Engelsa, komunizm rewolucyjny, podejmujący walkę z rządami i z kapitalizmem, komunizm, nie uciekający przed prześladowaniami za morze, lecz zdobywający krok za krokiem, w zaciętym boju coraz więcej gruntu dla siebie!

»Związek sprawiedliwych«, istniejący już od r. 1847, a przekształcony później w »Związek komunistów«, polecił Marksowi i Engelsowi, by wypracowali »Manifest komunistyczny«, niejako wyznanie wiary komunistów. Zadanie to rozwiązali Marks i Engels tak znakomicie, że dziś jeszcze, po pięćdziesięciu latach drga »Manifest« życiem, nie zestarzał się wcale i jest przewodnią wskazówką dla proletariatu. »Manifest« ujął marzenia dawniejszych komunistów w całkiem inną formę, ściągnął je niejako na ziemię, wskazał dążenia rozwojowe burżuazyjnego społeczeństwa, wskazał wrogów i sojuszników i podyktował sposoby walki. A przede wszystkim wzniósł okrzyk: »Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!«, postawił zasadę międzynarodowości ruchu socjalistycznego i w tej międzynarodowości wskazał jego niezwyciężoną potęgę. Gromadząc uciśnionych a pracujących pod jeden, pod czerwony sztandar, z pominięciem szrank narodowościowych, przygotowywał »Manifest« dzisiejszy międzynarodowy socjalizm, będący już dzisiaj groźną potęgą. Wnet miał Engels od teorii przejść do czynu.

W Berlinie wybuchła w marcu 1848 rewolucja. Prowincje nadreńskie i południowo niemieckie państewka najpodatniejszym były dla niej gruntem, tutaj też pracują komuniści najwytrwalej. Ale udział komunistów w mieszczańskiej rewolucji i w ogóle w każdym ruchu mieszczańskim jest zawsze bardzo smutny. Mieszczaństwo bowiem czeka tylko na najbliższą sposobność, aby rewolucję zdradzić i uchylić głowę przed rządem, który bodaj cokolwiek przyobiega. Robotnicy zaś, biorą rewolucję na seryo i zwykle giną ostatni w szeregach, wydani na pastwę przez tchórzliwych mieszczań. Coś podobnego rozegrało się i w niemieckiej rewolucji. Najdłużej w niej walczyli komuniści. Kiedy w r. 1849. Mierosławski stanął na czele powstania w Badenie, Engels pospieszył w szeregi »wolnych strzelców« i męstwem swoim wzbudzał szacunek kolegów. Jako adjutant pułkownika Willicha, był niezmordowanie czynnym. Wreszcie i powstanie badeńskie upadło pod ciosami armii pruskiej, a rozpróśzeni powstańcy musieli się ratować ucieczką. Engels przemknął się szczęśliwie do Szwajcaryi, skąd podążył do Anglii, gdzie w Manchester wstąpił do fabryki swego ojca i przez lat 20 przebywał przy pracy.

Marks tymczasem osiadł jako tułacz w Londynie, wśród swarów i intryg rewolucjonistów z różnych krajów, których zdemoralizowała rozpacz po upadku rewolucji. Obaj przy-

jaciele znosili się ciągle listownie ze sobą i odwiedzali się wzajemnie. »Murzyn«, jak nazwano Marksa w rodzinie dla jego czarnych włosów, cieszył się z swoją całą rodziną już naprzód, gdy Engels miał do nich zawitać w gościnę. Była to rodzinna uroczystość. Marks, zajęty ogromną pracą nad »Kapitałem«, wtajemniczał Engelsa w każdy jej szczegół, słuchał każdej jego rady, tak, że gdy Marks umarł, pozostawiając dwa tomy dalsze »Kapitału« niewydane, jeden tylko Engels mógł podjąć się tej ogromnej pracy ich wydania.

Po założeniu w r. 1864 »Międzynarodówki« w Londynie, Marks został obarczony nadzwyczaj wielką korespondencją, jako generalny sekretarz. Od r. 1870 Engels pomaga mu w tem uczciwie. Osiada w Londynie i obejmuje sekretaryat dla Belgii, Włoch i Hiszpanii. Po upadku »Międzynarodówki« rozpasła się szalona bratobójcza wojna między socyalistami z Marksem i Engelsem na czele, a anarchistami prowadzonymi przez Bakunina. Dzisiejsze pokolenie nie ma pojęcia, jak gwałtowna była ta walka na gruzach »Międzynarodówki«, jak wiele krajów ona ogarnęła i jak rozogniła umysły walczących. Skończyła się ona niemal zupełnem zwycięstwem socyalistów, a przyczynił się do tego w największej mierze Engels. Kraje, w których bakuniści zapawali, zaczęły się jeden po drugim organizować na podstawie socyalno-demokratycznej; Hiszpania, Włochy, Portugalia i t. d. wszystko to dziś w jednym obozie z Francją, Niemcami, Austryą, w jednym wielkim obozie międzynarodowego socyalizmu.

Na tem polu okazuje się Engels jako niezrównany, mądry i przezorny polityk, który zna szczegółowo stosunki polityczne i społeczne każdego kraju, zna jego literaturę i historję i może służyć cenną radą. Engels przyswoił sobie wszystkie ważniejsze języki europejskie i czytał również rosyjskie i polskie pisma i dzieła. Jeszcze w r. 1892, proszony przez naszych towarzyszy w Londynie o napisanie przedmowy do drugiego polskiego wydania »Manifestu komunistycznego« pisał Engels:

»Szybki rozwój polskiego przemysłu, przerastającego o głowę przemysł rosyjski, jest nowym dowodem niespożytej siły żywotnej polskiego ludu i nową gwarancją przyszłego odrodzenia narodowego. Odrodzenie zaś niezależnej, silnej Polski jest sprawą, która nietylko Polaków, lecz wszystkich nas obchodzi. Szczere współdziałanie międzynarodowe ludów europejskich jest możliwem tylko wtedy, gdy każdy z tych ludów u siebie

w domu jest zupełnym gospodarzem. Rewolucya 1848 r., która pod sztandarem proletaryatu, bojowników proletaryatu tylko do wyciągania kasztanów z ognia dla burżuazji doprowadziła, przez wykonawców swego testamentu: Ludwika Bonaparte i Bismarka, zapewniła niepodległość Włoch, Niemiec i Węgier; Polskę zaś, która od 1790 r. dla sprawy rewolucyi więcej zrobiła, niż wszystkie te trzy narodowości razem wzięte, pozostawiono samej sobie, gdy w 1863 r. upadała pod dziesięćkroć potężniejszą przemocą rosyjską. Szlachta nie potrafiła ani utrzymać, ani uzyskać niepodległości; dla burżuazji jest ona dziś co najmniej obojętną. Może być ona wywalczoną tylko przez młody proletaryat polski, a w jego rękach jest bezpieczną. Albowiem robotnicy całej pozostałej Europy potrzebują niezależności Polski również, jak sami polscy robotnicy«.

Ta głęboka sympatya dla sprawy oswobodzenia Polski, jest wspólną wszystkim większym duchom, co chciałyby wywalczyć wolność i równość dla proletariatu Europy. Engels rozumiał, jak nikt inny, co dla Europy ludowej znaczy wolna Polska....

Praca półwiekowa odniosła już za życia wspaniałą nagrodę. Engels widział wzrost partyi socjalistycznych we wszystkich krajach; marzenia jego życia spełniały się i urzeczywistniały przed jego oczyma.

A w skromności swej, zdobiącej każdy większy umysł, Engels wszystkie te tryumfy przypisywał swemu zmarłemu przyjacielowi Marksowi i kiedy na kongrecie ostatnim w Zurychu nieskończone oklaski i radośne okrzyki witały 73-letniego starca na trybunie prezydyjalnej, Engels wskazywał ręką na wielki portret Marksa, zawieszony w głębi sali... Ale robotnicy wszystkich krajów wiedzą, że zasług tych dwóch ludzi nie można rozdzielać, że obaj są pamięci ich równie drogimi.

*

*

*

Ubiegłej soboty spalono śmiertelne szczątki Engelsa w krematorium londyńskim. Było to wyraźną wolą zmarłego.



Chłopska posiadłość w Galicyi.

Napisał W. Budzyński.

(Ciąg dalszy.)

III.

Przystępując do studyowania po-emancypacyjnej chłopskiej posiadłości, będziemy mieli w pierwszej linii do skonstatowania zjawisko nadzwyczaj szybko postępującego rozdrabniania się chłopskiej posiadłości i tendencję do koncentracji posiadłości wielkich.

Bezpośrednio z urzędowej statystyki nie możemy dowiedzieć się, ile mamy obecnie drobnych właścicieli ziemskich, ani jak wielkie są ich posiadłości. Tylko pośrednią drogą możemy dojść do potrzebnych nam cyfr. O liczbie właścicieli gruntowych możemy sądzić z liczby opłacających podatek gruntowy. Obie liczby nie różnią się wiele od siebie. Z powiększania się liczby opłacających podatek gruntowy, możemy wnioskować o powiększaniu się właścicieli. Liczba opłacających podatek gruntowy wynosiła:

w roku 1857 — 583.675

„ 18²³ — 1,569.844

„ 1891 — 1,662.915

Różnica między rokiem 1857, a 1891 wynosi 1,079.240. Odjawszy od liczby opodatkowanych liczbę wielkich posiadłości, otrzymamy liczbę posiadłości rustykalnych.

Ilość posiadłości liczących mniej niż po 100 morgów, powiększyła się w przeciągu 34 lat (1857 do 1891) z 576.011 na 1.659.813. Liczba wielkich posiadłości zmniejszyła się 2·47 razy, kiedy ilość małych zwiększyła się 2·86 razy. Wobec tego nasuwa się pytanie, czy równolegle z powiększeniem się liczby chłopskiej posiadłości zwiększyła się także i cała powierzchnia wszystkich drobnych posiadłości, t. j. czy proces ten odbywa się na koszt powierzchni wielkich wskutek ich parcelacyi, czy może na koszt powierzchni byłych drobnych posiadłości, przez ich stopniowe rozdrabnianie.

Powierzchnia tabularnej własności zmniejszyła się w przeciągu 25 lat (od 1863 do 1891) o 401.740 morgów, t. j. o 3% całej powierzchni kraju. Z tego 2% jest aktem czysto administracyjnej, a nie ekonomicznej natury. Jest

ono skutkiem zamiany serwitutów za grunty. W ten sposób przeszło do końca czerwca 1891 r. z posiadłości tabularnej na rustykalną 277.289 morgów ziemi. Oprócz tej parcelacji wielkiej posiadłości, mamy jeszcze drugą — z przyczyn społeczno-ekonomicznych. Zły i staroświecki sposób gospodarowania wielu właścicieli ciał tabularnych (a mianowicie pra-właścicieli, t. j. rodowej szlachty polskiej), doprowadza ich do finansowej ruiny, w ślad za którą idzie przechód w »obce« ręce, lub parcelacya. Ten upadek wielu większych posiadłości w Galicyi nie jest bynajmniej dowodem ekonomicznej niemocy wielkich gospodarstw rolnych, gdyż powyższemu losowi ulegają tylko te wielkie posiadłości, na których nie zastosowano najnowszych wymagań techniki gospodarskiej. Te wielkie gospodarstwa rolne, które tak są prowadzone, jak tego wymaga nowoczesna agronomia, buhalterya i które zastosowują się do konjunktur panujących na światowym rynku zbożowym, nie upadają, lecz owszem wzmacniają się i rosną. Do tej parcelacji wielkiej posiadłości, którą powodują przyczyny czysto ekonomicznej natury, muszą jeszcze zauważyć, że to rozpadanie się wielkich gospodarstw na małe nie jest dowodem wyższości drobnej gospodarki. Ono wcale jeszcze nie dowodzi, że drobno-chłopski sposób produkowania jest korzystniejszy od wielkopąńskiego. Wielka posiadłość nie dlatego się rozpada, że się tworzą nowe, drobne posiadłości, lecz na odwrót — drobne posiadłości tworzą się z konieczności, dlatego, że niektórzy finansowo zrujnowani właściciele latyfundiów nie znachodzą kapitalistów, którzyby odkupili całą posiadłość i muszą pozbywać się jej parcelami. To nie rozwija się drobna posiadłość, lecz rozpada się część — a mianowicie źle gospodarująca część — wielkiej. Do takiego wyjaśnienia powyższego zjawiska zmusza nas jeszcze to, że te pańskie parcele rzadko kiedy nabywają chłopi za pieniądź zarobiony na dotychczasowej ich posiadłości. Jeżeli chłop nabywa pańską parcelę, to zwykle za pieniądze zarobione po za gospodarką na swej własnej ziemi, a zwyczajnie zagranicą, n. p. w amerykańskich kopalniach węgla. Często kupują pańskie parcele ludzie, którzy rolnictwem dotychczas wcale się nie trudnili, jak n. p. dworska służba, drobni handlarze, a najczęściej żydzi- i chłopilich-
wiarze.

Statystyki parcelacji wielkiej posiadłości nie podają, gdyż ona niepełna i niedokładna. Lecz już z materiału zebranego i ogłoszonego przez Wydział krajowy widzimy,

że zwiększenie się całej powierzchni drobnych posiadłości jest znikająco małe, w porównaniu z obszarem rozparcelowanych przestrzeni wielkiej posiadłości.

Ta okoliczność pozwala nam z wszelką pewnością wnosić, że w rękach panów skoncentrowała się prawie taka sama przestrzeń chłopskich gruntów, ile pańskiej ziemi przeszło przez parcelację w ręce drobnych właścicieli. Obok zjawiska rozpadania się wielkich posiadłości na drobne, mamy zatem — neutralizujące je — zjawisko koncentracji drobnych posiadłości w wielkie, a prócz tego zjawisko koncentracji wielkich posiadłości w jeszcze większe latyfundię.

Jak to wyżej już podałem, całość powierzchni drobnych posiadłości wzrosła na koszt powierzchni wielkich od r. 1866 do 1891 tylko o 401.740 morgów. Ponieważ zaś wzrost liczby chłopskich posiadłości nie stoi w najmniejszym przybliżeniu do wzrostu ich całej powierzchni, musiał wzrost liczby odbyć się kosztem nie wielkiej posiadłości, lecz kosztem przeciętnej powierzchni drobnych.

Przyczyna tego, że chłopskie posiadłości tak się drobią, leży głównie w braku wielkiego przemysłu fabrycznego w Galicyi. W krajach, gdzie ten przemysł szeroko rozwinęty, ciągnie chłop, który ma za mało ziemi, aby z niej mógł jako tako wyżyć, do miasta i tu znachodzi materyalną podstawę swego bytu. W galicyjskiem mieście zaś, chłop nie ma czego szukać. Ustawa o włoścogostwie pilnuje tego, aby chłop siedział w domu i niepotrzebnych wycieczek do miasta nie urządzał. Ta rzadkość wysokich kominów tłumaczy nam nadmierne prze-ludnienie galicyjskich wsi w porównaniu z innymi krajami.

Na 100 mieszkańców w ogóle było w r. 1880 zajętych przy rolnictwie:

w Galicyi	77·87
w Austryi	58·82
w Czechach	45·25
w Węgrzech	26·74

W przeważnie rolniczych okręgach przypada na 1 kwadratowy kilometr dusz:

w całej Galicyi	99	(1890)
we wschodniej Galicyi	104	
w Węgrzech	49	(1880)
w Anglii	27	

Widzimy także, że kiedy w przemysłowych krajach pomimo wzrostu ogółu ludności zmniejsza się zaludnienie wsi, t. j. rośnie tylko ludność wielko-miejska i to kosztem wsi; w Galicji rośnie ludność wiejska szybszem tempem, niż ludność miast.

Dla unaocznienia różnic, podaję statystykę wzrostu ludności innych państw:

W Anglii stanowiła ludność		miast	wsí
		% ogółu ludności	
w r. 1871	64·7	35·2	
„ 1881	66·6	33·4	
„ 1891	71·7	28·3	

W Danii było ludności		w ogóle	rolniczej
w r. 1880	1,969.039	925.000	(46·9 ⁰ / ₀)
„ 1890	2,172.880	882.000	(40·6 ⁰ / ₀)
		przyrost 10 ⁰ / ₀	ubytek 6·3 ⁰ / ₀

Liczba rolniczej ludności w Galicyi wynosiła	
w r. 1880	— 77·86 ⁰ / ₀ ogółu ludności
„ 1890	— 78·18 ⁰ / ₀ „ „

W ośmiu powiatach podolskich rolniczych wynosił przyrost ludności w dziesięcioleciu 1880—1890 11·78⁰/₀, kiedy przyrost ludności całego kraju w tym samym czasie wynosił tylko 10·8⁰/₀ ogółu ludności. Przyrost ludności w największem mieście tej okolicy wynosił tylko 6·1⁰/₀.

Do miasta chłop nasz nie ma po co wędrować, do Ameryki piechotę nie zajdzie, musi więc ta szybko rozmnażająca się masa udawać przywiązanie do rodzinnej ziemi i pozostaje w domu. Ponieważ znów położenie naszego protetaryusza rolnego równa się co najmniej położeniu żebraka nie mogącego nic wyżebrać, staraniem każdego chłopą jest: utrzymać się w posiadaniu bodaj takiego kawałeczka ziemi, jaki potrzebny jest do wystawienia miniaturowej chałupki i do zasadzenia paru garnicy kartofli. Z tej to przyczyny dzieli umierający ojciec posiadłość swą na tyle części, ile ma dzieci. Oto przyczyny, które doprowadziły do rozdrobnienia chłopskich posiadłości aż do ekonomicznego absurdu, gdyż na tak małe części, że ani o racjonalnej gospodarce na nich, ani o wyżywieniu z nich rodziny gospodarza, dziś już mowy być nie może.

Na posiadłość nietabularną (t. j. chłopską) przypada:

Roli	5,886.308	morgów.
Łąk	1,179.456	„
Ogrodów	163.262	„
Pastwisk	1,078.183	„
Lasów	570.259	„
Stawów i bagien	4.413	„
Nieużytków	320.642	„
Przestrzeni zabud.	66.850	„

Suma . 8,269.873 morgów.

Na przeciętną galicyjską rust. posiadłość przypada morgów	Skapitalizowana war- tość tej przestrzeni w złr.		Czysty dochód katastr.	
	w Galicyi	w N. Austryi	w Galicyi	w N. Austryi
Roli . . . 3·0192	154·00	480·00	7·70	23·79
Łąki . . . 0·7287	31·00	94·73	1·54	4·73
Ogrodu . . 0·0101	1·10	3·54	0·05	1·76
Pastwisk . . 0·6662	12·40	22·38	0·62	1·12
Lasu . . . 0·3523	4·50	16·98	0·25	0·85
Stawów i bag. 0·0027	0·05	0·27	0·005	0·013
Suma bez nieużytków 4·7792	203·05	617·90	10·145	32·363

Dziś przypada więc na przeciętną rustykalną posiadłość 4·7792 morgów różnych gruntów, między którymi jest 3·0192 morgów najważniejszej kategorii uprawy, tj. roli. Czysty dochód katastralny takiej przeciętnej posiadłości chłopskiej wynosi w Galicyi 10 złr. 14 $\frac{1}{2}$ ct. Dochód z takiej samej posiadłości w Niższej Austryi wynosi 32 złr. 36·2 ct.

(Ciąg dalszy nastąpi).



≡ KOMUNIZM. ≡

II.

Na początku poprzedniego artykułu powiedzieliśmy, że stałem dążeniem kapitalisty jest płacić robotnikowi jak najmniej i że kapitał powstaje z nieopłaconej pracy robotnika t. zw. »nadwartości«. Tu warto zatrzymać się chwilę dłużej. Póki produkcyja stała na dawnym, średnio-wiecznym, niskim stopniu wytwarzania wyłącznie niemal dla własnych potrzeb lub tylko na zamówienie, póki producent, używający narzędzia »indywidualnego« t. j. zastosowanego do użytku przez jedną osobę, mógł być, i najczęściej w istocie był, właścicielem swego narzędzia pracy, póty otrzymywał on prawie cały dochód ze swej pracy, t. j. cały zysk z pracy dostawał się w udziale robotnikowi samemu.

Z chwilą jednak, kiedy wytwarzanie towarów stało się już nie wyjątkiem, ale regułą w produkcji, kiedy do wytwarzania tych towarów zaczęto używać wielkich zbiorowych warsztatów, wielkich zbiorowych narzędzi pracy (»społecznych«), kiedy z konieczności rzeczy — wobec istniejącej zasady indywidualnej własności prywatnej i prawa dziedziczenia — nastąpiła rozłąka między robotnikiem jako siłą roboczą, a narzędziem pracy, narzędzie zaś pracy stało się prywatną własnością człowieka obcego, kapitalisty, robotnik natomiast stał się właścicielem wyłącznie tylko własnej siły roboczej — z tą chwilą musiał nastąpić także podział zysków między kapitalistę, a robotnika.

Robotnik z dawnego bezpośredniego producenta i jedyne go właściciela wytworzonych towarów, stał się odtąd tylko dostarczycielem i właścicielem siły roboczej (jednego z środków produkcji), właścicielem towarów stał się kapitalista, właściciel reszty materiałów surowych i środków produkcji. Podobnie zaś jak materiały surowe, narzędzia i t. d. w pierwotnym swym stanie — zanim się dostaną do rąk kapitalisty-fabrykanta — są towarami, tak i siła robocza stała się odtąd towarem. Dziś robotnik sprzedaje swą siłę roboczą kapitaliście za pewną, z góry oznaczoną »cenę targową«, a kapitalisty następnie jest rzeczą z tej siły roboczej wyciągnąć jak najwięcej zysków. Kapitalista nie płaci nigdy robotnikowi za jego pracę całej sumy »wartości« towaru, który tenże w danym przeciągu czasu wytworzy, lecz płaci mu jedynie »cenę targową«, jaką ma w danej chwili na rynku siła robocza, jako towar. Cała zaś *różnica* między »ceną targową« pracy, a ową sumą wartości wytworzonych towarów, wpływa do kieszeni przedsiębiorcy. Ponieważ zaś »cena targowa« siły roboczej zazwyczaj nie przewyższa »wartości« siły roboczej, którą znowu stanowią koszty utrzymania robotników i t. d., przeto ową *różnicę między płacą roboczą, a „wartością“ towarów*, wytworzonych przez robotnika w opłaconym czasie pracy, nazywamy »nadwartością«.

Na zgarnianiu do własnej kieszeni »nadwartości« polega cały system kapitalistycznego wyzysku. Kapitalista najczęściej sam wcale nie pracując, a będąc jedynie właścicielem narzędzi pracy, gromadzi coraz większe, coraz liczniejsze kapitały, będące sumą mnóstwa takich »nadwartości«, czyli sumą nieopłaconej pracy setek tysięcy robotników; przy pomocy zaś tych nowych kapitałów zyskuje możliwość *wyzyskiwania* coraz większych mas proletaryuszy, zmuszonych do sprzedawania swej siły roboczej. Na tem

polega też właśnie cała niesprawiedliwość i niesłuszność istniejącego kapitalistycznego ładu społecznego.

Chcąc zapobiedz temu wyzyskowi setek tysięcy przez jednostki, żądają socjaliści zniesienia prywatnej własności środków produkcyi a zaprowadzenia *własności wspólnej, czyli komunistycznej*. To nasze żądanie napotyka na całkiem słuszny opór ze strony burżuazji samej, jak też i jej popleczników. Lecz przeciwnicy nasi prócz »opierania się« przeciwko socjalizmowi, próbują także z nim »polemizować«. Otóż przedewszystkiem słysząc o »komunizmie« zarzucają nam, że chcemy znieść zupełnie *własność osobistą*. Zarzut ten jest ważnym. Ważnym zaś jest on nie dlatego, iż podnoszą go nasi przeciwnicy i nie dlatego, że posiadanie własności osobistej jest »prawem świętem i nienaruszalnem«, uświęconem prawami i tradycją, lecz z zupełnie innych przyczyn.

Zapewne każdy nie raz już widział wróbla, który wtargnął do gniazdka jaskółki i mógł wówczas zauważyć, jak jaskółki gromadnie otoczyły to gniazdo i usiłowały z niego wypędzić napastnika; lud wiejski powiada nawet, że jaskółki zasklepiają napastnika za karę w gniazdku, które nieprawnie zajął. Jaskółki te bronią *swojej własności* — prawa własności indywidualnej do gniazdka, które sobie same, własną pracą ulepiły, bez niczyjej pomocy i nikogo przytem nie wyzyskując, od nikogo nie wyduszając »nadwartości«. Prawo jaskółek do posiadania gniazdka jest więc prawem zupełnie słusznem — naturalnem, tembardziej, że służy ono do *specyjalnego, indywidualnego użytku* jednej pary jaskółek. Komunizm również *nikomu nie myśli zaprzeczać* prawa »własności« do jego surduta, koszuli, łóżka, pomieszkania i t. p. przedmiotów czy to koniecznych potrzeb, czy nawet wygody lub zbytku, a tylko te rzeczy mogą stanowić przedmiot »osobistego« posiadania. Komunizm socjalistyczny żąda zaprowadzenia *wspólnej własności środków produkcyi i wprowadzenia wspólnej produkcyi, społecznie uorganizowanej*, ale nigdy żaden komunista-socjalista nie mówił jeszcze o *komunistycznym używaniu*; temsamem więc nie może komunizm znosić *własności osobistej*. Gdyby zaś koniecznie o to szło, to moglibyśmy nawet postawić twierdzenie wprost przeciwne. Zasada posiadania na własność osobistą rozmaitych przedmiotów użytku wtedy dopiero znajdzie prawdziwe i szerokie zastosowanie, kiedy nie będzie takich, którzy niczego niemal nie posiadają, którzy chodzą nadzy, głodni i spragnieni a śpią w ogrzewalniach

lub.... »na plantach«. Zasadę tę w życie wprowadzić potrafi tylko komunizm. Ale i to określenie dążności komunizmu nie zdaje mi się jeszcze dość dokładnem. W pierwszym bowiem rządzie rozchodzi się nawet nie o prawo posiadania na własność ziemi, fabryki, warsztatu, lecz o prawo produkowania za pomocą nich na własną korzyść, które to prawo, przy prywatnej własności środków produkcyi, musi być połączone z wyzyskiem cudzej pracy. Kapitalista, któremu by jego fabryki, choćby największe i najkosztowniejsze, nie przynosiły żadnego zysku, z pewnością wyrzekłby się posiadania takowych. Kapitał jest zupełnie podobnym do kuli śnieżnej, która jak długo spoczywa spokojnie, nie wzrasta wcale, lecz przeciwnie maleje — »topnieje!« i... nikomu też nie jest szkodliwą, ani groźną. Z chwilą jednak, kiedy ją zaczną toczyć, kula wzrasta coraz bardziej. Tocząc się z góry na dół kula wzrasta do ogromnych rozmiarów, zaczyna następnie, na podstawie naturalnych praw fizyki, biec coraz szybciej, olbrzymiejąc przytem do potwornych rozmiarów. Rosnąc, zabiera kula śnieżna ze sobą zrazu pojedyncze tylko płatki śniegu, lecz wkrótce porywa ze sobą całe masy, zagarnia po drodze napotkane mniejsze kule śnieżne, w końcu porywa kamienie, obala drzewa, niszczy domy. Wszędzie, którędy przejdzie lawina zostawia po sobie śmierć i zniszczenie... ale za to sama zolbrzymiała, urosła do potwornych rozmiarów! W końcu jednak upada gdzieś w przepaść, gdzie kończy się jej tryumfalny pochód i kończy się też jej bytność. Lawina rozbija się w miliardy cząsteczek a po niej pozostaje tylko gruz... Proszę pamiętać tylko, że wszystko to ma swoją przyczynę jedynie *w ruchu*. Gdyby mała kula śnieżna, a choćby i największa, *spoczywała*, nie urosłaby, ale przeciwnie *stopniałaby* a w każdym razie byłaby — gdzieś wśród puszczy śnieżnych *nieszkodliwą w swej beczynności!*

Zupełnie to samo można powiedzieć o nowożytnym kapitalizmie. Kapitał sam przez się nieszkodliwy, dopiero z chwilą kiedy się zaczyna poruszać — dostawszy się do rąk przedsiębiorcy — zaczyna się powiększać kosztem tysięcy, milionów mniejszych i większych egzystencji, które niszczy, wywłaszcza na własną korzyść, aż w końcu musiałby kiedyś zepchnąć całe społeczeństwo w przepaść najstraszniejszej anarchii. Mówiliśmy już o tem powyżej, teraz powtarzamy więc, że chcąc temu przeszkodzić, dążą socjaliści do komunizmu w dziedzinie produkcyi, który, uwzględniając to, co obecnie podnieśliśmy, ma na oku w pier-

wszym rzędzie odebranie kapitałowi jego kapitalistycznego charakteru, t. j. chce przeszkodzić wzrastaniu *prywatnego kapitału kosztem całego społeczeństwa, czyli chce odebrać kapitaliście prawo toczenia owej kuli śnieżnej — kapitału!*

Socjaliści tedy właściwie mówiąc o komunizmie nie myślą wcale nawet o odbieraniu komuś jego własności. Bynajmniej, ale ponieważ wówczas, kiedyby żadnemu prywatnemu przedsiębiorcy nie wolno było produkować, a produkcya sama przecież ustaćby nie mogła i nie śmiała, lecz przeciwnie byłaby prowadzoną przez całe społeczeństwo na korzyść tegoż społeczeństwa, więc wszystkie narzędzia pracy, fabryki i t. d., które również są wytworami pracy społecznej, musiałyby tem samem stać się własnością całego społeczeństwa. Jeżeli zaś chodzi o to, co się stanie z maszynami, fabrykami i t. d., które są obecnie »własnością prywatną« kapitalistów, lub co gorzej, co się stanie z własnością ziemską, to odpowiedź na to pytanie daje nam gotową już dzisiejsze państwo »kapitalistyczne«. Jeżeli dzisiejsze państwo, będące »reprezentantem« części narodu, może mieć prawo do wywłaszczenia kogoś z ziemi na rzecz dróg bitych i żelaznych, warowni, koszarów i t. p., to przyszłe państwo »socyalistyczne« będzie miało co najmniej to samo prawo. Jeżeli dziś ani jeden burżua nie zaprotestuje przeciwko pozbawianiu chłopu ostatniego kożucha, — a kożuch ten jest »osobistą własnością« i to »użytkową« biednego chłopca — na rzecz skarbu państwa kapitalistycznego, to wolno będzie kiedyś komuniście ze spokojnem sumieniem zatkać sobie uszy na jęki burżuazyi — której narzędzia gwałtu i wyzysku będą wbrew jej woli wykupywane na rzecz społeczeństwa!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tadeusz Reger.



Położenie społeczne

i dążenia kobiet z proletaryatu i burżuazyi.

I.

Kobiety, będące od wieków źródłem poetyckich natchnień, na których cześć wyśpiewywano hymny zachwyty i uwielbienia, w rzeczywistości również od wieków, jęczą pod jarzmem niewoli i do jakiegokolwiek klasy społecznej należąc, rodzą się zawsze z piętnem poniżenia na czole.

Zanim przeciwieństwa klasowe zdołały się jeszcze wyodrębnić, nim jeszcze istniała różnica między panem, a niewolnikiem, kobiety już popadły w niewolę mężczyzn, zostały usunięte od udziału w sprawach publicznych w zacisze domowe i skazane do pracy godnej zwierzęcia jucznego. Praca kobiety w rodzinie była bardzo uciążliwą, zwłaszcza wtedy, gdy handel i przemysł spoczywały jeszcze w kolebce, a wszystkie przedmioty potrzebne należało w domu wytwarzać. Wówczas to kobieta musiała nie tylko prząść, tkąć i szyć, ale warzyć piwo, pędzić wódkę, fabrykować świece i t. d.

Jak każda klasa uciśniona, kobiety nie miały żadnych praw, ale najcięższe obowiązki; jak każda klasa uciśniona były chowane w nieświadomości i niejako tresowane do posłuszeństwa, uległości, skromności i innych cnót, które tak bardzo wychodzą na korzyść.... wyzyskiwaczom. Z czasem zapomniano o tem, że stosunki zmusiły kobiety do tej ciężkiej pracy, która jakkolwiek konieczna i niezbędna, w oczach mężczyzn była czemś poniżającym i niegodnem i dlatego kobiety zaczęto uważać jako istoty niższe, dosyć dobre aby je robotą obarczać i niemi pogardzać. Charakterystycznym tego dowodem jest fakt, że na jednym ze soborów średniowiecznych debatowano nad tem, czy kobieta wogóle ma duszę.

Zaznaczyć jednak należy to zjawisko, że wszystkie średniowieczne, komunistyczne sekty religijne, jak np. begardzi, taborcy, albigensi itd., równouprawniały kobiety najzupełniej z mężczyznami. One były towarzyszkami mężczyzn, towarzyszkami, które równocześnie z nimi propagowały nowe hasła religijno-społeczne.

Z rozwojem wielkiego przemysłu i handlu powoli jedna czynność po drugiej z obrębu rodziny przeszła do fabryki: powstały przędzalnie, browary, i t. d. Skutkiem tego bogatsze kobiety zostały prawie całkiem uwolnione od tych rozlicznych zajęć w obrębie domu, kobiety z ludu zaś zostały z tego domu przemocą zupełnie wyparte. Wytwarzanie maszynowe było powodem tego przewrotu. Nie potrzeba już bowiem było specjalnego wykształcenia, ani też nadzwyczajnej zręczności i siły, aby mózdz pracować w przemyśle i dlatego tysiące kobiet zostało wciągniętych do fabryk i warsztatów. Dla przedsiębiorców było to bardzo korzystnem, kobiety bowiem nie tylko, że są do najcięższej i przedłuższej pracy przyzwyczajone, ale nadto są posłuszne, uległe, cierpliwe i znoszą wszystko prawie bez szemrania. Skutkiem

tego kontentują się one o wiele niższą płacą i godzą się na dłuższy dzień roboczy niż mężczyźni, którzy mają w sobie o wiele więcej poczucia godności i choćby nawet zmuszeni koniecznością, dają się tylko wyzyskiwać do pewnej granicy. Równocześnie ze wstąpieniem do fabryki, rozpoczyna się dla kobiety cała serya nowych upokorzeń i cierpień moralnych jak i fizycznych. Ma ona teraz bowiem podwójne zajęcie. Rano zanim pójdzie do roboty, a wieczorem gdy wraca do domu śmiertelnie zmęczona, musi się zająć gospodarstwem, uporządkowaniem domu i dziećmi. Z natury o wiele słabszej konstytucji niżeli mężczyzna, kobieta o wiele bardziej jest narażoną na chorobliwe skutki złych warunków pracy i natężenia, które nieodłącznem jest od kilkunastugodzinnego, monotonnego zajęcia. Złe skutki te potęgują się podczas ciąży i stają się nietylko zabójczymi dla matki, ale i dla dziecka, które w największej ilości wypadków przynosi ze sobą na świat zarodki choroby, albo wprost rodzi się nieżywe. Zaraz po połoгу, nie uzyskawszy jeszcze należycie sił fizycznych, biedna robotnica, pozostawiając noworodka na łasce losu i przypadku, musi spieszyć do roboty, aby miejsce jej nie zajęła inna współzawodniczka. O spełnianiu szczytnego zadania matki, które na nią przyroda włożyła, nawet nie ma mowy. Te same nieszczęsne warunki, skutkiem których robotnica wydaje na świat dziecko zwyrodniałe fizycznie, powodują jego zwyrodnienie moralne — pomnaża ono zbyt często liczbę zbrodniarzy, którzy mszczą się dotkliwie na społeczeństwie za wyrządzoną im niesprawiedliwość i krzywdę.

Z chwilą wstąpienia kobiety do przemysłu, rodzina robotnicza de facto istnieć przestaje. Rozbili ją ci sami, którzy szumne frazesy o świętości rodziny ciągle mają na ustach. Oni to uczynili z żon i córek współzawodniczek mężów i ojców, rozrywając brutalną dłonią najciaśniejsze związki rodzinne.

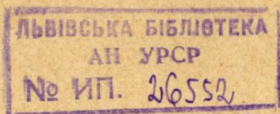
Pomimo tych wszystkich trudniejszych warunków, płaca robotnicy jest o wiele niższą od płacy robotnika i w ten sposób tragicznem tego następstwem jest zníženie płacy wogóle i powolne wypieranie mężczyzn z przemysłu. Jeżeli przeglądnijemy statystykę płac otrzymywanych przez robotnice, to wprost dziwić się należy, z czego te istoty żyją, jeśli nie mają rodziców lub krewnych, którzyby im mogli pomagać. Zważywszy te stosunki, nie trudno nam będzie pojąć, dlaczego właśnie z tej klasy rekrutuje się ta wielka armia prostytutek. Rozpacz i nędza zmuszają nieszczęśliwe

kobiety do tego haniebnego rzemiosła, które w obrębie dzisiejszego ustroju zostało uznane za złe konieczne. Tak samo jak tłumy proletariatu są niezbędne, aby garstka uprzywilejowanych mogła używać wszelkich dobrodziejstw cywilizacji, tak też i armia prostytutek stoi na usługi mężczyzn wszystkich klas. Przedsiębiorcy sami, którzy tak pięknie mówić umieją o moralności, z całym wyuzdanym cynizmem popychają robotnice do tego ubocznego zarobku. Fakta odnośne są zbyt znane, aby je tu powtarzać potrzeba było.

Pomimo te straszne skutki, praca w przemyśle o tyle zbawiennie wpłynęła na kobiety, że zbudziła je z wiekowego uśpienia. Z ciasnej izdebki wypchnięta została kobieta na świat szeroki, staje oko w oko z dorobkami techniki i cywilizacji, sama przyczynia się do ich wytworzenia, pracą swoją innym życie uprzyjemnia i zaczyna nareszcie rozumieć różnicę klas w społeczeństwie, odczuwać rażącą niesprawiedliwość, dziejącą się całej klasie proletariatu, z której kobiety tę krzywdę podwójnie odczuwają. We wszystkich centrach przemysłu robotnice połączyły się skutkiem tego z robotnikami, aby wspólnie walczyć o lepsze warunki pracy, o prawa polityczne i zmianę dzisiejszego ustroju.

II.

Nietylko kobieta z ludu cierpi pod jarzmem istniejących stosunków, nawet kobiety z burżuazji uczuwają żelazny obręcz społecznych przesądów i świdrujące je wiecznie niezadowolenie. Synom, choćby nie zawsze zdolnym, otwiera się na oścież wrota wiedzy, daje im się sposobność zużytkowania najróżnorodniejszych zdolności; w córkach natomiast tłumi się każdy objaw indywidualności, chcąc je gwałtem wtłoczyć w szablon »panny na wydaniu«. W tych sferach kobieta jest prosto towarem, który rodzice ekwipują stosownie, aby mógł znaleźć odbyt na rynku konkurencyjnym. Pomimo odczucia tych upokorzeń przez poszczególne, bardziej świadome osobniki, stan ten nie wywołałby może protestu masowego, gdyby nie zab czasu, który w postaci wielkiego przemysłu, wrywając kamień po kamieniu z dawnej budowy społecznej, przewraca i przemienia z gruntu wszystkie stosunki. Konkurencja, niepewność zarobku, coraz trudniejsze warunki życia wstrzymują wielką liczbę mężczyzn od ożenienia się, chyba gdyby posag żony umożliwił przyzwoite utrzymanie rodziny. Ta sama konkurencja i te same trudne warunki życia powodują coraz większy



upadek średniej burżuazji i dlatego panien z posagiem coraz mniej, a t. zw. »starych panien« coraz więcej.

Ta wielka instytucja ubezpieczenia na życie, czem było dla kobiet małżeństwo, zbankrutowała i odtąd kobiety musiały pomyśleć o innych środkach utrzymania. Z chwilą, gdy zapragnęły pracą własnych rąk i mózgów zarabiać na kawałek chleba, trafiły na dwie olbrzymie przeszkody, na opór opinii publicznej, a w szczególności mężczyzn, i na własne nieprzygotowanie. Gdy chciały się do czegokolwiek zabrać, ujrzały swą zupełną niemoc pracy w jakimś specjalnym kierunku i naraz te dotychczas potulne, posłuszne i skromne kobiety burżuazyjne, zaczęły na cały głos wołać o naukę, któraby im pracę umożliwiła, o otwarciu dla nich szkół zawodowych i uniwersytetów; zaczęły się dopominać o swoje prawo; zaczęły udowadniać, że są do każdej pracy zdolne, że pomiędzy kobietą a mężczyzną nie ma faktycznie żadnej różnicy itd. Ten ruch kobiet nazwano emancypacyjnym od słowa emancypacja, co znaczy wyzwolenie.

Burżuazyjne społeczeństwo powołało przeciwko zbuntowanym kobietom cały arsenał przesądów społecznych, wszelkimi siłami stawiając im opór i ośmieszając ich dążenia. Ta sama burżuazja, która kobiety z proletariatu zaprzęgnęła w jarzmo najcięższej pracy, teraz, gdy chodziło o własne córki, trzymała się wręcz odmiennej taktyki. Postawiła veto, motywując je odmiennem powołaniem kobiet i innemi, wrzekomo odwiecznemi, świętościami.

Istotnie trudno byłoby dopatrzyć się konsekwencji w tem wszystkim, co burżuazja mówi i robi, gdybyśmy nie byli w posiadaniu klucza, odmykającego nam najskrytsze tajniki każdego działania. Kluczem tym jest: *interes klasowy* *). W imię tego interesu zatrudnia się kobiety-robotnice, bo są siłą tańszą, dającą się o wiele lepiej eksploatować, a broni się kobietom burżuazyjnym wstępu do wyższych zawodów, bo ich konkurencja utrudniłaby jeszcze bardziej warunki bytu burżuazji. Jeżeli więc z jej argumentów odmotamy wszystkie wielkie hasła, któremi w imię zagrożonego porządku społecznego tak hojnie szafowano, wtedy okaże nam się z po za tych osłonek nagi szkielet interesu: obawa konkurencji. Obawa ta też była zupełnie uzasadniona — bo tak jak we fabryce, tak samo dzieje się we wszystkich zawodach, wszędzie kobieta jest siłą tańszą, która obniża płacę

*) Mówimy wyraźnie interes klasowy, bo ten nie zawsze musi iść w parze z interesem osobistym.

mężczyzny lub go też zupełnie wypiera. Jest to fakt wprawdzie dla poszczególnych jednostek tragiczny, ale tak samo jak nie będziemy zawodzili nad upadkiem drobnego przemysłu, tak samo zrozumiemy ekonomiczną konieczność tego ruchu kobiecego i uznajemy jego postęp wobec dawnego stanu rzeczy*).

III.

Zanim samodzielny ruch między robotnikami zdołał się jeszcze wyklarować, emancypantki burżuazyjne, walczące, w swoim zrozumieniu, o prawa dla kobiet wogóle, zagarniają pod swoje opiekuńcze skrzydła kobiety z proletariatu. Zgodny ich pochód nie trwa zbyt długo — po niejakiem czasie robotnice wyzwalają się z tej wysokiej i najwyższej opieki i idą swoją drogą, która leży na przeciwnym biegunie dążności kobiet burżuazyjnych. Fakt ten wytlómaczyć bardzo łatwo. Emancypantki, walczące o *prawa dla kobiet*, przypominają zupełnie reprezentantów młodej burżuazji, którzy sto lat temu walczyli o *prawa człowieka*. Są to abstrakcyjne wyrazy, którymi można się posługiwać w entuzjazmie walki, ale które w praktyce, w chwilach gdy teorię w czyn zamienić należy, okazują się czemś bardzo nierealnem. Prawo człowieka — skurczyło się do praw człowieka posiadającego — a prawo kobiet, zdobyte ręką kobiet burżuazyjnych — im jedynie przysługiwać będzie. Jestto właśnie wielką zasługą socjalizmu, że tak w teorii jak też i w praktyce ostro rozróżnia interesy klasowe i za pomocą tego tak czułego miernika jakim jest interes, na pewno może przewidzieć i przepowiedzieć czy i o ile spełnić się mogą obietniczki ideologów burżuazyjnych. Ci ideologowie (czy nimi będą reprezentanci mieszczaństwa podczas wielkiej rewolucyi francuskiej, demokracji z 48 r., czy też obecne emancypantki) marzą o jakimś harmonijnym i bratnim uścisku wszystkich klas i ponad temi głębokimi przepaściami, które dzielą jednego człowieka od drugiego (w tym stopniu, że są niepodobni do siebie, jakby nie byli mieszkańcami jednego kraju), chcą zarzucić most połączenia, utkany z filantropii i po części istotnie odczuty, po części obłudnych frazesów.

Socjaliści zaś zrywają te mosty, które burżuazya sztucznie zawiesiła i odsłaniają tę straszną, ziejącą przepaść,

*) Z pomiędzy trzech prowincyi polskich ruch emancypacyjny naj-silniejszą falą płynie w Król. Polsk. Mamy tego ślady nawet w literaturze, np. w dziełach Orzeszkowej.

którą stosunki kopią i powiększają bezustannie. W puch rozbijają frazesy o harmonii i zgodzie, a stawiają natomiast kategoryczne albo, albo. W takich chwilach, gdy się kwestyę stawia na ostrzu miecza, wszystkie idealne frazesy zanikają bez śladu i pozostaje tylko zagrożony w swym »stanie posiadania« rozjuszony i zgłodniały wilk, który rozszarpałby swego przeciwnika. Wyborną i typową ilustracją takich stosunków jest postępowanie polskiej lewicy sejmowej.

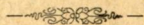
Tak samo jak pomiędzy burżuazją a proletaryatem, tak też i między kobietami tych klas nie może być wspólności: dążenia ich bowiem wychodzą z zupełnie różnych założeń i pomimo kilku punktów stycznych, cel ich jest zupełnie różny. Kobiety burżuazyjne wypowiadają wojnę mężczyznom, chcąc im wydrzeć wyłączne przywileje zarobkowania, swobody nauki, czasem nawet (ale to rzadziej) praw politycznych. Proletaryusze wprawdzie uznają znaczenie uniwersytetów i szkół dla kobiet, ale to nie może być alfą i omegą ich dążeń — uniwersytety dla nich nie mają żadnego znaczenia, bo na razie korzystać z nich nawet nie mogą. O możliwość pracy proletaryuszki dobijać się nie potrzebują, bo mają pod tym względem raczej za dużo, niż za mało i czując na sobie dotkliwie tego skutki, nie mówią, że mają te same zdolności co mężczyźni, ale żądają raczej, aby pracę kobietą zupełnie wykluczono z tych zawodów, które zabójczo działają na organizm kobiety lub jej przyszłego potomstwa.

Rewolucyjność kobiet burżuazyjnych ustanie z chwilą, gdy będą miały równe prawa z mężczyznami swej klasy i wówczas razem z nimi będą broniły swoich uprzywilejowanych stanowisk wobec napierającego tłumu zarówno mężczyzn jak i kobiet z proletaryatu. Wszystkie wielkie i piękne hasła o swobodę nauki, możliwość pracy w zawodach liberalnych, o prawo głosowania dla kobiet wogóle, skurczą się w praktyce do potrzeb kobiet burżuazyjnych jedynie. Jeżeli kobiety z proletaryatu idą nawet czas jakiś ręką w rękę z emancypantkami burżuazyjnemi, jak to np. miało miejsce w Austrii, Niemczech, a po części jeszcze w Anglii, to wkrótce rozdziela je sprzeczność interesów, która przebija wszelkie osłonki frazesów o harmonii i rozkłada je na dwa wrogie obozy, które mają bardzo mało wspólnego, a sprzeczności — całą przepaść.

Rozalia Niedźwiecka.



Kapitalizm a kwestya żydowska.



Nie ma może narodu, u którego by tak długo i tak dobitnie utrzymywała się solidarność między wszystkimi jego jednostkami i separacya od innych, okalających go społeczeństw, jak naród żydowski. Powodem tego były prześladowania, na jakie naród ten był narażony i które z drugiej strony przyczyniły się do owej niepewności egzystencji i co za tem poszło, do oddania się kupiectwu i spekulacyom pieniężnym. Kogo wypędzają z miejsca na miejsce, kto nie jest pewnym, czy jutro nie będzie zmuszonym zebrać manatki i ruszyć w inną stronę, jak to było z żydami w wiekach średnich, trudno by się oddał przemysłowi, a co dopiero rolnictwu. Dodajmy do tego okoliczność, że żydów nie dopuszczano do cechów i że przez to uniemożliwiono im oddanie się pracy przemysłowej, że zmuszono ich do noszenia jednakowych ubiorów, do mieszkania w odrębnych dzielnicach miasta; dodajmy do tego przesąd religijny żydów o wybraństwie narodu żydowskiego i o wyższości tegoż nad innymi narodami i całą tradycyę religijną, która ich jakby murem chińskim oddzielała od otoczenia chrześcijańskiego, a zrozumiemy, dlaczego żydzi tak długo żyli w odosobnieniu od tego społeczeństwa i co za tem idzie, dlaczego istniała i istnieje jeszcze ta wzajemna tradycyjna nienawiść między żydami, a chrześcijanami, dlaczego chrześcijanin każdy z nieufnością spoglądał na żyda, a żyd na chrześcijanina. Zrozumiemy wreszcie owe cechy uwydatniające żydów, ów spryt, który u wielu doprowadził do wyrobienia się osobnego niejako zmysłu, wykształconego i wydoskonalonego przez tworzący się w Europie kapitalizm. Żydzi nie byli początkowo kapitalistami na wielką skalę, przeszkadzało im w tem cechowe ukształtowanie społeczeństwa średniowiecznego. Oni jako drobni handlarze i lichwiarze podmulali i przygotowywali społeczeństwo feudalne do przewrotu, jaki miał zgotować kapitalizm. Czarni wysłannicy boga kapitału pokazali konserwatywnemu ludowi błyszczącą monetę.

Kapitalizm, który dotychczas zajmował stanowisko wyczekujące, w innem znalazł się położeniu, skoro z odkryciem Ameryki i drogi do Indyj wschodnich otworzył się dla niego olbrzymi rynek zbytu; rozwinął się on wtedy z nadzwyczajną szybkością, począł ogarniać coraz więcej

dziedzin życia, wstrząsnął światem feudalnym i formami rządu, które były już za ciasne na jego ciało, łaknące swobody w ruchach, aż formy te rozbiły się i pękły: wybuchła rewolucya francuska, wybuchły w r. 1848 rewolucye w środkowej Europie.

Kapitalizm teraz krzątał się na dobre. Pod hasłem wolności i równości począł wytwarzać nową erę w historii. Nastała »wolność« wyzysku, »wolność« umierania z głodu i »wolność« szalonej, bezcelowej produkcyi, ukrywająca się pod błyszczącym płaszczykiem »wolności handlu«.

Cóż wobec tego żydzi?

Wolność handlu, wolność produkcyi i zniesienie wszelkich lub wielkiej ilości węzłów średniowiecznych była jakby stworzona dla sprytnych żydów, a raczej dla małej liczby najsprytniejszych wśród nich szczęśliwców, którzy doszli do milionowych majątków i nieraz wstrząsali tronami monarchicznymi. Nie wolno już było jak dawniej przeszkadzać żydom w ich spekulacjach, nie pędzono ich z miejsca na miejsce; nie wolno było wprowadzić, jak to czynili cesarze niemieccy, pozostawić żydów w kraju, ale gdy sądzono, że kieszenie ich są pełne, wolno ich było obedrzeć ze wszystkiego i puścić na to, by po jakimś czasie to samo powtórzyć.

Z drugiej strony upadek cechów, które tracą coraz bardziej swą potęgę i siłę, jaką miały w wiekach średnich, otworzył żydom drogę do fabryk i warsztatów, do których pomimo oddziedziczonego wstrętu do pracy, wstąpić musieli. Odtąd wytwarzać się poczynął proletaryat żydowski.

Zastanówmy się teraz nad kwestyą ściśle połączoną ze sprawą, o której mówimy: nad antysemityzmem. Kapitalizm, którego cechą jest nadanie swego piętna wszystkim stosunkom życia ludzkiego, wywołuje, tam gdzie nie może jeszcze rozdzielić ludności na dwie wrogie sobie klasy i zgnieść stanów pośrednich, ferment, walkę konkurencyjną wśród drobnomieszczaństwa lub walkę tegoż upadającego drobnomieszczaństwa z wielkim kapitałem. Gdzie zastał jaki antagonizm np. między dwiema narodowościami lub wyznaniem religijnym, tam chwyta się tego antagonizmu i nadaje swój charakter.

Napotkawszy w środkowej Europie taki antagonizm religijny między chrześcijanami a żydami, zrobił swoje. Tak zwany antysemityzm nie jest już walką fanatyków chrześcijańskich z żydami, *lecz walką konkurencyjną drobnej burżuazyi chrześcijańskiej z wielką, lub z drobną burżuazyą żydo-*

wską. Pierwsza, tj. walka drobnomieszczaństwa chrześcijańskiego z *wielką* burżuazją żydowską ma miejsce w krajach, gdzie z jednej strony kapitalizm rozwinął się i reprezentowany jest w znacznej mierze przez takich Rotszyldów, Gutmanów, Bleichröderów, Hirschów i innych magnatów i kapitalistów żydowskich, gdzie z drugiej strony żydzi nie znajdują się w tak wielkiej ilości i w zbitych masach i gdzie *masy* żydowskie nie tworzą tak znacznego czynnika politycznego: np. w Niemczech, zachodniej części Austrii, we Francji; druga, tj. walka drobnomieszczaństwa i włościaństwa z *drobną* i *średnią* burżuazją żydowską ma miejsce tam, gdzie się te warunki nie znachodzą, gdzie przemysł mniej jest rozwinięty i gdzie w wielkiej ilości rozsiani żydzi trudnią się drobnym handlem, lichwą i drobnym przemysłem, jak np. u nas w Galicyi.

Klasy panujące, którym zależy na tem, żeby lud utrzymywać w ciemności i odwrócić jego uwagę od właściwego jego wroga, systemu kapitalistycznego i od jego nietylko obrzezanych, lecz i nieobrzezanych reprezentantów, pokazują drobnemu mieszczaninowi i chłopu żyda i mówią: oto twój wróg, oto sprawca twojej nędzy! Ciemny i upadający pod brzemieniem trosk, zajęty i wciąż myślący o niepewnem jutrze, trwożny o byt swój i swych rodzin »stan średni« słuchoa owych fałszywych przyjaciół i wre nienawiścią i gorczyżą już nie przeciw kapitalistom żydowskim, lecz przeciw żydom wogóle.

Ale kapitalizm, który jak widzieliśmy, walkę tę zastrzył i rozognił, sam kopie grób dla siebie. Poznaliśmy go już z kilku stron; wiemy mianowicie także, że zmusza każdego, a więc i żydów do ciężkiej pracy fizycznej. Dalszą ważniejszą jeszcze cechą jego jest ciągła dążność do zrywania wszelkich węzłów łączących dotychczas ludzi i do podzielenia ludzkości na dwie klasy: na klasę wyzyskiwanych i na klasę wyzyskiwaczy i co za tem idzie, do utworzenia solidarności, poczucia wspólności interesów w każdej z tych klas i do coraz ostrzejszej walki dwóch tych klas ze sobą, walki uciskanych z uciskającymi, pracy z kapitałem.

Zastosujmy to cośmy tutaj powiedzieli do żydów: Dotychczas chrześcijanie i żydzi byli dwoma wrogimi sobie obozami: w ręku pierwszych była przemoc fizyczna, drudzy musieli się bronić, wyrobionym warunkami historycznymi sprytem, nienawidzili swych wrogów i możeby, gdyby ci byli w ich położeniu tak samo z nimi sobie postępowali, jak tamci z żydami. Kapitalizm, jak powiedzieliśmy, wywła-

szcza masy, nie zważając na to, z jakich narodowości się składają i jaką religię wyznają, nadto kapitalizm łamie węzły solidarności narodowej i religijnej. Aczkolwiek sztucznymi sposoby starają się ci, którym na tem zależy, tj. wielka burżuazya chrześcijańska i żydowska, dalej stan ten, dla nich korzystny, utrzymać, to jednak udaje im się to coraz rzadziej i to tem rzadziej, m bardziej rozwija się przymysł, im bardziej się proletaryzują i ubożeją masy ludności.

Rozpoczyna się walka już nie tylko między proletaryatem chrześcijańskim, a burżuazją chrześcijańską i żydowską, lecz także między rozwijającym się proletaryatem *żydowskim*, a burżuazją żydowską; rozpada się ten silny, od prastarych czasów trwający gmach solidarności narodu żydowskiego, który coraz wyraźniej, choć jeszcze nieświadomie, dzieli się na dwa wrogie sobie obozy. Żyd-kapitalista już bardziej lgnie do swego nowego ochrzczonego brata, niż do swego dawnego »brata«, nędzarza żydowskiego, którego się pozbywa jałmużną. Nie pomagają tysiące barona Hirscha, Rotszylda i innych udanych filantropów, a rzeczywistych wyzyskiwaczy, chcących ruch ten hamować; antagonizm się rozszerza, potężnieje i przytłumiony bywa tylko ciemnotą czarnych mas żydowskich, ciemnotą straszną i odwieczną, tradycjami religijnymi i wytworzoną przez ciągłe prześladowania korupcją. Nie pomagają wreszcie marzenia żydowskich ideologów, którzy chcieliby połączyć żydów wszystkich krajów pod wspólnym »sztandarem syońskim« i podjąć otwartą i świadomą walkę z światem chrześcijańskim, a przytem torować drogę do Palestyny.

Co się raz stało, odstać się nie może, zwłaszcza, że proletaryat rozpoczyna przystępować coraz liczniej w szeregi socjalnej demokracji.

Socjalizm jest dzieckiem systemu kapitalistycznego, dzieckiem jednak, którego przeznaczeniem jest zgubić swą wyrodną matkę. To co kapitalizm przygotował na swą zgubę, co jednakowoż było koniecznym skutkiem jego rozwoju, to obejmuje w spadku socjalizm, korzysta z tego i obraca na swój cel. Zadaniem socjalizmu jest poruszyć te dotychczas nieświadome masy proletaryatu, natchnąć je ideą wolności i równości i pchnąć do walki z dzisiejszym »porządkiem«.

Kapitalizm zrównał wszystkich bezwłasnościowych, wyzyskiwanych — socjalizm ich organizuje, napawa odwagą i prowadzi krok w krok do lepszej przyszłości; kapitalizm nie litował się nad nikim *bez wyjątku* — socjalna demo-

kracya bierze w swe objęcia wszystkich uciśnionych *bez wyjątku* i bez różnicy; kapitalizm usuwał powoli i *bezwiednie* nienawiść wzajemną żydów i chrześcijan, wciągając ich pod jarzmo wspólnej ciężkiej pracy, obdarzając ich jednakową nędzą, jednakowym losem i... jednakowymi środkami obrony — socjalizm korzysta z tych środków obrony, łączy wszystkich proletaryuszy pod swój sztandar czerwony, znosząc tem samem *świadomie* różnice rasowe wśród klas pracujących. Własny interes jednej i drugiej strony zmusza ich do zgody, bo cóż bez zgody poczną? czy zdolają pokonać swych wrogów?

Rozszerzanie się socjalizmu wśród żydów leży w interesie proletaryatu nie tylko żydowskiego, lecz i chrześcijańskiego. Robotnik żydowski, który, jak wiadomo, pozwala się bardziej wyzyskiwać, dłużej pracuje i na mniejszą zgadza się płacę, bo nie ma tyle i takich potrzeb, co jego kolega chrześcijanin, robotnik ten nieświadomy — będzie paraliżował każdą do polepszenia bytu wiodącą akcyę swych kolegów i już nieraz zdarzały się wypadki, że przez ciemnotę żydów strejki upadały.

Jednakże, jak wiemy, sprawa się już polepsza. Socjalizm znalazł sobie przystęp do ciemnych mas żydowskich, najpierw na emigracyi, potem w kraju. W Anglii, a szczególnie w Ameryce północnej socjalistyczni robotnicy żydowscy stanowią jedną z najlepiej zorganizowanych, najpotężniejszych sekcji partii robotniczej socjalistycznej. Rozporządzają czterema pismami partyjnemi, z których jedno jest pismem politycznem codziennem (»Arbeiterstimme« — Głos robotniczy), drugie również pismem politycznem (»Gazeta wieczorna«), trzecie pismem naukowem (»Zukunft« — Przyszłość), a czwarte (»Gmeth« — Prawda), założone dopiero w maju br., ma za zadanie uprzyjemnić robotnikowi żydowskiemu chwile po pracy i walce i uprzystępnąć mu dzieła sztuki. Wszystkie te gazety wychodzą w żargonie.

Ruchu w Galicyi omawiać nie potrzebujemy, znamy go bowiem z naszych pism partyjnych; przypominamy tylko, że niedawnymi czasy założone zostały w Galicyi oprócz istniejących we Lwowie i Krakowie dwa nowe stowarzyszenia robotnicze żydowskie: w Kołomyi »Wahrheit« (Prawda), a w Przemyśle »Brüderlichkeit« (Braterstwo). W innych miejscowościach należą żydzi do istniejących towarzystw kształcących i zawodowych.

Poruszymy tu jeszcze na zakończenie dwie korzystne strony socjalizmu dla żydów.

Żydzi słynęli ze swego tchórzostwa, serwilizmu i kornienia się przed każdym nań wymierzonym batem. Socjalizm jakby różeczką czarodziejską elektryzuje te tłumy, rewolucjonizuje, dodaje im siłę i odwagi, o jakiej dotychczas sami nie marzyli. Czy się czemś różnią zgromadzenia socjalistyczne Żydów od zgromadzeń innych towarzyszy? Czy nie widzimy tego samego ducha, czy nie tę samą gotowość do walki ze swymi wyzyskiwaczami? Owe gromy rzucane z trybuny na barona Hirscha i innych takich bożków burżuazji żydowskiej, na których się już poznał proletaryat, często wyrażona solidarność z wszelkimi żądaniami robotników polskich, cały nieraz burzliwy przebieg zgromadzeń naszych żydowskich — wszystko to świadczy o potężnym wpływie socjalizmu na podniesienie poczucia godności u Żydów. Nie mówimy już o robotnikach żydowskich w Ameryce i Anglii, którzy należą do najbardziej rewolucyjnie usposobionych robotników w tych krajach.

Drugą okolicznością, którą podnieść mamy, a która wprawdzie dotyczy całego prawie proletariatu galicyjskiego, ale najbardziej Żydów, jest misja kulturalna socjalizmu. Wprawdzie sam socjalizm jest dopiero wynikiem pewnego stopnia kultury, ale z drugiej strony tam, gdzie cywilizacja się jeszcze nie tak rozwinęła, jak w zachodniej Europie, gdzie jednak stosunki ekonomiczne stanowią doskonały grunt dla socjalizmu, tam socjalizm wraz ze świadomością klasową przynosi ciemnym masom świadomość ich człowieczeństwa; zapala żądzą wiedzy i rozwiązywania najzawilszych kwestyi naukowych.

Jak tedy widzimy, rozwijający się wciąż kapitalizm, rozwiązuje choć w sposób straszny, drogą zalaną łzami i krwią wszelkie »kwestye«, więc i kwestyę żydowską, a pozostaje tylko jedna kwestya, kwestya wyniku walki kapitału z pracą, kwestya, z którą jakby z wielką rzeką strumyki i potoki, łączą się inne kwestye i która znajdzie swe rozwiązanie w zwycięstwie socjalizmu.

Z.

N O T A T K I.

Według obliczeń statystycznych ilość spożytego przez rok mięsa wynosi na człowieka:

W Stanach Zjednoczonych . . .	139 funtów.
„ Danii	105 „

W Anglii	90 funtów
„ Francyi	64 „
„ Belgii	56 „
„ Niemczech	52 „
„ Szwajcaryi	51 „
„ Austrii	51 „
„ Rosyi	42 „

Wynagrodzenie i długość dnia roboczego w przemyśle tkackim w Europie:

	płaca	długość dnia roboczego.
Niemcy	1 złr. 40 ct.	11 godzin
Szwajcarya	1 „ 15 „	11 ¹ / ₂ „
Belgia	1 „ 45 „	11 „
Francya	1 „ 30 „	12 „
Czechy	— „ 75 „	12 ¹ / ₂ „
Anglia	2 „ 05 „	9 „



TOMASZOWA.

OBRAZEK.

(Dokończenie).

IV.

W kilka dni po opisanych zdarzeniach, zabrałem się uroczyście do uprawy ogrodu i w myśl wskazówek odjeżdżających gospodarzy, zakupiłem nasion jarzyn i kwiatów, wszystkiego obficie, by nie brakło — tak, że Tomaszowa zrobiła mi uwagę, gdy jej sprawunek pokazałem:

— Jej, to chyba na cztery lata pan już nakupił tego paskudztwa!...

Zawstydzony, tłumaczyłem jej, że lepiej kupić trochę więcej, aniżeli by miało braknąć.

Nająłem robotników do kopania i sadzenia w ogrodzie. Naczelne kierownictwo tego przedsięwzięcia i nadzór powierzyłem Tomaszowej, która, jak się okazało, więcej odemnie posiadała wiadomości o gospodarstwie rolnem, a w nagrodę za to dałem jej pod użytek dwie grządki.

— Niech też panu Bóg to nagrodzi — mówiła — oj, żeby to pan już naprawdę tu był gospodarzem, toby człowiek przecie lepiej jako mógł wyżyć. Już też ja się panu za to wywdzięczę; kartofle okopię i wyplewię co będzie trzeba.

Byłem z pomysłu mego bardzo kontent, zwailem bowiem z siebie obowiązek dbania o utrzymanie ogrodu, spuszczając się z wszystkim na Tomaszową.

Ona też ten ciężar na siebie wzięła w zupełności.

Wszystek czas wolny od posług i obowiązków stróżki spędzała z dziećmi w ogrodzie — co prawda, zdawało mi się, że więcej od matki zajmowały się plewieniem dzieci i dalej, zdawało mi się, że zamiast zielska i chabazi, wyciągały one młode marchewki i kalarepki, ale nie chciałem w to bliżej wglądać, uważając, iż specyałami tymi sztukowały skąpą żywność, którą im matka dawała. A skądże miała dawać więcej, kiedy lato było mokre, często całymi dniami lały deszcze, a w dni takie Tomasz nie nie zarabiał — a czasem jeszcze i trochę podpił.

Sama Tomaszowa, coraz bardziej zapadała na zdrowiu. Do dawnej duszności i kaszlu — przyplątało się łamanie w nogach, co przypisywać należało wilgoci, zaciekającej do niezaopatrzonej komory, w której nie było podłogi. Szczególnie w dni słotne, cierpiała z powodu tego reumatyzmu bardzo.

Zbliżała się jesień — czas zbiorów.

Było tego co widzieć. Fasolę szparagową jadłem aż do uprzykrzenia, ze mną cały dom, wszyscy lokatorowie wraz z Tomaszami i wszyscy znajomi; ogórków było mało, pietruszka wyrosła tak gęsto i poplątała korzenie, że o wydobyciu jej z ziemi nie było mowy. Kartofli było ze cztery korce, ale były niedobre i przefacyendowałem je z Tomaszową w ten sposób, iż za korzec moich kartofli zobowiązała się odkupić mi ćwierć korca lepszych. Prócz tego miałem jeszcze buraki — ale z temi to już nie wiedziałem co zrobić. Wieprza nie miałem, sprzedać nie było komu — darowałem je tedy Tomaszowej. Marchew — wedle relacji Tomaszowej — nie zeszła... Kalarepa była bardzo rzadka...

Słowem, bilans gospodarki mojej ogrodowej wypadł fatalnie — wydałem za robociznę, nasioną, sadzonki, kilkanaście co najmniej guldenów — plon nie wart był ani połowy.

Tomaszowa na swoich grządkach miała tylko fasolę, a to tyczną i pieszą i dynie...

Fasoli wyłuszczyła ze dwa garnce, a dyni ogromnych było ze dwadzieścia.

Myślałem nieraz o tem, co ona też robić będzie z temi dyniami.

Przyszedł na nie czas — wraz z jesienną słątą. Roboty nie było nigdzie można dostać, oszczędzić jakoś nie nie mogli — wzięli się tedy do dyni.

Codziennie rano widziałem Tomaszowę wraz z małą Kasią, krajające jedną z dyni na drobne kawałki do dużego blaszanego garnka. W garnku tym to się gotowało — potem zaprawiało się przypaloną mąką i zasypywało raz jaglaną kaszą, drugi raz hreczaną, dla odmiany zaś to zacierką, to kartoflami lub fasolą. Potrawa taka wystarczyć musiała za obiad i kolację przez jakie trzy tygodnie codziennie. Biedne dzieciśka codzien prosiły matki o zgotowanie czego innego, lub choćby o chleb — na nic to się jednak nie zdało. Dowodziła im, że harbuz bardzo zdrowem i dobrem jest pożywieniem — choć sama już jeść go nie mogła.

Nareszcie ustały słoty i nastąpiła pogodna jesień, Tomasz znów znalazł robotę — była to jednak najwyższa już pora, bo dyni więcej nie było.

Październik i połowa listopada minęły wśród dość korzystnych dla mieszkańców komory warunków, bywały wprawdzie czasami lekkie przymrozki — ale wschodzące słońce, przy dość stałej pogodzie, ogrzewało powietrze wcale dobrze.

Zwracałem kilkakrotnie uwagę Tomaszowej, aby szukała sobie mieszkania, gdyż łatwo zaskoczyć ich może niespodzianie ostre zima w komorze i znowu stać się może jakie nieszczęście.

Zapewniała mnie, że szuka mieszkania ciągle, ale w bliskości nic znaleźć nie może, a daleko od kamienicy mieszkania wziąć nie chce, aby nie stracić posług i stróżowania; dalej mówiła, że izba w której ubiegłej zimy mieszkali, będzie od 1. grudnia wolna, a choć tam wilgoć i zaducha, to jak nic innego nie znajdzie, będzie musiała znowu ją nająć i w niej prezimować.

Z każdym dniem sytuacja stawała się trudniejszą. Przymrozki coraz były silniejsze, a promienie słoneczne coraz mniej grzały. Dzieci Tomaszowej, zziębnięte, cisnęły się do kuchni, aby trochę się ogrzać, a nie miałem serca stamtąd ich pędzić, choć zawadzały i robiły dość hałasu — jak dzieci.

Pewnego wieczora, kiedy tak cała rodzina Tomaszowej zgromadziła się w kuchni dla spożycia wieczerzy, którą stanowiły kartofle z solą, a ona sama rozповідаła siostrze mojej o różnorodnych swoich utrapieniach i chorobach, zajęta przed dom dorożka, a w chwilę później weszła do kuchni rodzina gospodarza, wracająca ze wsi, po ukończeniu podjętej przez niego budowy nasypu kolejowego.

— Tomaszowa! a to co znowu nowego?! — zapiszczał gniewny głos gospodyni — ładny tu widzę porządek był, jak nas nie było. Całą dzieciarnię swoją tu sprowadziła, kto na to pozwolił? Zabierajcie się zaraz do domu — a wy Tomaszowa tu zostaniecie.

Tomaszowa wraz z dziećmi wśród tego potoku gniewnych słów, usiłowała ucałować ręce pani gospodyni, panu i panienkom, ale gospodyni ręki jej nie dała i weszła szybko do pokoju.

Dzieci Tomaszowej postawały skupione koło drzwi — i nie wiedziały co z sobą począć. Żal im było opuścić ciepłej izby i wyjść do zimnej, nie zbudowanej na mieszkanie zimowe dla ludzi, komory. Tomaszowa z mężem zносиła kufry i toboły.

Chciałem rozgniewaną gospodynię udobruchać, począłem jej tedy przedkładać, że nie widziałem w tem nic złego, by biedne dzieciśka trochę się ogrzały.

— Pewnie, pewnie, — przerwała mi gospodyni — trzeba było ich do pokoju poprosić i na fotelach pousadzać. Mają przecież swoje mieszkanie, czemu tam nie siedzą, tylko tu się pchają.

Przypomniałem sobie w tej chwili, że pozwoliłem Tomaszom zamieszkać komorę bez wiedzy gospodarzy i zrobiło mi się jakoś bardzo nieprzyjemnie.

— Właśnie, że obecnie nie mają jeszcze swego mieszkania, gdzieby mogli się ogrzać — odparłem zmieszany.

— Jakto, więc tu w kuchni mieszkają?

— Nie, w kuchni nie, ale w komorze, prosiła mnie o pozwolenie Tomaszowa, dlaczegóż nie miałem jej na to pozwolić — tłumaczyłem dalej.

— O, ślicznie pan tu gospodarował. już ja to widzę, człowiek się tu nie pozna, tak to pan wszystko urządził. Cemu pan nam o tem nie napisał — nigdybym na to nie pozwoliła! — mówiła wzburzona.

— Nie uważałem tego za rzecz tak ważną — a wreszcie cóż pani to może szkodzić? — rzekłem dotknięty tonem, jaki mówiąc do mnie używała.

— Co mnie to może szkodzić? — zapiszczała i byłoby niezawodnie przyszło do żywszej wymiany zdań między mną a gniewną panią gospodynią, gdyby nie wmięszanie gospodarza, który uspokoiwszy swoją małżonkę, począł mnie wypytywać o różne szczegóły mojej administracyi i oznajmił mi, że w najbliższym czasie dom sprzeda i przeniesie się gdzieś na małe miasto, na spokojne życie.

Gospodyni zaś wyszła do kuchni, wypędziła stojące wciąż u progu dzieci, a Tomaszowej wydała stanowczy rozkaz:

— Pamiętajcie, żebyście się do jutra wieczora razem z waszemi bachorami i manatkami z komory wynieśli, bo was każę na ulicę wyrzucić...

*

*

*

Następne dni miałem zajęte chodzeniem wraz z gospodarzem do urzędu podatkowego, tabuli, adwokatów itd., dla załatwienia różnych spraw. Męczyło mnie to niepomniernie, gdyż zawsze miałem pewien wstręt do tego rodzaju interesów. Nie widziałem tedy, jak przeprowadzka Tomaszów się odbyła — dość na tem, że za kilka dni — komora była już opróżniona.

Tomaszowa przychodziła dalej zamiatać około domu i spełniać posługi — często jednak musiała się zastępywać Kasią.

Gospodarz znalazł kupca na dom i w kilka tygodni wyprowadził się z niego, by zrobić miejsce nowemu właścicielowi. Z nowym gospodarzem nastał i nowy stróż.

Od tego czasu straciłem z oczu Tomaszowę na czas dłuższy.

Widziałem ją raz jeszcze. Było to już na wiosnę, w kwietniu lub maju.

Przechodząc ulicą, spostrzegłem dzieci Tomaszowej uwijające się około wozu drażkarskiego i wynoszące z mieszkania graty.

— Wy gdzie się wyprowadzacie? — spytałem dzieci.

— Na Bajki — odpowiedziała najstarsza Kasia.

— A gdzież mama?

— Mama słaba, była w szpitalu, teraz ją oddali do domu, na nogi stanąć nie może.

W tej chwili wyprowadził, a raczej wyniósł Tomasz wraz z furmanem, wybiedzoną i kaszlącą Tomaszową i usadowili ją na wozie, obok gratów.

— Cóż z wami Tomaszowa? -- spytałem patrząc na tę ruinę, tak bardzo do Tomaszowej z przed dwu jeszcze lat niepodobną.

Całuję rączki panu, — odpowiadała z trudem — źle, bardzo źle. Żeby się choć długo nie męczyć. Mój Boże, co się też z temi chrobakami stanie? — nie mogła mówić, zalała się łzami.

Wóz ruszył, a ja patrzyłem ze smutkiem za odjeżdżającą i jej biednymi chrobakami...

Przemęczyła się jeszcze przez lato, choć na nogi już więcej nie powstała. Siedząc w łóżku, czesała dzieci, łąła im ubrania, lub skrobała kartofle, które Kasia gotowała. Aż w jeden z ponurych dni listopadowych zakończyła się jej męka — a dowiedziałem się tego od jej męża, który przyszedł mnie o tem uwiadomić.

*

*

*

»Co się też stało z jej robakami?« — zapytasz może szanowny czytelniku lub czytelniczko. Stało się to, co z tysiącami podobnych dzieci. Kasia poszła w służbę i tej jeszcze najlepiej, choć ciężko musi pracować. Jedynastoletni Władek poszedł z ojcem »na drzewo« i pomaga zrzucać do piwnicy zrębane już polanka — a reszta poszła »między ludzi«. Jedną dziewczynkę przytuliła gospodyni rzeźniczka gdzie umarła Tomaszowa, a dwoje najmniejszych zabrała kuma, u której i Tomasz w ciasnej jej stancyjce zamieszkał.

Co z tego wyrosnie — trudno przewidzieć — zapewne tacy biedacy, jak ich rodzice, których życie nie zna szczęśliwej spokojnej młodości wśród pieczęci matki, a jest tylko pasmem trosk, cierpień a nierzadko i głodu.

Kto temu winien? Oni nie, to pewne!

Józef Hudec.



189

VIII

F S-97

Treść Nr. 7.

„Fryderyk Engels“ (wspomnienie pośmiertna
ska posiadłość w Galicyi“ nap. W. Budzynow
szy). — „Kunizm“ nap. Tadeusz Reger (re
Położenie społeczne i dążenia kobiet z proletari
azy“ nap. Rozalia Niedźwiecka. — „Kapitaliz
dowska“ nap. Z. — Notatki. — Fejleton: „
Obrazek, nap. Józef Hudec (dokończenie).

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód“.

„U OGNISKO“

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedźwieckiego.

12 szkiców na 15 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenu
meratorów „Światła“ 60 ct.

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„NAPRZÓD“. Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy
czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką po
cztową 90 ct.

„NOWY ROBOTNIK“, Lwów, Grand-Hotel (Pasaż). Wychodzi 1.
10. i 20. każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct.,
z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„DER ARBEITER“ (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Pi
smo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydow
skich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego
miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką po
cztową 40 ct.

„GAZETA ROBOTNICZA“. Organ polskiej partii socjalistycz
nej w Berlinie. O Andreassstrasse 78. A. — Prenu
merata kwartalna w Niemczech 1 mrk. 10 fen., za gra
nicą 1 mrk. 60 fen., w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„ROBOTNIK“ Organ polskiej partii socjalistycznej. War
szawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„PRZEDŚWIT“. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Zwią
zku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie.
Adres: „Dawn“, 7. Beaumont Square, Mill-End. Road.
London, E. — Prenumerata roczna 5 złr. 4, rs. (w ko
pertach).

ŚWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.

Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	— 50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie	2—	Rocznie	4 „

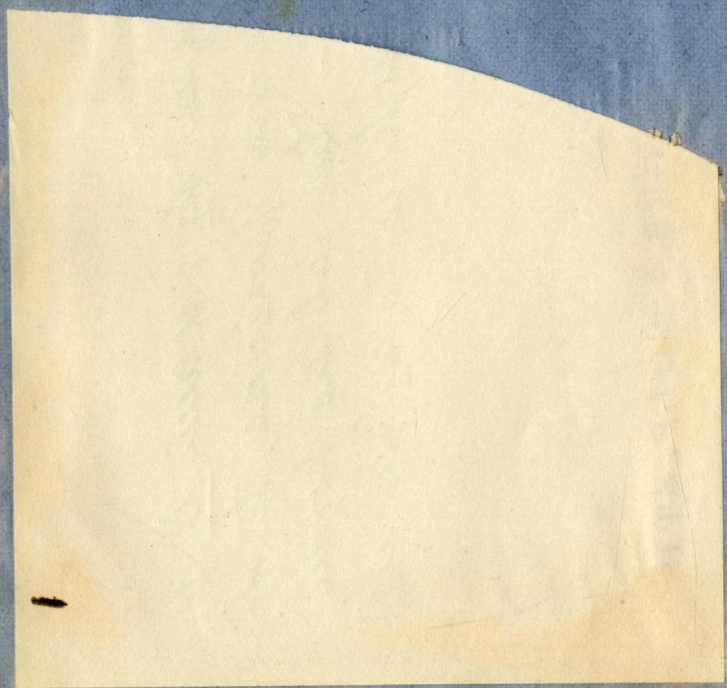
Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.

Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Płohna i Olszewskiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golłoba, Ossolińskich 15.





IV. Zjazd galicyjskiej socjalnej demokracji.



Wśród wrzawy wyborczej, wśród ognia nienawiści osobistych i żarcia się o mandaty, zwołuje partya zjazd do prowincjonalnego miasta, do Nowego Sącza. A na porządku dziennym: organizacya, agitacya i prasa, wreszcie „sprawa chłopska“. Dla burżuazyi naszej, która nigdy nie rozumiała znaczenia organizacyi i która pobijana na łeb przez kler i szlachtę, jeszcze z pod szlacheckiego obcasu wołała o „harmonii narodowej“, program ten zjazdowy nie nie mówi. Średnie nasze warstwy są tak ciemne i nieokrzesane w polityce, że dopiero kiedy na skórze bezpośrednio odczują pięść zorganizowanego proletaryatu, zaczynają krzyczeć na policie... Mówi się także o jakichś „socyalnych akcyach“, ale gdyby nie jezuici, którzy wlażą do burżuazyjnych stowarzyszeń z kropelką „socyjalnego oleju“ w swych mózgach, wszystko to nawet na farsę by nie wyglądało.

Organizacya i nowoczesna agitacya, operująca setkami tysięcy ludzi, nowoczesna wojna klas wśród pokoju, to są rzeczy, w których socjaliści bez przechwałek mogą się nazwać nauczycielami innych stronnictw w kraju. Z wyjątkiem oczywiście stańczyków, bo ci od początku innemi chadzają drogami, łącząc po przedpokojach kamaryli dworskiej, wydeptując sale audyencyonalne ministrów, namiestników i P. T. biskupów. Ale każdy, kto z jakąkolwiek częścią ludu

chciał jakiś program polityczny przeprowadzić, musiał naśladować wprowadzone przez nas formy agitacji i organizacji. Tacy np. „syoniści“ tem tylko żyją na zewnątrz, co z socyalistów podpatrzyli. Taki „związek chłopski“ także swoje pierwsze kroki stawiał na tle tych samych form odrębności programowej i organizacyjnej, a jeżeli ma coś większego wyniknąć z obecnego ruchu ludowego, to również musi on wyrobić w sobie tę ścisłą partyjną organizację i rozpocząć tę samą agitację, w jakiej wydoskonaliła się partya socyalno-demokratyczna.

Ale obok tej słusznej dumy, powinno uczestników zjazdu przejąć silnie jeszcze i to uczucie, że na gruncie galicyjskiej korupcyi i ciemnoty bohater-skich zaiste wysiłów potrzeba, aby prowadzić klasowy ruch robotniczy w duchu socyalistycznym, że nie wolno nam spocząć ani chwili, dopóki w miastach i miasteczkach wszystko co pracuje, co jest wyzyskiwaniem, co jęczy w biedzie i upokorzeniu, dopóki to wszystko nie będzie pod czerwonym sztandarem. Każdy zjazd niechaj w tej pracy wspólnej jedną doloży cegłę, a już spełni swe pożyteczne zadanie. Krok za krokiem rozszerzać, wzmacniać i pogłębiać szeregi zorganizowanych bojowników, to robota nie efektywna, ale na przyszłość zapewniająca nam w miastach pewne zwycięstwo. Niechaj nam złorzeczą zgraje wrogów, niechaj w zaciekłości miotają obelgami i niechaj nas nazywają „stojącymi po za społeczeństwem“, — organizacya robotnicza przetrwa te hałasy i wybuchy trwogi i w niedalekiej przyszłości wyrzuci „po za społeczeństwo“ całą gromadę pasożytów...

Ale miasta stanowią mniejszość kraju, mniejszość wprawdzie najwpływowszą, ale w rezultacie zbyt szczupłą, aby długo samodzielną politykę prowadzić mogły bez udziału chłopa, bez udziału wsi.

I tutaj staje przed nami w całej swej ważności „sprawa chłopska“, postawiona na porządek dzienny

zjazdu. Różne są zapatrywania na ten punkt wśród ogółu towarzyszy. Jedni chcieliby wypracować program dla chłopów, będący tylko przetłómaczeniem na wiejski język programu industrialnej armii robotniczej. Inni snują mniej lub więcej aktualne plany odrodzenia gminy, podczas gdy drudzy chcieliby największy ciężar położyć na państwo. Są wreszcie i tacy, co dręczeni zarzutami niekonsekwencji, chcieliby przejść na razie do porządku dziennego nad tą sprawą i wy-czekać dalszego rozwoju wypadków.

Nie moją rzeczą jest ubiegać sąd zjazdu; nie straszy mnie również różnica zdań w dyskusyi. Wskazuje ona bowiem, że najpierw same stosunki społeczne w tej dziedzinie nie są jasnymi, a wreszcie, że towarzysze biorą sprawę seryo i nie uchwalą martwego szablonu, któryby pięknie może brzmiał literacko, ale zrobiłby fiasko w praktyce. Dla wielu także wskazaniem się zdaje powolne rozstrzyganie sprawy z powodu, że przecież na przyszły rok 1896 zwołanym jest światowy kongres socjalistyczny, na którym w pierwszym rzędzie będą omawiane programy agrarne.

Dla nas zaś, pracujących wśród polskiego ludu Galicyi i Szląska, nie obojętną także rzeczą będzie, jak się w innych dzielnicach Polski towarzysze nasi na tę sprawę zapatrują. Nasi rusińscy towarzysze mają zadanie łatwiejsze: najpierw nie mają oni organizacyi partyjnych w miastach, a zatem nie potrzebują dbać o całość ruchu proletaryatu w mieście i na wsi, a następnie nie mają oni organizacyi zwartych na Ukrainie i nie mogą liczyć się z formalną stroną rzeczy.

Czy program „agrarny“, czy „agitacyjny“ w sprawie chłopskiej zostanie na zjeździe uchwalony, czy zjazd da inną dyrektywę partyi, w każdym razie rok przyszły powinien nas zbliżyć o spore stajanie do chłopów, powinien nawiązać te codzienne węzły towarzysko-partyjne, które potem stanowią podstawę wza-

jemnego zaufania. Wymiana spostrzeżeń i doświadczeń w tym kierunku na zjeździe będzie bardzo pożyteczną.

Nie myślimy się tutaj rozszerzać nad wnioskami, które pojawiają się przy poszczególnych obradach zjazdu, zaznaczymy tylko, że zjazd ten, to pierwszy, który się odbędzie na prowincyi, znającej w swych „wyższych“ klasach socyalizm tylko z karykatur gazdinowej lub bezmyślnej prasy galicyjskiej. Samem godnem odbyciem się, będzie on stanowił propagandę...

Życzymy czwartemu zjazdowi jak najpomysłniejszych obrad i spodziewamy się, że w myśl jego uchwał życie partyjne coraz szerszym prądem popłynie...



Chłopska posiadłość w Galicyi.

Napisał W. Budzynowski.

(Ciąg dalszy.)

Aby sobie ulżyć porównawczą operacyę, zredukujmy wszystkie rodzaje kultury, które składają się na ową przeciętną chłopską posiadłość do jednej wspólnej miary, którą niech będzie najważniejszy rodzaj gruntów, tj. rola. Ponieważ czysty, katastralny dochód z jednego morga roli wynosi 2·55 złr., a dochód z przeciętnej posiadłości chłopa galicyjskiego wynosi 10·74 złr., możemy przyjąć, że przeciętna posiadłość galicyjskiego chłopa wynosi 3·978 morgów roli (zamiast 4·78 mor. różnych gruntów). Ponieważ znów czysty dochód katastr. z 1 mrg. roli w Niższej Austrii wynosi 1·88 złr., równa się przeciętny galicyjski chłop-właściciel takiemu chłopu w N. Austrii, który posiada tylko 1·286 mrg. roli. Gdyby zaś przeciętny chłop w N. Austrii miał tak wielką posiadłość jak przeciętny chłop galicyjski, tj. gdyby posiadał 3·978 mrg. niższo-austriackiej roli, miałby dochody 3·09 razy większe, jak przeciętny galicyjski chłop; równałby się galicyjskiemu chłopu - „bogaczowi“, który jest właścicielem 12·292 morgów roli.

Pesymistycznie wyglądają te cyfry, a mimo to przedstawiają one materyalne położenie chłopca naszego w optymistycznie różowym świetle. Sądząc o materyalnych stosunkach większości chłopów, musimy wziąć na uwagę jeszcze to, że prawie w każdej wsi mamy kilku tak zwanych bogaczy, tj. chłopów, którzy posiadają po 10, 20 do 50, a czasem nawet i 100 morgów. Wskutek tego musi na resztę chłopów wypaść o wiele mniej, niż nasza przeciętna posiadłość. Jeżeli np. jakaś wieś ma 100 „numerów“, to według naszego rachunku posiadają wszyscy chłopci razem 397·8 morgów roli. Jeżeli zaś we wsi tej znachodzi się dwóch bogaczy mających po 50 mrg., jeden 30, a jeden 20, tj. razem 150 mrg., wypadnie na resztę 96 właścicieli 247·8 mrg. To znaczy, że 96% właścicieli ma przeciętnie nie po 3·978 mrg., lecz po 2·57.

Wypadałoby także pamiętać i o tem, że nie wszystkie grunta, które nazywają się rustykalnymi i które wliczyliśmy do przeciętnej chłopskiej posiadłości, należą do chłopca. Tylko niedokładność urzędowej statystyki nie pozwala mi przeprowadzić na chłopskich posiadłościach niektórych amputacyjnych poprawek. Przeciętna chłopska posiadłość wypadłaby jeszcze mniejszą, gdybyśmy odjęli od niej wszystkie grunta miejskie i inne rustykalne, lecz nie chłopskie ziemie. Do takich gruntów należy także 119.293 morg. roli 23.840 morg. łąk, 2.414 morg. pastwisk, 3.342 morg. lasu i 491 morg. ogrodu; razem 149·383 morg. gruntów „erekcyonalnych“. Te ziemie tworzą 1076 ciał gospodarskich, o przeciętnej powierzchni 89 morgów. Gospodarują na nich i ciągną z nich zyski nie chłopci, lecz proboszcze gr. kat. parafij. Tyleż, jeżeli nie o wiele więcej, rustykalnej ziemi należy do kleru łacińskiego i nieco też do ormiańskiego. To właśnie, że obliczając posiadłość chłopską, nie odjęliśmy jeszcze od rustykalnej posiadłości tych i innych podobnych gruntów, jest rękojmnią, że wynaleziona przez nas przeciętna nie jest tendencyjnie zmniejszona, że w rzeczywistości większość posiadłości chłopskich w Galicyi jest mniejszą jeszcze, niż nasza przeciętna. Dowodem tego niech będzie okręg skałacki, z którego posiadamy dokładniejszą statystykę. W roku 1882 mamy tam 20.277 właścicieli. Posiadłości niżej 5 morgowe wynoszą 70%, a posiadłości niżej 3 morgowe 59% wszystkich chłopskich posiadłości. Wliczone są tu już i gminne pastwiska, które nie przynoszą prawie żadnych dochodów.

W 1852 roku, kiedy Galicya posiadała tylko 793.970 chłopskich posiadłości, mieliśmy już 215.997 takich posiadłości, które miały mniej jak po 2 morgi. Ileż musi być takich posiadłości dziś, kiedy liczba wszystkich rustykalnych posiadłości potroiła się i wyrosła (do r. 1891) do wysokości 1,618.422!

Dla bliższej ich charakterystyki muszę zaznaczyć jeszcze to, że te chłopskie posiadłości w rzeczywistości chłopskimi już nie są. Po większej części chłop jest tylko nominalnym właścicielem swego gruntu. Rzecz ma się tak dlatego, że ziemia chłopska obciążona jest do połowy podatkiem, a do połowy lichwiarskimi czynszami.

Hipoteczne obciążenie rustykalnej posiadłości wynosiło

w r. 1868 . . .	465.513 złr.
„ 1878 . . .	15,155.479 „
„ 1888 . . .	43,523.542 „

Z całego obciążenia przypada

na rok 1868 . . .	0.32%
„ 1888 . . .	13.57%.

Cyfry te są dla mnie dowodem, że chłop starych długów nie amortyzuje, lecz co roku dokłada do dawnych nowe. W obec tego wyrastają te długi po nad wartość ziemi. Wtenczas ziemia przestaje być i nominalną jego własnością. Z rąk dawnego właściciela, przechodzi ona w ręce nowego — lichwiarza. Statystyka licytacji i zmian właścicieli tak przymusowych, jak i dobrowolnych, może nam dać przynajmniej w przybliżeniu obraz wzrostu prywatnych długów chłopów, które są nieprzystępne dla urzędowego statystyka. A te prywatne długi stanowią główną masę wszystkich długów chłopskich, gdyż kredyt hipoteczny jest tylko w bardzo małej mierze przystępny dla chłopów i długi hipoteczne są tylko drobną częścią wszystkich długów chłopskich.

Liczba publicznych licytacji wynosiła:

w roku	za sumę długów
1873 . . . 614 . .	153.808 złr.
1874 . . . 1.026 . .	289.851 „
od 1875)	
do 1884)	23.649 . . 7,010.167 „

przeciętnie na rok 2,394.9 za sumę długów 761,016.7 złr.

Przeciętnie na rok, w peryodzie lat od 1884 do 1888, zmienili się właściciele wskutek ich śmierci, na ziemi przedstawiającej wartość 2,130.811 złr., z innych przyczyn —

a niemi są lichwa i podatki — zmienili się właściciele gruntów wartujących 7,331.410 złr.!

Z wspomnianego czystego dochodu, z tych nędznych 10 złr. 14 $\frac{1}{2}$ ct. musi nasz właściciel chłop oddać wprzód »cesarzowi co cesarskie«. Gruntowy podatek wraz z najróżnorodniejszymi dodatkami do podatków, wynosi 50% czystego dochodu, a więc jak raz połowę. Profesor ekonomii we Lwowie p. Głabiński wspomina w swoich wykładach (r. 1893) o 191 gminach, które płacą podatków wraz z dodatkami więcej niż 100% czystego katastru rolnego. W tych więc gminach nie chłopci byli właścicielami, lecz państwo, a nominalni właściciele byli tylko państwowymi zarządcami swych gruntów i to zarządcami bezpłatnymi, dopłacającymi, gdyż podatki były większe jak dochody. Po zapłaceniu podatku gruntowego wraz z dodatkami pozostaje chłopu 5-70 złr., a po opłaceniu podatku domowo-klasowego (najmniej 1-50 złr.) 4 złr. i 20 ct. »Pieniądze« te, tj. tych cztery złotych i 20 centów — aby wydawało się więcej pieniędzy — ośm koron i czterdzieści groszy, ma wystarczyć na opędzenie kosztów, wynikających z przeniesienia własności, opóźnienia zapłaty podatków, kosztów egzekucyi, na opłacenie notaryusza, adwokata, sądu, szkoły, popa — za te pieniądze musi kupić Bogu świeczkę a djabłu ogarek, musi najać wartownika, robotnika drogowego (szarwarek) itd. itd.!

Jeszcze chłop nie załatwił się z »fiskusem« i wszelką »autonomią«, a tu już kłania mu się lichwiarz, ten straszny galicyjski lichwiarz! O! jego nie zbędziesz czemkolwiek...

Prywatny kredyt, a osobiwie chłopski, nie zna w procentach granic, w wysokości 50 do 100%, to umiarkowany procent. Zwyczajnie bierze wiejski lichwiarz 400 lub 500 od sta. Wyższy procent, tj. 1000, 1800, a nawet 2400 od sta, nie są rzadkością. Ostatnie procesy lichwiarskie tego dowiodły. Galicyjska lichwa na wsi, mogłaby na każdej światowej wystawie otrzymać palmę pierwszeństwa — złoty medal brylantami wysadzany. Procenty te płaci — a właściwie nie płaci, tylko dołącza do długu — prawie każdy chłop, gdyż rzadko który nie potrzebuje ratunku lichwiarza. Jeżeli nie pożycza pieniędzy na to, aby zapłacić podatek, to musi pożyczać na życie i to albo pieniądze, lub zboże, chleb, kartofle itp.

Faktycznym właścicielem ziemi jest ten, który pobiera z niej dochód. Poborcą dochodów ziemi chłopskiej jest państwo i lichwiarz — oni to dzielą się chłopskimi dochodami.

Chłop jest przeto tylko nominalnym właścicielem rustykalnej posiadłości.

Być może, że niejeden z czytelników zarzuci mi przesadę i tendencyjny pesymizm, dlatego, że śledząc za dochodami chłopa, wziąłem za podstawę mych obliczeń dochód »katastralny«, który ma być wielokrotnie mniejszym od rzeczywistego. Spróbuję więc szczęścia z innemi, realniejszymi cyframi.

Według wykazów ministerstwa rolnictwa, wynosiła wartość całej produkcji rolniczej w 1884 roku 374,048.507. złr. Odtąd zmniejsza się wartość ta z roku na rok i w roku 1889 równa się tylko 233,599.396 złr. W roku 1884 otrzymywał rolnik z jednego morga uprawnej ziemi przeciętnie 48.095 złr., w roku 1889 już tylko 30.17 złr. Gdyby więc przeciętny nasz chłop, który posiada 4.7792 morgów ziemi, wyniósł na rynek wszystko to, co jego ziemia w r 1889 zrodziła, otrzymałby 144 złr. 18 i $\frac{8}{10}$ centa. Dodajmy do tego parę złr. dochodu z bydła i drobiu, otrzymamy mniej więcej 150 złr. Na ewentualny zarzut, że za nisko obliczyłem ostatnią pozycję dochodów chłopskich, odpowiem, że cyfra ta jest przeciętną i jeżeli u jakiego chłopa dochód ów jest faktycznie większy, trzeba go w naszym rachunku zmniejszyć dla pokrycia braku tam, gdzie podobne dochody nie istnieją. Po drugie — dochód, jaki chłop czerpie bezpośrednio z bydła, już był raz wliczony w rubryce dochodu z roli. Pastwiska bowiem, łąki, a także i role pozostawione ugorem, nie dają chłopu bezpośredniego dochodu. Również słomy chłop nie sprzedaje, lecz zużywa ją w gospodarstwie głównie jako karmę i podściółkę dla bydła. Rzeczy te dają tylko pośredni dochód — jako częśćka dochodu z bydła, a częśćka ta została już wliczona tak w dochód katastralny, jak i przy obliczeniu wartości produkcji rolnej przez ministerstwo. Z tego też powodu musimy w rachunku naszym zmniejszyć rzeczywisty dochód z bydła, gdyż w przeciwnym razie dochód ten byłby dwa razy policzony. Zresztą nie myśl czytelniku, że Galicya słynie z wielkiej ilości bydła. Większa połowa chłopów wschodnio-galicyjskich nie posiada wcale bydła. Druga, mniejsza połowa — posiada skarlłowaciałe karykatury bydła.

Ten dochód 30.17 złr. z morga, jest dochodem przeciętnym wszystkich gruntów Galicyi, tj. tak rustykalnej jak dominikalnej posiadłości. Dowiedziona jest jednak rzeczą, że z powodu prymitywniejszego sposobu gospodarowania, dochód z roli chłopskiej jest co najmniej o 25% mniejszy,

jak z roli pańskiej. Z tego to powodu wypada nam odjąć od naszych przeciętnych 150 złr. przynajmniej 20% — dostaniemy zatem jako dochód przeciętnej galicyjskiej chłopskiej posiadłości 120 złr. Od tej liczby trzeba by odliczyć koszt uprawy, a należą do nich także koszt utrzymania robotników, którymi na chłopskiej posiadłości są właściciele z rodziną. A czy 120 złr. wystarczy na jej utrzymanie?! Dochód (brutto) z przeciętnej chłopskiej posiadłości nie wystarcza nawet na utrzymanie robotnika, tj. nie daje tyle, ile potrzeba *na pokrycie kosztów uprawy!* Przeciętna galicyjska posiadłość chłopska, *nie daje zatem żadnego czystego dochodu!* Czysty dochód, to same minusy, same weksle, spoczywające w szafach banku lub w zanadru pejsatego, lub niepejsatego lichwiarza. Aby wyżywić rodzinę i zapłacić podatek, musi galicyjski chłop-właściciel zarabiać po za gospodarstwem na własnej posiadłości, lub zadłużać się. Najczęściej jedno i drugie.

Otóż to jest ta prywatna własność ziemską, którą każą chłopom bronić od ataków komunistycznych »wywrotowców«. Chłop ma bronić tej własności, która należy do niego tylko nominalnie, która jest dla niego li tylko niewyczerpanym źródłem ciężarów i udręczeń. On ma walczyć — do ostatniego tchu o tę własność, którą on zbywa za połowę wartości i wynosi się do Brazylii, — którą on bez żadnej socjalistycznej agitacji dobrowolnie porzucił i uciekał za granicę do Rosyi.

Wobec tych faktów, jak bezprzedmiotowym i śmiesznym musi się wydać nam spór, jaki na gruncie galicyjskim do niedawna jeszcze toczył się między zwolennikami proletaryzacyi, a jej przeciwnikami. Półuczeni socjaliści, którzy wykształcenie swe teoretyczne zawdzięczają nie wyczerpującym dziełom socyologicznym, nie znajomości faktów konkretnych, lecz agitacyjnym broszureczkom, wierzą w nieuniknioną proletaryzację całej drobnej burżuazyi — a zatem i chłopów. Zdaniem ich proletaryzacyi tej, żadne ustawodawstwo, żaden akt indywidualnej lub zbiorowej woli ludzkiej, ani powstrzymać, ani spóźnić nie potrafi. Z tej fałszywej — po części — teoryi, ciągną oni jeszcze fałszywsze wnioski.

»Kiedy już sama żelazna konieczność historyczna proletaryzuje chłopą, nie pozostaje nam nic innego robić, jak tylko pomagać historyi. Im prędzej przemieni się klasa chłopska w bezwłasnościowy proletaryat, tem prędzej wybije dla kapitalizmu ostatnia godzina. Więc proletaryzujmy chłopą.

Każdy, kto odezwie się w obronie strzępów prywatnej własności chłopskiej, cofa w tył koło postępu, jest wsteczni-kiem społecznym«. Inni znów zajęli przeciwne stanowisko i bronią chłopskiej posiadłości. Między obiema stronami toczył się zażarty spór — rujnować, czy bronić chłopskiej własności! Argumenty pierwszych trąca zanadto doktrynerstwem, argumenty drugich, powodujących się raczej sercem, niż rozumem — naiwnością. — Oburzając się na »barbarzyńskie« poglądy agitatorów socjalistycznych zapominają, że więcej niż połowa galicyjskich chłopów, czułaby się nad miarę szczęśliwą, gdyby ich kto »pokarał« losem przeciętnego proletaryusza — robotnika zawodowego w mieście.

Ślepi jedni, ślepi drudzy. Pierwsi nie widzą, że u nas — oprócz panów, nie ma już kogo proletaryzować. A wy drudzy! — kogoż wy chcecie bronić od proletaryzacji — czy może panów?! Cały ten spór choćby on miał pozory uczoności, będzie tylko przelewaniem z pustego w próżne. Będzie sporem, czy zrobić, lub nie zrobić to, co już zrobiono. Dzisiejszego chłopą galicyjskiego można bezkarnie nazwać bezwłasnościowym, bo własność ta, która do niego jeszcze nominalnie należy, już go nie żywi. Nasz chłop »właściciel« żyje tak samo z pracy najemnej, jak i proletaryusz bezwłasnościowy. Cała galicyjska klasa chłopska, jest jedną wielką klasą najemników, która zmuszoną jest obrabiać pańskie latyfundya, zarabiać na siebie, na państwowe podatki, dodatki do podatków, na procenta lichwiarskie itp. Stosunek chłopów do agrarnych kapitalistów jest taki sam, jak stosunek miejskiego proletaryatu do kapitalisty miejskiego — z tą różnicą, że materialne położenie miejskiego proletaryusza jest częstokroć lepsze, jak położenie chłopów-właściciel. Zasadniczy przeciwnicy proletaryzacji kruszą kopie w obronie instytucji chałupników! Tych chałupników, którzy stanowią mało że nie połowę naszej drobnej posiadłości rolnej, którzy muszą pracować w najmach na to, aby państwu zapłacić domowo-klasowy podatek, tj. za prawo mieszkania w swym własnym domu, — który niegodny jest nazwy ludzkiego mieszkania.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Saint-Simon i Saint-Simonizm.

Szkic historyczny.



O kres przypadający na pierwszą połowę tego stulecia był głównie we Francyi czasem przełomowym. Rewolucya zwyciężyła feudalizm, nowa siła wybiła się na pierwsze miejsce: nie szlachectwo i urodzenie, ale kapitał, zmysł kupiecki i przedsiębiorczość przemysłowa dawały potęgę i znaczenie. Powstały nowe klasy, nowe antagonizmy klasowe i — co za tem idzie — nowe zagadnienia społeczne. Dodajmy do tego, że od rewolucyi spodziewano się ziszczenia hasła wolności i braterstwa, że zawiedziono się w tej nadziei, a zrozumieimy, dlaczego właśnie w tym czasie teorye i usiłowania, mające doskonałym uczynić ustroj społeczny, pojawiają się jedne po drugich — prześcigają się niemal wzajemnie.

Prawie w tym samym czasie, kiedy powieść Cabeta zapalała ludzi do komunizmu, kiedy Fourier błyskiem geniuszu przejrzał główne sprzeczności kapitalistycznego ustroju i kreślił plan takiego porządku, w którymby wszystkie nasze upodobania i skłonności znalazły zupełne zaspokojenie — potomek szlacheckiej rodziny, Henryk Klaudyusz hrabia de Saint Simon (ur. 1760 — um. 1825) postawił sobie za cel życia pracę nad udoskonaleniem cywilizacyi. — Tak jak astronomowie umieją już na podstawie badań obliczyć bieg gwiazd w przyszłości, tak historia powinna — zdaniem St. Simona — z zaobserwowanych wypadków przeszłych i teraźniejszych umieć wyciągnąć prawa na przyszłość. St. Simon chciał sprowadzić naukę historii na nowe drogi. Przed nim historycy francuscy silili się na literackie wypracowania, albo pisali dzieje królów i bitew, o uogólnieniach, wnioskach, mowy nawet nie było.

Siłą, która dziejami ludzkimi włada jest — wedle St. Simona — postęp, mocą którego to, co jest korzystniejszym, lepszym *dla ogółu*, zastępuje w historii formy gorsze i mniej korzystne. I tak: w starożytności panowały despotyczne rządy dla tego, że okazały się one korzystniejszymi od pierwotnego nierzędu i anarchii; niewolnictwo ustąpiło miejsca pańszczyźnie dla tego, że przedstawiała ona postęp. St. Simon był pierwszym historykiem, który pojął, że mimo cie-

mnoty i fanatyzmu średnich wieków, stały one kulturalnie wyżej od cywilizowanej starożytności. System pańszczyźniany, feudalny, upadł z kolei, bo ukazał się ludziom nowy, lepszy, bardziej pokojowy sposób życia — system przemysłowy. Feudalizm oparty był głównie na systemie wojny i rabunku — bieg rzeczy — wedle St. Simona — sam wskazuje ludziom drogę wyjścia z tego porządku, który sprowadza brutalność i gwałty. Wraz z nastaniem i rozwojem systemu przemysłowego stanowisko, jakie zajmowała władza wojskowa, przypadnie ludziom oddanym pracy owocnej i pokojowej — przemysłowi, a miejsce władzy teologicznej (duchownej), która siała ciemnotę i przesady, zajmie nauka i naukowe badanie. Nowy porządek, porządek przemysłowy przyniesie zatem pokój, dobre warunki bytu i postęp.

Fourier dostrzegał wyraźnie i głosił to, że nowy ustrój kapitalistyczny (w owych czasach był on jeszcze »nowym«) nosi w sobie zarodki walki klas, wyzysku i nędzy. St. Simon zdawał się nie widzieć tego — wschodzące słońce industrializmu, tj. wielkiego przemysłu olśniło go swoim blaskiem, w industrializmie dostrzegł on zbawienie ludzkości.

Fourier rozumiał już, że póki panuje system kapitalistyczny, póty o zbrataniu ludzi mowy być nie może — St. Simon zachwala indywidualizm, chce jednak zaszczerpić węć zasadę: kochaj bliźniego, jak siebie samego. Wogóle St. Simon nie pojmuje wszystkich następstw kapitalizmu, a nawet sam w zasadzie nie uznaje możliwości zniesienia różnic klasowych, które ludzi dzielą. Wedle niego istnieć muszą zawsze panujący i podwładni, rozkazujący i słuchający rozkazów choćby dlatego, że ludzie nie są równi pod względem uzdolnienia i energii — więc panować musi pewna hierarchia ducha.

W systemie przemysłowym, który społeczeństwu tyle korzyści przyniesie, najpotrzebniejszymi, a zatem najważniejszymi będą ludzie oddający się przemysłowi: fabrykanci, robotnicy i finansisci — wszystkich ich zalicza St. Simon do *jednej* klasy przemysłowców. Równie potrzebnymi są dla społeczeństwa ludzie nauki, którzy odkryciami swojemi przyspieszają rozwój przemysłu, jakoteż malarze, rzeźbiarze i poeci, których szlachetna sztuka podnosi cywilizację i uprzyjemnia życie współobywatelom.

St. Simon żąda zatem aby stosownie do korzyści jakie poszczególne klasy społeczeństwu przynoszą, udzielonym im był wpływ na sprawy ogółu: »dopóki kierunek sprawami »politycznymi, tj. sprawami przemysłowców, uczonych i ar-

»tystów, których ogół składa naród, powierzać się będzie »szlachcie, wojskowemu, duchowieństwu, legistom i próżniaczym właścicielom, których ogół tworzy »wielkie stowarzyszenie trutniów przeciwko pszczołom, dopóty zgoła niepodobnem będzie układanie budżetu prawdziwie ekonomicznego« *) — dlatego St. Simon proponuje rządowi francuskiemu, aby popierał przemysł i następująco zreformował parlament:

Parlament składać się ma z 3 izb; każda izba obejmować ma 300 członków. W pierwszej »izbie cywilnej« za»siadać winno 200 inżynierów cywilnych, a reszta malarzy, rzeźbiarzy i muzyków; w drugiej »izbie badawczej« jest 300 uczonych; a w trzeciej »izbie wykonawczej« obradują przedstawiciele każdej gałęzi przemysłu.

Chciał więc St. Simon ażeby w parlamencie pojęcia przechodziły tę samą drogę, jaką przechodzą w życiu: geniusze rzucają idee i tworzą plany, uczeni fachowcy badają ich praktyczność i wykonalność, a »klasa przemysłowa« wykonuje je.

Jeżeli plan parlamentu nakreślony przez St. Simona porównamy z pomysłami uprzednio przez nas przedstawionych utopistów, to okaże się, że w St. Simonie pokutuje duch szlachcica, przebija się pochodzenie od możnych panów feudalnych. Robert Owen pozostawia pracującym w New Lanark robotnikom wpływ decydujący na obchodzące ich sprawy np. nadzoru w pracowniach itd, Fourier ustanawia wprawdzie królów, namiestników itp., ale zapomina wymyśleć dla nich pracę — mieszkańcy falansterów nie potrzebują bowiem rozkazów, a nie zniosą ograniczeń, Cabet zaprowadza w Ikaryi nawet powszechne prawo głosowania. Zdawałoby się więc, że St. Simon, który bankierów, fabrykantów i robotników do jednej i tejsamej klasy zalicza — pozwoli im też wszystkim, bez różnicy w izbie wykonawczej zasiadać. Tymczasem znalazł się na to iście szlachecki wykręt: deputowani nie dostają dyet... — mogą nimi być zatem tylko ludzie bogaci.

Zaznaczamy zaraz, że to co nazwaliśmy wykrętem szlacheckim, było u St. Simona nieświadomem, było poprostu myślą odpowiadającą szlacheckiej krwi dziadów. Saint Simonowi nie chodziło o usunięcie, lub niedopuszczenie robotników do wpływu na sprawy polityczne, ale nie pomyślał o tem, że im się wpływ ten *należy*.

*) Listy do Amerykanina.

Jako głęboki badacz historii wiedział St. Simon, że religie są wytworem ludzi i że są koniecznym wyrazem potrzeb czasu, w którym powstały. Religia chrześcijańska odpowiadała — zdaniem St. Simona — wiekom średnim. Dla nowej ery przemysłowej będzie ona niedostateczną dopóty, dopóki nie tchnie się w nią ducha nowej filozofii. St. Simon wierzył, że religie i zawarte w nich dogmaty moralności niezbędne są dla ludzi — chciał więc religię katolicką przystosować do nowych warunków. W tym celu powziął myśl wydania olbrzymiego dzieła p. t. „Nowe chrześcijaństwo“.

Podstawowym, pierwszorzędnym i głównym dogmatem wiary ma być w nim (tj. w odnowionej rel. kat.) bratnia miłość ludzi nakazana przez Boga.

St. Simon był typowym utopistą, który nie zdoławszy zgłębić i odnaleźć przyczyn zła, nie usuwa ich, a jednak chce usunąć wyniki z nich złe skutki. Wierzył on, że w zachwalanym przez siebie industrializmie da się przeprowadzić zupełne zbratanie wszystkich członków społeczeństwa; chciał zachować nierówność klasową, choć opartą nie na nierówności posiadania, ale na różnicy uzdolnienia, a mimo to znieść chciał egoizm klas; dążył do ulżenia doli uciśnionych, ale bez walki, bez buntu, tylko za pomocą teorii miłości i zapału dla dobra publicznego, który nowa religia wzniesić miała w społeczeństwie.

Owen, Fourier i Cabet stawiają wiele żądań wspólnych dzisiejszemu socjalizmowi, zasługują w zupełności na miano socjalistycznych utopistów. St. Simon — jak widzieliśmy — długo socjalistą nie był, był historykiem, marzycielem i — jak sam mówi — industrialistą. Dopiero pod koniec życia, kiedy zajmował się wypracowaniem nowej religii — dogmata jej wpłynęły na niego stanowczo. Przejął się głębiej szczytnymi hasłami miłości, które chciał zaszczerpić w ludzi; uczuł braterstwo dla proletaryuszy i uciśnionych; wyraz „industrialny“ coraz częściej zastępował począł słowem „socjalny“ i głosił, że proletaryat nie potrzebuje niczyjej opieki, że jest politycznie dojrzałym.

Zrównać ludzi w społeczeństwie zdaniem St. Simona nie można dlatego, bo mają już wrodzone różnice zdolności. Wedle zdolności swoich — i tylko wedle nich powinni ludzie zajmować wyższe lub niższe stanowisko. Hasłem, które St. Simon pragnie widzieć urzeczywistnionem, jest: »każdemu podług jego zdolności, a każdej zdolności podług jej zasług«.

Nie dziw, że uczniowie St. Simona poszli na tej drodze dalej, że bardziej zbliżyli się do socjalizmu.

*

*

*

Wracając z pogrzebu St. Simona (1825) uczniowie i przyjaciele jego postanowili nie dać upaść jego naukom i utworzyć związek w celu ich szerzenia. Podnieśli więc wysoko sztandar Nowego Chrześcijaństwa, słowem i pismem szerzyli religię miłości, która złączyć miała ludzi w jeden wielki, bratni związek.

Do St. Simonizmu garnęła się głównie młodzież szkół wyższych, szczególnie politechniki. Młodzi przyrodnicy, którzy odrzucili byli wiarę w dogmaty kościoła katolickiego, a byli zanadto w uczuciu religijnem wychowywani, aby zostać ateistami, tj. zrzec się zupełnie wiary religijnej, przyjmowali z fanatycznym zapałem doktrynę St. Simonizmu, szczytną religię miłości, która nie przeczy zdobyczom nauki. Najlepsza część młodzieży ówczesnej, ludzie rozumni, pilni, uczciwi, zdolni ukochać szerokie ideały i oddać im zapał i siły, garnęli się pod sztandar St. Simonizmu. Największy jego rozkwit przypada na czas między 1828 — 1830 rokiem.

St. Simonisci większą od mistrza swojego uwagę zwracali na nędzę mas. Pracę najemną nazywali ostatnią formą niewolnictwa, nie widzieli w niej jednak następstwa kapitalistycznego ustroju, ale rozumowali: sprawiedliwym byłby taki porządek, w którym każdy wynagradzany jest wedle swoich zdolności i zasług. Dziś nikt wedle swoich zasług wynagradzanym nie bywa, bo panuje system *dziedzictwa*. Jedni ludzie choć są niezdolni i niezasłużeni, posiadają krociowe majątki, dlatego, bo je odziedziczyli, a inni, pracujący i zasłużeni, żyją i giną w nędzy, bo zrodzeni są z ubogich rodziców. Z jednej strony dziedzictwo mienia, z drugiej dziedzictwo nędzy — oto wedle St. Simonistów — powód społecznego zła. Rozszerzając zatem zasadę mistrza, wołają: każdemu podług jego zdolności, każdej zdolności podług jej zasług — precz z dziedzictwem!

Zagłębiając się w badanie społecznego ustroju, nabierali St. Simonisci coraz więcej socjalistycznych pojęć. Narzędzia, fabryki i to wszystko co nazywamy środkami produkcji, należy dziś do poszczególnych bogaczy. Ludzie ci mają jedynie swój prywatny interes na oku i wyzyskują robotnika ile się tylko da. Powyższą niesprawiedliwość usunąćby można tylko wtedy, gdyby środki produkcji były własnością państwa. Państwo bowiem musi baczyć konie-

cznie na dobro *wszystkich* swoich poddanych i nie może tak bezgranicznie wyzyskiwać robotnika, jak to czyni prywatny kapitalista. — St. Simoniści żądali już upaństwowienia środków produkcji, tak jak my tego dziś żądamy.

W dzisiejszym systemie produkcji wielu fabrykantów wytwarza te same towary. Każdy wytwarza ich jaknajwięcej, żeby mieć jaknajwięcej zysku. Skutkiem tego pojawia się od czasu do czasu na rynku więcej towarów, aniżeli jest zapotrzebowania na nie. Następuje więc zastój sprowadzający straty dla przedsiębiorców i zupełną nędzę dla robotników. Taki zastój nazywa się kryzysem. St. Simoniści dostrzegli już jasno, że tylko przez upaństwowienie produkcji można uniknąć kryzysów, bo żaden kapitalista nie może obliczyć, ile jego towaru na rynkach potrzeba, ile wytworzyli jego konkurenci itd., ale państwo, które po zniesieniu prywatnych przedsiębiorstw samo jedno ma zaspokoić wszystkie swoje rynki, może to obliczyć i nie wytwarzać ani za dużo, ani za mało towarów. Dlatego żądali St. Simoniści państwowego uregulowania produkcji — jest to też zupełnie socjalistyczne żądanie.

W dzisiejszym systemie produkcji każdy chciałby sprzedawać jaknajwięcej, ale ponieważ ludzie potrzebują tylko pewnej, ograniczonej ilości jakiegoś towaru, przeto im więcej jeden fabrykant sprzedaje, tem mniej sprzedawać będzie drugi. Zysk jednego stanowi stratę drugiego. Interesa ich krzyżują się, dlatego są oni dla siebie wrogo usposobieni, podobnie jak dwa sklepiki leżące przy jednej ulicy. Trwa między nimi ciągła, cicha, ukryta, a zjadła walka: kto więcej potrafi wyzyskać robotnika, kto doskonalsze, szybsze zaprowadzi u siebie maszyny, kto zdoła lepiej pozyskać dla siebie publiczność — ten wyjdzie zwycięzcą, zdusi, zniszczy dziesięciu innych i wzrośnie w nową siłę do wyzyskiwania robotników i uciskania słabszych. Walka ta nazywa się walką konkurencyjną. Nazwalismy ją cichą i skrytą, a jednak historia uczy, że niejednokrotnie była przyczyną krwawych walk orężnych. Kapitałiści jednego państwa, starają się pozyskać dla swoich towarów rynki zbytu w innym, tam natrafiają jednak na konkurencyę tamtejszych przedsiębiorców. Tak jedni jak i drudzy wzywają więc do pomocy siły orężnej, wojska — a mogą to uczynić — gdyż z kogoż składają się dziś rządy, jak nie z przedstawicieli klas posiadających? — St. Simoniści zrozumieli, że ze zniesieniem prywatnych przedsiębiorstw ustać musi

walka konkurencyjna i wszelkie zło, jakie ona za sobą pociąga.

Nie tylko w powyższej wymienionych punktach zbliżyli się Saint Simoniści do dzisiejszych naszych żądań, podnieśli oni jeszcze jedną kwestyę, którą i my również podnosimy — kwestyę równouprawnienia kobiet.

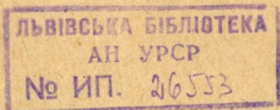
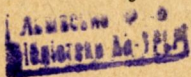
Cabet w swojej „Podróży do Ikaryi“ mówi także o polepszeniu doli kobiet — widzieliśmy jednak jak bardzo połowicznymi są w tej sprawie proponowane przez niego reformy. Saint Simoniści idą dalej od Cabeta. W adresie wystosowanym w r. 1830 do Izby francuskiej mówią: „Chrześcijaństwo wybawiło wprawdzie kobietę z niewoli, ale wtrąciło ją do poddaństwa — w całej chrześcijańskiej Europie jest ona wyklętą z pod praw politycznych, religijnych i społecznych. St. Simoniści głoszą ostateczne równouprawnienie i wyemancypowanie kobiety — ale nie chcą naruszać świętości chrześcijańskiego małżeństwa; przeciwnie, chcą ją utrwalić. Żądają oni zarówno z chrześcijanami, aby mężczyźni wolno było żyć tylko z jedną kobietą, ale głoszą, że żona zupełnie równą być musi mężowi. Religia Saint Simona kładzie koniec owemu haniebnemu kupczeniu, owej legalnej prostytutcy, która mianem ślubu uświęca potworne połączenie oddania się z egoizmem, roszum z nieświadomością, cnoty z upadkiem“.

Mimowoli nasuwa nam się na myśl nasze pierwsze porównanie planów utopistycznych z marzeniem młodzieńcem, utopisty — z młodzieńcem, który ledwie zamarzył, a już chce sen swój widzieć urzeczywistnionym.

Saint Simoniści sięgnęli też po ten owoc. W kilku miastach Francyi zakrzątnięto się żywo około założenia nowego kościoła — wymarzonego „państwa przyszłości“.

Okolo tego kościoła skupili się St. Simoniści na wzór pierwszych Chrześcijan. Nietylko, że uważali się oni wszyscy za jedną rodzinę, ale gminę swoją nazwali nawet „Rodziną“. „Ojcem“ tej Rodziny wybranym został najdzielniejszy i najzdolniejszy z ich agitatorów Enfantin, który najbardziej ze wszystkich skłaniał się do socjalizmu i najgorliwiej zajmował się kwestyą emancypacji kobiet. Od niego to pochodzi, że Rodzina obie te kwestye na pierwsze wysunęła miejsce.

Zadziwiającą była sprężystość, z jaką St. Simoniści propagandę zasad swoich szerzyli. Wydawano pisma, rozrzucono wydawnictwa ulotne, urządzano odczyty, wykłady,



dyskusye i występywano publicznie z pompą iście kościelną — nie brakło bowiem przepisanych strojów i odznak.

To jeszcze zwracało powszechną na St. Simonistów uwagę, że byli oni ludźmi wysoce uzdolnionymi. Wielu z nich zajmowało najprzedniejsze w kraju urzędy. Od nich np. pochodzi plan przekopania kanału Suezkiego i Panamskiego — plan, który sobie Leseps niegodnie przywłaszczył.

Mając „Ojca“, Rodzina szukała jeszcze „Matki“. Matka ta nie miała być oczywiście żoną Infantina, ale kobietą, godną zająć najwyższe w Rodzinie stanowisko. Wśród wielu oddanych sprawie i wykształconych kobiet, które do Rodziny należały, nie znaleziono dość wybitnej, dlatego 13 ludzi udało się nawet do Turcyi i do Rosyi, aby tam „Matki“ wyszukać, dziwne jednak, śmieszne i przesadzonego szacunku pełne zachowanie się ich wobec kobiet, spowodowało wydalenie ich z obu krajów.

Około połowy tego stulecia Rodziny St. Simonistyczne coraz bardziej chyliły się do upadku. Jeszcze w r. 1860 założono ostatnią, która miała już jednak tylko charakter stowarzyszenia wzajemnej pomocy i niedługo istniała. St. Simonisci przechodzili do socjalizmu — inni do industrializmu.

Nie dziw. Wielki przemysł rozwinął się tymczasem. Grunt dla socjalizmu był gotowy. Utopia stała się zbytęczną — ustąpiła miejsca świadomemu, żywotnemu ruchowi, który opiera się nie na marzeniu, ale na rzeczywistości i nauce, który zwyciężyć musi i coraz bliższym jest zwycięstwa!

Nawet Infantin, St. Simonista, przemianę tę dostrzegł, pisząc w r. 1853: „Kwestye społeczne nie są już jak w 1830 r., własnością młodych politechników, albo też, jak w r. 1848, młodych adwokatów bez spraw i lekarzy bez chorych, ale przeniknęły jeszcze niżej, krążą pomiędzy ludem w stanie atomów homeopatycznych i dostały się jeszcze wyżej, do burżuazyi, aromatem swym nieuchwytnym“ *).

Helena Rawska.



*) Cytowane w Limanowskiego: Ruchu społecznym XIX. w. str. 78.

LISTY Z FRANCYI.

Powrót do stanu natury.

W cieniu wysokiego drzewa, rosły jak dąb, barczysty gdyby olbrzymy kniei, stanął pierwotny galińczyk, półnagi, z kamienną siekierą za pasem. Na horyzoncie rysują się: Panteon, łuk tryumfalny Napoleona, obelisk placu Zgody, kolumny bonapartowskie, wieża Eiffel — widma milionowego miasta, wielkiej cywilizacji. A przed nim grupka ludzi, przedstawiciele stanów, na których kultura oparła się jak na kamieniach: górnik wychudły i złamany, robotnik wyschły, wieśniak o rękach szorstkich, urzędnik obrzękły od tłuszczu.

On zdrow i silny skrzyżował ramiona na piersi i nie może ukryć zdziwienia. Jego bracia, jego krewni tak skarleni, tak zwyrodniali! Czemu? — pyta. Ten z głową pochyloną wywołuje obraz życia nędznego, zatrutego kwasem węglowym i wyziewami siarczanymi w kopalni, ów opowiada o pracy w fabryce rtęci, gdzie po sześciu tygodniach padło nań skruszenie kości; wieśniak żali się na trud od rana do nocy, urzędnik na wieczne siedzenie i ruch jednej części ciała tylko, jednej ręki. „Reszta organizmu śpi w bezczynności, napływa w nią tłuszcz i żółć, wydzielona przez wątrobę zolbrzymiała wobec taniego trybu życia“.

Przez twarz galińczyka przebija się uśmiech, lecz wnet współczucie zajmuje jego miejsce. I mąż lasów z żalem wypowiada:

„Oto co wam, biedne stworzenia, daje postęp!“

Na drugiej i trzeciej stronie szereg obrazków objaśnia „Życie pierwotne na terytoryum francuskiem“. W głąb pieczary przez otwór naturalny zajrzało już słońko, w dali kołyszą się drzewa. Mieszkańcy groty budzą się ze snu, dziecko po główkę zaryte w siano śpi jeszcze, ojciec wstał narozkoszować się rankiem, żona podnosi się z łoża „ziemi, usłanej ziołami polnemi, okrytej skórami niedźwiedzi i jeleni“.

„Pozdrowiwszy wspaniały obraz przyrody pierwotnej człowiek wchłaniał fale świeżego powietrza i orzeźwiał ciało rzezną kąpielą. Potem wybierał się na łowy“.

Tu żubry, jelenie, dzikie konie schodzą do wody, inne przemykają się przez polankę. Gromada łowców uderza na nie znienacka, pada kilka zwierząt. I w południe cała rodzina zaspokaja głód przy ognisku, a wieczorem kobiety tańczą, mężczyźni śpiewają, las rozbrzmiewa weselem. Do walki z drapieżnym zwierzem wychodzi cały ród, zimą nie brak opału i ciepłe futro mile ogarnia i ogrzewa członki. „Średnio trwało życie za rządów przyrody sto dwadzieścia lat“.

Obejrzelśmy cały prawie numer bardzo ciekawego piśmka, które zaczęło ukazywać się kilka miesięcy temu pod redakcją Emila Gravelle'a. Wśród różnorodnych objawów niezadowolenia z istniejącego ustroju, wśród licznych prób wyzwolenia się z ciemnicy, po której ścianach i suficie uwija się robactwo, owa dążność powrotu do stanu natury należy do najcharakterystyczniejszych i najbardziej sympatycznych. Wrócić na łono przyrody, żyć na kobiercu traw, pośród chórów ptasich, zwierząt leśnych i jodeł boru, to najpiękniejsze marzenie, jakie poeta roić może. Stracić z oczu krzywdę i kłamstwo, cheiwość i zbrodnię dwunożnych zwierząt, to myśl, która zawsze opanowywa szlachetne umysły. I gdyby można skutecznie ją zrezygnowaniem z wieży Eiffla, maszyn do szycia i torpedowców, co byłoby za szczęście.

Nietylko obojętność i chęci zrzeczenia się zdobyczy cywilizacyjnych, ale nawet nienawiść ku nim, jest w naszych czasach zupełnie zrozumiała. Można dowieść, że jest płonna, że uderza w przedmiot zamiast w podmiot, ale należy umieć na chwilę postawić się w położeniu tych, na których wrażenia odbierane z zewnątrz tak silnie działają, że nie mogą ich uporządkować. Przypisywanie przez Gravelle'a w jednym z artykułów pisma swego „Stan naturalny“ (L'Etat naturel) wszystkiego co złe cywilizacji, począwszy od czasów egipskich, jest niesłuszne, jednak w znacznej części nieukontentowania jego ciągną soki z rzeczywistości. Idealizowanie czasów jaskiniowych także przesada, ale gdybyśmy zestawili życie człowieka społecznego i starokamiennego, nie wiem doprawdy, ku której stronie języcek wagi przechyliłby się.

Bądź co bądź, czy lekkie powiewy, o których pisze, przemieniają się w wiatr, chylący duże drzewa i grube konary, czy znikną zupełnie, historyk społeczeństw dziewiętnastego wieku będzie musiał nad nimi chwilę zatrzymać się. Bo nie są one osamotnione.

Utwór Zibera: „Społeczeństwo pierwotne“, doskonałe i treściwe jego spolszczenie przez Walczewskiego, Elizeusza Reclus: „Pierwotni“ (Les primitifs) i „Australczycy“ (Les Australiens), Corre'a: „Historia kolonizacyi“, dzieła prawdziwej wartości naukowej, napisane przytem przez ludzi myślących i nad tem, co ich otacza, nietylko, że zawierają miejsca podobne do Gravelle'owskich, ale samem ugrupowaniem i zestawieniem faktów za podobnemi opiniami przemawiają. Można odnaleźć różnice między niemi, ale o wiele więcej wykaże się wspólnego.

Należy zaznaczyć jeszcze fakt, że przez jakiś czas Emil Gravelle spodziewał się szybkiego urzeczywistnienia swych pomysłów. Jeden z właścicieli ziemskich w Owernii przyrzekł mu dać szeroki szmat ugorów górskich. Gravelle i kilku jego zwolenników, ufni w swe siły, zapewnili w wydanej do rodaków odezwie, że w krótkim czasie oddaną im ziemię przemienią na kwitnący obszar. Mieszkania miały być zastąpione przez groty, własność wspólna, źródłami żywności pole i las z jego roślinnością i zwierzyzną. Potrzeby odzieży i obóvia sprowadzone do najmniejszego stopnia. Natomiast ze zdobyczy artystycznych i literackich nic nie miało być uronione. Część dnia na pracę, część na zabawę i rozrywki; noc na spoczynek.

Odezwa wywołała odgłos, zwłaszcza w kołach literackich. Utalentowany poeta i nowelista Jan Ajalbert w kilku pismach podniósł plany Gravelle'a. Tem boleśniejszą była potem wiadomość, że obiecujący Owernijczyk przyrzeczenie cofnął. Lecz kółko nie dało za wygrane. „Istotnie — podnosi Ajalbert, ludzie, którzy wyznając sympatyczne zasady, starają się wprowadzić je w życie, bez szkody i ujmę dla drugich, którzy spokojnie i z wiarą w siebie chcą na miejscu starego nowy wznieść budynek, nie powinni być zapomniani, *ani też sami upadać na duchu*. Ich wysiłki mogą cząstkę przynajmniej uratować z topieli warunków bieżących“.

A cyfry, owe nieme oskarżycielki, podobne do biednych kobiet, które łzami tylko i zboląłą twarzą przemawiają, nie przestają wchodzić pod łuki areopagu i składać obwinienie tych warunków. Urzędowy „Biuletyn oddziału pracy“ (Bulletin de l'office du travail) np. podaje za kwiecień bieżącego roku wcale nie wesołe dane. Mówią one o fabrykach, które zawiesiły bieg, o zniżkach tu i tam wprowadzonych, o odruchach pracowników. Czterdzieści pięć

procent syndykatów uważa położenie w r. 1895 za gorsze, niż w 1894, 25% tylko za lepsze.

Na północy zwłaszcza, właśnie gdzie ludność najuboższa, niedostatek daje się srodze w znaki. W okolicach Donai górnikom zmniejszono płacę, ograniczono też ilość godzin trudu. Destylarnie i cukiernie zagrożone są w bycie, tkactwo w położeniu krytycznem: przy Cambrai tkacz za 12 godzin pracy zarabia 1 fr. 50 centymów! Przemysł wełniany ma się nieco lepiej, zegarmistrzostwo i szklarstwo bardzo źle. Drożyzna, piszą z okolic Fourmies, jeszcze trudniejszym czyni położenie.

Piekarzy bez pracy liczy się we Francyi 11%, cukierników 15%, szewców, rękawiczników, młynarzy 13%, bednarzy aż 29%! Z murarzy piąta część, ze szklarzy trzecia nie ma zajęcia. Przemysł szklarski upada zwłaszcza wskutek zmniejszenia popytu w Ameryce.

W departamencie Seine-et-Oise fabryka żelaza, zatrudniająca 200 robotników, zawiesiła wypłaty, w departamencie Somme tkalnia lnu, gdzie pracowało 300 osób, rozpuściła dwie trzecie, a resztę zatrzymała na czas bardzo niedługi. W Nièvre metalurgiści przebywają ciężko kryzys, w Creuse fabryki kobierców upadają jedna po drugiej, sama tylko miejscowość Felletin liczy 170 robotników od dwóch lat już bez pracy. W Saint-Etienne górnicy pracują tylko przez pięć dni w tygodniu, w Puy (Górna Loara) zajęci w fabryce koronek, zarabiają dziennie 30 centymów! W Algieryi liczba ludzi bez pracy sięga od 30 do 50 na sto.

Możnaby udziiesiękrotnić liczbę przytoczonych faktów. Wystarczają one do wzbudzenia przekonania, że we Francyi położenie ludu pracującego nie jest najlepsze. A jeśli się doda, że 15. kwietnia było na obszarze francuskim 57 bezroboci i że niektóre były nawet bezrobociami rządowemi, to dołączy się jeszcze wyraz pogardy dla tych, którzy mówią wiele o patryotyzmie, biją w dzwony, gdy okaże się, że flota jest nie pełną lub jakaś twierdza mało warowna, a o największej twierdzy i flocie, zapewnieniu pracownikom znośnego bodaj bytu i przywiązaniu ich tem do swoich form, nie myślą...

Paryż w październiku 1895.

Włodzimierz Bugiel.



Kwestya robotnicza.

Przez Dra Zofią Daszyńską.

Zagadnieniem społecznem, które interesuje dziś najszersze koła, jest bez wątpienia kwestya robotnicza, znana również pod ogólniejszą nazwą socyalnej. Wśród inteligencji, należącej zwykle do warstw posiadających, lub przynajmniej nie zajętych pracą ręczną, interes ten zdawałby się czysto-teoretycznym, składając niejako dowód naszego altruistycznego stanowiska wobec społeczeństwa. Uwaga poświęcona przez szerokie koła żywiołowi społecznemu, z którym nie wiąże nas żaden stosunek bezpośredni, żadna egoistyczna korzyść, świadczyłyby mogła o wysokim poziomie umysłowym i moralnym ludzi dzisiejszych, zadając kłam niejednemu zarzutowi egoizmu grup i jednostek.

Niema wątpliwości, że interesy społeczne, ogólnoludzkie w porównaniu z jednostkowymi coraz większego nabierają znaczenia, ale to ich znaczenie nie jest wyłączną, a nawet nie jest przeważającą pobudką, która skłania nas do baczego śledzenia za kwestyą społeczną. Kwestya robotnicza jest raczej naszą *osobistą* sprawą do jakiegokolwiek należymy stanu, czy klasy. Ogarnia ona dziś masy tak szerokie, że zostają zaledwie nieliczne warstwy po za niemi, lub ponad niemi i te, falą ogólną porwane, uczestniczyć muszą w owem przeobrażeniu wszystkich stosunków społecznych, na progu którego stoimy. Czy więc kwestyą społeczną w tej formie, w jakiej występuje ona dzisiaj, uważać będziemy za groźbę, czy za zapowiedź przyszłej ziemi obiecanej, jutro należy do niej w każdym razie. Każdy przeto, co swej osoby lub pokolenia nie uważa za całość oderwaną od ogólnoludzkiego szeregu, lecz za jedną tylko warstwę, jeden etap, który ludzkość przebyć musi w pochodzie swym naprzód, jutrem tem zajmować się musi i dbać o nie powinien.

Kto słyszał cośkolwiek o kwestyi robotniczej, wie, że stawia ona sobie przedewszystkiem zadanie sprawiedliwszego i więcej odpowiadającego celom społecznym podziału dóbr, że chodzi tu o wywalczenie lepszego bytu materialnego dla masy, o *kwestyą żołądka*, jak nazwał ją

w swoim czasie pastor Stephens, przywódca angielskich Chartystów.

Sprawy zdobywania bytu są do dnia dzisiejszego owem korytem, wśród którego poruszać się musi cały rozwój cywilizacyjny społeczeństwa. Nie są one bezwarunkowo *celem* dążeń ludzkości, ani celem dążeń jednostkowych być nie powinny, ale zakreślają granice, wśród których rozwija się zakres innych spraw życiowych. W obecnej zaś chwili, kiedy szerokie masy ludności dochodzą do świadomej oceny praw swych i stanowiska, jakie zajmują w wytwórczym życiu społeczeństwa, walka o lepszy byt materialny i sprawiedliwszy podział dóbr łączy się z poczuciem godności ludzkiej, z chęcią dorównania pod względem umysłowym innym warstwom ludności. Poddawanie się zorganizowanej i uświęconej prawem nierówności w obec dóbr materialnych uważa się już nie tylko za obojętność dla spraw kieszeni, lecz za dowód tchórzliwej bierności, wobec warstw silniejszych stanowiskiem i inteligencją.

Kwestya robotnicza jest wprawdzie w pierwszym rzędzie walką o korzystniejsze warunki bytu, ale walka ta jest zarazem drogą, po której masy dochodzą do uświadomienia swej siły i poznania środków, jakimi rozporządzają klasy posiadające. Walcząc zapoznają się one ze zdobyczami dzisiejszej kultury, a ponieważ tak jak wszystko inne związaną jest ona z dzisiejszym ustrojem kapitalistycznym i w wielu razach nosi jego ślady, szukają dróg nowych, poddając ją krytyce.

Faktem jest, że gdziekolwiek klasa robotnicza występuje jako odrębna partya, wszędzie dąży ona do zmian w ustroju politycznym, do udziału w życiu państwa na równi z klasami posiadającymi. Fakt ten, poparty przez programy partyj społeczno-demokratycznych Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych, przez bezrobocie robotników belgijskich, upominających się o zaprowadzenie prawa głosowania powszechnego, lub demonstracye robotników austriackich za temże prawem, świadczy, że ruch robotniczy nie tylko jest dążeniem do reform w dziedzinie ekonomicznej, ale obejmuje coraz szersze zakresy życia społeczeństw. Życie polityczne i ekonomiczne są to jedyne terytoria, na których walczyć można zwartym szeregiem, po za tem nauki i sztuki niedostępnymi były dotąd dla pojęcia i oceny masy. Względem tych dziedzin świadomości społecznej nie zachowują się przecież partye

robotnicze bynajmniej wrogo, a kwestya robotnicza jako idea znaleźć w nich tylko może potężnego sprzymierzeńca.

Przeciwnie, istnieją tysiączne dowody żywego zainteresowania i głębokiego przejęcia się ważnością spraw umysłowych. Nigdy chyba popularyzacya wiedzy nie objęła tak szerokich kół ludności, jak w naszym czasie w krajach zachodniej i środkowej Eurody, oraz w Stanach Zjednoczonych A. P. Zadanie ułatwionem jest przez powszechną umiejętność czytania i pisanie i zapał, z jakim robotnicy chwytają wiedzę w stowarzyszeniach samokształcenia, jako czytelnicy wydawnictw popularnych, abonenci pism i gazet. Uniwersytet robotniczy w Berlinie, który nadał sobie skromną nazwę szkoły (Arbeiterschule) od chwili otwarcia liczył 5000 słuchaczy. A nie zapominajmy, że słuchacze ci używać musieli na naukę skąpo wydzielony czas spoczynku, że ich spracowane i twarde ręce nie przywykły do trzymania pióra, a głowy nikt nie wdrażał w naukowe myślenie.

Uczestnicy organizacyj i związków robotniczych, a więc ta część klasy pracującej, która się zajmuje kwestyą społeczną, to już nie owa masa ciemna i pokorna, oddana wyłącznie pracy i trosce o chleb powszedni, ale raczej ludzie, którzy walczą pod sztandarem dążności klasowych, dążą do jasno nakreślonego celu, cierpią i boją się dla przyszłości.

Zdarzało mi się nieraz słyszeć na zgromadzeniach robotniczych przemówienia ludzi, których język i sposób wyrażania się zdradzały brak przyzwyczajenia do przemówień publicznych. Życie ich upłynęło wśród twardej pracy fizycznej, jako pionków wielkiej armii robotniczej, przecież podziwiać można było znajomość rzeczy, gdy przemawiali o swych potrzebach i żądaniach. Zachowanie się zgromadzenia było wzorowem, nawet nie porównywając go do scen, jakie tak często w parlamencie austriackim, czy francuskim mają miejsce.

Zapał do sprawy i przejęcie się nią pozwalały ludziom zmęczonym całodzienną pracą fizyczną przeciągać obrady późno w noc i brać w nich udział z natężoną uwagą. Kazały im nieraz mozolnie zbierać cyfry z gazet, czy broszur dla poparcia swego zdania, zapuszczać się w teoretyczne spory o wartości i nadwartości, choć takie rzadko się pojawiają na zgromadzeniach, rozstrzygających żywotne sprawy dnia. Zrobilibyśmy też krzywdę ruchowi robotniczemu, przypuszczając, że jest on wrogiem lub obojętnym dla sztuki i jej rozwoju. Zwolennicy jego rekrutują się prze-

cież przeważnie z ludu, a jakież upodobanie ma lud ten we wszystkim, co oddziaływa na jego zmysł piękna!

Stańmy np. obok wystawy rycin, czy sztychów w tej porze, kiedy robotnicy powracają z pracy do domu, a zobaczmy cały zastęp zatrzymujący się przed szybą, zwróćmy uwagę, jak poddają się działaniu muzyki, jakie powodzenie ma wierszyk przybrany w zręczną, a co lepiej, w dowcipną formę.

Ten zmysł piękna pozostawiany był dotąd samemu sobie, ale gdziekolwiek postarano się go rozwinąć, zwraca się on ku dziełom poważnym i klasycznie pięknym. Za przykład służyć może powodzenie, jakim cieszą się wśród robotników koncerta, złożone z utworów muzyki klasycznej, urządzane w Wiedniu, zapał, z jakim robotnicze pisma niemieckie witają każdy utwór takich dramaturgów, jak Ibsen, Hauptman, poetów rozumianych dotąd tak mało przez t. zw. inteligentną publiczność, należącą do warstw posiadających.

Szara masa, na którą częstokroć z pogardą, a częściej z obawą patrzy wykształcony i zamożny ogół, uspołeczniając się, przynosi zastęp sił umysłowych i życiowych nie zużytych, rozwijających się bujnie i wszechstronnie nawet wśród trudnych warunków dnia dzisiejszego. Czynem zaprzecza ona przepowiedniom owych socjologów, co straszą zalewem europejskiej kultury przez barbarzyńców z nizin społecznych.

I.

Kwestya robotnicza powstała na gruncie dzisiejszych stosunków ekonomiczno-prawnych i ściśle związana jest z gospodarką kapitalistyczną. Robotnik jest jej wytworem i różni się od pracowników każdej innej formy wytwarzania.

W rozwoju zaś dotychczasowym występują trzy odrębne gospodarcze typy, związane ściśle z ustrojem społecznym epoki, w której istniały: 1) Gospodarka oparta na pracy niewolników lub poddanych, jaką zna starożytność i wczesny okres wieków średnich. 2) Produkcya *drobna*, właściwa w przemyśle ustrojowi rzemieślniczemu, cechom, związana z samorządem miast i z wytwarzaniem dla najbliższych rynków zbytu, która charakteryzuje wieki średnie. 3) Gospodarka kapitalistyczna, właściwość naszego stulecia i drugiej połowy ośmnastego wieku, wytwarza towary w celu wymiany na odległych rynkach, rzuca masę wyrobów tanich w obrót, z celem ciągłego powiększania bogactwa i rozszerzania skali produkcji.

Każdy z tych typów gospodarczych nadawał odrębną fizyognomią okresowi, w którym przeważał i jego społeczeństwu. *Spółcześnieństwem* nazwać można tę część narodu, jeżeli spostrzeżenia nasze odnoszą się do pojedynczego narodu, lub ludzkości, gdy uogólnimy je, mając na myśli całą ludzkość, która świadomy udział bierze w sprawach interesujących całość. Zewnętrzne warunki takie jak forma rządu, rozstrzygają, czy udział ten będzie czynnym, niezależnie zaś od tego społeczeństwo interesuje się sprawami, stanowiącemi o bycie wspólnoty i jej przyszłości. Społeczeństwo to w mniemaniu swoim posiada szereg praw i obowiązków, które wytwarzają wzajemną spójnię wśród jego członków i kształtują rozwój dziejowy. Rozpatrując historią, dochodzimy do wniosku, że pojęcie społeczeństwa zastosować się daje do coraz szerszych warstw, świadomych swej przynależności do grupy, czuwających nad jej rozwojem, które przyznawałyby się do pewnych społecznych praw i obowiązków.

W starożytności społeczeństwo tworzą wolni obywatele, którzy czuli się panami zarówno istniejących dóbr materialnych, jak i niewolniczej masy wytwórców. Mówiąc o starożytności, mimowolnie mieć na pamięci musimy dwa społeczeństwa, w które cywilizacja starożytna wcieliła ideał swego bytu, Ateny i Rzym. Praca niewolników pozwalała obywatelom wolnym poświęcić się w obu państwach zupełnie sprawom ogółu. Nie było dotąd narodu, któryby równie wysoko, jak Ateńczycy, stał pod względem kultury i udziału wszystkich obywateli w jej zdobyczach. Mowy Demostenesa, podziwiane i przyjmowane entuzjastycznie przez ateński demos, nie byłyby zapewne dostępnemi w żadnem ze zgromadzeń ludowych dzisiejszych, pomimo powszechnego wykształcenia elementarnego, jakie zapewnia przymus szkolny na zachodzie Europy. Wyjątkowe to swoje stanowisko w dziejach kultury zawdzięczało społeczeństwo ateńskie swobodzie od pracy fizycznej i trosk materialnych, które ponosili niewolnicy.

Był więc zastęp poniżonych i wyzyskiwanych wśród narodów starożytnych, plama na tej kulturze, rozwijającej się na pozór tak pomyślnie i bujnie. Skoro istniała klasa niewolników, pozbawionych praw, wyzyskiwanych, uciśnionych i niezadowolonych, więc i starożytność powinna była mieć podstawę do wytworzenia t. zw. kwestyi socyalnej. Rzeczywiście zna ją starożytność późniejsza. Gdy liczba niewolników nadmiernie się powiększyła, gdy poczuli oni

swą siłę wobec słabszych liczbą wolnych rzymskich obywateli, rozpoczynają się krwawe powstania i buntury niewolników. Właściwą jednak klasą niezadowolonych byli obywatele wolni, zbiednieli wskutek utworzenia się olbrzymich majątków ziemskich (latifundyów) i nie nawykli do pracy, którą spełniali niewolnicy. Ale ci niezadowoleni nie mieli przekonania, że wytwarzają wszystkie wartości, że żywią klasy posiadające kosztem swej krwi i potu.

Jeżeli u starożytnych powstaje odczucie równości wszystkich ludzi, to wypływa ono z przekonań chrześcijańskich. Chrześcianizm szerzy uczucie braterstwa, a nawet maluczkich, uciśnionych, pokornych duchem stawia wyżej od możnych, panów tego świata. Ale nauka chrześcijańska nie doprowadzała do oporu przeciwko istniejącym stosunkom, królestwo jego było nie z tego świata, zwracał umysły ku światu zagrobowemu. Tu zaś, na ziemi niewolnik aż do końca okresu starożytności był własnością pana, jego rzeczą. Pozbawiony dóbr materialnych, udziału w rozrządzaniu sprawami społecznymi, stał również na odrębnym stanowisku prawnym. Nie miał i mieć nie mógł poczucia praw człowieka i obywatela. Upośledzenie społeczne mogło wydawać się klasie niewolniczej koniecznością dziejową. Pokrzywdzenie wobec świata dóbr materialnych odczuwanem było przez chrześcijanina, jako warunek ułatwiający zbawienie w życiu przyszłym.

Przytem, posiadając niewolnika jako rzecz, część swego majątku, grek, czy rzymianin dbał o przedłużenie jego życia i wychowanie potomstwa. Było to łatwo zrozumiałą zasadą gospodarki prywatnej, że utrzymanie wytwórców materialnego bogactwa musiało być dostatecznem, aby gospodarkę wzniesć na pewien poziom, uchronić ją od zniszczenia. Własny interes nie pozwalał, aby ci ludzie przedwcześnie rujnowali sobie zdrowie, siły, skracali życie, bo przecież zastąpićby ich wtedy należało innymi, a to kosztą pociągą za sobą. Typ gospodarki starożytnej był przeto konsekwentnem przeprowadzeniem zasady, każdy z jej uczestników miał sobie przeznaczone stanowisko polityczne, odpowiadające prawnemu.

Gospodarka średniowieczna, prowadzona przy pomocy poddanych, nosi na sobie te same cechy i umożliwia wytworzenie się klasy rycerstwa, która spełnia to, co nazywało się podówczas obowiązkiem społecznym, a więc broni granic. Klasa ta również podejmuje zadania, do jakich dążyła kultura wieków średnich, wojny krzyżowe, walkę z ele-

mentem mongolskim i z półksiężycem Mahometa. I tu poddani nie są bynajmniej równymi w prawach swych z klasą panującą, więc faktyczne upośledzenie ich nie staje się nadużyciem społecznym.

Przechodzę do drugiego typu gospodarki.

Drobny przemysł po miastach wcielił się w produkcją rzemieślniczą. Wytwórcą był tu mistrz (majster) z kilku pomocnikami, którzy nosili nazwę czeladników i uczniów. Ich stanowisko społeczno-prawne było jednakowem, różnica zależała od wieku i umiejętności: starszy, wykwalifikowany mistrz był przewodnikiem młodszych towarzyszków, czuwał nad ich dobrem moralnem i uzdolnieniem w rzemiośle. Każdy czeladnik i uczeń był to przyszły mistrz, samodzielna jednostka wytwórcza, każdy dojść mógł do ideału i stanowiska samodzielnego rzemieślnika, bo i liczba uczniów w rzemiośle z góry bywała oznaczaną. Takie ograniczenie stosunków ekonomicznych, utrzymanie ciasnych granic produkcji i zbytu, przestrzeganie możliwej równości między pojedyńczymi wytwórcami urzeczywistnić się dawało dzięki temu, że pojedyńczy rzemieślnik znajdował oparcie w cechu, regulującym wytwarzanie i zbyt w danej gałęzi rzemiosła. Cech oceniał ilość i gatunek zapotrzebowania, co było łatwem wobec towarów przeważnie na miejscowym rynku między obywatelami miasta. Kupców i rzemieślników obcych wpuszczano tylko w dnie jarmarków dorocznych. Cech dostarczał również materiału surowego, czuwał nad poprawnem wykonaniem roboty, nad ustanowieniem cen, zachowaniem miary i wagi. W ciasnym swoim zakresie rzemieślnik był użyteczną jednostką gospodarczą, przyczyniał się do wydoskonalenia produkcji, był niezależny, spokojny o przyszłość, czuł się częścią większej całości samorządnej i dumnym był ze swego stanowiska i zadań życiowych. Opisy średniowiecznego mieszczaństwa dają nam tysiączne przykłady tego, może niezbyt sympatycznego, ale wytwarzającego zdrowe stosunki społeczne zadowolenia i spokoju.

Ideał społeczny, poruszając się w nader ciasnych granicach, mógł być przecież urzeczywistnionym przez każdego, co pracował umiejętnie. Miasta, w których skupiali się rzemieślnicy, stały się też ogniskami kultury. W nich wytworzyło się uobyczajenie, właściwe ludziom nowoczesnym, w nich kunszt i rzemiosła doszły do wysokości, po nad którą niejedno i dziś wznieść się nie może, z nich także wyszło wiele pomysłów architektonicznych, malarskich,

rzeźbiarskich, szkoły muzyków i poetów miejskich. Wreszcie stały się miasta ogniskami cywilizacyjnego życia naszych czasów, stanowiąc jedną z cech charakterystycznych doby -obecnej.

Jeżeli oba rozpatrywane dotąd typy gospodarcze nie były ideałem, nie wykluczały ucisku i nędzy, a nawet istnieć mogły tylko równocześnie z niższą skalą gospodarki, to nie sposób odmówić im logiki historycznej, harmonii celów, jakie sobie zakreślały, ze środkami, przy których pomocy dążyły do owych celów.

O współczesnej nam epoce kapitalistyczno-kredytowej powiedzieć się to w żadnym razie nie da.

Typy gospodarki cechowej i niewolniczej miały na celu produkt, jego dobroć i odpowiedniość przy zaspakajaniu potrzeb konsumentów, oraz roztaczały pieczę nad samym wytwórcą, celem zaś wytwarzania dzisiejszego jest zysk, bezmierne powiększanie kapitału. Aby cel ten osiągnąć, zastąpiono drobną produkcję wytwórczością masową, a raczej ulepszona technika, wytworzywszy wielkie przedsiębiorstwa, pozwoliła produkować wiele i tanio. Staranie o rzeczywistą wartość wyrobu zeszło na plan drugi, surogaty i fałszowanie produktów, to zjawiska spotykane dziś na każdym kroku. Celem nie jest produkt, ani zadowolenie konsumenta, ale zysk przedsiębiorcy. A raczej przedsiębiorca na tyle stara się odpowiedzieć wymaganiom spóżywców, aby jego towary okazały się więcej pokupne od wszystkich innych. Rynki zbytu, ograniczające się dawniej obrębem jednego miasta, prowincyi lub kraju, zamieniły się na międzynarodowe. Nowożytny człowiek nawet niskiej załoźności używa w codziennem spoźyciu produktów australijskich, amerykańskich, azyatyckich, nie mówiąc już o angielskich, francuskich, włoskich lub niemieckich. Dobrobyt i komfort wszędzie wzrosły, napływ pieniędzy porównać się nie da z tym, który znały wieki dawniejsze. Ale te cechy gospodarki nowożytnej, która najwyszukańsze wymagania zaspokoić jest w stanie, gdzie moda zmieniać się może choćby co tydzień, a nigdy nie zabraknie środków do zaspokojenia popytu, wytworzyć musiały również nowe stosunki ekonomiczno-społeczne.

Kapitał rozdzielony w produkcji drobnej wśród wielu właścicieli, nieodłączny od producenta, który posiadać musiał narzędzia pracy, skupia się w rękach przedsiębiorców, kapitalistów, którzy zwyciężają w konkurencyjnej walce rzemiosło, a rzemieślnika na wyrobnika zmieniają. Powstają

dwie wyraźnie odrębne klasy społeczne — kapitalistów i robotników, nadając wybitne piętno całej naszej epoce, jakkolwiek obok nich istnieją jeszcze inne warstwy. Te dwie warstwy społeczne przecież są wytworem epoki kapitalistycznej, wyodrębniają się coraz wyraźniej i przyjmują do siebie nowe żywioły z warstw posiadaczy ziemskich i ubogiej, lub średnio-zamożnej ludności rolnej. Kapitał przyciąga i organizuje ludność, która napływa do miast, opuszczając wieś. Obok skupiania się kapitału, następuje przeto skupianie się ludności w wielkie środowiska miejskie, jakich nie znała żadna z dawniejszych epok. Wyludnianie wsi nie spotyka przeszkód, bo padły wszelkie ograniczenia prawne. Swoboda ruchu i rozporządzania swą osobą, która wyraża się w zmianie miejsca zamieszkania, zajęcia, dowolnem zawieraniu małżeństw, jest zupełną. Następstwami jej jest wzrost ludności, emigracya za morze, coraz większa podaż rąk, potrzebujących zajęcia.

W wiekach dawniejszych ludność powiększała się powolnie, albo stała w miejscu. Wzrostowi jej nie sprzyjały złe warunki sanitarne, zarazy, głody, a wreszcie powolny wzrost środków żywności. Obecnie warunki zdrowotne się poprawiły, masowe dziesiątkowanie w skutek głodu lub zarazy zdarza się bardzo rzadko, ludność wzrasta przeto szybko, ale najlichniesza jej klasa, klasa najmicka, skazaną jest na złe odżywianie, zbyt długą i przedwczesną pracę i wyradza się, dając pokolenie słabsze fizycznie. Liczna ludność dostarcza tanich i zawsze gotowych rąk do pracy, nie jest ona przecież tak nadmierną, abyśmy już o przeludnieniu mówić mieli. Przeciwnie, tam, gdzie istnieją dane o wzroście bogactwa i ludności, jak w Anglii, przekonywamy się, że świat dóbr materialnych powiększa się szybciej, niż jego spożywcy, że przeto zamożność ogólna wzrastaćby mogła, gdyby podział wytworu nie stwarzał klasy biedaków i bogaczy. Przeludnienie nosi zupełnie odmienny od dawnego charakter. Ludność nie jest za wielką w porównaniu ze środkami żywności i utrzymania, ale staje się w pewnych miejscowościach lub gałęziach pracy liczniejszą, niż zapotrzebowanie na robotnika. Pieniądz jest jedynym sposobem zdobycia środków utrzymania, pieniądza zaś tego zarobić nie można, bo kapitał zatrudnia mniej rąk, aniżeli ich się wyciąga po pracę. Byłby na to łatwy sposób zajmowania każdego robotnika krócej, a zwiększenia liczby pracujących, z których każdy otrzymywałby zarobek i dostęp do świata dóbr materialnych, ale tu staje na prze-

szkodzie zysk przedsiębiorcy, który od swego kapitału odsetki mieć musi, bez względu na to, że istnieją setki tysięcy rąk pożąających pracy i że tysiące rodzin do dobroczynności publicznej odwoływać się musi. Cechą produkcyi kapitalistycznej są również ciągłe postępy techniki, które pracę ludzką redukują do nadzorowania maszyny, zmniejszając ilość zajmowanych robotników. Istnieje więc przeludnienie, ale nie połączone z brakiem środków materialnych, z wyczerpywaniem się bogactwa, ale z nadmiernym jego wzrostem, przeludnienie, które usunąć się musi wzaz z rozwiązaniem kwestyi robotniczej. Jednym z przejawów przeludnienia jest ciągły odpływ ludności europejskiej za morze, do krajów z mniejszą ludnością i wzrastającym ciągle przemysłem — emigracya, lecz i tam już przybyszów nie witają chętnie, ale przeciwnie, jak np. w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej różnymi sposobami odwrócić ich pragną.

Ruch, zmiany dokonywające się szybciej niż w innych epokach, wzrost bogactwa obok wzrostu nędzy, przyrost ludności miast i wyludnianie się wsi, oto cechy, charakteryzujące kapitalistyczną gospodarkę.

II.

Wobec świata dóbr ekonomicznych człowiek stoi jako wytwórca i spożywca.

Skoro w kapitalistycznej gospodarce dzisiejszej typem jest przedsiębiorstwo wytwarzające wyłącznie w celach *zbytu, zamiany*, skoro kapitał zatrudnia w niem najmitów, nie posiadających narzędzi pracy, więc i typem wytwórcy będzie robotnik, zależny od kapitału, pracujący dla korzyści jego właściciela. W pracy tej nie może on rozwinąć żadnej inicjatywy, bo urządzenie fabryki wskazuje mu określoną czynność, szereg ruchów, jakie wykonać musi, prędkość, w jakiej one po sobie następują, ilość siły, którą na nie zużyć powinien, oraz czasu, przez który ma pracować. Obok fabryki wytwarza dziś wprawdzie rzemiosło i przemysł domowy, ale i te w czasach naszych przybrały kapitalistyczny charakter.

Rzemieślnik zamożniejszy, wykwalifikowany, zatrudnia dowolną ilość czeladników, czy uczniów, może więc nieograniczenie rozszerzać zakres swej wytwórczości, używa maszyn (jak np. krawiec, szewc, piekarz i inni), a nawet motorów mechanicznych. Motory poruszane gazem lub ścieśnionem powietrzem o sile 3, 2, 1, a nawet pół konia, (naturalnie mowa tu o mierze siły, zwanej koniem parowym)

dadzą się zastosować do najmniejszych nawet warsztatów i stosowane już są przez rzemiosła Paryża, Wiednia i Berlina. Rzemieślnik biedny lub mniej zdolny walczy z nędzą, pracuje sam, lub z modnie płatnymi pomocnikami, dla majstra rozporządzającego kapitałem, posiadającego sklep.

Nawet tam przeto, gdzie rzemiosło utrzymać się mogło, przybiera ono charakter fabryczny, lub schodzi do rzędu zanikającej jednostkowej produkcji. Jednocześnie występuje podział na przedsiębiorcę majstra i najmitów czeladników, czy uczniów. Zdarza się, że uczniów tych nigdy nie wyzwalają, gdyż wykonywali oni zawsze tylko część roboty. Całego rzemiosła nie znając, stoją oni na granicy między robotnikiem fabrycznym, a rzemieślnikiem, na swoje imię nie wolno mu otworzyć warsztatu. (Zdarza się to bardzo często wśród żydowskich rzemieślników w Krakowie).

W olbrzymiej ilości wypadków rzemiosło przeszło w produkcję fabryczną np. we wszystkich gałęziach przemysłu przedziałniczego i tkackiego. Nawet te wyroby, które przywykliśmy uważać za dziedzinę rzemiosła jak buty, ubrania gotowe, kapitał wytwarza masowo, podkopując byt pracujących jednocześnie rzemieślników, którzy bezsilni w obec współzawodnictwa z wielkim kapitałem, przeklinają złe czasy.

Nie lepiej dzieje się w przemyśle domowym, czy włościańskim. O ile wytwarza on przedmioty na własny użytek, pozostałe tylko zbywając na rynku, nie jest w stanie wyżywić wytwórcy, a nawet stanowi dlań ledwie drobną pomoc. Przemysły domowe wytwarzające dla zbytu, zatrudniają najczęściej całą rodzinę przemysłowca. Robota napływa nierówno, to też skoro jest zajęcie, praca trwa 15, 18 a nawet 20 godzin dziennie, nigdzie bowiem nie podpada pod nadzór fabrycznej inspekcji, a używając narzędzi grubych, produkuje powoli. Zresztą taki przemysłowiec tylko *nazywa* się niezależnym, w rzeczywistości zaś zawsze prawie zależy od fabryki, dla której pracuje, lub od kupca, który stara się o zbyt towaru i dostarcza surowego materiału. Odmienić tego niepodobna: sam wytwórca za mało zna warunki zbytu, a przy pracy nie ma nawet czasu z niemi się zapoznać. Wobec braku gotówki i kredytu, dostarczanie materiału jest warunkiem, od którego zależy możliwość pracy. Ów samodzielny niby wytwórca tem się jedynie różni od najmitów, że zamiast pracować w wielkiej sali fabrycznej, siedzi skulony uad warsztatem w izdebce,

która mu z rodziną służy za mieszkanie. Dość rozejrzeć się wśród przemysłowców domowych w Galicyi np., aby przekonać się, że życie ich, to walka z cięższą jeszcze nędzą niż ta, która robotnika fabrycznego zmusza do zachowania najniższej skali życiowej. Niezależność zaś wyraża się w większej niepewności bytu, a więc pracownicy wszystkich kategorii, którzy stwarzają ową obfitość, a nieraz i nadmiar towarów, służących do zaspokojenia naszych zmiennych, niekiedy i kapryśnych wymagań, są *najmitami*.

Zbliża ich wspólne położenie społeczne, zarobki starczą zaledwie dla zaspokojenia najważniejszych potrzeb, do podtrzymania życia. Los ich, niezależnie od rodzaju zajęcia, ani kroju, z którego pochodzą, tak bardzo różni się od losu klas posiadających, a tak zbliża ich między sobą, że można ich wszystkich nazwać *międzynarodowym proletaryatem przemysłowym*. Obok niego stoi armia robotników wiejskich, najmitów bez domu i ziemi, jakich nie znało żadne z poprzednich stuleci, a którym dziś już na imię miliony.

I ci są najmitami; jeżeli zaś dotąd rzadko przyjmowali udział w ruchach i dążeniach proletaryatu, winno temu ich rozproszenie, mniejsza zaradność i niższy stopień rozwoju i wykształcenia. Charakterem wspólnym całej klasie robotniczej jest oddzielenie wytwórcy od narzędzi pracy, przy pomocy których jedynie pracę tę wykonywać może. Następstwem tego zjawiska jest zależność robotnika od posiadacza owych narzędzi, która każe mu przyjąć wszystkie jego warunki, o ile stoi on bez poparcia stowarzyszenia, czy prawa Pracownik bez narzędzi pracy, będący jednocześnie człowiekiem swobodnym, ze stanowiska prawnego równym swemu pracodawcy, to wytwór naszej doby kapitalistycznej, jakiego nie posiada żadna inna epoka.

Jest to więc człowiek *bez tradycji*, bo nle zapominać, że obok tradycji ogólnonarodowych, istnieją stanowe i klasowe, bliższe i silniej przywiązujące. Tak jak dla większości ludzi patryotyzm lokalny, przywiązanie do wioski lub miasta, gdzie się urodzili lub wychowali, jest czemś jedynie konkretnym, podczas gdy ogólnonarodowe uczucie jest mało pojmowaną abstrakcją.

(Ciąg dalszy nastąpi).



FEJLETON.

J. G. Seidl.

FONTANNA.

(Z niemieckiego).

Noc cicha się kloni na senne wokół siola
I światło za światłem zagasza dokoła,

We wonne je tuli przesłony,
O okno oparty w twarz patrzę księżycy,
Zachodu oddechy zwiewają mi lica
I ciszy się duch mój wzburzony.

I nigdzie ni głosu, ni szmeru, ni echa;
Śpi mroczna dąbrowa, śpi łąka i strzecha

I wszędy samotność — milczenie.
I tylko fontanna przedemną bijąca,
Ta miota się życiem i spokój ten zmaca
I w setne się łyska płomienie.

A srebrne jej szумы niosące się ciszą,
Tak pieszczą i tulą i w sen mię kołyszą,

Jak dziecię matczyne piosenki.
O, śnie, co nad szczęsnym tkasz słodkie rojenia,
O, czemuż uciekasz od łoża cierpienia,
Od łzawej, krwawiącej się męki?...

Bo, gdyby te wszystkie łyzy ciche, co nocą
Tajemnie się skarżą na dolę sierocą,

W hymn jeden się zwarły boleści, —
To inneby szумы huczały w noc senną,
Jak studni tej szумы, — i w nutę odmienną.
Co w sen nie kołysze, nie pieści!

Zygmunt Bytkowski.



Sergiusz Stepniak.

DWIE UCIECZKI.

I.

Pewnego wieczora w połowie stycznia 1880 r. — dokładnej daty nie pamiętam — zebrało się kilku żyjących podówczas w Genewie rosyjskich emigrantów przy szklance herbaty u tow. H. * * *.

Towarzystwo nie było liczne — siedm do ośm osób — lecz za to dość wesołe, co trafia się rzadko na zgromadzeniach emigrantów. Piękna Rebeka H., gospodyni domu, siadła przy fortepianie i zaśpiewała kilka ukraińskich pieśni. Wszyscy byli rozweseleni muzyką, śmiali się, żartowali. Głównym przedmiotem rozmowy była ucieczka pewnego naszego towarzysza z Sybiru, o której doszła nas wieść właśnie w tym dniu.

Gdyśmy się dowiedzieli o wszystkich szczegółach ucieczki i wyczerpali wszystkie swoje uwagi, komentarze i domysły — nastąpiła chwila milczenia.

Wówczas pod wpływem rozmów o ucieczce naszego towarzysza przyszło mi na myśl zaproponować obecnym, między którymi byli Krapotkin i Bochanowski*), opowiedzieć sobie wzajemnie własne ucieczki. Prawie każdy doznał jakichś ciekawych przygód, więc mogliśmy bardzo mile przepędzić wieczór. Myśl moją przyjęto z ogólnym aplauzem.

Krapotkin długo dawał się prosić, twierdząc, że on już tyle razy musiał opowiadać swoje przygody, że to mu już obrzydło. W końcu jednak musiał ustąpić na nasze nalegania.

»Święte postanowienie uciec za jakąkolwiek cenę«, zaczął on opowiadać, »nie opuszczało mię od pierwszego dnia mego więzienia. Lecz jeżeli jest coś na świecie niemożliwego, to jest niem ucieczka z Petropawłowskiej twierdzy. Ciągłe układałem sobie rozmaite plany, ale to były zamki na lodzie, bo wówczas nie byłem w stanie ocenić ich praktycznej wartości, a w samej rzeczy były one nadzwyczaj fantastyczne. Tak upłynęły mi trzy lata. Więzienie tak zrujnowało moje zdrowie, które prawie nigdy nie było silne,

*) Rewolucyoniści rosyjscy. Krapotkin żyje dotychczas w Londynie jest z przekonania anarchista.

że nie mogłem nic jeść i prawie padałem z nóg. Na moje szczęście w początku 1876 r. przeprowadzono mię w Nikołajewski szpital. Po kilku miesiącach zdrowie moje poprawiło się znacznie, lecz dokładałem wszystkich starań, aby wydawać się umierającym. Udawałem, że ledwo ruszam nogami, rozmawiałem prawie niedosłyszalnym szeptem, tak, jakbym nie mógł ruszyć nawet językiem, a przyczyną tego była okoliczność, że myśl o ucieczce znów zbudziła się we mnie, a ponieważ nadzór w szpitalu bez porównania jest słabszym, jak w twierdzy, to potrzeba było dołożyć wszelkich starań, aby tam jak najdłużej pozostać.

Lekarz polecił mi codzienne przechadzki i dlatego wprowadzano mię o pierwszej godzinie po południu na szpitalne podwórze. Żołnierz z bronią w ręku nie opuszczał mię ani na chwilę. Ja począłem zaś bacznie oglądać całe otoczenie, myśląc wiecznie o ucieczce.

Podwórze było dość wielkie. Brama, zwykle zamknięta, była tym razem otwarta, bo do szpitalu zwożono drzewo na zimę. — Działo się to w lipcu. — Ponieważ zaś zwożenie miało się skończyć za tydzień lub za dwa tygodnie, to u bramy nie postawiono nikogo na straży. To było dla mnie prawdziwem szczęściem.

Przechadzałem się w głębi podwórza właśnie niedaleko bramy. Żołnierz szedł ciągle obok, trzymając się między mną a bramą. A ponieważ ja przechadzałem się prawdziwie żółtym krokiem, a taki sposób, jak wiadomo, więcej męczy niż prędkie nawet chodzenie, to żołnierz uciekał się do następującego pomysłu: chodził po linii równoległej do mojej, tylko bliżej może o pięć kroków do bramy. W ten sposób mógł on przedłużyć swoją turę o dziesięć kroków, bez wszelkiego niebezpieczeństwa ze względu na mnie, gdyż będąc nawet na krańcu swej linii, był w takiej odległości od bramy, jak ja. Ten rachunek zrobiony przez żołnierza widocznie na oko, był teoretycznie całkiem racjonalnym. Rozważyłem, że na wypadek, gdybym chciał uciec, żołnierz instynktownie zechce mię schwycić prędzej i rzuci się dla tego ku mnie, zamiast biec poprostu do bramy i przeciąć mi drogę, a w takim wypadku miałyby on do przebiegnięcia dwa boki trójkąta, a ja tylko jeden.

Tak więc w tym wypadku wyższość była po mojej stronie. Mogłem liczyć na to, że przy równej szybkości biegu, mogę prędzej dostać się do bramy od żołnierza. Prawdę powiedziawszy, spodziewałem się, że będę biegł pre-

dzej, ale nie mogłem być o tem przekonany, ponieważ byłem jeszcze dość osłabiony.

Gdyby tak u bramy oczekiwała mię dorożka, lub powóz, na który mógłbym wskoczyć, to mogłem liczyć na szczęśliwy wynik ucieczki.

Tymczasem, gdy miałem zamiar dać przyjaciołom znać o moim planie, otrzymałem od nich wiadomość, że i oni obmyślili coś w tym rodzaju.

Rozpoczęła się korespondencya. Nie będę tu opowiadał o wszystkich proponowanych i odrzucanych planach i projektach; było ich całe mnóstwo. W końcu jednak zadaliśmy sobie takie pytania do rozstrzygnięcia: czy ma ktokolwiek z naszych wejść na podwórze, jak niektórzy proponowali, i zatrzymać pod jakimś pozorem żołnierza? Gdzie ma czekać powóz? u bramy, czy na rogu szpitalu, aby mniej zwracać uwagi? Czy ma kto prócz woźnicy siedzieć w powozie?

Ja zaproponowałem plan jak najprostszy i najnaturalniejszy, na który się w końcu zgodzono. Na podwórze nikt nie miał wchodzić. Powóz miał stać tuż u bramy, bo czułem się trochę za słabym na siłach, aby biec aż do rogu. Jeden z moich bliższych znajomych, nieboszczyk, Orest Wejmar, miał siedzieć w powozie jako pan i w danym razie miał mi pomódz wsiąść, a przedewszystkiem odziać, bo ja musiałem uciekać tylko w białym.

W szpitalu nie dawali nam nic prócz długiego płaszcza w rodzaju szlafroka. Była to niezgrabna, szeroka płachta i do takiego stopnia długa, że przechadzając się, musiałem w rękach trzymać długie jej poły. O ucieczce w tem odzieniu nie można było nawet myśleć. Było rzeczą konieczną zrzucić je przed rzuceniem się do ucieczki, ale trzeba to było zrobić z błyskawiczną szybkością, ponieważ jedna sekunda mogła zgubić cały plan. Przez przeciąg kilku dni ćwiczyłem się w celi, badając, jaki jest najłatwiejszy i najlepszy sposób załatwienia tej operacyi.

I w końcu doszedłem do tego, że najlepiej to zrobić podług taktu, tak, jak żołnierze zdejmują broń z ramienia: raz, dwa, trzy.

Pozostała jeszcze najtrudniejsza część — wybór odpowiedniej chwili do działania. Powodzenie zależało całkowicie od tego, czy jakaś przeszkoda nie znachodziła się na ulicach, które mieliśmy przejeżdżać.

Fury z drwami, patrol policyjny, konny kozak — wszystko to mogło zgubić sprawę, tem więcej, że ulice, które mieliśmy przejeżdżać, były nadzwyczaj wąskie i kręte.

Dlatego też trzeba było znać dokładnie stan ulic i dać mi jakim bądź sposobem znak, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo. W tym celu postawiono czterech towarzyszy na straży w rozmaitych punktach. Piąty otrzymywał sygnały od poprzednich i miał mnie o tem zawiadomić. W tym celu wybrano czerwony balonik, jakie kupują zwykle dla dzieci. Na znak, że droga jest całkiem wolna i nie zachodzi już żadna przeszkoda, miał wzlecieć balonik do góry z poza muru otaczającego szpital.

Z swej strony ja poprosiłem o postawienie jeszcze szóstego towarzysza na rogu jednej z maleńkich uliczek, a to dlatego, ponieważ, według mego zdania zwykły jakikolwiekby wóz mógł nam zagrozić drogę. Lecz ponieważ nie rozporządzano większą ilością ludzi, szóstego nie postawiono.

W oznaczonym dniu wyszedłem na przechadzkę silnie wzruszony, lecz pełen nadziei. Patrę, patrę w to miejsce, gdzie miał wzlecieć balonik — nic nie widać. Moja przechadzka ma się już ku końcowi — a tu nie widać nic. W końcu musiałem już iść do celi, a balonika nie było widać. Przy tej wrażliwości, jaka właściwą jest wszystkim więźniom, ja kombinowałem rozmaite przygody, jedna tragiczniejsza od drugiej i nie wątpiłem ani na chwilę, że sposobność już przepadła na zawsze.

Faktycznie jednak pokazało się, że moje przewidywania nie miały najmniejszej podstawy. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności przyjaciele moi nie mogli znaleźć nigdzie w całym mieście czerwonego balonika, mimo, że byli w każdym sklepiku i we większych składach. Wszędzie znachodzili tylko baloniki białe i niebieskie, a tych użyć nie chcieli, naturalnie dlatego, że przy dawaniu umówionych sygnałów nie można robić nawet najmniej znaczących zmian. Udali się więc do fabryki wyrobów gutaperkowych i kazali tam umyślnie sporządzić czerwony balonik, który wypełniono gazem własnej fabrykacyi. Ale w ten sposób urządzony balon okazał się do tego stopnia nieodpowiednim, że gdy jeden z moich przyjaciół puścił nitkę, na której balonik był umocowany, to on zamiast wzbić się w górę, podleciał na parę metrów i upadł na ziemię, nie podniósłszy się nawet na wysokość muru otaczającego szpital. Wówczas przyjaciel mój rozgniewany chwycił balon i próbował rzucić go ręką w górę, ale to mu się również nie udało.

Temu to wypadkowi zawdzięczałem tyle godzin męki, ale zarazem swoje zbawienie, bo właśnie w tej samej chwili,

gdy puszczono balonik, cały szereg wozów z drzewem wjechał w wąską uliczkę, gdzie nie był nikt postawiony na straży. Wozy te zagrodziłyby mi na pewno drogę i ja byłbym schwytany bezwątpienia.

Jakiś czas minął na wzajemne porozumienie się co do zmian, jakie trzeba było koniecznie porobić. Naturalnie przede wszystkim uchwalono postawić kogoś w roli stójkowego na wąskiej uliczce. Lecz ten fakt wymagał zmiany całego planu, bo nie było możliwem zobaczyć sygnały wszystkich czterech stójkowych, stojąc koło ściany, z za której ja miałem otrzymać znak decydujący. Było więc koniecznem, albo użyć jeszcze dodatkowo kilku przyjaciół dla dalszego oddania sygnału, albo zmienić sygnał końcowy. Wybrano to ostatnie.

Jeden z naszych wynajął pokój na trzeciem piętrze w domu położonym naprzeciw szpitalu. Z okien można było widzieć nie tylko wszystkich pięciu przyjaciół, stojących na straży, lecz także i podwórze, na którym się przechadzałem. Dla dania znaku miały służyć skrzypce, na których nasz przyjaciel miał ciągle grać, gdy stan rzeczy był dla nas pomyślny, a zaprzestać grania w razie, gdyby jakakolwiek przeszkoda się pokazała. Ten sposób miał jeszcze i tę dobrą stronę, że dawał znać o całym przeciągu czasu, możliwym do ucieczki, a więc zostawiał mi wybór najkorzystniejszego dla mnie momentu. Pierwszego dnia, gdy ekwipaż był już gotów, musiałem sprawić moim przyjaciołom kilka przykrych chwil; stan mój choroby pogorszył się i czułem się do tego stopnia osłabionym, że nie odważyłem się na ten stanowczy krok. Dlatego też wogóle nie wyszedłem na przechadzkę i nasi nabrali przekonania, że policya coś odkryła i sądzili, że dlatego nie puszczono mnie na przechadzkę.

Dwa dni później czułem się zdrowszym i zdecydowałem się wykorzystać ten stan dla mej ucieczki.

Przygotowałem wszystko; przywiązałem dobrze pantofle, płaszcz rozciąłem w kilku miejscach, aby mi łatwiej było go zrzucić, jednym słowem — wszystko.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z rosyjskiego przełożył L. T.



Treść Nr. 8. i 9

F VIII
S-97

IV. Zjazd Galicyj-kiej socyalnej demok
dzynowski: „Chłopska posiadłość w Galicyi
Helena Rawska: Saint Simon i Saint Simon
mierz. Bugiel: List z Francyi. — Dr. Zofia Daszyńska: O kwe-
styji robotniczej. — Fejleton: I. G. Seidel: Fontanna. — Ser-
giusz Stepniak: Dwie Ucieczki. —

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód“.

„U OGNISKA“

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedźwieckiego.

15 szkiców na 12 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenu-
meratorów „Światta“ 60 ct.

Czasopisma socyalistyczne polskie.

„NAPRZÓD“. Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy
czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką po-
cztową 90 ct.

„NOWY ROBOTNIK“. Lwów, Grand-Hotel (Pasaż) Wychodzi 1.
10. i 20 każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 45 ct
z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„DER ARBEITER“. (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Pi-
smo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydow-
skich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego
miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct, z przesyłką po-
cztową 40 ct.

„GAZETA ROBOTNICZA“. Organ polskiej partji socyalistycz-
nej w Berlinie O Andreasstrasse 78. A. — Prenu-
merata kwartalna w Niemczech 1 mrk. 10 fen., za grani-
cą 1 mrk. 60 fen., w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„ROBOTNIK“ Organ polskiej partji socyalistycznej. War-
szawa. Adres: (przez „Przedświt“).

„PRZEDŚWIT“. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Zwią-
zku zagranicznego socyalistów polskich w Londynie.
Adres: „Dawn“, 7. Beaumont Square, Mill-End. Road.
London E. — Prenumerata roczna 5 złr. 4, rs. (w ko-
pertach).

SWIATŁO

MIESIĘCZNIK

ku oświacie i rozrywce klas
pracujących

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Hudec.

Wychodzi 15. każdego miesiąca.



Warunki prenumeraty:

dla Austrii:

dla Niemiec:

z przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	—50	Kwartalnie . . .	1 M.
Półrocznie . . .	1—	Półrocznie . . .	2 „
Rocznie . . .	2—	Rocznie . . .	4 „

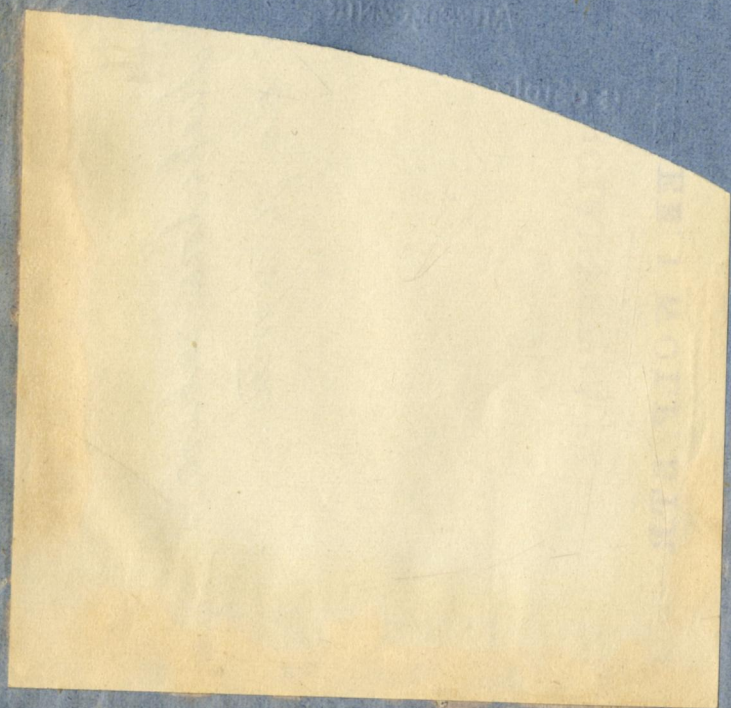
Numer pojedynczy 15 ct.

Adres redakcyi i administracyi: Ossolińskich 15.

Pojedyncze numery nabywać można we Lwowie
w biurach dzienników pp. Płohna i Olszewskiego.

Lwów 1895.

Drukiem Z. Golloba, Ossolińskich 15.



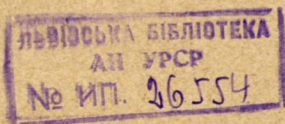


„Żelazne ręce“.

Nie robiliśmy dotychczas w tem miejscu wycieczki na pole t. zw. „wielkiej polityki“, powodowani bardzo uzasadnionym wstrętem, jaki mają partye ludowe do zakulisowych szachrajstw i do subtelnych oszustw i intryg, jakimi przepełnione są targowiska „wielkiej“ polityki... Jeżeli dzisiaj chcemy zastanowić się nad ogólno-austriacką polityką, to dzieje się to z dwóch powodów. Najpierw „robi“ ją dzisiaj b. namiestnik galicyjski p. hr. Badeni, z którego nazwiskiem związana jest nie jedna smutna karta ruchu ludowego w Galicyi, wiele więc tonów znajdziemy już znanych — będzie do czego nawiązać... Powtóre mamy tam w Wiedniu w rządzie i parlamencie nieprzedawniony weksel do wypłacenia: reformę wyborczą, której żadne awantury za lub przeciw Luegerowi inscenowane nie zagłuszają, ani nie przesuną ani o cal z porządku dziennego.

Kiedy ohydnej pamięci koalicya zabrnęła w swym szalonym egoizmie bezmyślnego chciwca w ulicę bez wyjścia, mianował cesarz prezydentem ministrów urzędnika hr. Badeniego, znanego ze swej „energii“ podczas sprawowania siedmioletnich rządów w Galicyi. Musimy z góry powiedzieć, że wbrew biblijnym mytom, te siedm lat były latami głodu, tak samo jak nimi będą i dalsze lata. Kto by zatem sądził, że wzięto ze Lwowa dobrego administratora, mądrego kierownika ludu na drodze do dobrobytu, ten zdradzałby co najmniej naiwność. Wzięto ze Lwowa przede wszystkim człowieka, który umie „robić“ interesa polityczne, umie załatwiać najtańszym kosztem sprawy zawikłane i ciężkie. Wzięto go zaś na całkiem ugruntowanej, niejako

268 op



historycznej podstawie, która swoją drogą jest dla zrozumienia przyszych rządów hr. Badeniego bardzo pouczającą. On to jako młody, pełen nadziei urzędnik polityczny w rzeszowskim, przed wielu, wielu laty wstąpił się fatalnie przeprowadzeniem wyborów. On zasłynął nieszczęśliwie jako delegat namiestnictwa w Krakowie, nie wahał się obchodzić sklepów i szynków na Kaźmierzu dla zdobycia głosów swojemu kandydatowi... Ale to wszystko było niejako tylko słabą próbą dalszych rzeczy! Jako namiestnik zastał dwie sprawy polityczne, które obie mogły kiedyś w przyszłości robić rządowi wiele kłopotów i obie w Galicyi były niebezpiecznymi, jeżeliby wyszły po za pewne stadya początkowe. Mówimy tu o tworzącej się wtedy opozycji demokratycznej i o wiecznie jątrzącej się sprawie ruskiej. I jedna i druga mogły w uczciwy, dzielny sposób podjęte, stać się w polityce galicyjskiej ważnymi momentami. Przypatrzmy się ile ks. Stojałowski lub kilku skromnej zresztą umysłowości ludowców narobiło w ostatnim roku kłopotów rządowi, gdy tylko uczciwie zaczęli ludową prowadzić politykę, — a zrozumiemy, czem byłaby ówczesna opozycja sejmowa, gdyby się stała — opozycją, a nie wielkiem oszustwem politycznem. Toż samo możnaby (wprawdzie z mniejszą śmiałością) powiedzieć i o Rusinach. Niechby przez jeden bodaj rok zapanowało wśród nich wewnętrzne zaufanie, niechby ustały spory i drobiazgowe kłótnie, a w tej chwili wszyscy Rusini stanowiliby poważną opozycję, nie tyle może wobec rządu, ile wobec stojącej za rządem szlachty. Możnaby nam wprawdzie zarzucić, że t. zw. „*bezholowje*“ jest stałą cnotą Rusinów politykujących, ale przecież klub ruski składał się był już z 16 opozycyjnych posłów i z biegiem czasu mógł był jeszcze lepiej się pokierować...

Hr. Badeni nie dopuścił do takiej przyszłości, a czynił to zapomocą swojej bardzo prostej i bardzo misternej zarazem polityki. Stał on — wiedząc z kim ma do czynienia — na całkiem, że tak powiemy realnej podstawie: „Programy i zasady są głupstwem; ludzie są wszystkim“. O zasadach i programach nie wieleby umiał b. namiestnik nowego i ciekawego powiedzieć; dla ludzi, dla pojedynczych jednostek, mógł wiele, bardzo wiele miłego i ciekawego przynieść pełnomocnik cesarski, zwierzchnik rządów krajowych. To też maluczko — a ujrzelśmy redaktora „*Nowej Reformy*“ na półministeryalnym krześle rady Wydziału krajowego, Szczepanowskiego widzimy jako rządowego kandydata, a natomiast nie widzimy opozycji mniejskiej w sej-

mie... Kogo nie uprosił, temu umiał pogrozić hr. Badeni, a groził tak jak się grozi w „interesie“ tj. taką groźbą, która zamieniała się w uprzejmy uśmiech, kiedy interes dochodził do skutku. Nadto p. namiestnik miał brata, brata, który tak samo nie zważał wiele na programy i zasady, a dużo na ludzi i na bieżące interesa. Brat mu sekundował w sejmie i przypominamy sobie czasy, kiedy sobie szeptano na ucho, że właściwie hr. Stanisław to jedna dusza z lewicą sejmową. I jak tu, czem było robić opozycję rządowi; Wprawdzie nie dano krajowi lub miastom ani jednej głębszej ekonomicznej lub politycznej reformy, a przecież za możliwie najtańszą cenę, za pół darmo pozbyto się opozycji. A już z chwilą, kiedy socjaliści postraszyli trochę w miastach demokratów, nie potrzebował się hr. Badeni tych ostatnich lekać; leżli mu sami w ręce, pchali się do centralnych komitetów szlacheckich za darmo. Jeżeli dołamy, że za pomocą hymnów z okazji „powszechnej“ krajowej wystawy lwowskiej w niesłychanie obłudny sposób głoszonych, otumaniono głodny żołądek ludu i dano średnim warstwom nędzarzy fikcję, że kraj rozwija się ekonomicznie i kulturalnie wogóle, — to zrozumiemy, że hr. Badeni dostał całą bandę mameluków, którzy już teraz sami na własną rękę tłumili opozycję we własnym obozie, jak się to n. p. robiło i robi z byłymi demokratami, a obecnie ludowcami.

A już Rusinów to hr. Badeni wziął nadzwyczaj sprytnie, co dla postrachu wszystkich partyi kompromisowych powinno by posłużyć na długo.... Najpierw traktowano ich szkorpionami: w całym szeregu wyborów pokazano im, że rząd może ich zgnieść. Ale przecież opozycja 16 posłów ruskich, w jeden klub złączonych, dawała się gorzko we znaki rządowi. W Czechach irredenta młodoczeska, w Galicyi rusińska, to trochę za wiele było. Hr. Badeni, który przedtem np. Sawczaków i Romańczuków traktował przy okazji jak pachółków, teraz zaczął się z nimi „godzić“. Jako ofiara tych ugód, Romańczuk, stał się teraz „*persona gratissima*“ w pałacu namiestnikowskim. Naturalnie, że i tutaj nie dano Rusinom prawie nic, bo napisy na urzędach lub parę szkół i tak nieodzownych, to przecież nie jest cena za zwrot w polityce całego narodu, za reprezentantów którego uważali się ugodowcy ruscy. Romańczukowi i kilku mamelukom mogło strasznie pochlebiać, że oni to ugodzili się z takimi potęgami historycznymi jak szlachta polska i rząd austriacki, ale chłop był głodny, masa środkowa była

głodną i dalej upośledzoną, jak przedtem. Pomimo to, hr. Badeni dopiął celu, bo z jednolitego klubu ruskiego zrobiły się trzy kluby, t. j. moskalofilski, ugodowców i trzeci w osobie śmiesznego frazesowicza dra Okuniewskiego, który mar kował na razie klub radykalny, dopóki by się nie znaleźli radykali. Reformy żadnej, nowych zasad żadnych, ulg żadnych, a przecież w doświadczonych rękach hr. Badeniego połamali się politycy ruscy, jak kawał suchego gipsu! To jest sztuka, to są zalety b. namiestnika Galicyi. Gdybym chciał czytelnikom pokazywać drobiazgową, misterną „robotę“ hr. Badenich, robotę potrzebną dla dopięcia tych celów bez żadnych głębszych reform ekonomicznych, społecznych, czy narodowych, tobym musiał opowiedzieć im dziesiątki anegdotek, mnóstwo intryg i intryżek i byłbym niepotrzebnie niedyskretnym. A o to mi nie idzie wcale; chciałem tylko króciutko naszkicować metodę niejako, jakiej się dawniej trzymał z takim powodzeniem b. namiestnik Galicyi.

Teraz siedzi on na krześle prezydenta ministrów i kieruje wewnętrzną polityką całego państwa. Na upartego można sobie przedstawić, że Austria to nic innego, jak tylko wielka Galicya i że zmiany zasadniczej tu nie spostrzemy u hr. Badeniego. — Jednak należy pamiętać, że różnice w ilości, stają się wkrótce różnicami w jakości. Za dużo tu czynników, aby mózdz taką samą metodą rządzić. Hr. Taaffe był z pewnością mistrzem w przepychaniu się z dnia na dzień przez lat czternaście, potrafił on szczuć jednych na drugich, grozić i głaskać, kupować i sprzedawać jak najlepiej, a przecież ostatniem słowem jego polityki był: gwałt t. j. stan oblężenia, a równocześnie szeroka (jak na dotychczasową Austryę) reforma wyborcza. I wołał ustąpić z rządów, niż wyrzec się reformy wyborczej, która stała się koniecznością państwową. Hr. Badeni więc może sobie przedstawić, że Austria, to czterykroć razy powiększona Galicya, ale wypadki pouczą go, że musi zmienić galicyjską metodę rządzenia, i prędzej czy później, albo ustąpić, albo dać Austrii ważne reformy, uczynić ją państwem europejskiem.

Dla przykładu (a innych jeszcze nie mamy) weźmy piekielny hałas, który wywołał nowy minister prezydent w obozie antysemitycznym przez to, że najpierw nie zatwierdził Luegera na burmistrzostwie Wiednia, a potem oporną radę gminną stolicy rozpędził, gdy ta się odważyła po raz drugi wybrać swoje bożyszcze. Dalecysmy od tego, żeby

badać, czy hr. Badeni był zgrabnym, czy nie, czy jaką literę ustawy przekreślił, lub obszedł. Przeciwnie zdaje się nam, że pewna brutalność była wobec antysemitów filistrów wielką zgrabnością i dobrze na efekt obliczoną. Ale co będzie z tego wszystkiego? Jeżeli się antysemita nie poddadzą, a tego w zupełności zrobić nie mogą, pod groźbą samobójstwa politycznego, to hr. Badeni pozna wnet, że parlament austriacki nie jest miejscem spokojnej drzemki, jak był za koalicji...! Antysemita będą się rozrastać tak długo, jak długo oni jedni będą reprezentować „lud“, który się u nich zaczyna od 5 guldenów podatku. Prędzej, czy później trzeba będzie dyabła wypędzić belzebubem: antysemitów, za pomocą uczciwej reformy wyborczej!... Nie dlatego jakoby socjaliści byli potulni, lub gotowi do pogawędek z hr. Badenim. Wcale nie. Lecz dlatego, ponieważ przy dzisiejszym układzie parlamentarnym, antysemita niedopuszczą do żadnego poważniejszego kroku naprzód i to niedopuszczą w tym większym stopniu, im bardziej będą męczeńską aureolą otoczeni, im bardziej będą prześladowani przez rząd. Najgorszy wróg socjalistów, a mamy szczęście liczyć hr. Badeniego do naszych wrogów, będzie musiał w jego położeniu uciec się do reformy wyborczej, tem bardziej, że ruch o reformę wyborczą dodany do ruchu rozbrykanego antysemityzmu to trochę za wiele na to, aby jakiekolwiek państwo nowożytne mogło być normalnie rządzone. Dopóki hr. Badeni nie ogłosi stanu oblężenia w Austrii, dopóty na podstawie konstytucji każdy polityk zgodzi się z nami, że reforma wyborcza jest rzeczywistym lekarstwem, odmładzającym parlament gdzie już tylko wielkie, umyślnie inscenowane „hece“ znajdują większe zainteresowanie, że jednym słowem reforma wyborcza to już piękna kwestya nawet ze stanowiska wrogów zorganizowanego proletaryatu. Ale przeszłość hr. Badeniego za nadto jest znaną, żeby z niej ten lub ów gazeciarz nie wyciągał płytkich konsekwencji.

Mówimy to, chcąc ustrzelić jedną z głupich kaczek dziennikarskich, puszczonej z Wiednia przez niejakiego p. dr. Zipsera, korespondenta „Kurjera Lwowskiego“. Człowiek ten rozpuścił wieść, jakoby hr. Badeni umawiał się z socjalistami o to, aby mu nie robili trudności! Nie polemizujemy nawet wcale z naiwnym korespondentem, chcemy tylko wskazać, jak sobie ludzie nie mogą prezydenta ministrów inaczej wyobrazić jak tylko jako dalszy ciąg b. namiestnika Galicji... Wyłuszczyliśmy już pokrótce, dlaczego hr. Badeni ma przed sobą tym razem rzeczywistą reformę wyborczą,

jako alternatywę absolutyzmu. Do tego nie potrzeba żadnych targów; potrzeba jedynie trochę rozsądku, a już w zupełności nie potrzeba »żelaznych rąk«, które wedle opinii spodłonej, pochlebczej prasy liberalnej, miał hr. Badeni przywieść ze Lwowa. »Żelazne ręce« przy końcu XIX. stulecia, to z przeproszeniem — farsa, dobra dla nastraszenia chyba liberałów, bo antysemita już ich się nie boją, nie mówiąc o socjalnych demokratach, którzy w niedługim już czasie zapytają hr. Badeniego: »co słysząc z reformą wyborczą?«

Żegota.



Rwestya robotnicza.

Przez Dra Zofię Daszyńską.

(Ciąg dalszy).

Robotnik płatny na dnie, ma zapewnione istnienie za ledwie na tygodnie. O ile nie jest robotnikiem wykwalifikowanym, jaki potrzebny jest zawsze w mniejszości, przejść może od jednego zajęcia do drugiego i bez szkody dla siebie przerzucić się, choćby na drugą półkulę*). Ponieważ maszyna naznacza mu bardzo prostą i zawsze tę samą czynność, a rzemiosło i praca na roli dążą również do specjalizacji, jakkolwiek postępuje tu ona powolniej, niż w przemyśle, robotnik przy wieloletniem zajęciu niczego nauczyć się nie może.

Poświęciwszy życie pracy za niedostateczne wynagrodzenie, staje on u jego kresu, nie tylko nie zdobywszy nowych doświadczeń lub wiedzy, ale nawet zdegenerowany fizycznie i stępiony umysłowo, jak maszyna, której jedno

*) Jeżeli jest robotnikiem wykwalifikowanym i zdolnym, tembardziej w każdym kraju zajęcie znaleźć może, jako posiadacz tylko siły roboczej i umiejętności, które wszędzie przenosi.

kółko zużyło się nadmiernie, inne zaś zardzewiały. Sama praca nie może robotnika do siebie przywiązać, gdyż nadto jest bezmyślną, monotonną. O ile nie stępuje lub nie umrze młodo, może ją tylko coraz więcej nienawidzić, jak więzień kulę, którą ciągnie u nogi. Wyrabiając tylko część przedmiotu, robotnik nie nabrał interesu dla całości. Wytwór jego pracy, towar, interesuje go niewiele, gdyż właściwie nie jest jego dziełem, a powodzenie przedsiębiorstwa, w którego zyskach nie ma udziału, rozwija się jego kosztem. Zysk i kapitał przedsiębiorcy wzrastają z obniżeniem płacy zarobnej.

Mówiliśmy już, że robotnicy jako klasa są ludźmi bez tradycji. Z tego co powiedzieliśmy o ich egzystencji obecnej wynika, że *dzisiaj* najmiły jest szarem, przykrem, męczącym, *jutro* niepewnem. Nietylko bowiem zwyczaj, ale i warunki produkcji wymagają krótkoterminowej ugody z robotnikiem. Co chwila pojawić się może w gałęzi produkcji nowa maszyna, która zastąpi jego i dziesiątki towarzystów.

Wtedy pozostaje bez pracy.

Pracy pozbawić go również może zmiana mody, przesilenie handlowe i przemysłowe, nie mówiąc już o złej woli lub fantazyi przedsiębiorcy.

Jednostka bez tradycji i przyszłości, nie związana ze światem dzisiejszym żadną sympatyczną nicią, która powstałaby na tle zadowolenia z teraźniejszości, wyda się zapewne nieszczęśliwą, anormalną, a może i niebezpieczną dla ustroju świata dzisiejszego. Bo przecież wszystko jest tu opartem na ciągłości historycznego rozwoju, na spójni z przeszłością, zjawisko każde jest szczyblem w pochodzie naprzód, a dążność do harmonii, zgody i zadowolenia wydaje się tak konieczną, że kto wie, czy nie runęłoby bez niej wszystko.

Tymczasem ta anormalna, nieszczęśliwa i niebezpieczna istota, to jednostka z najliczniejszej dziś klasy, to twórca wszelkich wartości ekonomicznych, podstawa, na której opiera się piramida społeczna. Dziwna budowla! nie dziwmy się tym, co chodzą jak po wulkanie, lękając się co chwila, aby ta podstawa nie strząsnęła z siebie wierzchołek, z którym nic jej nie łączy!

Klasa robotnicza, występując jako konsument, jest przez liczbę swą olbrzymią potęgą. Z powodu niskich zarobków przecież, nietylko zrzec się musi wszystkiego, co wychodzi po za zakres niezbędnych środków utrzymania w najści-

ślejszem znaczeniu tego wyrazu, ale nawet ucieka się do nabywania surogatów, do przedmiotów lichych i fałszowanych, których cena jest o parę groszy niższą od zwyczajnej.

Konsument, który nie jest w stanie nabywać produktów dobrych, daje pole do fałszerstw, nadużyć, pobudza do produkcyi masowej a taniej, obniżając w taki sposób skalę całej wytwórczości. Owa zaś niska skala wytwórcza, której celem jest taniość i wielka ilość towaru, dąży do obniżenia zarobków robotnikom, czyniąc z nich z kolei konsumentów, na których liczyć nie można. Jest to więc zakłęte koło, w którym obraca się świat dzisiejszy, nie bacząc dokąd dąży. Ale ci, których zaprzężono do obracania owego błędnego koła, którzy nie widzą przed sobą innego horyzontu prócz szarej doli krótkiego życia, z jedyną przerwą wytrącających ich z kolei przymusowych bezrobocie, ci nie zawsze z równą biernością ciągnąć będą.

O ile nie ulegną oni stępującemu wpływowi otaczających warunków, o ile rozejrzą się po świecie dzisiejszym, nie będą dlań mieli z pewnością słów uznania i spokojnego zachwytu, ale raczej złorzeczenia i gorzkiej krytyki.

Od krytyki i to bezlitosnej rozpoczyna swą naukową pracę idea klasy robotniczej, zwana *socjalizmem naukowym* dla odróżnienia od owych utopijnych teoryj, które miały również za podstawę niezadowolenie mas szerokich, ale nie badały przejawów dziejowego rozwoju, aby oprócz na nich ideał przyszłości. Teorya socjalizmu zbudowaną została dla wytłomaczenia kwestyi robotniczej, której początków mylnie szukano w zjawiskach zupełnie od niej niezależnych, jak np. szybki wzrost ludności.

Jeżeli socjalizm jest rzeczywiście nauką, a więc nie uzurpuje prawa do nazwy naukowego, to odtwarzać on musi fakta życiowe, w ogólnej swej tendencji zgadzać się z dążnością dziejową, a co do przyszłych ideałów kreślić takie, których zapowiedź i w stosunkach dzisiejszych odnaleźćby się dała. Jednocześnie wykazać musi, że wszelkie inne tłómaczenie zagadnień społecznych jest mylnem, że wynika ono z zaślepienia klasowego i środków zaradczych przeciwko złemu nie posiada. Gdyby socjalizm nie odpowiedział tym wymaganiom, moglibyśmy nazwać go utopią, marzeniem poszukującego ideałów ducha ludzkiego.

Nie wniknąłby przecież tak głębokoko w życie masy, którą dziś za sobą prowadzi, nie byłby krokiem na drodze dziejowego rozwoju, olbrzymim postępem społecznym, ale tylko wielkim błędem. A przecież wytwarza on całe zastępy

szermierzów i męczenników idei, którzy z okiem zwróconem w przyszłość giną dla urzeczywistnienia wyższej fazy bytu ludzkości.

Nie mam dziś zamiaru naukowo uzasadniać socjalizmu, wymienię więc tylko fakta, na których się opiera i tendencją, która z nich wynika, a której przejawów dopatrywać będziemy w życiu.

Jeżeli zapytamy teraz, gdzie szukać treści kwestyi robotniczej, to ukaże się nam przedewszystkiem olbrzymia, jednostajna masa mężczyzn o bladych, nerwowych twarzach, w niebieskich lub szarych bluzach, których ubranie, wyraz twarzy, skład ciała, niezem już nie przypomina opalonych wieśniaków, z pośród których wyszli. Ujrzymy zastępy kobiet i dzieci stojące również w szeregach tej armii kapitału, która zdobywa bogactwa dla społeczeństw dzisiejszych — to robotnicy. Ale czemu mówimy o kwestyi robotniczej, a więc o jakimś zagadnieniu, które nie wszyscy chcą przyznać, które się wydaje spornem i które wśród społeczeństwa na szare tło życia rzuca ruchliwy cień swych walk, sporów, krytyki stanu obecnego i aspiracyj na przyszłość? Odpowiedź na to znajdzie się na następujących kartkach.

III.

Robotnicy wszelkich kategorii stanowią dziś klasę wyodrębniającą się wśród wszystkich innych. Zwano ich niejednokrotnie stanem czwartym, opierając się na ustroju społecznym z końca zeszłego stulecia. Gdy uwydatniły się podczas wielkiej rewolucyi francuskiej dążności stanu trzeciego, stał po za tym stanem lud, robotnicy, t. zw. stan czwarty. W podobny sposób odnaleźćby się dał stan piąty, nazwa nie jest przeto dość ogólną dla pojęcia, które oznacza *cały proletaryat robotniczy* w celu odróżnienia go od klas posiadających.

Widzieliśmy, jak bez względu na rodzaj zajęcia proletaryat posiada cechy wspólne takie, że z łatwością za jedną klasę uważać go można. Przynależność klasowa i odrębność od klas innych, nakładają na członków klasy robotniczej obowiązek łączenia się i solidarności. Naprzeciw klas posiadających, bez względu na to, do jakiego należą stanu, staje masa proletaryatu dla obrony swych interesów i zaświadczenia o swej wspólności. Proletaryat robotniczy odnaleść się daje w każdym kraju o kapitalistycznym systemie produkcji i wszędzie zasadnicze warunki jego bytu są jednakowe, a odrębność od innych klas społecznych równie

wielką. Z tego też powodu dążności proletariatu robotniczego są *międzynarodowe*, wychodzą one daleko po za ramy ideałów narodowych i granice rodzinnego kręgu.

Podstawą dzisiejszej gospodarki kapitalistycznej jest władanie środkami produkcji przez klasę kapitalistów i skupianie się całego kapitału w jej ręku. Źródłem zależności klasy robotniczej będzie przeto brak owych środków produkcji i odpowiedniego kapitału, aby stać się przedsiębiorcą niezależnym. System drobnej produkcji nie da się już przywrócić, bo technika wynalazła doskonalsze sposoby wytwarzania, które dają się urzeczywistnić tylko przy wielkich przedsiębiorstwach, pozostaje przeto dążyć do usunięcia monopolu jednostek posiadających kapitał, przez zniesienie własności prywatnej ziemi, fabryk i w ogóle środków produkcji. Zawładnąć nimi powinno państwo, a więc przedstawiciel nie jednej klasy, ale całego społeczeństwa.

Dzisiejszy ustrój istnieje na zasadzie własności prywatnej środków produkcji, upaństwowienie ich, czyli oddanie w ręce ogółu, byłoby rewolucją, która przetworzyłaby musiała cały dzisiejszy ustrój społeczny.

Klasy posiadające tego nie uczynią, bo podkopałyby własny swój byt, a więc zadanie to przypaść musi klasie robotniczej.

Samo jej położenie jako klasy uciśnionej, niezadowolonej, a przytem solidarnej i zorganizowanej międzynarodowo, czyni z klasy robotniczej opozycją względem dzisiejszego ustroju politycznego i społecznego. Wobec polityki musi ona występować czynnie, ale nie w celu podtrzymania i rozwoju ustroju panującego, lecz dla jego osłabienia, wykazania jego wad i niekonsekwencji. Niedarmo też manifest komunistyczny Karola Marxa, który nazwaćby można arsenałem haseł bojowych proletariatu, nakazuje klasie robotniczej popierać wszelki ruch rewolucyjny, gdziekolwiek on wybuchnie, a więc podtrzymywać niezadowolenie ze stosunków dzisiejszych. Głównem więc zadaniem i celem ostatcznym partii robotniczej jest *obrona interesów klasowych* i wywalczenie takiego ustroju społeczno-politycznego, przy którym usuniętąby została niesprawiedliwość dziejowa, usuwająca wytwórców bogactwa — robotników — od cywilizacyjnych zdobyczy.

Urzeczywistnienie postawionych przez socjalizm teoryj i haseł, odnaleść można w ruchu robotniczym zarówno tam, gdzie występuje on pod sztandarem demokracji społecznej, jak i wówczas, kiedy stojąc na gruncie stosunków

istniejących, robotnicy poprawić chcą warunki swego bytu. A więc przede wszystkim wszędzie, gdzie klasa robotnicza zdobyła już świadomość swego położenia, występuje ona jako klasa odrębna od innych, do związków swych i organizacyj nie dopuszczając elementu pracodawców. Przecho-
dząc kolejno od zachodu na wschód i rozpatrując organizację związków robotniczych, spostrzegamy, że te, które doszły do najwyższej liczby członków i potęgą polityczną się stały, od początku zorganizowane były klasowo, a z rozwojem coraz wyraźniej skłaniają się ku doktrynie socjalizmu.

Związek Rycerzy pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, istniejący od 1869 r., który liczy dziś koło pół miliona członków, pomimo nie uznawania hasła socjalistycznych, jest przecież organizacją czysto klasową.

Przyjętym do niej zostaje każdy robotnik, bez względu na swe zajęcie, kwalifikacje, płeć i kolor skóry, pracodawcy zaś bezwarunkowo przyjęci być nie mogą. Rycerze pracy łączą się ze związkami zawodowymi robotników rolnych i drobnych farmerów, uznając wspólność dążeń robotników wszelkich kategorii. Zasady socjalizmu coraz więcej zyskują sobie wśród nich zwolenników.

Tę samą tendencję: objęcia wszystkich robotników i *tylko* robotników, dostrzedz można wśród olbrzymiego związku Trades-Unionów angielskich, które jeszcze przed czterema laty obejmowały tylko arystokracją klasy, a więc robotników wykwalifikowanych i lepiej uposażonych materalnie. Trades Unions są to związki zawodowe, utworzone dla obrony interesów robotniczych w każdej gałęzi pracy. Chodzi tu o płace robocze, czas pracy, prawodawstwo przemysłowe i wszelkie stosunki z przedsiębiorcami, przy których związek występuje zbiorowo w imieniu pojedynczego robotnika.

Odkąd obok wykwalifikowanych robotników Unions objęły i warstwy najuboższych, mianowicie dokistów, pracujących przy wyładowywaniu zboża z okrętów, liczba członków wzrosła do 1½ miliona. (Członkiem może być każdy robotnik od lat 16 tu, kobiece unions nie są liczne). Z rozszerzeniem organizacji na całą klasę w unions spoglądających aż dotąd pogardliwie na wszystkich robotników po za związkami, zapanował duch solidarności i jedności klasowej. Ten nowy zwrot wyraził się w przyjęciu hasła 8-godzinnego dnia roboczego, pod którym organizują się dziś robotnicy we wszystkich krajach.

Czysto robotniczymi organizacjami jest większość syndykatów we Francji, gdzie obok związków przedsiębiorców i niezależnie od nich liczone w 1891 r. 1127 syndykatów czysto robotniczych z 205.000 członków. Tę niewielką stosunkowo liczbę członków wytłomaczyć można niechęcią robotnika francuskiego względem przymusu, jaki z konieczności stowarzyszenia nakładają.

Organizacje zawodowe w Niemczech, utworzone dzięki agitacji Lassalle'a koło 1870 r., od początku stały pod wpływem demokracji społecznej, z natury już swojej przeto musiały być wyłącznie robotniczymi związkami, obejmując robotników danego zawodu w całym państwie. Są one dotąd wiele mniej liczne od angielskich, przecież mają już koło pół miliona członków. Niemieckie związki postawiły sobie skromniejsze od Trades-Unionów zadania, czysto ekonomicznej natury, mianowicie regulowanie warunków pracy.

Działalność polityczną, oraz wpływ na prawodawstwo robotnicze, którem w Anglii zajmują się Uniony, wzięła na siebie partya demokracji społecznej, najsilniejsza z robotniczych partyj politycznych w Europie. Sam wpływ solidarności klasowej, oraz warunków gospodarczych, czyni członków związku fachowego zwolennikami celów demokracji społecznej.

W Austrii, pomimo licznych szykan ze strony policyi i ograniczeń prawnych, związki zawodowe, rozwijające się bardzo pomyślnie, stanowią stowarzyszenia czysto robotnicze, garną się jednak do nich drobni rzemieślnicy, zwłaszcza czeladź rzemieślnicza, dając w ten sposób dowód swej przynależności do wielkiej rodziny robotniczej. Celem organizacyj tych jest: rozbudzenie i podniesienie świadomości klasowej, rozpowszechnienie oświaty i wiedzy, połączenie sił jednostkowych w jedną potęgę, któraby mogła mieć wpływ na prawodawstwo fabryczne, skrócenie dnia roboczego i podwyższenie płac.

Ten sam charakter klasowy, dążący do podniesienia ekonomicznego robotników, posiadają związki zawodowe innych krajów. Wszędzie przytem rozwinęła się potężnie zarówno prasa fachowa, jak polityczne dzienniki robotnicze. W Niemczech np. związki fachowe wydają 56 pism, a obowiązkiem każdego członka jest abonować pismo związku, do którego należy. U robotnika zaś trzymać pismo, znaczy to czytać go, bo nie nawykł on traktować pogardliwie drukowanego słowa, które go tak rzadko dochodzi.

Tak więc związki robotnicze, stojące na gruncie prawodawstwa istniejącego, wcieliły w siebie wyraźnie zasadniczy pogląd socjalizmu, który w robotnikach widzi odrębną od innych klasę.

Obok odrębności klasowej, socjalizm wysuwa na plan pierwszy ich międzynarodowy charakter, faktyczny ruch robotniczy skorzystał z owej cechy, rzucającej się zresztą w oczy nawet przy pobieżnem zwiedzaniu fabryk w różnych krajach Europy. Kapitał jest międzynarodowym, szuka on rynków zbytu, nie dbając o granice państwowe, ani o narodowe sympaty, robotnicy zorganizowani przezeń w celu produkcyi, przenoszą ową międzynarodowość również do swoich związków, wyrażają ją w swoich hasłach, żądaniach ekonomicznych i politycznych. Ta międzynarodowość przenosi się w dalszym ciągu i na prawodawstwo przemysłowe, które jednolitem stawać się musi pod wpływem jednakich warunków, w jakich znajdują się podпадаjące pod nie grupy społeczne.

Niektóre stowarzyszenia, np. związek drukarzy, zamieniły się w organizacje międzynarodowe, ogarniając całą Europę środkową i łącząc się z organizacją angielską.

Najwyraźniej przecież wystąpił międzynarodowy charakter: ruchu robotniczego w organizacji międzynarodówki. Londyński internacyonał stanowił krótko trwający przeblysłk ogólnej solidarności ludów, które w imię powszechnego dobra podały sobie ręce ponad niesnaskami rozdzierającemi rządy Europy. Kiedy wojna francusko-niemiecka w samym centrum oświaty wywoływała atawistyczne wspomnienia krwawej walki o byt, międzynarodówka, za zgodą robotników obu krajów, podniosła jedyny wówczas protest przeciwko okrucieństwom wojennej pożogi.

Założona w Londynie w 1864 r. międzynarodówka uznała statuty opracowane i przedłożone przez Karola Marxa, które już we wstępie kreślą w szerokich rysach zasady naukowego socjalizmu. „Położenie robotnika nie poprawiło się, pomimo olbrzymiego postępu przemysłowego lat ostatnich, a zależność jego od kapitału powoduje nędzę społeczną, upadek intelektualny, zależność polityczną. Ekonomiczna emancypacja klasy robotniczej jest przeto wielkim celem, do którego dążyć powinien każdy ruch polityczny. Solidarność klasy robotniczej jest *zadaniem międzynarodowym*, obchodzi ona każdy kraj, w którym istnieje społeczeństwo nowożytne, a rozwiązana być może tylko przez współdziałanie krajów najwyżej rozwiniętych“.

Do internacyonału przyjętym mógł być każdy ; jednostka prywatna, czy stowarzyszenie, który uznawał prawdę, sprawiedliwość i moralność jako dyrektywy swego postępowania. Różnice koloru skóry, narodowości, czy wiary, nie miały tu żadnego znaczenia, idea międzynarodowa urzeczywistnić się przeto miała w całej pełni, nadając każdemu równe prawa i obowiązki. Ponieważ internacyonał podejmował tak obszerne zadania, stanowił on tylko łącznik między robotnikami odrębnych narodowości, którzy przystępując doń, nie zmieniali nic w statutach istniejącej już organizacji. Kongres doroczny mianował radę generalną, kontrolującą towarzystwo.

Jako pierwsza próba urzeczywistnienia międzynarodowej organizacji klasowej, internacyonał dużo miał do zwalczenia trudności nie tylko ze strony rządów, zwłaszcza francuskiego i berlińskiego, ale również z powodu nieporozumień, jakie w ostatnich paru latach powstały w łonie samej organizacji. Pomimo to, w ciągu kilku lat swego istnienia, wciela on swoje zasady w życie: podtrzymuje pieniędzmi i radami strejki we Francji, dopomaga angielskim Unionom, które nie chcąc dopuścić do obniżenia płac roboczych, bronią wstępu do kraju obcym robotnikom, a przy wybuchu komuny organizuje rewolucyjną w miastach niemieckich. Gdy wybuch jej został przez policję powstrzymany, rada generalna przestała również pomagać komunie paryskiej, która pozostawiona samej sobie, upaść musiała. Związek liczył w swoich szeregach robotników wszelkich narodowości, a tradycja międzynarodowego porozumienia i działania mas pozostała w organizacjach robotniczych aż do dnia dzisiejszego, choć stosunki z przed lat 20-tu nie dorosły jeszcze do stałego urzeczywistnienia międzynarodowego związku, który upada w 1873 roku.

Ale idea międzynarodowa nie zamiera, a nawet występuje ona coraz silniej w ostatnich latach pięciu. Od 1889 r. powtarzają się międzynarodowe zjazdy robotnicze, ustanowionem zostaje święto robotnicze pierwszego maja, które proletaryat każdego kraju o ile możliwości zachowywać się stara, a jako najbliższy cel, do którego dążą robotnicze organizacje całego świata, postawiono żądanie 8-miogodzinnego dnia roboczego.

Nie trzeba zapoznawać znaczenia takich wspólnych celów w olbrzymim ruchu, który obejmuje proletaryat całej kuli ziemskiej. Przedewszystkiem stanowią one dowód, że partie robotnicze nie dążą do gwałtownego przewrotu

i zniszczenia wszelkich istniejących urzędów. Kto przygotowuje dzieło zniszczenia, nie obiera w tym celu drogi spokojnych demonstracji i żądań, które i w dzisiejszym społeczeństwie urzeczywistnionemi być mogą. Przy wszelkich wystąpieniach publicznych, jak 1-go maja, lub w pierwszą niedzielę po tym dniu, robotnicy wyglądają odświętnie, co do ubioru i nastroju umysłu, zawieszają pracę, urządzają pochody, ale nigdy nie występują zbrojnie, jako zdobywcy lub mściciele. Święto 1-go maja, jako łącznik między robotniczymi organizacjami różnych krajów, ma znaczenie dowodu braterstwa, zapowiada przyszły tryumf idei robotniczej.

Co zaś do hasła 8 godzinnego dnia roboczego, to przede wszystkim urzeczywistnić je można, nie naruszając podstaw dzisiejszego ustroju społecznego. W Australii ośmiodzinna praca jest już prawnie zaprowadzoną, niektóre gałęzie pracy w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej przyznały go także, Anglia wprowadziła ośm godzin w kopalniach rządowych. Od skrócenia godzin pracy zależy rozwój klasy robotniczej, która pragnie część dnia, a więc część życia i sił oddać sprawom, które obchodziłyby ich jako ludzi oświeconych i członków klasy, walczącej o lepszą przyszłość. To też ośm godzin pracy, ośm odpoczynku i ośm snu, jest na dziś ideałem, do którego dąży cały proletaryat przemysłowy.

(Dokończenie nastąpi).



Z dziejów górnictwa polskiego.

Szkic społeczno-historyczny.



Historia górnictwa w dawnej Polsce jest jednym ustępem z owych krwawych walk, które na przełomie nowożytnych czasów wywijały się między szlachtą ziemską a wypływającymi na powierzchnię społeczną warstwami mieszczańskimi. Walka ta klasowa skończyła się na zachodzie społecznym i politycznym zwy-

cięstwem mieszczaństwa nad feudalizmem, w Polsce zaś udało się szlachcie po zaciekłych zatargach z mieszczaństwem stłumić rozwój produkcyi handlowo-przemysłowej i powrócić z końcem 17 wieku wstecz do rabunkowej gospodarki rolnej.

Ten rezultat walk klasowych w Polsce odbija się w zwierciadle historyi jako zupełne rozprzężenie polityczne, jako upadek ekonomiczny i reakcja umysłowa w rzeczypospolitej polskiej, która opierając się na przeżytym sposobie produkcyi, rozbić się musiała o zaborcze zapędy sąsiednich mocarstw.

We wiekach średnich rozpadało się społeczeństwo polskie na dwie klasy: na olbrzymią masę ludu włościańskiego, uprawiającego staroświeckim trybem ojczystą ziemię i na garstkę wojowniczych łupieżców, którzy obok księcia sprawując władzę polityczną, żywili się kosztem danin pobieranych pod najrozmaitszymi tytułami od chłopów.

Miedzy te dwie klasy wciska się powoli stan kupiecki i rzemieślniczy, po większej części z zagranicy przybywający, kładący podwaliny pod późniejsze miasta. Produkcya domowa nie wystarcza już na opędzenie wszelkich kulturalnych potrzeb, a chłopci muszą iść na targi miejskie dla zakupywania wytworów przemysłowych (odzieży, narzędzi itd.). Dawniej chłop mógł się obejść bez pieniędzy, ale nadeszła chwila, gdy trzeba było część plonu zawozić do miasta, celem zaopatrzenia się w gotówkę. Książęta zaś i panowie, za przykładem zagranicy, zaczynają smakować w zbytkach, wytworach przepychu i wygodach, a do tego trzeba także pieniędzy. Tak więc z końcem 12-stulecia w Polsce rozwija się gospodarka pieniężna, a handel, jako widomy reprezentant takowej, staje się nieodzownym czynnikiem gospodarczym. Monarchowie popierają rozwój miast, sprowadzają osadników z Niemiec, darowują im grunta i starają się na tych nowych żywiołach oprzeć swą potęgę finansową i polityczną. Miasta otrzymują od monarchów przywileje prawa niemieckiego, t. z. rządzić się one mogą autonomicznie, jak miasta w Niemczech, same sobie wybierają zwierzchność, a mieszczaństwo są wolnymi obywatelami, choć do szlachty nie należą. We wieku 13, 14 i 15 istnieje cała sieć wolnych, zamożnych i samodzielnych miast niemieckich w Polsce.

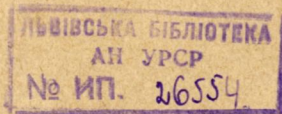
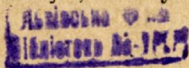
Równocześnie popycha książąt niepohamowana żądza złota, podyktowana wzmagającemi się potrzebami na utrzymanie dworu i wojska, do szukania sobie nowych źródeł

potęgi finansowej państwa. Już przeto w XII w. słyszymy, że książęta każą kopać na swych gruntach w Wieliczce i Bochni sól i za przykładem monarchów węgierskich urządzają żupy solne. Robotników początkowo sprowadza się z zagranicy, od nich uczą się sztuki górniczej czynszownicy mieszkający na posiadłościach królewskich. Panujący prowadzi żupy solne na własny rachunek. Nowe stosunki ekonomiczne wywołują nowe pojęcia prawne. Rozchodzi się oto, kto ma być właścicielem nieprzebranych skarbów wnętrza ziemi, czy właściciel gruntu, czy też król jako zwierzchni pan ziemi i przedstawiciel państwa. W Niemczech, Czechach i Węgrzech przemaga zasada, że własność gruntu odnosi się tylko do powierzchni, a właścicielem podziemnych przestworów czyli wnętrza ziemi jest monarcha.

Takie same prawa wymusza sobie król w Polsce siłą swej potęgi, tradycyi patryarchalnej i naśladownictwa praw zagranicznych. Król rości sobie także prawo do żup odnalezionych na innych gruntach i tylko z jego nadania (konsensu) wolno kopać minerały. Początkowo kopią w Polsce tylko sól. Za Kazimierza W. było już 10 szybów w Wieliczce a pracowało samych kopaczy (Hauer) 60*). Wszystkich zaś razem mogło być do 600. Liczba ta wynosiła w późniejszych czasach do tysiąca. Górnicy byli ludźmi wolnymi, nie ulegali tym ograniczeniom co chłopci, a sąd nad nimi sprawował wyłącznie król. Górnicy tworzyli ściśle bractwo, przestrzegali silnie swoich interesów i bronili się przeciwko uszczupleniu ich przywilejów. Na utrzymanie pobierali oni ze skarbu króla t. zw. ekwipaż, to jest żywność, odzienie i narzędzia, a prócz tego gotowiznę na opędzenie drobniejszych wydatków. Często odstępował monarcha pewnej grupie robotników cały chodnik do samodzielnego wyrębu, a górnicy płacili tylko czynsz. Czytamy także w dokumentach o pracy akordowej i tak n. p. wydzierżawił Kazimierz W. sól wielicką żupnikowi (urzędnik królewski) za roczną orendę w kwocie 18.000 złp., z tym atoli obowiązkiem, ażeby płacili rębaczom od bałwana soli po gr. 3 a sprzedawali po 5 gr.

Stanowisko górników pogarsza się z biegiem czasu, albowiem królowie wydzierżawiając żupy solne, pozosta-

*) Hieronim Łabęcki. Opis kopalnictwa i hutnictwa polskiego pod względem technicznym, historycznym, statystycznym i prawnym. Warszawa 1841.



wiają górników na łasce dzierżawców, a którzy starają się odbić na górnikach wysoki czynsz.

Tymczasem wzrasta potęga magnatów i szlachty, bogactwo króla i miast, budzi nienasyconą chciwość w przyzwyczajonych do rabunkowej gospodarki ziemianach, a szlachta wymusza od króla coraz większe ustępstwa. Już za Kazimierza Wielkiego wywalczyła sobie szlachta przywilej do zakupywania po niskiej cenie*) soli w Bochni i Wieliczce, taniej nawet jak mieszczanie i przekupnie.

»Szlachta z bliższych województw przez 4 miesiące z odległych stron 3 razy do roku w suche dni po sól przyjeżdżać mogła, stąd nazwano sól szlachcie sprzedawaną solą suchedniową.« Z początku kupcy sól po kraju rozwozili i nie wolno było im zabraniać sprzedaży**), lecz później dla dogodności szlachty, były składy soli po województwach, zwane także żupami i komorami solnemi, a ich przełożeni zwani byli żupnikami wojewódzkimi.

Z rejestrów żup krakowskich dawnych wykazuje się, iż dla szlachty z wyznaczonej na ich ziemskie posiadłości soli corocznie wydawano 1366 bałwanów (po 25 ctn.) i 1366 beczek (po 5 ctn.) soli w okrucach, t. j. razem cetnarów 102.175 (prawie połowa produkcji).

Za Jana Kazimierza przepisano w r. 1654 na sejmie warszawskim, że szlachcie mają być bałwany sprzedawane po złp. 4 gr. 4, beczka po złp. 6, licząc na każdy folwark 2 bałwany lub dwie beczki,

Za Augusta trzeciego kosztował bałwan soli złp. 12, beczka 4 złp. z wielką, króla stratą, gdyż sama robota od bałwana wynosiła złp. 5-6, od beczki 12 złp.

W 18 wieku***) otrzymała szlachta połowę całej produkcji za cenę wynoszącą zaledwie $\frac{1}{8}$ części kosztów produkcji, czyli cały przychód z kopalni soli w Bochni i Wieliczce oraz z żup solnych na Rusi (warzonki), wpływał do kieszeni szlacheckiej. Jest zupełnie zrozumiałą rzeczą, że taka gospodarka powstrzymywała postęp techniczny a z końcem 18. wieku wolnych ongi górników zamieniła na zawisłych, wyzyskiwanych, i poniewieranych niewolni-

*) Bandtkie. Jus Polonicum str. 177. Vol leg I fol. 165

**) Bandtkie str 349. Lengnich. Prawo pospolite polskie. Księga III Rozdz. II § 11.

***) Karol Wyrwicz. S. J. Geografia powszechna 1773. Szlachta otrzymywała w 18 w. 500.500 za cenę 140000 złp.

ków. Ten sam rozwój odbywał się także w innych gałęziach górnictwa.

Wiek XVI był w Polsce świetnym okresem górnictwa kruszcowego. Wydobywanie i wytapianie pod Olkuszem rud kruszczowych (rudy ołowiano-srebrnej) na obszernej odbywało się przestrzeni.

W Polsce przyjęły się najzupełniej zasady prawa górniczego węgierskiego i czeskiego, a król (państwo) uważany był ciągle za właściciela skarbów podziemnych. Król udzielał poddanym liceucyj do śledzenia kruszców (Schurbriefe) nawet w dobrach szlacheckich, a kto odnalazł kruszec ten otrzymał prawo do kopania*) za opłatą dziesięciny czyli t. z. olbory. Zawiązywały się całe towarzystwa czyli gwarectwa do szurfowania czyli do poszukiwania i kopania kruszczu. Każdy człowiek bez względu na to czy chłop czy szlachcic (aliquis komo) mógł otrzymać licencję do kopania.

Olbrzymia ilość wolnego ludu osiedliła się w Olkuszach i trudniła się gwarectwem. Już w XV w. pozwolił król Władysław Jagiełło gwarkom używać praw czeskich i węgierskich, wedle zaś statutu górniczego Jana Albrechta przez Aleksandra w Krakowie ogłoszonego (1505) stanowią górnictwem odrębną kategorię wolnych obywateli, związanych z królem węzłem prawa lennego. Nie ulegają oni ani sądom szlacheckim ani kościelnym lecz mają własne górnicze trybunały. Sąd żupniczy składają żupnik i 7 przysięgłych. Z postępem techniki wchodzi w użycie budowlę wodne i maszyny w Olkuszach, trzeba atoli było zatwierdzenia monarszego do wystawienia wszelkich machin dla wyciągania wód z kopalni (Wasserkunst). Do poruszania ich używano 800 koni. Właściciele takowych maszyn byli to swego rodzaju kapitaliści, którzy wielkim nakładem zbudowawszy takowe maszyny, pobierali od gwarków wynagrodzenia stosowne do rozmiarów ich sztolni.

Bardzo wielu gwarków robotników dochodzi do olbrzymich bogactw, równocześnie zarazem postęp techniki spowodował**), że do prowadzenia kopalni potrzeba wielkich funduszy, a biedny człowiek nie może wydołać przedsię-

*) Podobne zasady własności górniczej obowiązują obecnie w całej Europie (z wyjątkiem Anglii).

**) Ten sam rozwój odbył się w Niemczech p. Aschenbach Die deutschen Bergleute der Vergangenheit »Zeitschrift für Bergrecht 1871 Bonn XII.

biorstwu. Pierwotni gwarkowie oraz właściciele maszyn zamieniają się na kapitalistów i nie pracują już sami lecz wynajmują do roboty ludzi nie posiadających majątku. Tak więc przywilej prawny gwarectwa przeobraża się na monopol pieiężny. Zawiażywały się wielkie towarzystwa gwareckie celem prowadzenia na wielką skalę górnictwa, każdy członek wpłacał składkę czyli zamkosty a dochód i ryzyko kopalni dzielono w stosunku wpłaconych udziałów*). Każde towarzystwo miało swój statut. Wedle statutu wyznaczoną była część dochodu na kasę bracką robotników, część dla monarchy i kościoła a reszta dopiero po potrąceniu wydatków szła na rzecz uczestników przedsięwzięcia. Szlachta pozazdrościła mieszkańcom ich dobrobytu a w 16 w. biorąc największy magnaci w kraju pozwolenie do poszukiwań górniczych.

Wynajmują oni górników (bergmeister) inżynierów i robotników i prowadzą na sposób kapitalistyczny przedsięwzięcie. Mnożą się skargi i zażalenia w Olkuszu, szlachta nie respektuje nabytych praw mieszczaństwa, podkopuje dawne szyby, wdziera się w obce sztolnie odprowadza wodę na cudze pola. Szlacheckie przywileje wzrastają ustawicznie, panujący ustępują prerogatyw swoich, które stają się udziałem szlachty. Godnym jest uwagi przywilej Zygmunta I. z 1544 r. potwierdzający towarzystwo do szurfowania już nie w całym kraju lecz tylko w dobrach króla. Stefan Batory podpisał w Magyjes d. 8. lutego 1576 *pacta conventu***): »aby wątpliwość żadna około gruntów szlacheckich nie była wolne zawsze ze wszema pożytkami którebysiękolwiek na ich grunciech pokazywały, toż y kruszce wszelkie y okna solne zostawać mają, my y potomkowie nasi przekazywać im nie mamy czasy wiecznymi wolnego używania***)

Odtąd szlachcic na zagrodzie jest także absolutnym właścicielem wnętrza ziemi i panem wszelkich »pożytków« gruntu.

*) W prawie górnictwie austr. i pruskiem, przechowała się ta instytucja. Kuksy (kusy) § 143—140 p. ust. górniczej

**) Ten sam rozwój odbył się w Anglii. Tam również każdy właściciel gruntu jest właścicielem podziemia. Na tej samej zasadzie opiera się galicyjska ustawa naftowa z r. 1884.

***) Cyt. Łabędzki.

Panowie używają do robót górniczych chłopów pańszczyźnianych*), a wskutek tego dawne prawidłowe górnictwo ustępuje przed gospodarką rabunkową.

Znamieniem produkcji szlacheckiej jest rabunkowość, bądź to w formie rozbójnictwa ulicznego, bądź też nieracjonalnego rabowania owoców przemysłu. Z chwilą gdy w Polsce szlachta zwyciężyła nad klasą mieszczańsko przemysłową, tedy wrócić musiały przeżyte i barbarzyńskie metody produkcji. Dawna wolność górników w Olkuszu znika, a napływ sił niewolnych na wsi, obniża płacę robotnika.

Płace tygodniowe górników w Olkuszy w 16 wieku wynosiły:

Rurmistrze	gr. 8
Świecarze (chodnikarze)	„ 8
Kopacze	„ 12 do 18 gr.
Podszytgar	„ 18
Kowal	„ 30 go 60 gr.

Płaca ta na owe czasy była wystarczająca do dostatniego życia, ale wszystko to zmienia się od chwili, gdy gwarectwa dostają się do ręki szlachty. Właściciele starają się wydobyć z kopalni jak największy dochód, atoli najmniejszych wkładów czynić nie chcą.

Uczestnicy gwarectw nie wpłacają składki ryzykowej oni dyszą jeno nienasyconą żądzą dochodów. Skoro poczęły się niespodziewane wypadki, a mianowicie zalewy, dozwolano na szkody, byle nie złożyć składek i w ten sposób niebaczyć na przyszłość, zniszczenie tym bogatym kopalniom przygotowali*). Do kasy brackiej również niechcieli płacić panowie, zostawiając na bożej łasce, kaleki, sieroty

wdowy. Szlachta lekcewarzyła przywileje górnicze, oszukiwała górników przy wypłacie, a często całymi miesiącami zarobków nie wypłacała. Sądy górnicze poszły ponieważ szlachta kpiła sobie z prawa i sprawiedliwości. a król był za słaby, ażeby biednym ludziom dopomódz.

W chwilach tak nieszczęśliwych dla górnictwa, gdy gwarkowie szlacheccy nie widząc natychmiastowego zysku, funduszu wyłożyć żałowali i gwałcili prawa przyrodzone

**) Do r. 1846 prowadzili Homolacowie w Zakopanem kuźnice używając do roboty pańszczyźnianych chłopów. Czas pracy był nieograniczony, napędzano ludzi nahajkami.

*) Łąbedzki l. c.

i nadane górnikom, ci górnicy zebrawszy się w Żupniku na naradę, spisali statuty bractwa górniczego i założyli *tz. Knappschaftkasse*. Było to dnia 13 lutego 1671. statut zaś zyskał potwierdzenie monarsze 13 marca 1671*). Jestto pierwsze stowarzyszenie w Polsce obejmujące nietylko właściwych górników ale zarazem wszystkich „iakiemkolwiek sposobem z gwarectwa pożywienia szukających” np. hutników, furmanów, węglarzy itd.

W tym statucie postanawiają górnicy, aby od każdego zarobionego złotego potrącono robotnikowi grosz i takowy do wspólnej kasy składano. Towarzystwo to ma na celu bronić przywilejów i wolności górniczych, przeciwko tym co z „wielką szkodą i ruiną skarbu królewskiego wraz Rzeczypospolitej” szerzą spustoszenie w okręgu górniczym, a na „rozprószenie i rozegnanie górników nastają”.

Fundusz służy prócz tego dla „ubogich i nędznych górników, chorych i niedołącznych albo których góra przytłucze, pokaleczy, na opatrzenie ich w chorobach, alas na na pogrzeby ciał grzesznych, wdów i sierót ratunku potrzebujących, których rodzice w niedostatku oducierają, na wyżywienie i wychowanie ich i na insze wszystkie potrzeby górnicze”.

Był to ostatni wysiłek tego hardego butnego i inteligentnego ludku w Olkuszu.

Wojny szwedzkie, anarchia w Rzeczypospolitej a przede wszystkim rabunkowa gospodarka szlachty były faktami społecznymi, przeciwko którym wola bohaterских jednostek oprzeć się nie była w stanie.

Handel i mieszczaństwo upadły w walce ze żywiołami agrarnymi, a górnicy stali się pastwą szlacheckich opryszków.

Dawne kunszty górnicze poszły w zapomnienie, nie zakładano nowych budowli wodnych, nie budowano kanałów, nie odprowadzano źródeł podziemnych, aż ziemia matka oburzona tem brutalnem lekceważeniem jej praw załazi chodniki, poprzewracała sztolnie poburzyła dzieła pracy ludzkiej i wypisała baltazarowemi głoskami w Olkuszu ruiną. Tam gdzie niegdyś kwitnęły osady, a mrowiska ludzi w pocie czoła dobywały skarby z łona ziemi, dziś

*) A zatem tylko 4 tygodnie potrzebowali czekać górnicy na zatwierdzenie tego statutu. Każdy król sankcjonował ten statut, ostatnia sankcja nosi datę z 15 grudnia 1713 za Augusta II-go (p. Łąbedzki l. c.

smutna, wielka pustynia świadczy o rabunkowych tradycjach szlachty polskiej.

Górnicy olkusczy poginęli z nędzy i głodu, położyli swe życie w walce z najazdami szwedzkimi, ale twardego karku nie ugieli pod obrożą pańszczyzny.

Tak jak górnictwo w Polsce tak runęły wszystkie gałęzie przemysłu i handlu pod ciosami rozszalałej kasty szlacheckiej.

Potężne niegdyś miasta rozpadły się w gruzy, wolni mieszczaństwo rozbiegli się po świecie, sztuki i rzemiosło poszły w zapomnienie, a wieś ze swoim reprezentantem szlacheckim jak powódź zatopiła miasta. Jednakowoż zwycięstwo szlachty nad mieszczaństwem było zarazem zwycięstwem gospodarki feudalno-pańszczyźnianej nad żywiołami nowożytnej produkcji przemysłowej, a nieodzownie tego następstwem było całkowite bankructwo oligarchii polskiej.

Ekonomiczna struktura społeczeństwa stanęła w sprzeczności z rozwiniętą już formą państwową Polski. Rabunkowa gospodarka rolna nie wystarczała na zaspokojenie ciężarów wojskowych i politycznych Rzeczypospolitej gdyż obdzieranie chłopów ma pewne granice naturą wskazane, a wydajność gospodarstwa rolnego nie da się nawet porównać z produktywnością przemysłu miejskiego. Przekupstwo szlachciców polskich, prostytucja arystokratek, sprzedajność urzędów, barbarzyńskie rozpasanie pańszczyzny, rozstrój wszystkich urządzeń politycznych były jedynie wyrazem tej sprzeczności między zacofaną produkcją ekonomiczną a wymaganiami gospodarki pieniężnej, której oprzeć się nie mogła Rzeczpospolita otoczona do koła monarchiami finansowo rozwiniętymi.

Utrata politycznej samodzielności Polski była ostatniem ogniwem procesu rozkładowego społeczeństwa w XVIII. w. Historię narodów stanowią dzieje walk klasowych — historia przedrozbiorowej Polski jest rezultatem walki klasowej szlachty z warstwami przemysłowemi.

Wiedeń dnia 7 października 1895.

Dr. Zygmunt Leser.



KOMUNIZM.

(Dokończenie.)

III.

„Nie nowego pod słońcem“, powiada nam uczony francuski Leon Laubert, — „już osiemset lat temu urządzono w Chinach państwo komunistyczne, które po kilkunastu latach istnienia upadło sromotnie.“

Odpowiedź na to jest całkiem prostą, upadło ponieważ nie było komunistycznym! Ale wyjaśnijmy tę sprawę.

Dla wyjaśnienia jej jednakowoż nie potrzebujemy dopiero szukać przykładów w Chinach, gdzie jakiś marzyciel — zresztą może bardzo mądry, jak utrzymuje p. Leon Laubert — Onang-Ngam-Ehe doznał fiaska zupełnego w swoich reformatorskich zapędach. Zupełnie ten sam los spotkał bowiem w Europie i w Ameryce Owenistów, a przed Owenistami i po nich jeszcze nie jednego reformatora. Klasycznym przykładem podobnych udaremnionych prób i usiłowań, były pomysły greckiego filozofa Platona, zawarte w jego książce o państwie „Politeia“ (około 368 lat przed Chrystusem), które, jak wiadomo, nigdy nawet praktycznego zastosowania nie znalazły i późniejsze znacznie chrześcijańskie gminy komunistyczne. A i sama nauka Chrystusa z Nazaretu była również niczem innem, jak tylko taką reformacją społeczną o charakterze komunistycznym. Wszystkie te próby okazały się prostymi utopiami. Jeżeli chcemy teraz wyjaśnić przyczynę, dlaczego one były utopiami i jako takie pomysłami nie dającymi się trwale urzeczywistnić, a dalej pozorną sprzeczność zachodzącą między faktem, iż wszystkie te próby nazywamy sami nedorzecznymi utopiami, a równocześnie stawiamy jako ostateczny nasz cel komunizm, to musimy przedewszystkiem przypatrzeć się bliżej istocie tych niby komunizmów Platona, Esseńczyków*), Chrześcian, Onang-Ngam-Ehe'ów itd.

Plato w swej „Politei“ kreśli nader powabny obraz społeczeństwa, w którym nikt biedy, ani nędzy nie doznaje, ale wszyscy żyją w zgodzie i szczęściu, mając obfitość wszystkiego; nikt też nikogo nie uciska i nie wyzyskuje.

*) Sekta Esseńczyków, był to bardzo rozgałęziony wśród żydów tajny związek komunistyczny w pierwszym stuleciu przed Chrystusem.

Drogą do tego ma być według niego komunizm, ale Plato nadto zżył się z ówczesnymi stosunkami, panującymi w Atenach, zanadto też był arystokratą, aby wyciągnąć ostatnie konsekwencye ze swego odkrycia. Nie żąda on zniesienia różnic klasowych, lecz przeciwnie, u niego komunizm ma być dźwignią, utrzymującą państwo w równowadze, ma się stać elementem konserwatywnym, jednakowoż tylko, jako komunizm klasy panującej. Skoro zniesiemy, powiada on, własność prywatną klas panujących, to ustanie dla takowych wszelka pokusa wyzyskiwania i uciskania ludu pracującego; wówczas panujący nie będą już więcej wilkami, lecz staną się wiernymi psami strzegącymi dobra publicznego. Dla klas pracujących, dla chłopów, rzemieślników i kupców pozostawia Plato nadal własność prywatną. W idealnem państwie Platona, klasy panujące nie produkują wcale. Praca produktywna pozostawiona jest klasom pracującym niepodzielnie, które też muszą dbać o utrzymanie swej klasy panujących arystokratów komunistów, swych „stróżów“, jak ich Plato nazywa. Taki komunizm jednakowoż, jak widzimy, to nie jest komunizm środków produkcyi, jakiego się domagają socjaliści, lecz jest to komunizm środków spożywania — komunizm konsumpcyi!

Zupełnie tak samo wygląda pierwotny komunizm chrześcijański, który pośrednio, lub bezpośrednio może nawet początek swój bierze w komunizmie Eśnieńczyków. W ewangelii Mateusza (19. 21) znajdujemy słowa Chrystusa do bogatego młodzieńca: „Jeśli chcesz być doskonałym, to idź, sprzedaj co masz, rozdaj ubogim a pójdz za mną“. W historii zaś apostołów tak jest opisana pierwsza gmina chrześcijańska w Jerozolimie: „Zaden z nich nie powiadał o dobrach swoich, iż one są jego, lecz wszystko było wszystkim wspólne... I nie było między nimi żadnego, któryby nędzę lub głód cierpiał; gdyż wielu pomiędzy nimi takich było, którzy mieli pole, albo domy, sprzedawali takowe a pieniądze za sprzedane dobra przynosili i składali u nóg apostołów; i dawano z tego każdemu, wiele potrzebował“.

Ten rodzaj komunizmu w praktyce nie oznaczał nic innego, jak przemianę wszystkich środków produkcyi na środki spożywania i zastoscowany ogólnie, musiałby sprowadzić prędzej czy później pozbycie się i zniweczenie wszelkich środków produkcyi a więc i zaprzestanie w końcu wszelkiej produkcyi. I tak się też działo w każdej z owych komunistycznych gmin, czy to u Eśnieńczyków, czy u Chińczyków, czy nawet u chrze-

ścian — skutek czego wszystkie one zawsze po krótszym, lub dłuższym przeciągu czasu upadały. Wyjątek pod tym względem stanowiły klasztory, których organizacja demokratyczna i komunistyczna w niektórych wypadkach utrzymała się pozornie aż do naszych dni, ale też organizacja taka nie mogła być nigdy podstawą urzędu bodaj tylko większej gminy, — nie mówiąc o społeczeństwie całym.

W czem więc leży istota różnicy między komunizmem Platona i pierwotnych chrześcian, a komunizmem socjalistycznym? W tej zasadniczej różnicy, że kiedy Plato i komuniści chrześcijańscy żądali wspólnego używania wyprodukowanych dóbr — komunizmu w konsumcyi, to socjaliści, komuniści 19 wieku, domagają się wspólnego władania środkami produkcji i społecznego produkowania, czyli komunizmu w produkcji.

Przyzna każdy, że różnica ta jest zasadniczą i że na podstawie tej to właśnie zasadniczej różnicy, która wypada na korzyść socjalistów, mogą socjaliści z politowaniem kiwać głowami wobec tych, którzy im powiadają, że komunizm to mrzonka, utopia nie dająca się urzeczywistnić. Tak, komunizm taki, jak go chcieli wprowadzić i nawet chwilowo wprowadzali Plato lub pierwsi chrześcijanie, albo inni wielcy zakonadźcy myśliciele i reformatorzy, komunizm li tylko środków konsumcyi, to istotnie mrzonka i to nawet bardzo niedorzeczna mrzonka; zupełnie jednakowoż czem innym jest wspólność środków produkcji i wspólne wytwarzanie.

Aby być sprawiedliwymi musimy dodać jeszcze słów parę. Ani Plato, ani Chrystus, ani też jego następcy, ani tem mniej humanitarny mandaryn chiński, nie mogli za swoich czasów postawić żądania uspołecznienia środków produkcji tak, jak je sformułowali socjaliści XIX stulecia. Wielcy ci myśliciele i reformatorowie społeczni widzieli coraz bardziej wzrastającą już za ich czasów nędzę, głód i biedę wśród klas pracujących. Zjawisko to musiało ich tem silniej uderzyć i tem bardziej zainteresować, że przecież doskonale widocznem było, iż klasy te ciężko pracują a pomimo to cierpią. Równocześnie jednak spostrzegali oni, że z drugiej strony prócz tych głodnych, nagich i cierpiących, a pracujących — są jeszcze inni, którzy mniej, lub nie nie pracują, a przecież wszystkiego mają podostatkiem, a częstokroć nawet aż do zbytku. Wobec tego nic też dzi

wnego i nie prostszego, że powstawała u nich myśl odebrania tym co mieli za wiele, a dawania tym, co nic nie mieli, myśl dzielenia, rozdzielania, przydzielania, myśl więc wspólności wszelkich dóbr użytkowych — słowem idea komunizmu w konsumpcyi.

Nawiasem tylko wspominam tu, że komunizm jest ideą ogólnie ludzką, rzekłbym przyrodzoną człowiekowi i instynktownie niejako budzącą się bezustannie wśród ludzkości. Komunizm spotykamy u kolebki ludzkości wszędzie jako najpierwszą i najpierwotniejszą organizację społeczną, spotykamy go potem u wszystkich wogóle ludów, czasami nawet aż do bardzo wysokiego stopnia rozwoju. Cios ostateczny zadaje mu dopiero nowożytna gospodarka kapitalistyczna, która równocześnie stwarza podstawy przyszłej gospodarki socjalistyczno-komunistycznej. Nie da się także zaprzeczyć, że po dziś dzień jeszcze spotykamy w niektórych krajach, wśród odpowiednich warunków, czasem bardzo obszernie nawet zastosowaną zasadę komunistyczną, tyczy się to zwłaszcza ziemi, lasów i pastwisk; tylko że najczęściej własność sama jedynie jest komunistyczną, gospodarka zaś jest indywidualną, własność produktów również jest indywidualną. Komunizm ten — a jest to forma komunizmu odmienna i wyższa od pierwotnego komunizmu w konsumpcyi — zyskuje nawet niekiedy obecnie coraz nowe siły i jest prawdopodobnem, iż on przetrwa nawałę kapitalistyczną, aż do owej chwili, w której zostanie zastąpionym nowym, prawdziwym socjalistycznym komunizmem. Tu nawias się kończy i powracamy do rzeczy.

Jak wyżej powiedziano, komunizm Platona i jego następców ograniczał się li tylko do środków spożywania i używania, pozostawiając równocześnie nietkniętą prywatną własność środków produkcji i indywidualną organizację samejże produkcji. Nie można im jednakowoż z tego robić zarzutu. Ówczesny niski rozwój stosunków społecznych i karłowaty stan produkcji samej nie dozwalał bowiem na radykalne reformy w posiadaniu środków produkcji, lub w organizacji samejże produkcji, ale co więcej nawet, indywidualny charakter ówczesnych narzędzi pracy i całej produkcji z góry już wykluczał wszelką możliwość wspólnego posiadania i władania temi indywidualnemi narzędziami produkcji. Dlatego też i idea jakiegokolwiek reformy społecznej mogła się tyczyć samej tylko konsumpcyi, pozostawiając także nietkniętą samą produkcję. Myśl przemiany stanu posiadania narzędzi produkcji, z pry-

watnego na społeczny, mogła powstać i rozwinąć się następnie aż do nowożytnego komunizmu socjalistycznego dopiero pod wpływem już dokonanej przemiany w charakterze środków produkcji i produkcji z indywidualnego na społeczny (kollektywny), jak to już przedstawiliśmy w artykule pierwszym. Na odwrót też nie jest weale dziełem socjalistów podniesienie tej idei, bo ona wypływa sama przez się z faktycznie istniejących stosunków, ale też nie jest ona żadną utopią socjalistyczną, lecz koniecznością historyczną, wynikającą konsekwentnie z rozwoju ekonomicznego.

Sądzę, że każdy mi teraz przyzna, iż nie popełniam żadnej niekonsekwencji nazywając Platona i jemu podobnych marzycielami-utopistami — będąc równocześnie socjalistą i stawiając sobie za cel dążenie do komunizmu. Komunizm Platona i Chrystusa to była idea prawdziwie burząca społeczeństwo, bo przemieniając wszelkie narzędzia i środki produkcji na środki spożywcze, niszczyła wszelką produkcję i sprowadzała społeczeństwo do ruiny. Dlatego musiały te komunizmy upaść i upadały też z reguły za wsze po śmierci swego założyciela, a często nawet jeszcze za jego życia. Najczęściej trzymały się one dość długo tam, gdzie założyciel ich, geniusz w sztuce porywania za sobą mas i przekonywania ludzi — agitator znakomity, jak my to nazywamy — umiał sam osobistym swym wpływem przyniewolić niejako ludzi bogatych do składania ofiar na korzyść swej gminy komunistycznej — lub gdzie on sam własną kieszeniąłożył na utrzymanie takiej gminy, jak np. Owen w New Lanarku. W New Lanarku, w Szkocyi, idee Ovena znachodziły poklask i posłuch, ale też tam był Owen panem i prywatnym właścicielem kolonii i samłożył na utrzymanie takowej — „był jej dobrodziejem“. W New-Harmony natomiast, zupełnie takiej samej gminie założonej przez Ovena w Ameryce, gdzie rzeczy stały niemal wprost przeciwnie, idee Ovena zrazu się przyjęły, ale wkrótce kolonia się rozpadła.

Powtarzam: żądano tam i usiłowano urzeczywistnić niedorzeczność — komunizm w konsumpcyi, przy równoczesnem pozostawieniu prywatnej gospodarki i prywatnej własności narzędzi pracy, dlatego musiano doznać najzupełniejszego bankructwa.

IV.

A teraz jeszcze jeden zarzut, czyniony komunistom. Powiadają, komunizm chce znieść małżeństwo, zniszczyć rodzinę, chce wprowadzić wspólność kobiet!

Odpowiedzi na ten potworny zarzut jest dosyć, może za wiele nawet w stosunku do płytkości i niedorzeczności jego. Że on jest nieprawdziwym i niedorzecznym, to wpływa już chyba z tej okoliczności, że bywa on podnoszony przeciwko socyalistom jako broń ostateczna i to jedynie przez bardzo głupich, albo jeszcze więcej przez bardzo podłych i niskich przeciwników socjalizmu. Nie chcąc się powtarzać zresztą, powołuję się na mój artykuł umieszczony w „Świetle” p. t. „Upadek rodziny” a w tem miejscu postawię tą kwestyę całkiem inaczej. Skąd się wziął ten zarzut? Kto go podnosi? Czy komunizm kobiet zgadzałby się ewentualnie z zasadami komunizmu socyalistycznego, lub czy bodaj nie wypływa z nich nawet?!

Często nazywa się Platona ojcem komunizmu a nawet i socjaliści nieraz lubią się powoływać na komunizm platoński lub chrześcijański. Jest to niewykorzeniony jeszcze nałóg do powoływania się na „prastarą tradycję i benenatos antenatos” (dobrze urodzonych praszczurów). Że metoda ta — co do komunizmu przynajmniej — jest błędna, wynika już z tego, co powyżej powiedziałem, ale ma ona jeszcze i ten zły skutek, że przez to naiwne — bez wszelkich zastrzeżeń czynione, porównywanie a raczej wywodzenie swoich komunistycznych poglądów od Platona i od pierwszych chrześcian, socjaliści sami ściągali na siebie nieostrożnie wiele zarzutów, a zwłaszcza ten, o którym mowa.

Plato w swych marzeniach o państwie „Politeia”, żąda jak to już powiedziano, wspólnej własności wszelkich dóbr użytkowych, ale tylko dla swoich „stróżów”. Jemu nie chodzi wcale o zniesienie różnic klasowych i panowania klas. Przeciwnie! Chce on jedynie usunąć nędzę i ucisk klas pracujących i rodzące się z nich niezadowolenie i anarchię, które podówczas w Atenach groziły obaleniem i zniszczeniem całego ustroju państwowego. Komunizm miał więc być środkiem do utrwalenia i zabezpieczenia spokojnego panowania arystokracji, swoją drogą arystokracji idealnie mądrej i dobrej.

Aby zaś ta arystokracja, ci „stróże”, jak ich Plato nazywa, mogli odpowiedzieć swemu zadaniu sprawiedliwego i dobrego rządzenia narodem, aby mogli być idealnie dobrymi i mądrymi, to trzeba ich było chronić także przed

zdegenerowaniem, a przedewszystkiem należało z pośród nich usunąć wszelkie przyczyny złego, przyczyny kłótni i niezgody. I tu właśnie lekarstwem skutecznem miał być komunizm wszelkich dóbr, wszelkich środków spożycia i użycia, a więc i kobiet. Dlatego to Plato domaga się zniesienia rodziny a wprowadzenia przez państwo uorganizowanego i dozorowanego doboru płciowego, polegającego na wspólności kobiet i dzieci. Ale widzimy, że i u Platona komunizm ten płciowy miał doznawać pewnych ograniczeń, dyktowanych przez dozór państwowy, że zatem nie miał on być rodzajem powszechnej anarchii płciowej.

Ciekawem jest teraz dla nas to wściekle oburzenie dzisiejszych socyalistożerców, rzucających gromy potępienia na socyalnych demokratów za ich rzekome dążenie do wspólności kobiet, to bezprzykładne zaciętrzewienie tych samych mędrków i kaznodzieji, którzy równocześnie sławią Platona, jako wzór „niemal chrześcijańskiej“ etyki i moralności. ! Idea ta Platona, która dla nas wydaje się tak bardzo niemoralną, w Grecyi za swych czasów nie była niczem takim nienaturalnem. Przeciwnie. Chociaż bowiem monogamia była u nich prawną formą małżeńską, to przecież była ona jeszcze nazbyt świeżą, a uznawano ją jedynie, jako środek do osiągnięcia prawnych spadkobierców. Małżeństwo zaś samo, było u nich z reguły, i to otwarcie całkiem, przedmiotem targu między interesowanemi jednostkami, lub raczej rodzinami, celem osiągnięcia jaknajwiększych korzyści materyalnych. Jeżeli zaś Plato żądał zniesienia własności prywatnej wszelkich dóbr, a więc i zniesienia prawa dziedziczenia takowych, to usuwał tem samem wzgląd, dla którego wprowadzono monogamię i dalsze utrzymanie takowej, było zależnem od jej pożyteczności.

W państwie Platona — tak się podobało właśnie grekiemu filozofowi — korzystniejszą była wspólność kobiet i dzieci, która dawała gwarancję utrzymania wzorowej, szlachetnej rasy „stróżów“. Zresztą taki, przez państwo regulowany dobór płciowy, istniał faktycznie długie lata w innym państwie greckiem, w Sparcie.

Aby być zupełnym, muszę jeszcze dodać, że za przykładem Platona, żądali zmian w ustroju małżeństwa i to niekiedy zmian bardzo rewolucyjnych wszyscy inni jemu podobni reformatorzy. U jednych — jak u większej części chrześcijańskich gmin komunistycznych, znoszono zupełnie małżeństwo, a nakładano na członków obowiązek celibatu (stan bezżenny), proklamując przytem najczęściej ascezę

(t. j. zupełne wstrzymywanie się od stosunków płciowych), jako najradykałniejszy środek usunięcia nędzy, obok wspólności środków spożywczych; u innych znów, jak u Esenczyków wolano zastosować plany Platona i wprowadzono istotnie komunizm płciowy, z pewnemi ograniczeniami wprowadzie, które i Plato, jak to wyżej powiedziano, uwzględnił, lecz o które nam w tej chwili nie chodzi, bo one istoty rzeczy nie zmieniają. Nam chodzi natomiast o stwierdzenie faktu, że tak było i tak być musiało, jeżeli te gminy komunistyczne miały pretensye utrzymania się bodaj krótki czas. Do wprowadzania podobnych urządzeń były one zmuszone nieubłaganą koniecznością ograniczenia wspólnego konsumowania dóbr, których dostarczanie zależało od kaprysu prywatnych producentów lub ofiarnych dobrodziejów owych żebraczych komunizmów, które same nie nie produkowały. Ten właśnie żebraczy charakter pierwotnych gmin komunistycznych, jakiegokolwiek one były pochodzenia, zmuszał je do zaprowadzenia celibatu, ascezy, lub komunizmu płciowego, albowiem każde pomnożenie się ilości głodnych gęb znaczyło coraz większą trudność nasycenia takowych, a w następstwie tego rozkład i upadek gminy. I tak się też w końcu zawsze działo.

Jeszcze jedno. Zniesienie rodziny, komunizm płciowy, był u Platona logiczną konsekwencją komunizmu w używaniu. Zaiste bowiem, tam gdzie wszelkie środki używania, rozkoszy miały być wspólnemi, byłoby najwyższą niekonsekwencją usuwać tak potężną, na wszelkie życie społeczne tak wysoce wpływającą rozkosz od owej wspólności. Natomiast wspólność kobiet, komunizm płciowy nie stoi w żadnym logicznym związku z żądaniem zaprowadzenia wspólności środków produkcji*), a które to żądanie stawia nowożytny socjalizm. Chyba żebyśmy zaliczyli kobiety do środków produkcji. Słusznie też powiada w tej sprawie „Manifest komunistyczny“, dobitnie, z ironią i oburzeniem, ale dość chyba jasno:

„Wyzyskiwacz widzi w swej żonie tylko narzędzie produkcji; słysząc zaś, że narzędzia produkcji mają być eksploatowane wspólnie (kollektywnie), nie może sobie tego naturalnie inaczej wyobrazić, jak tylko, że los wspólności spotka także i kobiety. Nie domyśla się on, że to tu wła-

*) Die Geschichte des Sozialismus. I. Band. 1. Theil. Die Vorläufer des neueren Sozialismus. 1895.

śnie o to chodzi, aby dotychczasowe stanowisko kobiety, jako narzędzia produkcji, odmienić stanowczo“.

A zatem: zarzut, że komunizm wprowadzi także wspólność płciową nie dotyczy wcale komunizmu z XIX stulecia, lecz odnosi się on do niedoszłych pomysłów z owych zamierzonych wieków, kiedy może nawet podobna reforma była wcale na miejscu. Komunizm płciowy nie tylko, iż nie wypływa z komunizmu środków produkcji, lecz nawet wprost stoi z nim w sprzeczności, bo nie poto żądamy zaprowadzenia społecznej, kolektywnej formy produkcji, aby ograniczać ilość rąk do pracy, lecz aby każdemu dać pracę a za pracę to, co mu się słusznie należy. Ponieważ zaś każdy wytworzy zawsze więcej, aniżeli sam spotrzebuje, więc w interesie społeczeństwa socjalistycznego będzie mieć jak najwięcej tych rąk do pracy produktywnej. Dla społeczeństwa zatem, zorganizowanego na podstawie zasad komunizmu z XIX stulecia odpadną całkiem owe względy, które zmuszały komunistów z przed dwudziestu lub osiemnastu stuleci do tak brzydkich pomysłów, że one aż „świętem oburzeniem“ przejmują dzisiejszych karłowatych epigonów, takich wielkich filozofów, moralistów i etyków, jakimi byli Plato Chrystus i jego apostołowie. Ludzkość z ich „świętego oburzenia“ nie wiele sobie robi i kroczy krokiem powolnym, ale tem pewniejszym ku... komunizmowi.

Tadeusz Regér.



(Z braku miejsca, dokończenie fejetonu p. t. »Dwie ucieczki«, zamieścimy w następnym numerze).

18

VIII

F S-97

Treść Nr. 10.

Żegota: „Żalazne ręce”. — Dr. Zofia Daszyńska: „Styi robotniczej” (ciąg dalszy). — Dr. Leser: „Z dziejów polskiego” (szkie społeczno-histeryczny). — Tadeusz Negor: „Komunizm” (dokończenie). — Fejleton: Sergiusz Stepiak: „Dwie ucieczki” (ciąg dalszy).

Wydawnictwo tygodnika „Naprzód”.

„U OGNISKA”

Tom nowel robotniczych

Zygmunta Niedźwieckiego.

15 szkiców na 12 arkuszach. Cena księgarska 1 zł. Dla prenumeratorów „Świata” 60 ct.

Czasopisma socjalistyczne polskie.

„NAPRZÓD”. Kraków, ul. Szewska 1. 7. Wychodzi w każdy czwartek. Prenumerata kwartalna 75 ct., z przesyłką pocztową 90 ct.

„NOWY ROBOTNIK”. Lwów, Grand-Hotel (Paśaż) Wychodzi 1. 10. i 20 każdego miesiącu. Prenumerata kwartalna 45 ct. z odsyłką do domu 50 ct., z przesyłką pocztową 55 ct.

„DER ARBEITER”. (Robotnik). Lwów, ul. Wałowa 1. 15. (Pismo żargonowe, przeznaczone dla robotników żydowskich). Wychodzi pierwszego i trzeciego piątku każdego miesiąca. Prenumerata kwartalna 30 ct., z przesyłką pocztową 40 ct.

„GAZETA ROBOTNICZA”. Organ polskiej partii socjalistycznej w Berlinie. O Andreasstrasse 78. A. — Prenumerata kwartalna w Niemczech 1 mrk. 10 fen., za granicą 1 mrk. 60 fen., w kopercie 1 mrk. 90 fen.

„ROBOTNIK”. Organ polskiej partii socjalistycznej. Warszawa. Adres: (przez „Przedświt”).

„PRZEDŚWIT”. Czasopismo społeczno-polityczne. Organ Związku zagranicznego socjalistów polskich w Londynie. Adres: „Dawn”, 7, Beaumont Square, Mill End, Road London E. — Prenumerata roczna 5 złr. 4, rs. (w kopertach).

ИП. 22.262

1895

F ^{VIII}
S. 94

ИП

22.262

1895

Światło

1-10

1895